



CHRIS  
BOHJALIAN

*Wciągająca opowieść o kobiecie,  
która domaga się prawa do kierowania  
swoim życiem i konsekwencjami,  
jakie się z tym wiążą.*

New York Times

Ozarcownica  
z Bostonu

CHRIS  
BOHJALIAN

Czarownica  
z Bostonu

Z języka angielskiego przełożył  
Przemysław Hejmej



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Hour of the Witch*

Copyright © 2021 by Quaker Village Books LLC

Copyright © 2024 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2024 for the Polish translation by Przemysław Hejmej  
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Joanna Habiera, Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-8230-720-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga)

E - wydanie 2024

# Spis treści

PROLOG

KSIĘGA ŻONY

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

KSIĘGA WIEDŹMY

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

EPILOG

Podziękowania

Przypisy

*Brianowi Lipsonowi i Deborah Schneider  
za cierpliwość, szczerłość, rady i dobroć*

*Oraz ponownie  
Victorii,  
na zawsze mej kochance i muzie*

*Marząc o tym, co dalej i wyżej,  
Liczysz, że trafisz tam jak najczyżej?*

ANNE BRADSTREET

# PROLOG



Z możliwej obecności Diabła zdawali sobie sprawę ciągle.

Na pewno i Bóg ich obserwował. Zbawiciel także.

Dlatego nigdy nie byli całkiem sami. Nawet wtedy, kiedy wędrowali ku nadmorskiej równinie błotnej albo po słonych bagniskach, które – ponieważ zawsze znikwały w porze przyływu – nosiły nazwę Wstecznej Zatoki. Czasem wspinali się na Trójgórę – w rzeczywistości odrębne wzgórza, Watę, Wartownika i Latarnię, które niemal spłaszczyli, wybrali bowiem tamtejszą ziemię, aby zbudować nabrzeże i przystań, a także pod fundamenty magazynów. Nawet wówczas, gdy przebywali nad wąskim przesmykiem wiodącym na stały ląd albo w lesie (szczególnie w lesie) po drugiej stronie wąziutkiej mierzei.

Czuli tę obecność, ilekroć chronili się w swych małych ciemnych domach – o oknach nie szerszych od szczelin, zabitych deskami dla ochrony przed wiatrem i chłodem. Każdy mężczyzna mógł wtedy zapisać to w swym diariuszu (właściwie w rejestrze, w którym katalogował wydarzenia dnia tudzież stany umysłu, starając się ustalić, czy znajduje się pośród wybranych). Również każda kobieta mogła nabazgrać parę linijek wiersza o drzewach, rzekach albo tych zdumiewających piaszczystych wydmach, które falowały nocą niczym morskie bałwany.

Niekiedy owa obecność była przerażająca, zwłaszcza gdy istniały inne wskazówki świadczące o bezpośrednim sąsiedztwie Diabła. Wtedy jednak dane im było chwilowe wsparcie, albowiem – jako owce pod pieczę bóstwa – zaczynali czuć działanie swego pasterza. Przynosił ulgę, dodawał otuchy, swym pięknem zapierał dech w piersiach.

W każdym razie tutejsi mężczyźni i kobiety czerpali pociechę z myśli, że istnieje jakieś wytłumaczenie dla tego niepojętego świata – niepojętego zazwyczaj w przerażający sposób: oto szalupa z tuzinem wioślarzy zniknęła pod wodą gdzieś między portem a masywnym, stojącym na kotwicy statkiem z beczkami pełnymi przypraw, ze zbiornikami z prochem, skrzyniami z pewterem, porcelaną i pościelą. Szalupa przepadła bez śladu. Marynarze stojący na nabrzeżu najpierw widzieli ją wyraźnie, by chwilę później stracić całkiem z oczu: nadciągnęły deszczowe chmury, a łódź nigdy więcej nie wyłoniła się z morskiej piany i fal. Nie odnaleziono również ciała.

Nigdy.

Albo ten rolnik, któremu brzuch rozorały bycze rogi, a który umierał w męczarniach, we własnym łóżku, przez trzy dni. Jak to wyjaśnić? Pod koniec owej męki nawet wyściółka wielkiego materaca była czerwona jak okrywające go prześcieradło. Nigdy nie widziano, by człowiek wykrwawiał się tak długo.

Trzy dni. Liczba o ogromnym znaczeniu w Biblii.

No cóż. Mimo wszystko...

Albo jak wytłumaczyć to, że mąż łamie żonie nogę pogrzebaczem, a potem przywiązuje ją do pługa, żeby nie mogła odejść z domu? I odchodzi sam. Kobieta czekała cały dzień, zanim zaczęła wzywać pomocy.

Jak wyjaśnić obecność huraganów, które wsysają przystanie do morza, albo pożary wybuchające w domowych paleniskach, pozostawiające po sobie najwyżej dwa szerniałe kominy? Jak wyjaśnić susze, głód, powodzie? Śmierć niemowląt i dzieci, a nawet – tak – śmierć ludzi starych?

Oni jednak nigdy nie pytali: „dlaczego ja?”. Prawdę mówiąc, nie zadawali też rozsądniejszego pytania: „dlaczego w ogóle ktoś?”.

Ponieważ wiedzieli. Wiedzieli, co się kryje w dziczy, i zdawali sobie sprawę, że to, co się kryje w nich samych, jest jeszcze bardziej dzikie. Dobre uczynki same w sobie nie mogły niczego zmienić – grzech pierworodny nie był urojeniem, predestynacja nie była bajką – choć bywały znakiem. Dobrym znakiem. Uświęcenie szło za usprawiedliwieniem.

A jeśli chodzi o rozwody... Zdarzały się, owszem. Rzadko. Ale zdarzały. Były możliwe. A przynajmniej powinny być. Mediacja zawsze stanowiła lepsze rozwiązanie niż proces sądowy, bo przecież – bądź co bądź – była to społeczność świętych. Przynajmniej tak zakładał plan. Podstawy musiały być solidne: opuszczenie rodziny. Bieda. Bigamia. Cudzołóstwo (w istocie zbrodnia najcięższa z punktu widzenia bożych zarządzeń wyrażonych w Księdze Kapłańskiej oraz Powtórnego Prawa, ale nigdy żadnego cudzołożnika nie powieszono). Impotencja. Okrucieństwo.

Był to świat pełen przemocy, ale podniesienia ręki na małżonka nie akceptowano.

Przynajmniej nie bez prowokacji.

Mary Deerfield wiedziała o tym wszystkim, wiedziała, ponieważ Bóg dał jej znakomity umysł – bez względu na to, co powtarzał jej mąż Thomas. I chociaż inteligencja niezbyt się przydała Anne Hutchinson (sam Winthrop wyraził opinię, że nadmiernie mąciła, próbując myśleć jak mężczyzna) – a w latach późniejszych rozum zdecydowanie nie pomógł całym zastępom kobiet, które wieszano jako wiedźmy w Salem – ona miała pełną świadomość tego, że niczego złego nie uczyniła i nie zasługiwała na to, aby ją bić jak tępe zwierzę. Nie mogła tego tolerować. Jak się zdaje, również jej matka i ojciec, niech będą błogosławieni, nie żądaliby od niej aż takiej tolerancji.

Problemu, rzecz jasna, nie stanowiło tylko stosowanie przez Thomasa przemocy i nie sprowadzał się on jedynie do różnicy zdań pomiędzy nim a żoną. Rozpadu małżeństwa nie wywołało samo okrucieństwo męża. Złożenie pozwu rozwodowego niosło ze sobą pułapki, których Mary nie mogła przewidzieć. Zdawała sobie sprawę, że tutaj, w tym mieście, czasami lepsza byłaby

samotność, przebywanie wyłącznie w obecności aniołów lub Boga, lecz zarazem oddałyby bardzo dużo za jednego świadka będącego istotą ludzką.

Ponieważ nawet osoba obdarzona tak byстрыm umysłem jak Mary Deerfield rozpoznawała własne podłe żądze i demony, przez które wszystko zaczynało się komplikować.

# KSIĘGA ŻONY

„(...) i to ten niewierny mąż nazywał mnie dziwką i wymyślał najbardziej szalone opowieści na temat mojego postępowania, a potem bił mnie w imię dyscypliny, jak gdybym była niedouczonym dzieckiem”.

*Pozew rozwodowy wniesiony przez Mary Deerfield, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

# Rozdział 1

Młodzi mężczyźni popełniali zwykle dwa błędy, gdy pierwszy raz w życiu używali kosi: całą robotę starali się wykonywać ramionami, a zamachy brali zbyt szeroko. Atakowali trawę, jakby się obawiali, że jeśli nie zgładzą jej odpowiednio szybko, powstanie i ucieknie. Wówczas ojcowie bądź wujowie pokazywali im, że znacznie lepiej zaangażować do pracy także plecy, poruszając drzewcem prawie niedbale, powolnie, rytmicznie, biorąc szeroki zamach. Ostrze do tyłu, dłoń na trzonku, prawa noga do przodu, potem cięcie – wyobraź sobie, że klinga stanowi końcówkę wahadła wysokiego zegara. I druga noga naprzód. Właśnie w ten sposób.

Jeśli narzędzie było odpowiednio naostrzone, wokół metalu fruwały wiechcie trawy. Kosa wbijała się w pole, ramiona nie ciążyły jak kowadła.

Kiedy mąż Mary Deerfield uderzył ją po raz pierwszy, nie skojarzyła tego ruchu z koszeniem: zbyt mocno bolało, zbyt mocno ją to zaskoczyło. Skóra zapiekła. Ale za drugim razem, pół roku później, niedługo po jej dwudziestych urodzinach i tuż przed pierwszą rocznicą ich ślubu, zauważyła, że wyprowadził cios jak obeznany z kosą żniwiarz. Ramię wykonało zamach bez najmniejszego wysiłku, z gracją, skutecznie. Łuk. Upadła na sosnowy stół, przewracając mosiężne świeczniki. Mocny cydr, który Thomas wcześniej popijał, wylał się z metalowego kufła na podłogę, a także na deskę do krojenia, na której podała ich kolację. Wtedy zobaczyła wyraźny obraz koszących mężczyzn – z pamięci napływały szczegóły bardziej namacalne dla umysłu niż duszona dynia w kałuży cydru – a także falowanie ich ramion.

Nazwał ją dziwką, na co odparła, że nią nie jest i on o tym wie. Powiedział, że widział ją gapiącą się na innych, młodszych mężczyzn, z chucią w oczach. To nieprawda, zaoponowała, zaraz jednak pomyślała, że znów ją uderzy. Przygotowując się na cios, skuliła ramiona i zasłoniła twarz dłońmi. Nie uderzył. Dygotał z gniewu, zupełnie bezpodstawnego, a także z powodu wyrzutów sumienia – taką przynajmniej miała nadzieję. Ale nie uderzył ponownie.

Wypadł za drzwi, osiodłał Cukierka, ładnego ośmioletniego wałacha, bułanka z czarną grzywą, i odjechał. Przyłożyła palce do policzka, zadziwiona jego ciepłem. Czyżby krew gromadziła się pod skórą? Na pewno spuchnie, to nieuniknione. Cieszyła się, że byli sami. Zakręciło jej się w głowie ze wstydu. Podniosła jego kubek, dotknęła zimnym mosiądzem skóry w miejscu uderzenia, po czym

usiadła na krześle. Zastanawiała się, dlaczego czuje się upokorzona, skoro nikogo z nią nie ma. Przecież to wymaga widowni.

\* \* \*

Cztery lata później mąż Mary Deerfield leżał obok niej w łóżku, pochrapując. Przed innymi ukrywał twarz hałaśliwego i ordynarnego pijaka, prawdopodobnie dlatego nigdy nie ukarano go żadną grzywną ani nie zakuto w dyby. Gniew okazywał tylko w domu, rzadko (może wcale) pozwalał sobie na wybuchy w obecności ich młodej służącej Catherine albo podczas odwiedzin dorosłej córki. Mary wydało się teraz, że słyszy, jak dziewczyna chodzi na dole, jest w pobliżu kominka, nie miała jednak pewności. Może to tylko wiatr.

Brat tej biedaczki umierał. Był bliźniakiem Catherine, od zawsze słabowitym i kruchym. Mieli osiemnaście lat. Chłopak zapewne nie dożyje końca jesieni. Pełnił tu służbę na kontrakt, podobnie jak jego siostra. Catherine wspomniała wieczorem, że skubnęła coś na kolację i przełknęła odrobinę mięsa, lecz jego stan był zły, więc kilka kawałków wieprzowiny nie mogło zatrzymać procesu gaśnięcia.

Kiedy mąż Mary wrócił dziś z gospody, udała, że śpi. Wyjątkowo długo nie kładł się do łóżka. Czuła, jak się w nią wpatruje, świadoma, że jej nie zbudzi, aby przeprosić za tamtą napaść (i z pewnością nie przyglądał się jej dlatego, że rozważał ewentualność odbycia stosunku; nie było na to szansy, przede wszystkim ze względu na poziom jego upojenia alkoholowego). Na przestrzeni lat wszystko zaczęło się układać według schematu. Pił, bił ją, a potem wychodził, żeby znowu pić. Nazajutrz mówił, jak mu przykro. Przypuszczała, że gdyby ją teraz uderzył, przeprosiłby rano. Przed pójściem do kościoła stale podkreślał własną grzeszność. Pamiętała, o co się posprzecali: że ogród wygląda na zapuszczony, pełen chwastów, co podobno źle na niego wpływa. Przynajmniej tak to się zaczęło. Wiedziała, że dręczą go też inne demony, wbijają w niego zęby ostre jak nóż.

Thomas miał czterdzieści pięć lat, blisko dwa razy więcej od niej. Była jego drugą żoną. Pierwsza – świętej pamięci Anne Drury – zmarła osiem lat temu, niedługo po tym, jak rodzina Mary przybyła do tej kolonii. Koń Thomasa kopnął Anne w szczękę i złamał jej kark. Też samej nocy właściciel zastrzelił zwierzę, choć należało do potulnych, nie licząc owego straszego w skutkach wieczoru. Małżonkom urodziło się troje dzieci, z czego dwoje zmarło wcześniej, trzecie, Peregrine, było już dorosłe. Peregrine wyszła za mąż ledwie kilka tygodni przed zaślubinami Mary z jej ojcem. Dlatego obie kobiety nigdy nie mieszkały pod jednym dachem, a biorąc pod uwagę, że były rówieśnicami, nowa pani Deerfield bardzo się z tego cieszyła. Bo przecież, będąc w tym samym

wieku co dziewczyna, została jej macochą: nie mogła sobie wyobrazić dyscyplinowania równolatki, a córkę męża postrzegała bardziej jako siostrę przyrodnią niż pasierbicę. Aczkolwiek taką, która – jak Mary podejrzewała – niezbyt ją lubiła z tej prostej przyczyny, iż nie była Anne. Obecnie Peregrine miała własne dzieci, co oznaczało, że Mary, zaledwie dwudziestoczteroletnia, została babcią. Świadomość ta budziła w niej czasem smutek i przerażenie.

Zamknęła oczy i nasłuchiwała odgłosów jesiennej nocy. Na drzewach, które nie zostały przetrzebione jak te przy placu targowym i na błoniach, utrzymywały się jeszcze liście, lecz wkrótce i one miały spaść. Wraz z nadejściem pełni księżyca spodziewano się tęgich mrozów. Druga kwarta już dawno minęła. Mary dotknęła miejsca na twarzy, w które trafił Thomas, świadoma, że ludzie będą ją pytać o siniec. Zastanawiając się nad realistyczną wersją wydarzeń, jaką im poda, zapadła nagle w głęboki sen.



„Znam dobrze gospody i karczmy. Żadna to tajemnica ani też coś, za co musiałbym prosić o wybaczenie sąd bądź samego Pana. Czy jednak kiedykolwiek ukarano mnie za nadmierną skłonność do picia? Nie. Czy kiedykolwiek poddano mnie publicznej chłości za ów występki? Oczywiście, że nie. Sąd mnie zna, wie, że mam młyn. Tak, istnieją we mnie zło i serce skłonne do grzechu. Choć często mam powody wstydzić się przed Bogiem, prawda jest taka, że zawsze staram się Go wielbić we wszystkim. Ostatecznie odpowiem za wiele popełnionych w życiu błędów, lecz moja postawa względem żony, Mary Deerfield, nie będzie jednym z nich”.

*Zeznanie Thomasa Deerfielda, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 2

Mary Deerfield wiedziała, że jest piękna. Oczy miała błękitne, a skórę jasną i gładką jak porcelana – z takiej zastawy od czasu do czasu jadała w Anglii, gdy była jeszcze dziewczynką. Obawiała się niekiedy, że zarozumiałstwo jest cechą, na którą winna mieć baczenie. Nadmierna duma to nic dobrego.

Ubrawszy się do kościoła, stwierdziła z ulgą, że Thomas uderzył ją dość blisko ucha, na tyle, by ukryć siniec pod kornetem, o ile umiejętnie się go nałoży. Na początku lata Mary przyznała się sąsiadom, że któregoś wieczoru boleśnie nadziała się na hak od wieszaka. Powszechnie śmiano się z jej niezdarności, nie licząc matki – Mary obawiała się, że podejrzewa ona, jaka jest prawdziwa przyczyna niebieskoczarnych sińców.

Dziś nabożeństwo miało się zacząć o dziewiątej i zakończyć w południe. Drugą część zaplanowano na godzinę czternastą. Trwało dobre lato, deszcze padały z odpowiednią częstotliwością, słońce świeciło jak należy. Ludzie uzyskali więc trzy zbiory siana na zimę, a rośliny uprawne na polach urosły większe, niż kiedykolwiek w Massachusetts widziano. Dynie osiągały rozmiary maselnic. Na dzisiejszym nabożeństwie planowano uniżyć się przed Bogiem, dziękując mu za pomyślność. Diabeł był odczuwalnie nieobecny, nie licząc może śmierci dwojga niemowląt przy ulicy Marlborough oraz jego odwiedzin u umierającego brata biednej Catherine. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że ów pożałowania godny William mieszkał w domu, w którym – co powszechnie wiadomo – rodzina nie zakopała wołowej kości w fundamentach ani nie pociągnęła cegieł w kominie warstwą zeszlonej soli. Niektórzy sugerowali, że śmierć dzieci to sprawka wiedźm, nie Diabła, lecz Mary w tego rodzaju spekulacjach widziała jedynie przejaw hysterii. Przecież dzieci umierają ciągle. Poza tym nie słyszała o żadnej kobiecie, która byłaby w sposób oczywisty opętana. Jeśli tego lata Diabeł rekrutował sobie pomocnice, to raczej w miejscu na południowy zachód stąd, w Hartfordzie.

A naprawdę było to uroczne lato i niezwykle przyjemny wrzesień. Należący do jej męża młyn miał z czego produkować mąkę przez całą jesień, aż do początku zimy, co powinno nastrajać go optymistycznie. Thomas był zadowolony wtedy, gdy miał zajęcie, a cydru i piwa wypijał tylko tyle, by ugasić pragnienie. Miniona noc, powiedziała sobie Mary, kończąc się ubierać do kościoła, to ostatnia taka na dłuższy czas. Może kilka miesięcy. On nie będzie się często upijał. Wkrótce się

zbudzi, przyłapie ją wpatrzoną we własne odbicie w lustrze albo poprawiającą kołnierzyk i mankiety podczas posiłku, i łagodnie zakpi z jej próżności. Potem przeprosi za wczoraj i znów wszystko będzie dobrze.

A przynajmniej poprawnie. Do zniesienia.

Usłyszała, jak na dole Catherine otwiera słoik z melasą, przygotowując śniadanie. Po raz ostatni sprawdziła, czy kornet zakrywa siniec, po czym zeszła po schodach – tutaj stanowiły one luksus, którego Mary nie uważała za coś oczywistego, ponieważ wielu ich sąsiadów nadal korzystało ze zwykłej drabiny łączącej piętra. Minęła salon i znalazła się w kuchni, obok dziewczyny.

– Dobrego szabatu ci życzę, Catherine – przywitała się.

Służąca się uśmiechnęła i lekko skłoniła głowę.

– Nie słyszę pana Deerfielda – rzuciła. – Czy jest zdrow?

– Zaraz obie go usłyszemy. Jeszcze śpi.

Mary dostrzegła, że Catherine zdążyła już postawić stelaż swego łóżka pod ścianą i nakryć do stołu. Dziewczyna nie miała własnej izby – tak jak państwo Deerfieldowie, którzy mieli pokój na piętrze – spała w kuchni albo w przedpokoju. Dom był imponujący jak na bostońskie standardy – taki, jaki powinien posiadać właściciel młyna – bladł jednak w porównaniu z tym, w którym Mary dorastała w Anglii. Ten obejmował sześć pomieszczeń usytuowanych na dwóch poziomach, nie licząc piwnicy, ale włącznie ze spiżarką obok kuchni (wchodząc tam, Mary musiała się schylać, więc Catherine znała ów zakątek lepiej od pani domu). Na parterze mieściły się ładny przedpokój, salon i kuchnia, na piętrze – dwie przestronne izby. Między kuchnią a holem znajdował się masywny piec, w salonie – nieco mniejszy, a w pokoju, który dzieliła z Thomasem – nawet kominek. Nie więcej niż kilkanaście innych domów w okolicy mogło się pochwalić aż trzema piecami i trzema kominami. Jeden z nich należał do gubernatora, drugi do pastora Pierwszego Kościoła, a pozostałe do szczególnie zamożnych bostońskich kupców i przedsiębiorców, w tym ojca Mary.

Nie przestawała mieć nadziei, że kiedyś urodzi dzieci, które będą sypiały w drugiej izbie – tak jak córka Thomasa z pierwszego małżeństwa, mogąca cieszyć się własnym pokojem w pierwszym domu, który zbudował – lecz od pewnego czasu zdawała sobie sprawę, że to mało prawdopodobne. Pozostawali przecież w związku już od ponad pięciu lat.

– Położył się późno jak na siebie – powiedziała Catherine, odnosząc się do Thomasa.

Starła się nie zawrzeć w tonie głosu najmniejszej nutki dezaprobaty, jak zawsze zresztą. Chyba podkochiwała się w panu domu. Mary rozpoznawała to po nagłym rumieńcu, którym Catherine

oblewała się w jego obecności, albo zachwycie dla jego słów, jakby był pastorem. Dziewczyna nadskakiwała Thomasowi, zdawało się niekiedy, że łązi za nim jak dobrze wyszkolony pies.

– Owszem – zgodziła się Mary, zerkając na garnek nad ogniem.

Przez chwilę rozkoszowała się płaczącym trelem żalobnym gołębiaków długosternych, które gnieździły się na dębie dokładnie naprzeciw kuchennego okna. Ciągłe gruchały. Usłyszała, że Thomas wstaje. Natychmiast przestała zwracać uwagę na ptaki i skupiła się na odgłosach na piętrze. Czasem po pierwszych wydawanych przezeń dźwiękach potrafiła rozpoznać, w jakim jej mąż budzi się nastroju. Jeśli rozpoczynał dzień od przeciągania się z zadowoleniem oraz ziewnięcia, oznaczało to dobry humor co najmniej do obiadu. Gdy jednak płuca miał zajęte i zaczynał kasłać bądź splotać, stawał się drażliwy – wtedy pozostawała nadzieja, że wróci z młyna dopiero późnym popołudniem, na kolację.

Usłyszała tupot jego nóg na drewnianej podłodze, a potem coś podobnego do mrużenia wielkiego kocura: niskie dudnienie, jakie Thomas Deerfield wydawał z siebie na dzień dobry, wstając skacowany, lecz zadowolony ze świata.

Chciała znaleźć potwierdzenie tej nadziei w twarzy Catherine, upewnić się, że dziewczyna też tak to odbiera, ale zdała sobie sprawę, że przecież w obecności służącej Thomas zawsze udaje łagodnego patriarchę. Być może wiedziała, iż pan bywa porywczy, acz zapewne w jej mniemaniu nigdy nadmiernie, a wszelkie środki dyscyplinujące żonę, jakie przy niej stosował, bez wątpienia uznawała za mieszczące się w granicach rozsądku. Poza tym Mary odmawiała przyjęcia do wiadomości, że spokój jej domu jest rzeczą tak bardzo kruchą, dlatego podeszła do półki, zdjęła z niej psalterz, po czym odszukała psalmy, którymi Thomas lubił zaczynać ich wspólny dzień.

Wybrała jedną modlitwę, zaznaczyła stronę i położyła tomik obok deski do podawania jedzenia, które spożyje z mężem.

\* \* \*

Thomas zszedł na dół całkowicie ubrany, z wyjątkiem butów i peleryny. Już miała się odezwać – zapytać, jak spał, czy dobrze się czuje, cokolwiek, byleby udowodnić, że w obecności Catherine zamierza okazywać mu wyłącznie szacunek – gdy on nagle się zbliżył, jedną rękę położył jej na talii, a palcem wskazującym drugiej dotknął warg żony.

– Proszę, nic nie mów. Byłem wczoraj w paskudnym nastroju i wyładowałem się na tobie. Bardzo, bardzo przepraszam. Zamierzam błagać mojego Pana o wybaczenie. Czy ty też mi wybaczysz?

Potem pocałował ją w czoło – mimo wąsów i brody poczuła z zaskoczeniem suchość jego ust po ostatniej nocy. Zaczęła mówić, lecz on tylko pokręcił głową i zwrócił się do dziewczyny przy kominku:

– Och, dzień dobry, Catherine. Mądrze wczoraj uczyniłaś, odwiedzając brata. Bo ja zachowałem się przy tej wspaniałej kobiecie jak monstrum. Potwór.

– Wątpię, żeby to było możliwe, panie Deerfield.

– A jednak, wierz mi. Możliwe jest i było. Ciężko pracowałem, potem zbyt wiele wypilem i zanim się obejrzałem, dopadły mnie demony. Opowiedz jednak o bracie. Jakże się ma?

– Nieco lepiej chyba. Zjadł trochę.

Mary poczuła, że mąż łagodzi nacisk na jej talię. Podniosła oczy i stwierdziła, że się do niej uśmiecha. Wciąż był taki przystojny, kiedy to robił. Mrugnął, a potem całą uwagę skupił na Catherine.

– Kiedy doktor Pickering zajrzał do niego ostatnio?

– W piątek, jak sądzę.

– Upuścił mu krwi?

– Tak, proszę pana. I postawił bańki.

– Może jutro ponownie oczyści mu krew. William to silny chłopak.

– Zapewne.

Mąż zerknął na psałterz.

– Och, Mary, co za świetny wybór. Wspaniale! Zaczynamy – polecił.

Catherine postawiła garnek z kaszą kukurydzianą bezpośrednio na stole, a następnie usiadła razem z nimi. Thomas czytał psalm i głośno się modlił. Kiedy skończył, pociągnął długi łyk piwa i zaczął jeść.

\* \* \*

W dawnych czasach w Plymouth, na południu, separatystów wzywał do kościoła bęben. Wyznawcy gromadzili się przed domem komandora i maszerowali do świątyni trójkami, za doboszem. Zwyczaj ten zarzucono prawie dwadzieścia pięć lat temu – gdy minęły lata trzydzieste siedemnastego wieku. Mary nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego należało prowadzić ludzi do kościoła w szyku bojowym.

Tutaj życie było o wiele bardziej cywilizowane. Na wieży Pierwszego Kościoła mieli dzwon, wierni nie gromadzili się na nabożeństwa jak na wojnę. Przybywali rodzinami, jak dawniej

w Anglii. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz Mary musiała się rozstawać z Thomasem w drzwiach świątyni – on siadał razem z innymi mężczyznami, ona z kobietami i małymi dziećmi. Tego ranka zajęła miejsce w trzeciej ławce po lewej stronie obok swej matki, jej służących Abigail Gathers i Hanny Dow, a także Catherine.

Zaraz po tym, jak wilebny John Norton rozpoczął modlitwę, zdała sobie sprawę, że tej niedzieli nie należy się spodziewać ani wybuchów wdzięczności wobec Pana, ani pokutniczego biadolenia. Kazanie brzmiało bardziej uczenie, ludzie odpowiednio reagowali. Ona sama miała trudności z koncentracją. Siedziała sztywno wyprostowana, starając się skupić, ale odpływała myślami. Nagle stwierdziła, że przygląda się dziewczynkom i chłopcom. Obserwowała rodziny. Były rozdzielone alejką między ławkami, owszem, lecz ona potrafiła połączyć poszczególnych mężczyzn z ich żonami i dziećmi. Bóg z pewnością tak właśnie patrzył na zgromadzenie swych wiernych. Czasem odwracała się i omiatała wzrokiem wierzące się maluchy, matki dyscyplinujące je szeptem albo uszczypnięciem. Zauważyła miękkie loki wystające spod czepka jednej z dziewcząt.

Musiała sobie przypomnieć, że mając lat dwadzieścia cztery, sama jest młodą dziewczyną, choć zarazem babcią i żoną człowieka, którego broda sprawia wrażenie oszronionej. Córka Thomasa, Peregrine, i jej mąż dochowali się dwojga potomstwa. Ich starsza pociecha była już na tyle duża, że siedziała sama na koniu, jeśli prowadziło się zwierzę powoli.

Po odczytaniu fragmentów Pisma i odśpiewaniu psalmów, w trakcie kazania Mary gapiła się jak urzeczona na te męzkatki, wciąż zdrowe i młode, które nadal mogły rodzić dzieci. A także na kobiety w jej wieku tulące w ramionach oseski albo niemowlęta, na przykład na Ruth Sewall. Latem Ruth wydała na świat Richarda – zbyt poważne imię, pomyślała Mary, jak na tak małą istotę. Mary była obecna przy narodzinach. Długo nie mogła też oderwać oczu od Peregrine i dwojga jej pociech. Poczwała, jak matka bierze ją za rękę i ściska, ruchem głowy nakazując skupienie się na słowach pastora.

W miarę upływu czasu stawało się jasne, że to jedna z owych niedziel, podczas których Mary będzie musiała koncentrować się na prorocत्वach i czytaniach, i to ze wszystkich sił. Na wszelki wypadek sprawdziła ułożenie kornetu, czy nadal maskuje siniec, zrobiła głęboki wdech i wbiła wzrok w wilebnego, człowieka o pociągłej twarzy ze szpicbródką. Słuchała o osobach, które spodziewają się zbawienia na podstawie uczynków, o grzesznych ludziach, którzy na zewnątrz wydają się sprawiedliwi, powściągliwi i pełni cnót, lecz łudzą samych siebie, myśląc, że kilkoma dobrymi słowami zadośćuczynią swoim grzechom

W przerwie między nabożeństwami przyszła do nich na obiad Peregrine z mężem i dziećmi. Mąż, młody cieśla, odznaczał się bliznami na twarzy i cerą wskazującymi na ostrą batalię z ospą, jaką musiał stoczyć w dzieciństwie. Nazywał się Jonathan Cooke i choć był zięciem Mary, miał zaledwie pół roku więcej od niej. Lubiła go, serdecznie śmiała się z jego żartów (Peregrine zresztą też) o dzikich indykach, homarach oraz innych śmiesznie wyglądających zwierzętach, stanowiących ich podstawowe pożywienie. Jonathan, mężczyzna przystojny o włosach koloru kukurydzy (jak moje, pomyślała Mary, gdy ich sobie przedstawiono), był wysoki i szczupły. Latem widziała, jak buduje dom. Kiedy pracował bez koszuli, zobaczyła brązowe od słońca ramiona, a na nich spłowiałe, niemal białe włoski.

Jonathan mieszkał w tej kolonii prawie tak długo jak Mary, czyli już dziewięć lat, wciąż jednak pozwalał sobie na sprośne żarty, jakby przebywał w Anglii. Mary nie wiedziała, czy Peregrine wyłapywała owe sporadyczne dwuznaczności, gdy zaczął się do niej zalecać przed laty. Teraz jednak, jako kobieta zamężna, musiała je chyba rozumieć. Thomas się obawiał, że Jonathan żyje ponad stan, zgadzał się jednak, że to człowiek ambitny, że któregoś dnia będzie chciał otworzyć własne przedsiębiorstwo, mieć pracujących u siebie stolarzy. Biorąc pod uwagę, że miasto rozwijało się bardzo szybko, rozprzestrzeniało we wszystkich kierunkach prócz morza, wydawało się to całkiem realne.

W wygłoszonej przed posiłkiem modlitwie Thomas wspomniał o Williamie, bracie Catherine. Mary patrzyła, jak służka w milczeniu kiwa głową. Ani Catherine, ani William nie należeli do ich kościoła, jeszcze nie przystąpili do kongregacji. Dziewczyna czerpała radość z nabożeństw, lecz plotkowano, że William chodził tam tylko wtedy, gdy był zdrow, z obowiązku. Poczowała niespodziewaną dumę z niezaprzeczalnego daru elokwencji swego męża, jak i z jego wielkoduszności. Dziś widziała przecież mężczyzn, którzy znali Williama, jednak nie pamiętali o modlitewnym westchnieniu w jego intencji.

– Dziękuję panu – powiedziała Catherine, kiedy Thomas skończył, i spojrzała nań z wdzięcznością.

– Nie ma za co. Naprawdę.

– Nie, proszę pana. To było...

– Nie jestem lekarzem. To wszystko, co mogę uczynić dla brata mego, ale czynię to chętnie. Niech Pan się nad nim zlituje.

– Amen – rzucił Jonathan i zaczął grzebać łyżką w łososiu, którego podano wcześniej jemu i Peregrine.

Podzielił rybę na mniejsze kawałki dla dzieci, a potem zwrócił się do Mary:

– Skąd ten siniec? Musiało chyba boleć.

– No tak – odezwała się Peregrine.

Wyciągnęła rękę i samymi koniuszkami palców wcisnęła bawełnianą tkaninę bardziej za ucho Mary. Ta mogłaby ją powstrzymać – odepchnąć rękę pasierbicy i zbagatelizować, zupełnie zbagatelizować sprawę – ale paraliżowała ją świadomość, że kornet się poluzował. Umysł kręcił się już tylko wokół jednego, modlitwy: „Proszę, Panie Boże, żeby to się stało, kiedy pomagałam Catherine przygotowywać kolację przy stole, a nie wcześniej, nie w kościele! Proszę Cię, Boże”...

– Spadłaś? – rzuciła pasierbica i popatrzyła na schody prowadzące do izb na piętrze.

– Nie – odrzekła Mary, żałując, że sama tego nie wymyśliła. Nie mogła już się tłumaczyć zderzeniem z wieszakiem. Drugi raz nie wchodziło to w grę. Nikt by nie uwierzył. – To...

– Kociołek – odezwał się Thomas, wskazując na masywną, żelazną patelnię na nóżkach. – Całą winę biorę na siebie. Wczoraj wieczorem Catherine miała wolne, poszła do brata, więc nieudolnie próbowałem pomóc Mary z kolacją. Uderzyłem ją jedną z nóżek, kiedy go podnosiłem. A chciałem się na coś przydać.

– Aż dziw, że nie masz poparzeń – skomentował Jonathan. W jego głosie brzmiały niedowierzenie i ulga.

– Nie był gorący – uspokoiła go Mary, nie do końca kłamiąc, ponieważ wczoraj faktycznie był zimny. – Zamierzaliśmy zjeść trochę pasty grochowej z chlebem – podjęła. – Dlatego nawet nie rozpałałam ognia.

– Ach.

– Nadal boli? – zapytał Thomas. – Powiedz, że nie, proszę.

– Och, kompletnie zapomniałam o tym, że mam jakiś siniec – odparła Mary, wzięła męża za rękę i ścisnęła. Potem ponownie, tym razem starannie, zawiązała swój kornet.

\* \* \*

W nocy Thomas wspiął się na nią, aby uprawiać miłość, ale jak zwykle nie doznała niczego, co mogłoby się równać ze sprawianiem przyjemności samej sobie. Gdy skończył i zapadł w drzemkę, starała się zasnąć, zmówiwszy krótką modlitwę o cud: niech jej łono przyjmie nasienie męża, niech pierwsze dziecko pocznie jeszcze przed opadami śniegu. Pozostawała jednak rozdrażniona, wiedziała, że nie zaśnie, jeśli nie dokończy tego, co zaczął Thomas.

Mary nie przejmowała się faktem, że jej mąż spoczywa w objęciach Morfeusza w tym samym łóżku, tuż obok niej – niekiedy pijany, zawsze zmęczony, czasem jedno i drugie. Jej ciało zdolne



było zrezygnować z odpoczynku, byleby znaleźć satysfakcję. Nieszczególnie doskwierało jej i to, że owe doznania – drżące fale rozkoszy, a potem narastający ciężar powiek i chęć odpłynięcia w sen – nigdy nie miały miejsca podczas zbliżeń z mężem, gdy ten jej dosiadał, sapiąc. Nie czuła nawet wstydu, iż to, co robi, jest nieco zboczone, gdyż jej prywatne, skromne odkrycie (nie używała słowa *nawyk*, bo to nie był, nie był, *nie był* żaden nawyk!) stanowiło najprzyjemniejszą rzecz, jakiej oddawała się ostatnio w życiu.

I z całą pewnością nie dlatego Thomas oskarżył ją o bycie dziwką. Nie dlatego ją uderzył. Nie miał zielonego pojęcia, co Mary już wiedziała o sobie i co robiła. Nikt o tym nie miał pojęcia, ani jedna osoba. Nie umiała określić, czy jej odkrycie stanowi skromny podarunek od Boga, rekompensatę za brak dziecka, czy może to występki z podszeptu Diabła, który chciał uniemożliwić poczęcie.

Czasem zastanawiała się tylko, czy nie jest to znak potępienia. Myśl ta pojawiała się w głowie Mary w soboty, gdy gotowała wodę do prania ubrań. Przemykała jej przez głowę, kiedy zajmowała się sałatą i ziołami w ogrodzie albo wlewała gorący wosk bądź łój do mosiężnych foremek, aby wytworzyć świece. Zjawiała się, niepokojąca i nieproszona, ilekroć cerowała płaszcz, spodnie lub koszulę. Znaki były przecież obecne wszędzie, tylko należało potrafić je odczytać.

A jednak w niektóre noce, długo po zachodzie słońca, nawet ów lęk nie wystarczał, aby zmusić Mary do utrzymania rąk między poduszką a szlafmycą. Gdy poczuła pragnienie, umiała przekonać samą siebie, że nie pójdzie do Piekła, ponieważ pod każdym innym względem prowadzi godziwe życie. Przykładne życie. I choć rozumiała, że same uczynki nie zapewnią nikomu zbawienia, to przecież fakt, iż tak rozpaczliwie pragnęła postępować dobrze, przemawiał na jej korzyść.

Z dłońmi między udami rozmyślała o pewnym chłopaku z Anglii. Wyjechał do Cambridge i został architektem. Być może ojciec pozwoliłby jej wyjść za niego za męża, gdyby rodzina nie wybrała się w tę długą podróż do Bostonu. Czyżby Diabeł wkładał jej do głowy zakazane fantazje? Nie, uznała, że nie, gdyż tamten młodzieniec miał twarz absolutnie anielską, więc Mary nie mogła uwierzyć, iż Zły śmiałby wykorzystać tak czyste oblicze do swoich pokus.

Gdy kończyła, łóżko zaskrzypiało: linki pod materacem przyciągnęły ku sobie drewniane łączniki. Miała nadzieję, że Catherine na dole już śpi, a jeśli nie, że weźmie to za odgłos wydawany przez wiercącego się pracodawcę.

Mam mnóstwo sekretów, pomyślała Mary i wyobraziła sobie, jak trzyma się desek z wraku jakiegoś statku pośród niekończącej się połaci wody.

Kilka nocy temu fantazjowała o swym zięciu, Jonathanie Cooke'u. Kiedy patrzyła na tego mężczyznę oczyma duszy, kiedy słyszała jego głos, widziała jego źrenice i wargi, starała się owe

obrazy odpychać, ponieważ świadomość, że robiąc to, co robi, myśli głównie o nim, budziła w niej obrzydzenie do samej siebie, obrzydzenie prawie nieznośne. Lecz tylko prawie. Co musiał sądzić o niej Bóg, gdy rozmyślała o Jonathanie? Jak zniesmaczona byłaby tym Peregrine, jej pasierbica?

Mary przywołała w pamięci chwilę, w której trzymała na kolanach jedną z córeczek tych dwojga. Kiedy oddawała dziecko w wyciągnięte ramiona ojca, otarli się policzkami, a ich wargi nieomal się zetknęły. Czystym przypadkiem. Z całą pewnością. Podobnie jak wówczas, gdy włożyła świeżo sprowadzoną z Londynu suknię. Jonathan rzucił jej komplement, nic ponad zwykły wyraz uprzejmości. Szli razem ulicą po nabożeństwie, a jego palce musnęły jej lędźwie. Odwróciła się odruchowo. Spojrzeli sobie w oczy i przez ułamek sekundy zdawało jej się, że on próbuje coś powiedzieć. Lecz nagle powędrował wzrokiem gdzieś indziej i zaczął opowiadać Thomasowi o domu, który właśnie buduje.

Wytarła palce w koszulę nocną. Gdzieś w zakamarkach pamięci kołatał jej się fragment wiersza Anne Bradstreet, skryty w mroku, niejasny. Był to wiersz miłosny, jaki starsza sąsiadka Mary napisała dla swego męża Simona, człowieka, który przez pewien czas pełnił funkcję ich gubernatora. Mary wiedziała, że opublikowanie go drukiem zawstydziło Anne. Poetka nie miała pojęcia, że jej brat zamierza wydać tomik wierszy, które zabrał ze sobą do Anglii. Wyjechał w 1650 roku. Kiedy powrócił do kolonii rok później, przywiózł ze sobą oprawne w skórę woluminy.

Utwór opowiadał o tęsknocie Anne za Simonem, gdy ten dość często podróżował w interesach. Mary ze smutkiem skonstatowała, że ona nigdy nie tęskniła za Thomasem, jeśli mąż musiał się dokądś udać. Zmartwiło ją to. Przecież leżał tuż obok, w tym samym łóżku, śpiąc pod pierzyną, czymś, co w tym dziwnym, ubogim świecie stanowiło luksus. Nie należał do mężczyzn, których wizerunki wypełniały jej myśli, kiedy sięgała między nogi i syciła swe hipnotyczne szaleństwo duszy.

„To pozbawiona wstydu, bezbożna i lubieżna kobieta! Grzechami swymi ściągnie gniew Pana nie tylko na siebie, lecz także na miasto, w którym mieszka!”

*Zeznanie Beth Howland, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 3

W poniedziałkowy ranek Mary i Catherine, skończywszy zbierać w ogrodzie ostatnie dynie i kabaczki, wybrały się razem do domu Petera i Beth Howlandów, aby odwiedzić Williama, brata służebnej. Przed budynkiem grupka dzieci, chłopców i dziewczynek, bawiła się w rzucanie szklanych kulek. Mary zauważyła, że mała Sara Howland ma na swym słomkowym kapeluszu najwspanialszą ze wszystkich, żółtą jedwabną wstążkę.

Choć dochodziło południe, żaluzje w oknach pozostawały zamknięte, a wewnątrz domu Howlandów spowijał mrok. Mary natychmiast poczuła zapach Williama, przebijający się ponad woń szpinaku, porzeczek i porów gotowanych przez Beth.

Lekarz jeszcze nie przybył. Catherine skierowała się do pokoiku na tyłach, gdzie jej brat leżał samotnie w gorączce, a Mary została w holu z panią domu i pokazywała kobiecie, co przyniosły.

– Mam żywokost na jego przepukliny i rany – zaczęła. – I koper z naszego ogrodu.

– Koper?

– Czasem pomaga na mdłości. A także miętę, na lepszy apetyt.

– Żeby skłonić go do jedzenia, trzeba czegoś więcej niż mięty. I więcej niż kopru, aby nie wymiotował – zripostowała Beth.

Była wysoka i tęga, starsza od Mary co najmniej o dekadę. Miała troje dzieci i dokładnie tyle samo straciła. Czarne oczy nad ciemnymi workami patrzyły świdrująco.

– No cóż, staramy się, jak możemy – powiedziała Mary.

– Mary, te twoje ziółka...

– Moje ziółka pomogły innym w wielu chorobach.

– Twoja nauczycielka jest wiedźmą.

– Constance Winston? Nie jest ani moją nauczycielką, ani wiedźmą. *Nie jest nią.* Jest... – Mary usłyszała, jak jej głos gaśnie.

Przed dwoma laty wybrała się na przesmyk zwany Boston Neck, do bocznej uliczki w pobliżu Wisielczego Wzgórza, słyszała bowiem pogłoski, że pewna tamtejsza leciwa mieszkanka, niejaka Constance Winston, oferuje leki na bezpłodność. Małżeństwo z Thomasem trwało już prawie trzy lata, ale miesiączka u Mary ani razu się nie spóźniła. Constance zasugerowała picie naparu z pokrzywy maczanej w herbacie, a gdy to nie poskutkowało, olejek z mandragory. Niestety, też nie

podzielał. Wywoływane miksturą z mandragory torsje dały Mary na krótko nadzieję, że zaszła w ciążę, lecz gdy pojawiła się menstruacja, jej zawód był tym większy. Mimo wszystko odwiedziła ową kobietę jeszcze sześć albo siedem razy i dużo się nauczyła o ziołach. Ponad rok nie widziała się z Constance i teraz poczuła wyrzut sumienia, że od jej ostatniej wizyty minęło aż tyle czasu. Bo przecież Mary wcale nie miała nadmiaru zajęć. Chodziło raczej o to, że ekscentryczność tamtej zaczynała się przeradzać w gderliwość – a przynajmniej tak tłumaczyła to sobie Mary. W momentach największej szczerości, siedząc samotnie w sypialni z księgą zapisków, dochodziła do wniosku, że zbiły ją z tropu komentarze dotyczące Constance oraz jej przyjaźni z powieszoną czarownicą Ann Hibbens. Zaczynały krążyć o tym plotki i Mary nie chciała ryzykować powiązania z nimi własnej osoby – byłoby to ze szkodą dla jej reputacji na tym świecie oraz dla duszy w przyszłym.

– Kimże więc jest? – zaczęła naciskać Beth. – Starą głupią babą?

– Nie, także nie. Ale nie zalicza się do moich nauczycieli ani przyjaciół.

Beth machnęła lekceważąco ręką.

– Świetnie. Nic mnie to nie obchodzi – oznajmiła. – Rób, co uważasz, byleby stan chłopaka się nie pogorszył.

– Budzi się czasem czy tylko przysypia? – spytała Mary.

– Niekiedy mamrocze słowo albo dwa, ale nie sądzę, żeby był szczególnie świadomy od wczorajszego ranka. Wtedy miał chyba ostatni przebłysk.

Mary trawiła tę informację. Wyglądało na to, że koperek i żywokost nie mogą już temu młodzieńcowi pomóc.

– Do końca kontraktu zostało mu ponad pięć lat – podjęła Beth, kręcąc głową. – A od dawna choruje.

– To będzie wielka strata – zgodziła się Mary.

– Dla naszych dzieci jest niczym starszy brat. Szczególnie dla chłopców. Są bardzo, bardzo smutni, wszyscy.

– Ty z pewnością również.

– Owszem. Potrzebowałam jego pomocy. Peter potrzebuje jego pomocy. Był...

– Nie „był”, jeszcze nie. Proszę.

Gospodyni westchnęła.

– Masz rację: to dobry służący. Bogobojny człowiek, acz chorowity. Rakowina objęła już ramiona, całe ciało mu płonie. Czoło ma jak patelnia. Można by na nim smażyć.

– Wydajesz się rozgniewana. I...

– *Jestem* rozgniewana! – warknęła Beth. Mary poczuła wdzięczność, że tamta powiedziała to dość cicho i Catherine raczej tego nie usłyszała. – Wydamy na Williama mnóstwo pieniędzy, a stracimy tak potrzebnego pomocnika!

– Przykro mi.

– Catherine jest tej samej krwi. Twoja rodzina wkrótce się o tym przekona.

– Beth!

– Nie życzę wam źle.

– A jednak to zabrzmiało...

– Nic podobnego. Mówię tylko prawdę.

– Czasem mówienie...

– To oddawanie głosu myślom. Nic ponadto. Słowa to nie mikstury.

Nie mikstury, pomyślała Mary, ale mogą być zaklęciami. Przemilczała to jednak. Wiedziała, że Beth Howland też to rozumie.

– Przed chwilą widziałam Sarę. – Zmieniła temat, wspominając o sześcioletniej córce rozmówczyni. Nie chciała się kłócić. – Jaką ma wspaniałą wstążeczkę na kapeluszu! Bawiła się z innymi dziećmi, ale nie z braćmi. Gdzie są chłopcy?

– Gdzieś ganiają. Może poszli do portu patrzeć na statki. Nie byłabym zaskoczona, gdyby się okazało, że Edward chciał poobserwować ojca. Ten mały też zostanie bednarzem, daję słowo. Urodził się ze świdrem w jednym ręku i heblem w drugim.

Catherine wyłoniła się z pokoju, w którym leżał jej brat. Wyraz twarzy miała opanowany. Spojrzawszy na Beth, spytała:

– Czy mogłabym dostać jeszcze trochę płótna? Żeby wytrzeć Williamowi czoło?

– Tak, oczywiście – odrzekła gospodyni z odrobiną irytacji w głosie. – Zaraz ci dam.

Poprowadziła służącą do komody, a Mary stanęła we frontowych drzwiach i wyjrzała na zewnątrz, na córkę Beth. Dziewczynka była taka maleńka. Kiedy się śmiała, widać było szczyrby między mleczakami oraz wychodzące zęby stałe. Ma uroczy, zaraźliwy śmiech, pomyślała Mary. Raz zachichocze i chichoczą wszystkie pozostałe dzieci.

Jeśli Bóg da mi kiedyś własne maleństwo, modliła się, niech to będzie dziewczynka o równie zaraźliwym śmiechu, którą mogłabym ubierać w sukienki i której mogłabym zakładać słomkowe kapelusze z żółtymi jedwabnymi wstążkami.

Usłyszała za plecami kroki Beth i Catherine. Wniosły płótno i miskę z zimną wodą do pokoju chorego. Mary odwróciła się, aby dołączyć do dwóch kobiet. Opatrzyła rany Williama żywokostem, położyła na jego spuchniętym języku koperek, poczytała mu fragmenty almanachu. Gdyby nie

drżenie ciała, okazjonalny ruch prześcieradła na piersiach, można by pomyśleć, że Mary czyta zwłokom.

\* \* \*

Tego ranka Catherine nie wróciła do domu razem z Mary. Chciała, ale pracodawczyni zdawała sobie sprawę, że odstępowanie od brata w jego słabości i dolegliwościach sprawia dziewczynie ból. Poza tym Beth musiała się zajmować własną rodziną, a nie umierającym służącym, dlatego Mary zasugerowała Catherine pozostanie na miejscu. Zapewniła, że sama przygotuje kolację i jutrzejszy obiad, i że dadzą sobie z Thomasem radę.

Słońce wciąż stało wysoko, gdy mąż zjawił się w domu z kaftanem pokrytym warstwą białego pyłu z młyna. Poruszał się z charakterystyczną ostrożnością, do której zawsze się uciekał, kiedy pragnął ukryć fakt nadmiernego spożycia alkoholu. Chód ten przypominał Mary ruchy marionetek, które widywała w dzieciństwie, w Londynie. Ścisnęło ją w żołądku, nieprzyjemna fala w brzuchu kazała jej się zatrzymać z ciężkim garnkiem w rękach. To cud, że zdołał w tym stanie przebyć całą drogę z North End bez upadku z konia, a przecież musiał pokonać Mill Creek oraz most zwodzony na Hanover Street. Powtarzała sobie, że kiedy zjawiał się tak pijany na kolację, najczęściej nie działo się nic nieprzyjemnego. Pewnie wypił dodatkową pintę albo dwie z któryś z farmerów, żeby dobić targu. A może poranek ciągnął się w nieskończoność i zaczął popijać z własnymi pracownikami bądź kolegami prowadzącymi sąsiedni młyn.

Widząc, że Mary jest sama, mąż zapytał o Catherine. Odparła, że służąca została u Howlandów, z bratem. Thomas kiwnął głową, po czym usiadł przy stole w pobliżu kominka.

– Co nam zostawiła do jedzenia? – rzucił.

– Z ogrodu poszłyśmy prosto do Howlandów, dlatego nic nie przygotowała. Ale zrobiłam dobrą, ciepłą sałatkę z ziołami zerwanymi dziś rano, mamy też chleb kupiony u Obadiaha.

– Żadnego mięsa? Ani ryby?

– Zabrakło czasu. Gdybyś jednak chciał...

– Mężczyzna potrzebuje mięsa, Mary! Czyżbyś o tym zapomniała?

– Thomasie, proszę...

– Zadałem ci pytanie. – Wymawiał słowa starannie, świadomie, ale nie próbował już panować nad frustracją. Zmrużył oczy. – Czyżbyś zapomniała, że mężczyźni niezbędny jest solidny pokarm, aby wykonywał pracę na rzecz Pana?

– Oczywiście, że nie zapomniałam. Pomyślałam tylko...

– Pomyślałaś? Właśnie na tym polega twój problem. Zawsze coś myślisz. A nie robisz. Twój umysł jest jak... co? Jest jak... twaróg. Bardziej miękki niż u większości kobiet.

– Nie masz podstaw tak mówić. To niepotrzebne.

Pokręcił głową. Wyraz oczu, półprzymkniętych od alkoholu i złości, był karcący. Westchnął.

– Może dlatego nie udaje mi się ciebie zapłodnić. Pan Bóg wie, że lepiej nie wykorzystywać kobiety, która ma umysł zrobiony z sera. Z nabiału.

– A czego byś chciał? Co miałam zrobić? Nie pozwolić Catherine odwiedzić brata?

Chyba się nad tym zastanawiał, bo lekko poczerwieniał na twarzy. Potem wziął nóż ze stołu i trzymał przed sobą, jakby to było jakieś osobliwe zwierzę.

– Chciałbym, żebyś odstawiła ten garnek. Tego bym chciał. Siadaj! – zakomenderował.

Nie potrafiła nic odczytać z tonu jego głosu. Czaiła się w nim groźba, albo tak się jej zdawało, ponieważ trzymał nóż? Odłożyła garnek i usiadła po drugiej stronie stołu, na krześle zajmowanym zwykle przez Catherine.

– Nie tam – powiedział Thomas. – Obok męża.

Posłuchała, nie odrywając oczu od noża.

Przeciągnął kciukiem po klindze.

– Nie jest tak ostry, jak lubię. Nie tak ostry, jak powinien być – ciągnął. – Najwyraźniej mój los skazuje mnie na obcowanie z samą tępotą.

– Thomasie...

– Powściągnij zrzędlivy język! Daruj sobie! – Rzucił nóż na drewniany blat. – Nawet juczne zwierzęta zasługują na wytchnienie. Zjem twoją sałatę i chleb. Ale jutro oczekuję kolacji dla mężczyzny.

Nie wiedziała, dokąd to wszystko doprowadzi, prawie nie oddychała. Zrozumiawszy, że przynajmniej w tej chwili Thomas nie zamierza jej uderzyć, Mary wstała i wyciągnęła żelazny garnek. Starła się nie sprawiać wrażenia, że się boi, więc delikatnie umieściła go na podstawce na stole. Potem nabrała gotowanych warzyw i ułożyła je na drewnianej desce. Thomas obserwował ją w skupieniu. Otworzyła butelkę piwa, po czym napełniła jego cynowy kufel do połowy w nadziei, że mimo intensywnego spojrzenia tego nie zauważy. Wreszcie usiadła obok i czekała, aż pobłogosławi posiłek.

Odezwał się, owszem, ale nie była to modlitwa.

– Dlaczego nie mosiądz? – zapytał. – Dlaczego podajesz mi kolację na zwykłej desce do krojenia, jakbym był wieprzem?



Zdała sobie sprawę, że żar jego gniewu wcale nie zgasł, przesłoniła go tylko chmura. On jeszcze nie skończył.

– Ależ nie, to nie tak – próbowała się wytłumaczyć. – Czasem używamy mosiądzu, czasem nie. Przecież wiesz. Spieszyłam się, więc po powrocie złapałam to, co było pod ręką.

– Jeść śniadanie z drewnianej deski to jedna rzecz. Ale czym innym jest kolacja. Przynajmniej moja kolacja. Jestem właścicielem młyna. Może zapomniałaś, co? Czy ten nabiał za twoimi oczkami tak pochłaniało gotowanie cholernej marchewki, że nie wiesz, jaki twój mąż ma zawód? Myślę, że nie wiesz, Mary. Zgadza się?

– Przepraszam. Bardzo przepraszam, Thomasie. Cóż więcej mogłabym powiedzieć?

– Rzeczywiście, szkoda gadać. Bo jeśli zamierzasz całymi dniami zajmować się wszystkimi z wyjątkiem...

Tego było już za wiele. Przecież ona tylko towarzyszyła służącej podczas odwiedzin u umierającego brata w domu jejmości Howland! Mary wstała sztywno, wyprostowała się na całą wysokość i patrząc na męża z góry, rzuciła:

– Jesteś w sztok pijany, przemawiają przez ciebie wyłącznie cydr i piwo. Jeśli chcesz jeść z mosiądzu, to ci go przyniosę.

Zanim jednak zdążyła wyjąć z kredensu w salonie dwa talerze, Thomas złapał ją za fartuch i unieruchomił.

– Proszę bardzo, wolna wola – mruknął złowrogo, wstając z krzesła. – Ale nie musisz mi wyświadczać żadnych przysług.

Mary pomyślała, że zaraz ją uderzy, i zakryła rękami twarz.

– Skoro moja żona się upiera – dodał – żeby całymi dniami zajmować się wszystkimi, tylko nie własnym mężem, będę jadał w gospodzie, gdzie nikt nie poda mi sałatki na kolację ani nie naleje naparstka piwa, jakby to było złoto. Pół kufła? Marnie. Nader marnie. Żona nie powinna tak traktować męża.

Puścił fartuch, a ona oderwała palce od twarzy. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że Thomas się uśmiecha – lecz uśmiechem złym, zimnym i okrutnym.

– Jesteś jak dziecko – oznajmił – które wie, że źle się zachowało.

Potrząsnął głową, a ona pomyślała, że naprawdę ją oszczędzi – przechodziło mu, burza mijała. Lecz on nagle uniósł ją za ramiona – czasem zapominała, jaki jest silny – po czym cisnął na boczną ścianę kominka. Zasłoniła twarz dłońmi, ale palce, łokcie i jedno kolano zderzyły się boleśnie z cegłami. Z podłogi podniosła wzrok na męża. Ten złapał deskę z jedzeniem i zrzucił ją na Mary. Sos do sałatki wciąż był ciepły, na szczęście nie gorący. Westchnął i z niesmakiem pokręcił głową.

– Oto boskie dzieło: Mary Deerfield i jej kolacja – zakpił. – Cóż, w końcu Pan stworzył też węża i osła. Dlaczego nie miałyby powołać do życia kobiety z nabiąłem zamiast mózgu?

Dopiero teraz zauważył mączny pył na swoich spodniach i rękawach. Strzepnął go natychmiast, a potem wyszedł z domu bez słowa.

\* \* \*

Czy inni mężczyźni traktowali swoje żony tak jak Thomas traktował ją? Wiedziała, że nie. Nie potrafiła ustalić, czy postępuje tak ze względu na skłonność do popijania w gospodach (a także w domu), czy może istnieje ku temu jakiś poważniejszy powód. Nie cierpiał jej, ponieważ była bezpłodna? Czy naprawdę miał ją za tępą, a stosowanie przemocy traktował jako środek wychowawczy? Czy może problem tkwił w nim albo – co gorsza – w niej?

Wydawało się przecież, że swej pierwszej żony nie bił nigdy. Jeśli bił, to Peregrine słowem o tym nie wspomniała. A z pewnością nie żywiła wobec ojca żadnych negatywnych uczuć.

Znużona Mary, sprzątając bałagan, a potem myjąc się, rozmyślała z żalem, że jej małżeństwo skazane jest na porażkę.

„Uważamy, że mąż powinien zarządzać żoną łagodnie i delikatnie, a gdy się tak nie dzieje, dochodzi do uchybień”.

*Fragment zeznania wielbnego Johna Nortona, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 4

Matka Mary Deerfield nie ubierała się tak samo jak w Anglii – do Nowego Świata przywiozła tylko jedną ze swych atłasowych sukni. Uwielbiała jednak przywdziewać rozmaite odcienie fioletu, zieleni i złota, a latem oraz na początku jesieni chowała sznurówki bucików pod wielkimi rozetami wstążek. Była piękną kobietą, podobnie jak Mary, i choć w tym roku włosy jej zbieleły nieco bardziej niż w zeszłym, nadal nosiła szatynową czuprynę, lśniąca i gęsta. Mimo że była niskiego wzrostu, budziła powszechny respekt. Zdaniem Mary jedynym rozczarowaniem matki pozostawał fakt, że spośród wszystkich jej dzieci tylko córka przybyła z nią do Bostonu. Charles i Giles, już dorośli, doglądali interesów w Anglii, uznawszy, że nie należy przesadzać w inne miejsce rozkwitających rodzin: młodych żon i nieletniego potomstwa. Giles zarządzał sporym majątkiem, hodował bydło, owce i świnię. I tylko Mary nie miała wyboru. Liczyła wówczas zaledwie szesnaście lat, więc nie ulegało wątpliwości, że młodzi mężczyźni uderzą wkrótce w konkury – i to właściwi mężczyźni. Ojciec jednak poczuł w Nowym Świecie powołanie do niesienia wiary, a także dostrzegł możliwość powiększenia już i tak imponującego imperium handlowego (Mary podejrzewała, że to drugie więcej dla niego znaczyło, nigdy jednak nie wypowiedziałyby swych myśli na głos; bała się ponadto, że mogą one świadczyć o stanie jej duszy).

Z perspektywy czasu nie miała wątpliwości, że wszyscy wspomniani konkurenci byliby znacznie bardziej odpowiedni niż ktoś taki jak Thomas, a małżeństwa z nimi – korzystniejsze zarówno dla niej, jak i jej rodziny. Niestety, znów oszczędzono jej możliwości wyboru. Nie miała go zresztą cała rodzina. Owszem, w Bostonie mieszkało więcej mężczyzn niż kobiet, lecz albo nie chodzili oni do kościoła, albo woleli przygody, albo też brakowało im środków i pozycji społecznej, by poślubić córkę Jamesa Burdena.

A teraz, w pełni poranka, w środku tygodnia matka stała w salonie Mary kilka dni po tym, jak Thomas pchnął żonę na kominek. Priscilla trzymała pod pachą niewielką rolkę najwspanialszej koronki, jaką Mary widziała w Nowej Anglii, a w rękach osiem srebrnych widelców, każdy wielkości łyżki. Młoda kobieta z miejsca zrozumiała, że oczekiwany statek jej ojca przybił do portu, a matka za chwilę podaruje jej koronkę, nie miała jednak pojęcia, co z widelcami. Mieli już z Thomasem dwa wielkie, dwuzębne, w tym jeden ze srebra. Ale te małe wersje trójzębnych? Słyszała o takich sztuczkach, że są narzędziem Diabła. Rozważała, czy nie powiedzieć o tym matce, lecz ta – jakby

czytając córce w myślach – położyła je i koronkę barwy kości słoniowej na stole, by Mary i Catherine mogły ją podziwiać.

– Takiego widelca używał sam gubernator Winthrop, moje dziecko.

– Do czego?

Matka uniosła brwi i się uśmiechnęła.

– Może nieczęsto z niego korzystał, ale też się z nim nie krył. Teraz należy do jego syna.

– Tylko po co nam taki przedmiot? Co miałabym z nim robić?

– Tata twierdzi, że zyskują coraz większą popularność w starym kraju.

– Raczej wątpię. Teraz w kraju mają lepsze rzeczy do roboty niż godzenie się na diabelskie pokusy.

– W składzie twojego ojca złożono właśnie niewielki ładunek tych utensyliów. Ludzie będą z nich korzystać, Mary, nawet tutaj.

Mary chciała zebrać widelce i oddać je matce, kiedy nagle Catherine odsunęła koronkę na bok, wybrała jeden i zaczęła nim poruszać, jakby nabierała łyżką gulasz.

– Tak? – spytała.

– Tak sędzę – odparła matka Mary. – Można również nabić nań mięso, żeby je unieruchomić.

– Nie trzeba zatem odkładać noża? Wsuwa się go do drugiej ręki, żeby kroić?

– Chyba tak.

Wobec tej perspektywy matka i Catherine uśmiechnęły się szeroko. Mary natomiast nie mogła uwierzyć, że jej ojciec sprowadza widelce! Tym razem się nie wahała: podniosła te leżące na blacie i wyjęła jeden z dłoni służącej.

– Thomas nie toleruje w tym domu widelców, ja też nie będę – oznajmiła, oddając srebrne sztucce matce.

Lecz tamta tylko się uśmiechnęła, niemalże diabelsko, i odłożyła je do kredensu.

– Jeszcze zmienisz zdanie, gołąbeczko. Gwarantuję ci to. Nie są to żadne przedmioty szatańskie, tylko podarunek od twoich rodziców.

\* \* \*

Po południu Mary miała kilka spraw do załatwienia w mieście. Nie musiała iść tak daleko, aż do nabrzeża zatoki, a jednak tam poszła. Zobaczyła stojący na kotwicy statek, który przywiózł towary dla jej ojca. Stała, wdychając słone powietrze i rozkoszując się chłodną oceaniczną bryzą. Powierzchnię kadłuba pokrywała warstwa glonów, algi przylegały też do belek pomostu. Deski

trzeszczały pod stopami. Mary, niczym mała dziewczynka, pozwoliła sobie na kołysanie się w przód i w tył, jakby to była nowa zabawa.

W końcu podeszła do krawędzi pirsu i wbiła wzrok w wodę. Ojciec opowiadał, że przed zaledwie dwudziestu laty wystarczyło klęknąć w tym miejscu i zarzucić w morze sieć, aby wyciągnąć ją pełną ryb. A gdyby stanąć na plaży i się schylić, jednym zamachem ręki można było wydobyć z piasku małża bądź innego skorupiaka. Dziś jedno i drugie wymagało więcej pracy. Niedużo więcej, z całą pewnością połowy były tu łatwiejsze niż w Anglii, lecz miasto rozrastało się szybko. Ze słonych kanałów tnących plażę zniknęły homary – żeby je teraz złapać, człowiek musiał dość długo brodzić w płytkiej wodzie.

Zobaczyła na falach szalupę i wioślarzy napędzających tę małą jednostkę. Płynęła od dużego szkunera cumującego ćwierć mili dalej. W sąsiednim pirsie rozładowywano kolejny statek. Wraz z paroma małymi chłopcami, którzy się pojawili nie wiadomo skąd, Mary przyglądała się pracującym marynarzom. Byli to młodzi, opaleni mężczyźni. Trwała wprawdzie jesień, wiał wiatr, ale słońce nadal mocno świeciło, a skrzynie i beczki musiały sporo ważyć, widziała więc pot na ich twarzach oraz nagich ramionach. Zdała sobie sprawę, po co tu naprawdę przyszła: by na nich patrzeć, to był rzeczywisty powód tak dalekiej wędrówki. Nie uważała go jednak za grzech, nie widziała w tych mężczyznach znaku pokusy. Doszła do wniosku, że to coś w rodzaju obserwacji ptaków, kolibrów albo jastrzębi, ewentualnie rozkoszowania się różami, które rosną przy kamiennym murku na skraju jej ogródka warzywnego. Młodzieńcy ci – na przykład blondyn o krzaczastych brwiach albo chłopak barczysty jak antałek, z plecami gładkimi, umięśnionymi i bezwłosymi – także zostali stworzeni przez Boga. W oczach Mary jawili się jako manifestacja piękna, które można przez chwilę podziwiać, a potem wrócić do swoich obowiązków. Potrafiła przyznać sama przed sobą, że doświadcza czegoś na podobieństwo żądzy, zarazem uspokajając się, iż nie ma w tym niczego gorszego ani zgniłego.

Gdyby ją spytano, co tutaj robi, odpowiedziałaby, że przyszła szukać ojca albo zmierza do jego nadmorskiego składu. Nie było to zgodne z prawdą, ludzie są jednak niekiedy małostkowi, a niektórzy skłonni do ujrzenia w jej sporadycznych wyprawach czegoś niestosownego.

\* \* \*

Przed powrotem do domu rzeczywiście złożyła ojcu wizytę, na wszelki wypadek. Wątpiła, by ktoś mający znaczenie zarejestrował jej spacer na nabrzeże, ale wolała nie ryzykować plotek.

W magazynie panował tłok większy niż zwykle, ponieważ właśnie opróżniono ładownię okrętową. W powietrzu unosiła się mieszanka egzotycznych zapachów: oczywiście przypraw, lecz także masywnych bel perkalu, książ (zatechłych po podróży) tudzież dywanów, które na morzu zaczęły pleśnieć.

Sam budynek nie był wyższy od dziadkowej stodoły na siano w Anglii – nic tutaj takie nie było, jeszcze nie, nawet nowiuteńki ratusz miejski z trybunałem i oficynami dla sędziów pokoju – lecz prawie równie szeroki i chyba o połowę dłuższy. Ściany wschodnią i zachodnią zdobiły pięciometrowe okna na zawiasach. Za dnia ojciec kazał otwierać również drzwi od strony południowej, przez które wpadały do środka promienie słoneczne, rozświetlając ogromne pojemniki z bronią i szkłem, a także wszelkiego rodzaju żelazne przedmioty: piły, zawiasy, haki, kłódki, ośniki, świdry, dłuta, młotki, ruszty i łopatki kominkowe, kufle na piwo, ostrza do kos, przecinaki...

Praca, którą ojciec Mary wykonywał na rzecz kolonii – oraz ludzie tacy jak on, gdyż nie był jedynym świętym dysponującym odpowiednimi środkami, aby kupować i sprzedawać towary na taką skalę – budziła w niej podziw. W zbiornikach, skrzyniach i beczkach, ustawionych jedne na drugich na wysokość równą wzrostowi dwóch mężczyzn (niby klocki olbrzymiego dziecka, pomyślała), znajdowały się patelnie, kociołki i czajniki, przeznaczone do kuchni nowych imigrantów (a ci przybywali nieustannie), jak również niezbędne farmerom narzędzia. Łańcuchy. Lemiesze. Łopaty. Siekiery, którymi mężczyźni, niestrudzenie i zaborczo, będą rąbać lasy. Wydawało się, że to zadanie nie ma końca, ponieważ puszcza ciągnęła się... wszędzie.

Były też łóżka. Były krzesła tak ozdobne, że nie wykonałby ich żaden stolarz w Massachusetts. Były pistolety o chwytach wykładanych kością słoniową, pistolety wykończone mosiądzem wokół panewek, a także muszkiety, florety i miecze.

Dostrzegła ojca pogrążonego w rozmowie z grupką przedsiębiorców, wśród nich zapewne kapitanem statku. Dostrzegłszy córkę stojącą w plamie światła, James Burden opuścił towarzystwo i podszedł do niej. Nie chciał, aby słyszała konwersację, głównie ze względu na niezdolność marynarzy do panowania nad językiem. Nie chodziło o biznesowe negocjacje, w tej kwestii uważał Mary za odpowiednio dyskretną.

- Gołąbeczko! – zawołał. – Nie spodziewałem się ciebie tutaj!
- Sama nie wiedziałam, że przyjdę. Miałam coś do załatwienia i...
- I zwabiły cię skarby, o których słyszałaś, że właśnie przypląnęły.

Mary wiedziała, że ojciec nie mówi serio, przynajmniej nie całkiem. Uśmiechał się tak szeroko i figlarnie, że jego broda – trójkąt w dolnej części twarzy – wydawała się mniej sroga. Mankiety

koszuli pasowały do kołnierza, tworząc nadzwyczaj okazały, elegancki komplet, którym – jak podejrzewała – chciał zaimponować tamtym.

– Nie – odparła, odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech. – Żeby uległa pokusie, trzeba czegoś więcej niż perkalu lub satyny.

– Wracam za kilka chwil. Poczekasz?

– Poczekam.

– To dobrze. Mamy nowe gorsety i skrzydełka, które dziewczęta w twoim wieku noszą w Londynie. A także dwa kufry książek.

Skinęła głową i ruszyła, aby stanąć w drzwiach, twarzą zwróconą do ciepłego słońca. Zamknęła oczy, uśmiechnęła się. Książki. Od czasu do czasu Thomas sugerował, że Mary za dużo czyta, w dodatku rzeczy nieodpowiednie. Och, a przecież lektura od zawsze należała do jej głównych przyjemności. Uznała się w tej chwili za obdarzoną wielkim szczęściem, lecz nagle zaczęły ją nurtować dwa pytania. Dlaczego Thomas strofuje ją często za tępotę i powolność, zarazem mając jej za złe skłonność do czytania książek? I drugie – które stanowiło znacznie poważniejszą zagadkę – jak o jej duszy świadczy fakt, że wystarczy kilka sztuk modnych jedwabów, bawełniana tkanina czy interesująca książka, aby poczuła się kontenta?

\* \* \*

Przed powrotem do domu Mary umieściła w koszyku nową halkę, gorset oraz dwie książki – nowy tomik poezji Michaela Wiggleswortha inspirowany Apokalipsą Jana oraz zbiór psalmów, uznanych za najbardziej pomocne w zwalczaniu Diabła – i raz jeszcze podziękowała ojcu.

Zastanowiło ją, że nigdy nie odwiedziła swego męża w miejscu jego pracy. Uspokoiła się jednak, iż nie byłoby to rozsądne, ponieważ zwykle widywali się przy kolacji. Poza tym w świecie Thomasa, złożonym z ziaren i mąki, należało się spodziewać o wiele mniej niespodzianek niż w wiecznie ruchliwym, zmiennym imperium handlowym ojca. Zresztą North End znajdował się dużo dalej. A port? No cóż, bliżej. W odpowiedniej odległości, jeśli chciało się tylko rozprostować nogi.

Lecz nagle Mary coś sobie uświadomiła. Refleksję tę wywołał po części fakt, że Thomasa nie interesowały żadne książki prócz Biblii i Psalterza (w głębi duszy wątpiła, by nawet one). Mogła zwalczyć myśl, która przyszła jej do głowy, ale ta wbiła się niczym pal, zbyt gruby i potężny, by go wyrwać: otóż pragnęła tego człowieka jak najmniej widywać. Nie chodziło o niedawną napaść, o rzucenie na kominek. To było coś głębszego. Mary naprawdę nie lubiła Thomasa Deerfielda. Nie lubiła niczego, co się z nim wiązało. Czasem go nawet nienawidziła.



\* \* \*

Kiedy wracała do domu z koszykiem pełnym prezentów od ojca, miasto zapełniały tłumy. Ominąwszy ciało martwego ptaka rozjechanego na płask przez parę wołów ciągnących powóz po High Street, musiała nagle uskoczyć, gdy woźnica, wyglądający na bezbożnego łotra mężczyzna, którego natychmiast wyobraziła sobie kryjącego się w szabat w jakiejś nędznej ruderze, wrzasnął, że winna mieć więcej przytomności, i nawet się nie zatrzymał. Nowa kamizelka i spódnica Mary zostały zbryzgane wodą z rynsztoka. Powinna je oczyścić przed podaniem kolacji albo oddać Catherine do odplamienia. Jeśli się nie pospieszy, nie zdąży z posiłkiem, a dzień był zbyt przyjemny, żeby ryzykować kiepski humor Thomasa, gdyby nie podała mu jedzenia na czas.

– Panienko! – krzyknął ktoś za nią. – Proszę poczekać!

Mary się odwróciła, nawet nie przypuszczając, że to ona jest ową panienką, i ujrzała jegomościa w swoim wieku, który przemykał ulicą między końmi i ludźmi, zamierzając ją dogonić. Na ramieniu taszczył kosz z jabłkami, a pod pachą trzymał książkę. Miał na sobie workowate spodnie nad kolana oraz lichą, konopną koszulę. Wydawał się przystojny z wystającymi kośćmi policzkowymi i gęstą kruczoczarną czupryną. Uznała, że to jakiś służący.

– Przeklęty koniokrad! – syknął osobnik, stanąwszy przed Mary. – Cholerny nicpoń! Skrzywdził panią?

– Skrzywdził? Dlaczegoż miałby to zrobić?

– Myślałem, że może woły nastąpiły na pani stopę albo wóz po niej przejechał.

– Nie, nic takiego się nie wydarzyło. Opryskał mnie tylko.

– Zaczyna być gorzej niż w Londynie.

– Och, nie jest tak źle.

– Mam nadzieję – powiedział młodzian, odkładając koszyk. – Znam Londyn. Dobrze wiem, jak brudne to miasto, zwłaszcza ta jego część, w której przez pewien czas mieszkałem. – Nagle podał Mary książkę, którą trzymał pod pachą. – Upuściła ją pani, kiedy powóz na panią natarł.

– Dziękuję.

Tomik zawierał długawy wiersz na temat sądu ostatecznego. Nastąpiła niezręczna cisza, zdawało się, że Mary zaraz ruszy w kierunku domu. Nie zrobiła tego.

– Czytałem Wiggleswortha – rzucił nieznajomy. – *Dzień zagłady*.

– Będzie mi się podobało?

Wyszczerzył zęby tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć śmiechem.

– Mnóstwo wydrukowano ich w Londynie, większość z przeznaczeniem do Nowej Anglii. Lubi pani cierpienia tych, którzy są skazani na Piekło? W takim razie będzie się podobało. To bardziej kazanie niż poezja. Mnóstwo obciętych rąk.

Ta uwaga skojarzyła się Mary z jej zięciem, ponieważ tego typu wypowiedzi należało oczekiwać raczej w Anglii, nie tutaj.

– Jak długo mieszkanie w Bostonie?

– Pół roku.

Nie zaskoczyło jej to.

– Kiedy nasz statek przyплыł, śnieg zalegał jeszcze tu i ówdzie – ciągnął młodzieniec. – Dorastałem w Yarmouth. Żyliśmy z łowienia ryb: *ina, mina, tethera, methera, pin*<sup>1</sup>. – Uniósł brwi i uśmiechnął się szelmowsko.

– Gdzie pracujecie?

– U Valentine’a Hilla.

Mary skinęła głową: ów kupiec był znajomym jej ojca, człowiekiem mniej więcej w tym samym wieku co on i cieszącym się równie sporym majątkiem.

– Mój ojciec to James Burden – powiedziała.

– Znam to nazwisko, oczywiście. Widzę, że niedawno się pani z nim spotkała. – Wskazał na koszyk ze skarbami.

– Owszem. A to są...

– Same błyskotki – dokończył za nią. – Rozumiem. Córki pana Hilla też lubią witać przybywające okręty.

– Nie byłam powitać statku. Odwiedzałam ojca.

– Proszę wybaczyć, nie chciałem uczynić pani despektu – mruknął.

Choć ton głosu miał skruszony, w jego oczach błyszczało rozbawienie. Znów wydało się Mary, że młodzian zaraz wybuchnie śmiechem.

– Nie żywię urazy – zapewniła.

– Czy potrzeba pani eskorty do domu? – Ukłonił się lekko, ruchem, którego nie dostrzegłaby nawet, gdyby nie to, że akurat się weń wpatrywała. – Nazywam się, gdybym mógł być do usług, Henry Simmons.

– Dlaczego miałby mi pan służyć, panie Henry Simmons?

– Może znów zdarzy się jakiś wypadek z powozem?

– Żadnego nie będzie. Zachowam ostrożność.

– Modłę się o to – oświadczył. – Wiem już, że ojciec pani to James Burden. A czy wolno spytać o jej godność?

– Wolno. – Odczekała chwilę, drocząc się z nim. – Mary Deerfield. Żona Thomasa Deerfielda. Właściciela największego młyna zbożowego na North End. – Sama do końca nie wiedziała, dlaczego informuje tego całego Henry’ego Simmonsa o swoim stanie, o tym, kim jest jej mąż i czym się zajmuje. Czuła jednak, że rozmowa ta jest znacznie śmielsza i swobodniejsza niż te, do których była przyzwyczajona.

– Mam nadzieję, że chociaż te nowe artykuły... – Simmons zerknął na koszyk, lecz na widok książek, halki, gorsetu oraz przezroczystej satyny odwrócił wzrok – ...dobrze pani posłużą.

– Dziękuję za troskę – odrzekła.

– Och, nie bawiłem się tak dobrze od... od szabatu.

Odwróciła się, zarumieniona i niepewna, czy powinna się czuć zadowolona z pochlebstwa, czy urażona tą uwagą. Nagle z zaskoczeniem stwierdziła, że nie dalej niż dwanaście jardów od niej stoi zawsze skłonna do osądzania jejmość Howland. Mary nie bardzo wiedziała, co zrobić – nigdy dotąd nie wpadła na tę kobietę w pobliżu pirsów. Po chwili ruszyła w jej stronę, zadowolona, że zdobyła towarzyszkę w drodze powrotnej do domu. Beth sprawiała jednak wrażenie poirytowanej. Spoglądała wilkiem i marszczyła nos, jakby zapach morza był jej wstrętny.

Mary uświadomiła sobie, że ów niesmak jest skierowany przeciwko niej.

– Beth, czy coś cię niepokoi? Coś się stało z Williamem? – zapytała, zastanawiając się, czy brat Catherine odszedł właśnie do Boga albo do Diabła.

– William umrze, ale jeszcze nie teraz.

– Cóż w takim razie?

Kobieta pokręciła głową.

– Thomas Deerfield to dobry człowiek. Nie zasługuje na takie zachowanie własnej żony.

– Jakie zachowanie? Co ja zrobiłam?

– Widziałam cię z tym chłopakiem! – rzuciła Beth, machając pogardliwie w kierunku służki z jabłkami, który przeszedł przez ulicę i kroczył dalej. – Dobrze go znasz?

– Dopiero przed chwilą usłyszałam, jak się nazywa!

– Wasze stosunki sprawiały wrażenie nader zażyłych.

– Niepokoił się, że zostałam potrącona przez powóz.

Beth westchnęła i wbiła wzrok w ocean.

– A wyglądało to całkiem inaczej.

– Pozory myślą, doskonale o tym wiesz. To, co widziałaś...

– Z pewnością nie rozmijas się z prawdą – przerwała jej Beth. Nie ulegało wątpliwości, że nie wierzy w ani jedno słowo Mary. – Jestem zła z powodu Williama. Mogę ci jednak zagwarantować, że jeśli nie przestaniesz się tak prowadzić, ludzie zaczną gadać. Wiemy, co się z tobą ostatnio dzieje. Żeby flirtować z chłopakiem takiego autoramentu? Nalegam, byś uważała. Nie chcesz chyba zgorszyć Pana i okryć hańbą męża i rodziny?

– Moja rodzina...

– W takim razie Thomasa. Catherine wpadnie później? – zapytała, zmieniając nagle temat. Nie chciała więcej dyskutować, a ponadto musiała ustalić, jakiej pomocy może oczekiwać przy umierającym słudze.

– Owszem, wpadnie. Dopilnuję tego – odrzekła Mary.

– Dziękuję ci.

– Idziesz do domu? Możemy wracać razem.

– Nie idę. Mam sprawy do załatwienia – oznajmiła Beth. – Dobrego dnia.

I odwróciwszy się, bez słowa ruszyła dalej.

„Okrucieństwo można zdefiniować jako niesprowokowany akt przemocy oraz stosowanie nadmiernej dyscypliny”.

*Uwagi sędziego pokoju Richarda Wildera, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 5

Peregrine, pasierbica Mary, przyjaźniła się z Rebeką Cooper, ale nie była tak blisko z tą młodą gospodynią jak Mary – ta bowiem uważała Rebeke za swoją powiernicę. Jednakowoż tamte dwie kobiety miały ze sobą coś wspólnego, czego Mary brakowało: dzieci. Każda po dwoje. Dlatego Mary nie zdziwiła się zbyt, kiedy składając Rebecę wizytę, zastała tam Peregrine. Na niewielkim podwórzu przed domem Cooperów panował szczęśliwy chaos: szalała tam czwórka maluchów, nad którymi matki nie były w stanie chwilowo zapanować. Jedna z pań wykonała okrąg z winorośli i zawiesiła go na niskiej gałęzi drzewa. Dzieci próbowały – zazwyczaj nieskutecznie – przerzucać przez niego chustki wypełnione ziemią i związane w kule. Wkrótce wybrały ganieanie wokół pętli i ciskanie kulami w siebie nawzajem. Wszystkiemu towarzyszył głośny śmiech.

– Mary! – zawołała Rebeka na widok gościa. – Co za gratka!

– Chyba chodzi ci o tę dynię – odrzekła przybyła, podając gospodyni wielką tykwę, do której niesienia potrzebowała obu rąk. Dynia musiała ważyć ze dwadzieścia funtów. – Mam też przepis wymyślony przez jedną ze służących mojej matki. Pyszności.

– Jedną ze służących? Abigail? – spytała Peregrine.

Mary kiwnęła głową. Pasierbica spojrzała na nią uważnie, mrużąc oczy, a następnie ją objęła.

– Siniec ładnie się wchłania – rzuciła cicho, zbliżywszy swą twarz.

– Co to znaczy? – zdziwiła się Rebeka. – Ty masz jakieś sińce?

Peregrine puściła macochę i cofnęła się nieco. Mary poczuła, jak przyjaciółka lustruje ją całą – od stóp do głów – z miną, której nie potrafiła rozszyfrować.

– Kilka niedziel temu Thomas chciał mi pomóc w kuchni, ale nieszczęśliwie uderzył mnie kociołkiem – wyjaśniła. – To nic takiego.

– Gdzie?

– Już nie widać. Czuję się świetnie.

Rebeka wskazała na swoje starsze dziecko, pięcioletniego chłopca, który trzymał chusteczkę zwiniętą w kulę poza zasięgiem trzech dziewczynek – wszystkie podskakiwały, próbując ją złapać.

– Wiesz, że ten mały walnął mnie w usta kuflem swojego ojca, kiedy zanosił go do koszyka, a ja się akurat schylałam po łyżkę. Myślałam, że wybił mi ząb. Mężczyźni i chłopcy w kuchni to prawdziwe niebezpieczeństwo – zaśmiała się.

– Owszem – przyznała Mary.

Spojrzała zaraz na Peregrine, sądząc, że i ona się uśmiechnie, ale tak się nie stało. Może jej pasierbica nie usłyszała słów Rebeki, skupiona na obserwowaniu starszej córki, która nie mogła dosięgnąć kuli z ziemią, i wyglądało na to, że zaraz wybuchnie płaczem. Mimo wszystko Mary poczuła się zaskoczona tym, że zupełnie nie zareagowała.

\* \* \*

Następnego dnia po południu Catherine stała z wiadrem pełnym popiołu na kamiennych schodach przed domem, dlatego usłyszała cały zgiełk wcześniej niż Mary. Pani Deerfield cerowała właśnie świeżo wyprane ubrania Thomasa.

– Smagają kwakra! – zawołała służąca. – Szybko!

Mary wyszła, zajęła pozycję na skraju podwórka i wraz z Catherine spojrzała na ulicę. Zobaczyły starszego mężczyznę – zapewne w wieku Thomasa – który ze związanymi rękami szedł za ciągniętym przez wołu pojazdem. Z jego szyi zwisał sznur, łączący go niby smycz z tylną częścią wozu. Idący za nim poborca dziesięciny od czasu do czasu okładał go biczem.

– Proszę zauważyć – odezwała się Catherine – że jemu pozwolili zatrzymać spodnie i buty.

– Nie, to nie tak – mruknęła Mary. – Te kobiety same wolą być nagie. Przynajmniej jedna z nich wołała. Upierała się przy tym.

– Dlaczego miałyby tego chcieć?

Mary już miała wyjaśnić, że jej zdaniem owa kobieta protestowała w ten sposób przeciwko oskarżeniom – prześladowaniom, jak ujmowali to kwakrzy, inicjując semantyczną wojnę, która czyniła karę jeszcze surowszą – zakończonym powieszeniem tej misjonarki nazwiskiem Dyer. Nie zdążyła jednak tego powiedzieć, gdyż wśród grupki gapiów podążających za nieszczęśnikiem dostrzegła kilkoro dzieci, w tym dwoje potomstwa Petera i Beth Howlandów. Mała Sara oraz Edward, młodszy z ich synów, rzucali w kwakra kamykami walającymi się po ziemi.

Mary oddała ubrania służącej i podbiegła do procesji. Przepchnęła się obok nieznannej sobie kobiety i złapawszy małych Howlandów za ręce, z zaskoczenia odciągnęła ich na pobocze, pod dom hrabiego Willarda.

– Nie wolno tego robić! – zwróciła się do dzieci. – Absolutnie nie wolno! Nie sądzę, żeby sędziowie życzyli sobie kamienowania tego biedaka, kiedy jest smagany batem.

Edward, prawie dziesięcioletni, wyrwał ramię z uścisku i śmiało spojrzał Mary w oczy.

– Ale to kwakier! – zawołał. – I pewnie też czarownik!

– Jeśli jest czarownikiem, to na twoim miejscu bym go nie drażniła.

Mała Sara odwróciła się do brata i zaczęła cicho skandować:

– Edward podpadnie. Edward podpadnie czarownikowi. Edward...

Chłopiec zdzielił ją w rękę. Dziewczynka wrzasnęła, więc Mary wymierzyła napastnikowi klapsa w zadek.

– Za duży już jesteś, żeby bić siostrę! – zrugła Edwarda.

– Sara mówi, że...

– Nic mnie nie obchodzi, co mówi. Jesteś na tyle dorosły, żeby rozumieć, co wolno, a czego nie. Bić siostry nie wolno. Tak samo jak rzucać w ludzi kamieniami.

– To były tylko kamyczki – sprostował, jakby to wszystko usprawiedliwiało.

Potem pokręcił głową, rozpaczliwie usiłując powstrzymać łzy, lecz sprawa była z góry przegrana. Chłopiec wybuchnął nagłym płaczem, a siostra poszła w jego ślady. Gapie powychodzili z domów albo obserwowali tę scenę ze swoich umierających, kurczących się ogródków. Ponieważ kwakier znajdował się teraz znacznie dalej, a krew i wyrwane mięso na jego plecach przywodziły na myśl kaftan arlekina, przenieśli uwagę z niego na płaczące dzieci.

– Chyba już czas wracać do domu – powiedziała Mary. – Odprowadzę was.

Zanim zdążyła odwrócić dzieci we właściwą stronę i ruszyć, drzwi rezydencji hrabiego Willarda się otwały i na krótkiej ścieżce prowadzącej do ulicy ukazał się właściciel. Isaac Willard, wdowiec, był człowiekiem starszawym, lecz w dobrej formie. Słynął ze spacerów do własnej gręplarni na North Endzie, a także wzdłuż przesmyku do Roxbury i na stały ląd.

– Idę w tamtą stronę, Mary – powiedział. Sprawiał wrażenie rozzłoszczonego. – Mogę je odprowadzić.

– Dziękuję panu.

Zastanawiała się nad gniewnym tonem jego głosu. Nie sądziła, żeby hrabia należał do osób zdolnych zirytować się dyscyplinowaniem jakiegoś kwakra. Wręcz przeciwnie. Kara ta zapewne spotkała się z jego serdeczną aprobatą.

– Nie ma za co – rzucił Willard. – Chodźcie, dzieci.

Kiedy zrobili zaledwie trzy, cztery kroki, hrabia się zatrzymał i odwrócił ku Mary.

– Nie powinnaś skłaniać młodocianych, takich jak ci tutaj, do braku szacunku do sędziów pokoju i ich mądrości.

– Niczego takiego nie uczyniłam.

– Stałem przy oknie. Słyszałem, co mówiłaś, i widziałem ostre besztanie małego Edwarda. A teraz...



– Nie nazwałabym tego besztaniem.

– Uważam, że lepiej być biczowanym niż potępionym, ale jeszcze lepiej jest umieć do kogoś dotrzeć.

Miała ochotę się spierać, bronić swoich racji, ale wiedziała, że wieść o tym dotarłaby do Thomasa. Spuściła więc oczy i przeprosiła. Kiedy podniosła wzrok, chłopiec uśmiechał się złośliwie. Jego twarz bardzo przypominała teraz groteskowe oblicza, jakie wykrawa się w dyniach. Tych samych, z których Mary przyrządzała czasem potrawkę.

\* \* \*

Na poboczu, a także obok schodów prowadzących do domu wciąż rosły bratki. Pochyliła się, by je zerwać. Sposób, w jaki Isaac Willard uznał za stosowne zwrócić jej uwagę, wywołał w niej trwałe rozdrażnienie. Mary nie mogła się zmusić do podjęcia cerowania ubrań.

– Mam przygotowywać kolację? – spytała Catherine. Służąca nadal stała w progu.

– Tak, byłoby znakomicie. Za chwilkę przyjdę.

Dziewczyna poszła po jajka, a Mary znów pochyliła się nad kwiatami. Nagle w zielonej gęstwinie pnączy dostrzegła metaliczne lśnienie. Sięgnąwszy tam, natrafiła na widelec, jeden z tych małych, których według matki ludzie zaczęli używać w starym kraju, Anglii. Wyglądał na egzemplarz przyniesiony w zeszłym tygodniu przez rodzicielkę, ale z pewnością nie leżał tu przypadkowo: ktoś wbił jego zęby w ziemię tak mocno, że wystawał on zaledwie na cal. Powodowana przecuciem Mary włożyła rękę w grządkę bratków z drugiej strony kamiennych schodów i jąła macać palcami. Oczywiście, znalazła drugi widelec, jak pierwszy wbity w grunt pionowo niczym pal. I tym razem ponad powierzchnię wystawał zaledwie drobny fragment.

Wyciągnęła go z ziemi, a następnie przyjrzała się obu sztuccom. Istniały miliony sposobów na utrzymanie Diabła na dystans, równie liczne jak te na zaproszenie Go do swego życia. Obawiała się, że właśnie ma do czynienia z takim zaproszeniem, bo przecież powszechnie wiadano, iż trójzębne widelce stanowią narzędzie Szatana. A On z pewnością nie da się odstraszyć jedną wbitą w ziemię parą.

Otrzeпаła się z brudu, schowała widelec do kieszeni fartucha, a potem skierowała się na tyły domu. Catherine wchodziła właśnie do środka z wiklinowym koszykiem pełnym jaj. Mary wymięła kury i dogoniła służkę w drzwiach.

– Znalazłam coś na podwórzu przed domem – oznajmiła.

– Tak?

– Coś, co umieszczono tam w nikczemnych zamiarach – ciągnęła Mary, obserwując reakcję dziewczyny. Gdy jej nie było, przynajmniej takiej, którą uznałaby za wstęp do wyznania winy, wyjęła sztucę z kieszeni, jakby należała do ulicznych sztukmistrzów, których tabory widywała w Londynie. – Proszę. Wbito je zębami w dół, w ziemię koło drzwi frontowych.

– Zębami w dół, mówi pani?

– W rzeczy samej.

Oczy Catherine lekko się rozszerzyły, błysnął w nich niepokój. Przyglądała się widelcom z uwagą.

– To nie ty go zasadziłaś jak ziarno? Albo może widziałaś, jak ktoś to robił?

– Gdyby tak było, powiedziałabym pani!

Mary skinęła głową, niepewna, czy oburzenie służki jest prawdziwe, ale wątpliwości obróciła na jej korzyść. Mimo wszystko w powietrzu dawało się wyczuć napięcie.

– Nie chcę, żebyś miała przede mną sekrety. Ja sama również nie zamierzam utrzymywać w naszych stosunkach tajemnic. Już i tak za dużo ich na tym świecie.

– Bardzo pani za to dziękuję.

– Ale nie mam pojęcia, kogo było stać na ów akt bezbożności. Kto mógł zaprosić tu Diabła? Wierzyć się nie chce, by to moja matka...

– Nie!

– Albo mój ojciec. Lub Thomas. Tak się niepokoję...

– Wiem, proszę pani. Ja też.

Mary przeciągnęła kciukiem po srebrnej rączce.

– Dzień po tym, jak ojciec je tu sprowadził, słyszałam opowieść o człowieku, który wbił taki widelec w rękę swego towarzysza. Stało się to w Anglii. W Farrenden.

– Tam się dzieją najgorsze rzeczy. To miejsce zabaw Diabła.

– Chyba powiem o wszystkim Thomasowi. Pewnie nie będzie wiedział, kto to zrobił, ale może się domyśli dlaczego.

– Jest bardzo mądry – oświadczyła Catherine i obie zamilkły. Wreszcie służąca zwróciła twarz ku Mary i rzekła: – Mamy tyle jajek. Zrobić indiański pudding?

\* \* \*

Nocą, w ciemności, zgasiwszy świece, Thomas w nią wszedł. Miała nadzieję, że kieruje nim wiara w możliwość poczęcia dziecka, a nie zwykła chęć, by dać upust żądom. Zdawała sobie sprawę, że

jak wszyscy inni, mąż jest przekonany o jej bezpłodności. Gdy się poruszał na niej z jękiem, odpłynęła myślami daleko. Tym razem jednak nie do chłopców ani mężczyzn, których spotkała w życiu, włącznie z własnym pasierbem Jonathanem Cookiem. Miała wizję męzowskiego nasienia w swoim wnętrzu – właściwie dziecka wielkości kropli deszczu, które umiera z braku odpowiednich warunków. Nie istniało nic, do czego mogłoby przylgnąć i w czym zapuścić korzenie. Mary wyobraziła sobie pustynie z Listu do Hebrajczyków, Księgi Wyjścia i Księgi Powtórzonego Prawa. Postrzegała teraz własne łono tak, jak opisywali je różni kaznodzieje, świat niewyobrażalnie suchy, pozbawiony wilgoci. *Jałowy*. Słowo opisujące glebę i kobietę. Czy dziecko Thomasa, nie większe od okruchu, zwiędło w jej pustynnym wnętrzu, wyschło na wiór jak stare ziarenko? Zmieniło się w cząsteczkę piasku? A może z tym mikroskopijnym człowieczkiem stało się coś jeszcze innego? Kiedyś wstrzymywała palcami spermę Thomasa ściekającą po wewnętrznej stronie jej ud, zastanawiając się, czego temu nasieniu trzeba, a czego ona nie potrafi mu zapewnić.

Gdy skończył, odsunął jej z oczu niesforny lok. Poczuła na policzku wilgoć.

– Nieźle się postaraliśmy, w rzeczy samej – zaśmiał się, biorąc jej łzy za pot.

Kiwnęła głową, choć nie mógł tego widzieć. Stoczył się z niej na swoją stronę łóżka. Zaraz zaśnie, a spomiędzy jej nóg wypłyną skutki jego wysiłków. I znów Mary sięgnie tam ręką i zacznie czerpać przyjemność z tego niewielkiego daru od Pana, jaki otrzymała zamiast szansy na poczęcie i urodzenie dziecka.

Zakładając, oczywiście, że był to dar, a nie główna przyczyna problemów. Przypomniały się jej widelce na podwórku oraz chłodne lekceważenie Thomasa dla jej obaw, kiedy podczas kolacji poruszyła ów temat. Bez wątpienia, rzekł na widok jej odkrycia, zrobił to jakiś gówniarz. Ponieważ naciskała, pytając, skąd dziecko wzięłoby trójzębne widelce, Thomas zasugerował, że zapewne zgubiła je matka Mary, a potem ktoś – każdy – mógł je niechcący wbić butami w ziemię. Nie ma w tym nic z piekła rodem, argumentował, ani chyba żadnych czarów. Mimo to dostrzegła w jego twarzy mgnienie niepokoju, on też miał wyryte w umyśle to, kto mógłby im życzyć nieszczęścia.

Gdy oddech męża się wyrównał i spowolnił, po czym zmienił się w ciche, chrapliwe pogwizdywanie, Mary rozłożyła nogi i leniwie wsunęła tam dłoń. Pocierała się niespiesznie palcami, ale umysł wciąż wracał do dwóch widelców. Od lat modliła się o dziecko, a jej prośby pozostawały niewysłuchane. Składała Panu obietnice, o których wiedziała, że będąc grzeszną, nigdy ich nie dotrzyma: że będzie Bogu posłuszna jak najczystsza święta, będzie pościć i pogrążyć się w modlitwach, że odrzuci przyjemności ciała. I nigdy więcej nie zrobi... tego.

I nie zanosila modłów o dziecko z samej tylko obawy, że bez niego zestarzeje się samotnie, zmieni w miejską jędzę, kobietę taką jak Constance Winston. Nie modliła się też o dziecko dla

Thomasa: on miał już swoje lata, Mary nie wiedziała, czy w ogóle chce kolejnego potomka. Modliła się o maleństwo, ponieważ pragnęła je kochać tak, jak pierwsza żona Thomasa, Anne Drury, kochała Peregrine i jak Peregrine, obecnie dorosła kobieta, kocha własne dzieci.

Tyle modlitw, tyle błagań...

A w zamian jedynie krew, która wypływała z Mary dwudziestego trzeciego lub dwudziestego czwartego dnia, zamiast dwudziestego ósmego czy dwudziestego dziewiątego. Niekiedy nawet dwukrotnie między pełniami księżyca – w te noce miesiąca, w które potrzebowali mniej świateł, gdyż niebo było jasne i dało się wędrować po ulicach bez lampy przed sygnalem do wygaszenia ognia.

No a teraz jeszcze te widelce. Drobną rzecz, owszem, lecz świat składał się przecież z drobiazgów, które w swej istocie stanowiły znaki wielkiej wagi.

Zrezygnowała z finału, naciągnęła koszulę nocną na uda i zaczęła rozważać, czy nie zwrócić się do Pana o coś mniej istotnego niż dziecko, na przykład z prośbą, by ujawnił, kto podrzucił widelce i dlaczego. Nie modliła się jednak do Boga. Nie modliła się do nikogo ani do niczego, przynajmniej nie w sensie dosłownym. Po prostu otworzyła oczy i umysł na oścież, pozwalając, aby pragnienie poznania prawdy o tym wydarzeniu uleciało z jej wnętrza w ciemność nocy, gdzie powinno zaraz osadzić się niczym nasionko mniszka lekarskiego nad źródłem. Nigdy nie wiadomo. Jeżeli nawet, pomyślała, cała sprawa pochodzi od złego, niech tak będzie. Bądź wola twoja. Przynajmniej się dowie.

A jeśli ktoś wsadził tam widelce – nieważne, czarownik albo zbawiony chrześcijanin – ponieważ znał się na magii poczęcia i odpowiadał na najgłębsze pragnienia Mary? Jeśli instrumenty te były niezbędne do realizacji zaklęcia dającego jej wymarzone dziecko?

Tak, to też mogło świadczyć o niebezpieczeństwie, o zagrożeniu, ale chyba nie wskazywało na zło?

Podjęła decyzję: skłoni winowajcę – człowieka, Diabła lub czarownicę, wszystko jedno – do ujawnienia się, umieszczając widelce z powrotem na podwórku. Dokładnie tam, gdzie je znalazła. Zrobi to, jak tylko Thomas wyjdzie rano do młyna.

Tuż przed zaśnięciem pomyślała, że gdy sztucce znów znajdą się w ziemi, zacznie się uważnie przyglądać wszystkim ludziom ze swego otoczenia, nieustannie zachowując czujność niczym wartownicy na szczycie Beacon Hill.

„(...) stąd wiem, że widelec może być straszną bronią”.

*Zeznanie Mary Deerfield, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662,  
tom III*

## Rozdział 6

Kiedy Mary i Catherine przygotowywały śniadanie, a Thomas ubierał się na piętrze, do drzwi ich domu zapukał mały Edward Howland, dziesięciolatek. Padał deszcz. Chłopiec był zdenerwowany, co Mary przypisała najpierw strachowi wywołanemu niedawnym kłapsem. Dziecko dyszało i przestępowało z nogi na nogę, wbijając wzrok w ziemię. Wszystko to świadczyło o jego zaniepokojeniu, gdyż nie mógł już polegać na ochronie hrabiego Willarda. Pani Deerfield szybko jednak się domyśliła, dlaczego Beth wysłała do nich syna. William, brat Catherine, albo właśnie umarł, albo zaraz umrze, więc dziewczyna powinna zająć się nim natychmiast.

– Czy Catherine mogłaby ze mną pójść? – spytał Edward, podzieliwszy się obawami swojej matki, że William nie dożyje śniadania.

Mary odesłała chłopca do domu, a następnie poinformowała służącą, że nadeszła pora i powinny wybrać się tam razem. Nałożyła pelerynę, a Thomasowi powiedziała, że idą z Catherine do domu Petera Howlanda. Śniadanie jest na patelni, dodała. Zabrała ze sobą koszyk z ziołami leczniczymi, zarówno z nawyku, jak i z pewną nadzieją. Nigdy przecież nie wiadomo, jakie cuda Pan zechce uczynić.

\* \* \*

Aby ratować życie Williama, w ciągu ostatniego miesiąca uczyniono niemało. Nie tylko Mary aplikowała mu zioła, ale też modlono się za niego w kościele i pojono go sokiem z cytryn – jakże cennych jesienią w Bostonie. Podawano mu również mielony piołun z solą w nadziei powstrzymania wymiotów. Do gardła wdmuchiowano mu popioły sowy (spalonej z piórami i wszystkim innym), dla ukojenia stanu zapalnego. Język pocierano sokiem z langusty. Doktor Roger Pickering przepisał miksturę z jajek, kopru włoskiego i rumu, a także przekazał gałkę muszkatołową i kardamon, dla złagodzenia bólu. Następnie upuścił choremu krew i postawił mu bańki. A gdy William zaczął krwawić z nosa, lekarz wrzucił do chustki pająki i ropuchy, ugotował je, po czym kazał cierpiącemu wdychać opary. Zmiał te stworzenia na drobny proszek i wprowadził go długą słomką do nozdrzy pacjenta. Krwawienie ustało, więc powtórnie upuszczono krew i postawiono bańki.

Mimo to młodzieniec był coraz słabszy. Na jego ciele pojawiły się wrzody, od szyi po ramiona, świadomość mąciła mu się mocno.

Mary nie przestawała odwiedzać Williama. Któregoś dnia przyniosła chmiel, innego szczaw, dwa razy zaoferowała łagodzącą ból walerianę (w obu przypadkach w głowie rozbrzmiewał jej stary wierszyk: „waleriana i koper zielony odpędzą czary z każdej strony”), ale remedia te nie przyniosły skutku lepszego niż leki ordynowane przez doktora. Dzięki modlitwie jednak Catherine czuła się lepiej – pozostałym członkom rodziny też zapewne by pomogła, gdyby nie to, że nie było ich w Bostonie.

\* \* \*

Mary zauważyła, że czyraki na ramionach i szyi Williama znów ropieją, a na kołdrze widać plamy barwy gnijących jabłek. Przez chwilę wydawało jej się, że młodzian umarł akurat wtedy, gdy mały Edward zjawił się w ich domu. Pacjent leżał w łóżku okryty kapą, spod której wystawały tylko głowa i ręce. Pierś zdawała się nieruchoma niczym powierzchnia stawu. Mary dotknęła jego stóp pod kocem – były zimne. Jedynie czoło, gorące jak rozgrzana cegła, świadczyło, że chory jeszcze żyje. Mary musiała przyłożyć ucho do jego warg, aby usłyszeć ciche, prawie niewykrywalne szepty oddechu.

– Posłaliśmy po pastora – powiedziała Beth. Stała w progu ze skrzyżowanymi ramionami. – Ale wątpię, żeby sam wielbny Norton się tu zjawił. Spodziewam się któregoś ze starszych kościoła.

Mary się cofnęła, pozwalając Catherine usiąść obok brata, a potem poszła do kuchni po ściereczkę. Zanurzyła ją w zimnej wodzie beczki i już chciała wrócić do łóżka Williama, gdy nagle powstrzymała ją Beth.

– Naprawdę mniemasz, że to cokolwiek da? – spytała.

– Przyniesie trochę ulgi – odparła Mary.

– Jemu już nie potrzeba niczego. Zostaw. Tylko wydłużasz cierpienie.

– Chętnie go zostawię, jeśli taka wola Boża. Ale póki się nie wypełni, lepiej ograniczać ból.

– Ból? Więc uważasz, że on jeszcze czuje? Dziesięć minut temu przestał dychać. On...

Mary odwróciła wzrok od Beth, zapatrzyła się w cienie i mrok, a potem wyminęła gospodynię.

– Mary...

– Idę do niego – rzuciła. Po czym, bojąc się, że zabrzmiała opryskliwie, dodała: – Zrobiłaś więcej niż ktokolwiek inny.

Catherine trzymała brata za rękę i masowała stawy jego palców. Mówiła, że napisze do ojca, aby go poinformować o wszystkim, co William osiągnął tutaj, w Bostonie: że prawie odpracował serwitut, że miał wielu przyjaciół. Zamierzała mu opowiedzieć o szacunku i podziwieniu, jakimi darzyły jego syna dzieci Howlandów, i jak bardzo będą za Williamem tęsknić.

Mary pochyliła się nad łóżkiem, owinęła ściereczką czoło chorego, a następnie uklękła na podłodze, obok rodzeństwa. Niedługo tak trwała, gdyż oddech, już i tak płytki, ustał, a William Stileman – bez ostatniego spazmu czy drgnienia – umarł.

\* \* \*

Wieczorem, podczas kolacji, Thomas opowiadał o ludziach zwożących do młyna ziarno z Roxbury oraz z Salem, a także o wysokim o tej porze roku stanie wody w Potoku Młyńskim. Był w doskonałym humorze – Mary musiała mu przypomnieć, że William właśnie odszedł z tego świata. Mąż rzucił jej gniewne spojrzenie, a potem przeniósł wzrok na Catherine, by złożyć dziewczynie kondolencje. Chwilę później, nadal podchmielony, wrócił do swoich opowieści. Służąca słuchała w sposób, który dowodził albo nadzwyczajnej dla jej wieku cierpliwości, albo niewłaściwie skierowanej sympatii – w dodatku zdaniem Mary całkowicie niezasłużonej.

Catherine wyraźnie lubiła Thomasa. Swojego pana. Mary nie miała co do tego wątpliwości, nie potrafiła jednak stwierdzić, czy dziewczyna widzi w jej mężu tylko substytut ojca, który pozostał w Anglii, czy może coś więcej. Thomas był w wieku rodziców Catherine, mógłby ich tymczasowo zastępować, lecz ona patrzyła nań w inny sposób. Przecież wiedziała, że jest żonaty, mimo to w jej spojrzeniu skrzyła się uwodzicielska, miłosa iskierka. Nie znaczyło to jednak, że planuje cudzołóstwo. Może afekt nie był wcale niewłaściwy, ale po prostu bezzasadny i niefortunnie skierowany, a ona nie potrafiła się przed nim obronić. Stanowił odruch.

Albo też było to coś na kształt żaru, który zdawał się tlić pomiędzy Mary a Jonathanem Cookiem, lecz nigdy, przenigdy nie mógł wybuchnąć płomieniem. Rzecz nieszkodliwa, niewinna.

Mary zerknęła w dół, na deskę do podawania dań i wyobraziła sobie, że je za pomocą jednego z widelców. Delikatnie pokręciła głową, aby oczyścić umysł, i skierowała uwagę z powrotem na męża oraz Catherine. Wiedziała, że Peter i Beth Howlandowie nie zapłacą kamieniarzowi za wykonanie nagrobka dla zmarłego Williama, dlatego powiedziała służącej, że wszelkie koszty związane z pogrzebem pokryje jej ojciec. Mary poszła się z nim zobaczyć zaraz po śmierci młodzieńca, a on wyraził na to zgodę.

Gdy zapadł zmrok, poszli na piętro, zgasili świece, a Mary położyła się na łóżku obok Thomasa.



– Tak naprawdę Williama znaleźliśmy tylko z relacji Catherine. Chciałabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Żałuję, że nie spotykaliśmy się częściej, przed chorobą – rzekła po długiej chwili milczenia.

Thomas nie odpowiedział. Uświadomiła sobie, że już zapadł w sen. Minął co najmniej kwadrans, lecz ona czuła się zbyt niespokojna, by pójść w ślady męża. Wstała z materaca, wzięła ze stolika przy szafce nocnej długą łojową świecę i zeszła na dół. Ostrożnie ominęła Catherine, która również spała, odpaliła knot od jednego z ostatnich gwiazdzistych węgielków na kominku, po czym wymknęła się z domu.

Księżyc był prawie w pełni, powietrze zdawało się zimne i wilgotne – jak to nad oceanem. Dziś w nocy z pewnością przyjdzie mróz, który dokończy dzieła zniszczenia w ogrodach, więc jutro z Catherine siekać wielkie brązowe liście dyni na mulcz. Z ulicy dobiegły odgłos końskich kopyt oraz śmiechy ludzi. Mary domyśliła się w nich hulaków udających się do karczmy lub powracających z niej. Przypuszczała, że Thomas również wyszedłby dziś z domu, gdyby nie zdążył już sporo wypić po drodze. Czy to prawdopodobne, by współczuł Catherine, rozumiał powagę, jaka zapanowała w ich gospodarstwie po śmierci Williama? Nie, niemożliwe. To do niego nie pasowało.

Stała na zewnątrz boso, ale nie zamierzała przebywać tu długo. Podeszła do miejsca, w którym pozostawiła srebrne widelce, i koniuszkami dwóch palców przeciągnęła po ziemi. Wymacała zakończenia uchwyty, a obok nich – coś jeszcze. Coś okrągłego i gładkiego. Pomyślała zrazu, że to kamień, jednak odsunąwszy wierzchnią warstewkę gleby, stwierdziła, że znalazła drewno. Wyjęła je z ziemi. Był to tłuczek, wcześniej wbity pionowo w grunt, tak samo jak widelce. Z pewnością nie należał do Mary, od razu to rozpoznała, ponieważ wykonano go z ciemnego materiału (swoją brązową odcień nie zawdzięczał wyłącznie brudowi). Uchwyt miał rzeźbienia. Gdy przystawiła do tłuczka płomień świecy, zobaczyła wryty w drewnie trójząb. Wyciągnęła z ziemi jeden widelec, jakby to była marchewka, po czym porównała wzorek z tym na tłuczku. Pasowały do siebie.

Nagle otworzyły się drzwi, a w progu stanęła Catherine w koszuli nocnej.

– Więc to pani! – zawołała drżącym głosem. – Oskarżała mnie o podrzucenie tych widelców, a sama to zrobiła! Jesteś wiedźmą!

– Nie! Ja...

Służąca cofnęła się o krok.

– Co tam sadyłaś w świetle księżycy? Na czym polega twoja kłątwa?

– To tylko tłuczek – wyjaśniła Mary i ruszyła ku Catherine, lecz ta znów zaczęła się cofać.

– Nie podchodź! – zażądała. – Proszę! Nie zaszkodzę ci! Nie wyjawię twoich tajemnic!

Gdzieś obok nich przeleciał z piskiem nietoperz, obie się skuliły. Na kamienie spadła kropla łoju ze świecy.

– To nie ja wsadziłam te widelce. Zresztą niczego innego też nie – powiedziała Mary z naciskiem.

– Ależ tak, to pani, przecież widziałam! – Catherine uciekła do domu, głośno trzaskając drzwiami.

Mary podążyła za nią, z widelcem i tłuczkiem w jednej ręce oraz świecą w drugiej. Znalazła dziewczynę schowaną za kominkiem.

– Błagam, zostaw mnie w spokoju... – załkała służąca.

– Wstań, Catherine – poleciła Mary. – Zachowujesz się jak dziecko.

Dziewczyna wstała, wytrzeszczając oczy z przerażenia. Widać było, że do jej świadomości dotarła nagle myśl.

– Zabiłaś mojego brata! Wcale nie pomagałaś lekarzowi w kuracji swoimi ziółkami. Ty chciałaś zamordować Williama!

– Nie!

– Tak! – syknęła Catherine. – Tak. Taka jest prawda! Jesteś uczennicą Constance Winston...

– Nie widziałam się z Constance Winston od wielu miesięcy! Może od roku!

– Ale się u niej uczyłaś. Terminowałaś. A teraz jesteś apostołką Mroku!

– Bzdura! Sama najlepiej wiesz, że ja...

Ale dziewczyna już nie słuchała. Odepchnęła pracodawczynię i wybiegła na dwór, prosto w noc.

– Catherine! – zawołała za nią Mary, choć służąca zniknęła w ogrodzie.

Nie miała pojęcia, dokąd ta histeryczka mogła się udać, była jednak pewna, że niebawem wróci. Czyż dziewczyna miała inny wybór?

Mary odwróciła się, słysząc niezborne kroki męża na schodach.

– Co tu się dzieje? – zapytał tonem poirytowanego patriarchy, ewentualnie ojca niezadowolonego z krnąbrnego dziecka. – Gdzie Catherine?

Mary zastanawiała się chwilę nad niedorzecznymi oskarżeniami ze strony tamtej. Potem spokojnym głosem odparła:

– Catherine sądzi chyba, że jestem wiedźmą.

Thomas kiwnął głową. Najwyraźniej całkowity absurd tego twierdzenia sprawił mu ulgę.

– Dlaczego? Nie zauważyłem w tobie żadnych oznak opętania.

– Ponieważ ktoś zakopał na naszym podwórku dwa widelce i tłuczek.

– Widelce się sparzyły i wydały na świat tłuczek? – rzucił sarkastycznie.

– Szykuje się jakaś niegodziwość.

Thomas potarł kark, zły, że go obudzono. Brak służącej też go wyraźnie denerwował.

– Niepotrzebnie się przejęła. Mary Deerfield jest zbyt prostacka na wiedźmę. Poza tym moja żona ma bezpłodne łono, nie może być czarownicą.

Zakłócenie nocnego odpoczynku mogło wywołać różne reakcje, lecz tej Mary zupełnie się nie spodziewała. Natychmiast wzmogła czujność.

– Thomasie – zaczęła ostrożnie – Przecież wiem, że tak naprawdę wcale nie uważasz mnie za prostytutkę. Dlaczego ciągle sprawiasz mi tak... okrutną przykrość?

Wyprostował się nieco. Popatrzył na nią z góry.

– Okrutną? Nie sędzę, żeby ktokolwiek w tym mieście widział we mnie okrutnika. Większość ludzi uważa mnie za uległego jak baranek.

– Oni wcale nie...

– Powściągnij język i nie kwestionuj tego, co ludzie o mnie myślą! Znam mieszkańców Bostonu dłużej, niż ty jesteś na świecie.

– Przepraszam. Chciałam...

– Wiem, co chciałaś. – Westchnął. – Mary, twojej duszy zagraża pycha. Zbyt wielką wiarę pokładasz w swoim kobiecym rozumku. Ty...

Miała ochotę prosić, żeby kontynuował, obawiała się jednak, że odebrałby to jako impertynencję. Czekala, milczenie trwało coraz dłużej.

Wreszcie Thomas podjął:

– Nie doceniasz ról, które Pan Bóg nam wyznaczył, odrzucasz swoją. Ról męża i żony.

– Doceniam – odparła, mając nadzieję, że ton jej głosu przekaże skruchę, której wcale nie czuła.

– Nie. Nieprawda. – Thomas podszedł do żony i spojrzał na widelec oraz tłuczek w jej rękę.

Wziął je, położył na stole, a potem zabrał także świecę i umieścił ją w świeczniku.

– To ty wbiłaś je w ziemię na podwórku? – zapytał, wskazując przedmioty leżące na pomarańczowym blacie.

– To nie ja.

Potarł powieki.

– Cóż, w takim razie przekonajmy się, czy jesteś wiedźmą. Dobrze?

Mary nie miała pojęcia, do czego on zmierza. Tylko jedno zdawało się jasne: Thomasa opanowały gniew i zmęczenie, był w szczególnie paskudnym nastroju. Lewą ręką chwycił ją za lewy nadgarstek i docisnął mocno dłoń do stołu. Rozstawił palce Mary szeroko, uniósł widelec. W mgnieniu oka pojęła jego zamiary. Spróbowała się wyrwać, przerażona, lecz było już za późno.

– Nie, Thomas, nie! – zawołała błagalnie, ale on nie zwrócił na to uwagi.

Wbił zęby widelca w jej rękę. Mary wrzasnęła, zamknęła oczy, a pod jej powiekami zatańczyło światło. Potworny ból przetoczył się falą przez ramię i dalej przez całe ciało. Załkała, zakręciło się jej w głowie. Ból był wszędzie. Wszędzie. Kiedy otworzyła oczy, otworzyła też usta, na jakimś poziomie świadomości pewna, że jej twarz przywodzi na myśl zastygłe oblicze kościotrupa, spękane i udręczone.

Thomas puścił ją i zimnym wzrokiem lustrował to, co właśnie uczynił. Widelec wygiął się nad zębami, które wywierciły w dłoni dziury na wylot między drobnymi kośćmi. Mary nie została przybita do stołu. Lecz gdy uniosła rękę, spłynęła z niej krew niczym z pękniętej butelki wina. Rozdzierający ból, którego właśnie doznała, mógł świadczyć o złamaniach. Opadła na krzesło, całkowicie sparaliżowana zarówno czynem swojego męża, jak i pulsującym rwaniem, bardziej obezwładniającym niż wszystko, czego dotychczas doświadczyła.

– No cóż, więc jednak krwawisz, Mary. I to obficie – powiedział Thomas. – Jak co miesiąc. W takim razie można przyjąć, że moja służąca się myli, a żona nie jest żadną wiedźmą, tylko ma nabiał zamiast mózgu. Po prostu lekceważy plany naszego Pana i Boga wobec nas. Myśli o kurwieniu się. Och, dobrze cię znam, Mary. Znam cię. I teraz widzę jeszcze, że trzeba napalić w kominku. Jak z tym skończysz, ogarnij się trochę. Mam nadzieję, że ta nauczka będzie niczym ziarno zapuszczające trwałe korzeń. Bo dyscyplinę należy egzekwować. Ból przemawia do rozumu. A teraz wracajmy do łóża. – Dumny z siebie pokręcił głową i leniwym krokiem ruszył na piętro.

Mary delikatnie przyłożyła rękaw koszuli nocnej do dłoni. Po chwili zdecydowała się wyrzucić na ranę większy nacisk. Była to próba pogodzenia przeciwieństw: musiała zatamować krwawienie, a zarazem wszelka presja tylko potęgowała ból. Jej umysł z wolna się rozjaśniał. Postanowiła, że jeśli tylko zdoła, spróbuje się przespać. Teraz wejdzie na górę, wsunie się do łóżka obok bestii, ale rankiem, kiedy już przygotują z Catherine śniadanie – zakładając, że dziewczyna się pojawi – a Thomas uda się do młyna, spakuje manatki i zamieszka z rodzicami. Ojciec będzie wiedział, czy powinna najpierw powiadomić woźnego sądowego, czy może od razu pójść do sędziego pokoju. Słyszała plotki, dochodziły do niej różne historie. Znała słowo „rozwód”. Jej mąż nie był święty. Obserwując rosnącą plamę koloru wiśni na rękawie, czując na skórze jej wilgoć, dygocząc z bólu, Mary podjęła decyzję, że rozwiedzie się z Thomasem Deerfieldem.

„(...) widziałam, jak moja pani wbija w ziemię diabelskie zębiska, zakopuje je, ale w jakim celu, tego nie potrafię powiedzieć”.

*Zeznanie Catherine Stileman, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 7

Zdawała sobie sprawę, że przekroczyli Rubikon, bezpowrotnie. Napaść była zbyt brutalna, zbyt gwałtowna. Co więcej, wbijając widelec w jej rękę, Thomas był całkowicie trzeźwy. Wskazywało to na czystą premedytację, która odbierała Mary resztki równowagi. A te twierdzenia o wychowawczym charakterze kary, o nauczce? O tym, jakoby ratował jej duszę? Przeróżające, bo znamionowały koniec wszelkiego poczucia bezpieczeństwa, także wtedy, gdy mąż nie zataczał się pijany.

Rankiem Thomas zażądał zdjęcia opatrunku i obejrzenia ran. Zaczynały się tworzyć strupy: trzy ślady po zębach widelca pokrywał galaretowaty, delikatny, wytworzony przez organizm kataplazm. Odchodził od nich promienisty fioletowy wachlarz o kształcie upiornie przypominającym astry w ogrodzie, całkiem niedawno zgładzone przez mróz. Sięgał od kłykci do nadgarstka. Mary czuła w ranach bicie swojego serca. Czuła je w złamanych kościach.

– Zagoi się – powiedział Thomas.

Nie przeprosił. Być może on także rozumiał, że coś między nimi pękło na dobre. Nie zareagowała. Pulsujący ból sprzymierzył się z gniewem, nie pozwalając przespać nocy, a zmęczenie i dolegliwości mocno Mary osłabiły.

Thomas dostrzegł, że nie napalono w kominku przed śniadaniem.

– Catherine nie wraca – zauważył.

– Nie wraca.

– Pewnie poszła do Howlandów. Wątpię, żeby wybrała się w dzicz albo przyłączyła do Indian odprawiających modły w lesie. Wróci. Jest mi winna jeszcze pięć lat służby. Nie chciałaby karnego wydłużenia. Prawo... No cóż, ona wie, jakie jest prawo.

Mary wprawdzie nie postrzegала jejmości Howland jako osoby szczególnie wspaniałomyślnej, zgadzała się jednak z tezą, że dawna pracodawczyni Williama pozwoliła Catherine spędzić noc w pokoju po zmarłym bracie. Nie wiedziała tylko, w jaki sposób Beth oraz jej mąż, Peter, zareagują na szalone oskarżenia z ust dziewczyny, że jej pani jest wiedźmą. Beth jej nie lubiła, tego Mary była pewna. Niedawno u nabrzeża surowo i napastliwie ją osądziła. Kobieta zazdrościła jej pozycji wyniesionej z rodzinnego domu. I choć zawiść była grzechem śmiertelnym, krzewiła się w każdej ludzkiej duszy niczym chwast, niepowstrzymany w swym wzroście, z którym uczono się żyć. Była

to jednak wada charakteru mniej straszliwa niż skłonność do zła, która każe mężowi wbić widelec w rękę żony.

Tylko w którym przykazaniu z dziesięciorga Pan Bóg zabrania mężczyźnie dźgać kobiety? Zabójstwo jest występkiem, owszem, ale zamach widelcem na żonę? Thomas twierdził, że to środek dyscyplinujący. Mary nie wiedziała, co prawo ich kolonii ma do powiedzenia na temat okrucieństwa mężów wobec żon.

Zastanawiała się, czy nie rozgrzać patelni i nie zrobić mu śniadania. Pomysł szybko zgasł, stanowił jedynie odruch po latach pełnienia obowiązków. Ciekawe, pomyślała, czy on spodziewa się po niej rozpoczęcia przygotowań do posiłku.

Najwyraźniej się nie spodziewał.

– Jeśli Catherine nie wróci do kolacji, zajdź do młyna – przykazał Thomas. – Każę ją sprowadzić. Wątpię, żeby Peter chciał ją wziąć na swój garnuszek albo wykupić ode mnie. Jak się okazuje, podobnie jak ty i ona ma boleśnie tępawy rozumek. – Pokręcił głową, uśmiechając się złośliwie. – Wiele można o tobie rzec, Mary, ale raczej nie to, że jesteś *wiedźmą*. – Odwrócił się i wyszedł z domu. Mary słyszała, jak siodła konia i odjeżdża.

\* \* \*

Rozważała chwilę, czyby nie wybrać się tego ranka do Howlandów i nie dowiedzieć, jakież to bzdury naopowiadała służąca, doznała jednak tak silnego bólu ręki, że ledwie zdołała włożyć kamizelkę i pończochy. Skierowała się od razu do domu rodziców. Porozmawia z matką, a potem razem spotkają się z ojcem. James Burden przyjaźnił się z gubernatorem i sędziami pokoju, będzie wiedział, co zrobić, aby rozpocząć proces rozwodowy z Thomasem Deerfieldem.

\* \* \*

– Co ci się stało? – spytała matka z wyraźnym niepokojem, kiedy Mary zdjęła opatrunek z dłoni.

Stały w salonie domu rodziców, jednego z najokazalszych w całej kolonii. Ściany pokrywały gobeliny przedstawiające angielski pejzaż – łąki, które należały do rodzinnego majątku, gdzie wciąż mieszkał wuj Mary. Miały przypominać, że nawet dzikie miejsca Starego Świata kryją w sobie więcej porządku niż to, co widziało się tutaj. Do izb na piętrze prowadziły szerokie schody z oknem na półpiętrze. Kredens ciągnął się wzdłuż całej prawie ściany. Zdobiło go pięć wspaniałych talerzy, podobnie zresztą jak gzyms kominka. Na przeciwległej ścianie wisiał portret dziadka Mary –

arystokraty, którego nie zdążyła dobrze poznać, ponieważ zmarł, kiedy była jeszcze dzieckiem – pędzła Williama Dobsona. Obok znajdowały się oprawne w ramy mapa Bostonu oraz druga, Nowego Świata. Mieli nawet dwa wyściełane fotele, które James sprowadził w tym roku. Kolejnych sześć sprzedano gubernatorowi, pewnemu prezbiterowi oraz jednemu z sędziów pokoju.

Zanim Mary odpowiedziała matce, spytała, gdzie są służące. Rodzice zatrudniali dwie: Abigail Gathers i Hannę Dow. Dziewczęta przybyły tu razem rok wcześniej, ale nic poza tym ich nie łączyło. Abigail liczyła osiemnaście wiosen, była wysoka, szczupła i rozmowna – niedługo zapewne znajdzie sobie kawalera wśród męskiej części służby. Hanna z kolei skończyła siedemnaście lat, była niska i nieśmiała, a w obecności mężczyzn czuła się boleśnie niezręcznie. Inteligencja Abigail przejawiała się w kuchni, w produkcji różnych mieszanek. Na przykład do duszonej dyni zaczęła dodawać przyprawę własnego pomysłu – przepisem tym Mary podzieliła się z Rebeką Cooper.

– Są poza domem. Abigail doi krowy, Hanna zajmuje się świniami – wyjaśniła matka. – Możesz mówić swobodnie.

Mary zrobiła głęboki wdech i zaczęła:

– Mój mąż wziął jeden z widelców, który przyniosłaś do naszego domu, i próbował przybić mi nim rękę do stołu.

– Co takiego?

– Poza tym mnie bije, mamu. Nikomu o tym jeszcze nie mówiłam. Nie mogę z nim dłużej żyć. Nie mogę żyć z człowiekiem, który diabelskie zębiska wymierza we własną żonę.

– Tamten siniec na twarzy...

– Tak. Tamten siniec. I wiele innych.

Usiadły za stołem w kuchni. Priscilla Burden przyglądała się dłoni córki.

– Polejmy to winem. Potem zrobimy gorący okład. Mam popiół w kominku i trochę tłuszczu po wczorajszej kolacji.

– Wydaje mi się, że kość jest złamana.

– Nie umiesz zrobić szyny? Ja na pewno nie. Trzeba nam iść do lekarza.

Mary kiwnęła głową.

– Bardzo boli? – spytała matka.

– Mniej niż w nocy. Ale wciąż.

– Mam walerianę.

– Mamo?

Priscilla czekała.

– Mówiłam poważnie: nie mogę dłużej żyć z Thomasem.



Matka wstała i wzięła z kredensu mosiężną miskę. Umieściła ją na stole, po czym odkorowała butelkę czerwonego wina.

– To świeża rana. Może zapiec – oznajmiła i wsadziła dłoń córki do miski.

– Zamierzam się z nim rozwieść – podjęła Mary.

– Nie znam się na prawie, gołąbeczko.

– Ojciec się zna.

– Wiem tylko, że Joan Halsell próbowała się rozstać z George'em Halsellem, ale wciąż z nim mieszka.

– Należą do Kościoła?

– Nie. Nie są wiernymi. Nakłaniam cię, żebyś się dobrze zastanowiła. Pan... – Matka urwała, ponieważ Mary wzdrygnęła się z bólu po spotkaniu rany z alkoholem.

Młoda pani Deerfield wypuściła powietrze z płuc.

– Tą sprawą zajmą się sędziowie pokoju, mamó, nie starsi Kościoła.

– Być może. Ale plotki i tak będą.

– Wolałabyś więc, aby jakiś brutal bił twoją córkę czy aby się stała przedmiotem plotek? Chcę wierzyć, że to drugie.

– Starsze panie też potrafią ranić. Ich trucizna działa wolniej, ale ostatecznie wyrządza nie mniejsze szkody.

– Trudno. Jakoś zniosę złośliwości. A takiego życia z nim nie.

Matka owinęła rany ręcznikiem. Odezwała się teraz łagodniejszym tonem:

– Nigdy nie uważałam twojego małżeństwa z Thomasem Deerfieldem za układ idealny. Z pewnością znalazłabyś sobie kogoś odpowiedniejszego, gdybyśmy tylko zostali w Anglii. Nie uznaję go jednak za brutala. Nic nikomu nie wiadomo, żeby bił Anne.

– No cóż – odparła Mary. – W takim razie niedługo będzie wiadomo, że bił mnie.

\* \* \*

Należący do Jamesa Burdena skład przylegał bezpośrednio do komory celnej. Gdy Mary przybyła tam z matką, właściciel właśnie wychodził. Zobaczyła niepokój na twarzy ojca. Ich wizytą nie był szczególnie zdziwiony, ponieważ odwiedzały go dość często. Lęk Jamesa Burdena wzbudził opatrunek na ręku młodej kobiety.

– Wielka to dla mnie radość – zaczął ostrożnie, kiedy stanęły w wejściu. – Ale widzę, że dziś powód wizyty może być zgoła odmienny niż zwykle. Cóż z twoją dłonią, Mary?

– Mój mąż uznał ją za kawałek mięsa i chciał pokroić – odrzekła. – Wracamy prosto od lekarza.

Kiedy ojciec analizował te słowa, podała mu szczegóły, tam, na drewnianych deskach pirsu. Mężczyźni rozładowywali kolejny statek, który niedawno przyplłynął, pojawiło się trzech Indian z sankami pełnymi skór na handel. Ojcowskie oblicze sposepniało.

– Zajmiemy się tym. Sam obiję tego człowieka!

– Ani się waż – zareagowała matka Mary tonem niemal karcącym.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale to niedopuszczalne. Jestem zatrwożony. Chodźmy do Richarda Wildera. To nie tylko mój przyjaciel, ale i sędzia pokoju.

Priscilla spojrzała nieufnie.

– Jesteś pewien, że to właściwy ruch? Co powie Kościół? Myślę o prezbiterach, starszych, pastarze...

– A ja myślę o naszej córce – warknął ojciec w sposób, którego Mary nie znała, ani ze wszystkich lat spędzonych z rodzicami w Anglii, ani z pobytu tutaj, w Massachusetts. – To sprawa cywilna. Małżeństwo jest umową społeczną. Mary i Thomas wzięli ślub przed sędzią pokoju i dopilnuję, żeby przed sędzią pokoju otrzymali rozwód.

– Tego właśnie pragniesz, Mary? – spytała matka. – Jesteś pewna?

Mary nie miała wątpliwości, owszem, lecz powaga własnego żądania, jego realizm, zaczynały ją przerastać. Oczyma wyobraźni ujrzała pastora o srogim wejrzeniu, wysokim czole i małej koziej bródce. Pomyślała o innych wiernych. O małostkowych i okrutnych kobietach w rodzaju Beth Howland, o tym, jak zareagują. A także o Panu Bogu. Co On na to powie? Zachwiała się w swojej determinacji. Wtedy nagle zobaczyła na pirsie Henry'go Simmonsa – młodzieńca zatrudnionego przez Valentine'a Hilla, który pomógł jej po tym, jak niemal została przejechana przez ciągniony przez wołu pojazd. Włosy miał smoliście czarne, jak je zapamiętała, a oczy barwy niebieskich jagód w pierwszych miesiącach sierpnia. Dziś włożył pospolitą kurtkę, a w ręku trzymał księgę rejestrową. Uznała, że nie tylko służy u Hilla, lecz jest tam kimś więcej: pełnoprawnym pracownikiem, może praktykantem. Simmons również zauważył Mary i z uśmiechem uchylił kapelusza. Widok tego człowieka wywarł na niej silne wrażenie, uznała to za znak.

Prostując plecy, zwróciła się do rodziców:

– Nie mam najmniejszych wątpliwości. Stanowczo tego chcę. Leczenia wymaga także moje serce. Im szybciej zacniemy, tym szybciej się zagoi, podobnie jak ręka.

„Nie. Nigdy. Nigdy nie widziałam, aby mój pan skrzywdził Mary Deerfield. Ani razu”.

*Zeznanie Catherine Stileman, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 8

Mary Deerfield i jej rodzice spotkali się z Richardem Wilderem w południe, zanim sędzia pokoju wyszedł na obiad. Jego urząd mieścił się w nowym ratuszu miejskim, topornej drewnianej budowlu, mającej zaledwie dwa lata, którą gmina wzniosła na samym początku State Street. Ratusz miał trzy kondygnacje, bliźniacze kopuły, wielkie kominy oraz szerokie okna pod szczytem drugiego piętra. Wokół kopuł biegła grodzona rampa widokowa, z której można było podziwiać całe miasto, ledwo trzydziestoletnie, rozciągające się od morza we wszystkich kierunkach. (Mary pamiętała, że rok temu stali na tym balkonie z Thomasem i obserwowali powstawanie Bostonu, co skojarzyło jej się z falą przyływu, która nie powraca. On natychmiast ją skorygował, twierdząc, że przecież przyływ nanosi tylko wodorosty, martwe homary i szczątki zatopionych statków). Dyby pod budynkiem były dziś puste, na postumencie z pręgierzem nic się nie działo. Słońce poruszało się za płynącymi obłokami z białej waty, cienie chmur rzucały na bruk plamy przypominające kałuże.

Sąd Cechowy urzędował na pierwszym piętrze, gdzie znajdowały się dwie rozległe sale. Dziś nie prowadzono żadnej rozprawy, gubernatora też nie było, więc panował tu spokój. Jedynie kilku radnych oraz samotny rejent czekali na Richarda Wildera z pismem procesowym. Na tymże piętrze rozplanowano również mniejsze pomieszczenia, w tym zwykle zamknięty składzik papieru, atramentu, gęsich piór oraz nożyków do ich ostrzenia. Wilder miał klucz. Weszli do środka, by porozmawiać na osobności. Pośrodku tkwił stół, na ścianach półki i wieszaki, nie było jednak ani ławki, ani żadnego krzesła. Na jednej z półek stały trzy egzemplarze *Księgi Praw Powszechnych oraz Swobód Mieszkańców Massachusetts*.

Sędzia pokoju był mężczyzną wysokim, szczupłym do stanu wychudzenia i łysym, nie licząc wianuszka siwej szczeciny nad uszami i przy potylicy. Zbliżał się do sześćdziesiątki, mieszkał w tej kolonii prawie od jej założenia. Przybył do Bostonu w 1634 roku, zaledwie cztery lata po pierwszych okrętach. Zaprzyjaźniony z gubernatorem i jego zastępcą, pracował w Sądzie Cechowym od 1650 roku. Miał pociągłą, pasującą do długiego ciała twarz, co dodatkowo uwydatniał brak wąsów i brody. Mruknął pod nosem coś na temat coraz chłodniejszej pogody, zdjął z kołka pelerynę, po czym okrył się nią szczelnie.

James Burden wskazał na rękę Mary, prosząc, aby opowiedziała Richardowi o tym, co zrobił jej Thomas. Sędzia słuchał, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie albo prosząc o dodatkowe

wyjaśnienia. Kiedy skończyła, zwrócił się do jej ojca:

– Widelce? Z trzema zębami? Po co, Jamesie?

– Trzeba ci wiedzieć, że jednego z nich używał sam gubernator Winthrop. Nie ma w Biblii ustępu, który by tego zabraniał – odrzekł Burden. – Próbowaleś kiedy?

– Nie.

– Prześlę ci zestaw. W prezencie.

Mary czuła, jak jej dłoń pulsuje, staje się coraz gorętsza. Żałowała, że nie ma tu krzesła, na którym mogłaby spocząć. Boston żadną miarą nie mógł się równać wielkością z Londynem, często przemierzała jego brukowane ulice, ale dzisiejsza wędrówka do domu rodziców, a potem tutaj mocno ją zmęczyła. Miała ochotę przynajmniej oprzeć się o ścianę. I nie wiedziała, co sądzić o pierwszych pytaniach sędziego, koncentrujących się na trójzębnych widelcach sprowadzanych przez jej ojca do kolonii.

– Najpierw musiałbym się skonsultować z pastorem – mruknął Wilder. – Żona nie byłaby zadowolona, gdyby taki trójzębny przedmiot znalazł się w naszym domu bez błogosławieństwa wielbnego Nortona.

– Oczywiście – zgodził się Burden. – To prawdziwie boży i rozsądny człowiek.

– Powiedz mi: który sędzia udzielał ci ślubu z Thomasem? – zwrócił się z pytaniem do Mary Wilder.

– Samuel Prower. Zmarł przed dwoma laty.

– Brakuje mi go. Dobry był z niego człowiek.

– Owszem – przytaknęła Mary.

– Rozwód to niełatwa sprawa. W swojej wieloletniej karierze widziałem tylko garstkę takich orzeczeń.

– Które zapadły w jakich okolicznościach? – wtrącił się ojciec.

Wilder zrobił głęboki wdech i potarł powieki.

– Pierwszy uzyskała Elizabeth Luxford. To było w roku 1638, jak sądzę. Nie, w 1639. Roku suszy. Jej mąż, którego imienia nie pomnę, miał już żonę, w Anglii. Sąd zgodził się na rozwiązanie małżeństwa Elizabeth, byłego męża zakuł w dyby i ukarał słoną grzywną. A potem odesłał. W 1644 podobnie się stało z Anne Clarke, która wniosła sprawę po ucieczce małżonka z kolonii. Mężczyzna ten zamieszkał z inną kobietą i żył z nią w grzechu.

– A pozostałe przypadki? – zaciekała się Mary.

– Odkąd pracuję w tym sądzie, orzekaliśmy pozytywnie na wniosek powodów na podstawie ucieczki współmałżonka albo aktów cudzołóstwa. Sprawy wygrały: Margery Norman, Dorothy

Peter, Dorcas Hall. No i jest jeszcze świeży kazus, szalony.

– George i Joan Halsellowie – rzuciła matka Mary.

– Tak. Znasz ich, Priscillo?

– Nie znam. Ale wiem, co ludzie mówią.

Wilder pokiwał głową.

– Byłbym zdziwiony, gdybyś utrzymywała stosunki towarzyskie z kimś takim jak oni.

– Proszę mówić dalej – przerwała im Mary.

– Kilka lat temu jejmość Halsell twierdziła, że mąż wykorzystuje płciowo niejaką Hester Lug i jest nieczysty po kontaktach z tą kobietą. Ja uwierzyłem owym oskarżeniom, ale sąd orzekł, iż George może nadal pozostawać z związku z Joan i się nim cieszyć, bez względu na popełnione grzechy. Do dziś mieszkają razem.

– Ona musi czuć się strasznie – skomentowała pani Burden.

– Zapewne. A proces okazał się swoistym spektaklem. – Sędzia obrzucił wzrokiem Mary. – Zakładam, że wie pani, iż również jej rozprawa przed Sądem Cechowym odbędzie się publicznie.

– Wiem.

– Moim zdaniem są powody do wniesienia pozwu. Ponieważ pracuję w tej instytucji, byłoby rzeczą niewłaściwą, gdybym udzielał wam porad, ale podstawy do wniesienia wniosku są solidne. Thomas pobił panią dotkliwie. Zaatakował panią, jak się zdaje, bez żadnej przyczyny.

– Tak – przyznała Mary tonem twardym i niewzruszonym, mimo słabości i bólu, jakie ją ogarniały. – Nigdy nie dałam mu powodu.

Burden spojrzał na nią, jego oczy wędrowały od ręki do twarzy córki. Dopiero podczas spotkania z sędzią padło podejrzenie, skąd wzięły się sińce ukrywane tak długo pod kornetem. Rankiem Mary otwarcie wyznała prawdę matce. Czyżby ojciec domyślił się teraz przyczyny zasinień? A może rodzice podejrzewali to już wcześniej?

– Powiedz, Richardzie – odezwał się James. – Orzekaliście rozwody z powodu odejścia małżonka oraz aktów cudzołóstwa. A co z maltretowaniem?

– Nie. Takich nie było. Ale to nie znaczy, że twoja córka nie ma podstaw do wnioskowania o ten skrajny środek zapobiegawczy. Żaden mąż nie ma prawa bić żony. Sąd będzie jednak potrzebował dowodów winy. Pani dłoń, Mary, oraz wszyscy, którzy ją widzieli, sugerują mocne podstawy dla tej straszliwej petycji.

Mary przytaknęła. Czerpała pociechę z faktu, że Thomas zmasakrował jej lewą, nie prawą rękę. Sędzia musiał zauważyć niepewne spojrzenie na opatrunek, ponieważ uśmiechnął się krzepiąco.

– Mary, pani ojciec i matka to ludzie znakomitej reputacji, wierni Kościoła – rzucił, a potem mrugnął do Burdena. – Jeśli nawet ten pierwszy próbuje przemycić do mojej jadalni trochę diabelskich wynalazków.

James wywrócił oczyma na ową żartobliwą połajankę.

– Ale – ciągnął Wilder – pani mąż jest również człowiekiem szanowanym, o dobrej opinii. Też chodzi do kościoła. Co oznacza, że proces wzbudzi ogromne zainteresowanie.

– Proces przeżyję. Mieszkania z Thomasem Deerfieldem nie.

– Zakładam, że zechce się pani przeprowadzić do rodziców na czas postępowania sądowego?

Mary obrzuciła wzrokiem wymienionych. Wcześniej nie przyszło jej do głowy pytać. Ojciec już kiwał twierdząco głową.

– Tak – odparła.

– W takim razie rozpocznę stosowne procedury jutro. Sąd Cechowy ma się zebrać za dwa tygodnie, wtedy też dojdzie do rozprawy. Potrzebny pani rejent? Ktoś, kto będzie odbierał zeznania i pomagał przy świadkach?

– Kogo byś nam polecił, Richardzie? – zapytał James. – Przy sprawach biznesowych korzystam z usług Charlesa Propera.

– Proper to dobry fachowiec. Jednak w tym przypadku? Poproście Benjaminą Hulla. Doświadczony w pisaniu pozwów natury bardziej cywilnej. Prowadzi biuro na rogu High i Mill Street. Pełen zapału jegomość. Skrupulatny do przesady, lecz to zaleta, biorąc pod uwagę jego profesję.

– Świetnie.

– I zawsze lepiej wziąć rejenta niż adwokata. Wiem, że coraz więcej osób ucieka się do pomocy owych okropnych kauzypierdów, którzy wiją się i kręcą, na szczęście wciąż liczni sędziowie traktują ich z uzasadnioną wzdrganiem.

– Zgoda – mruknął James.

Wilder mówił dalej, dobrodusznym tonem:

– Mary, krok, który zamierza pani wykonać, niesie ze sobą poważne konsekwencje. Tak dla pewności: może wolałaby pani jeszcze to przemyśleć?

– Nie. Chcę wrócić do domu po parę rzeczy, diariusz i Biblię, a potem udać się prosto do rodziców.

– Thomas jest nadal w młynie?

– Albo w gospodzie. Sądzę, że wróci do domu na kolację, a kiedy zastanie zimny kominek i puste pokoje, pójdzie zjeść gdzieś indziej.

– A co z dziewczyną?

Mary milczała. Nie mogła już dłużej znieść tego stania. Oparła się o ścianę, przepraszając. Dopiero wtedy odrzekła:

– Dziewczyna wczoraj uciekła.

– Przed czy po tym, jak Thomas dźgnął panią widelcem?

– Przed.

– Zatem nie widziała napaści?

– Nie widziała. – Niepokój malujący się teraz na twarzach rodziców był aż nadto jaskrawy.

– Gdzie ona jest? – spytał Wilder.

– Nie wiem. Niewykluczone, że już w domu. Przypuszczam, że była u Beth Howland, gdzie jej brat pełnił służbę przed swoją śmiercią.

– A dlaczego uciekła?

Mary zaczęła kręcić głową. Wszystko stawało się skomplikowane i absurdalne, obracało się wokół tych przeklętych widelców. Poczula, że osuwa się na podłogę. Spróbowała zebrać wszystkie siły, by wstać, ale ich po prostu nie miała, zupełnie nie miała – umknęły wskutek pulsującego bólu ręki i gorączki, która wspinała się w górę ramienia, z powodu gniewu, frustracji, poczucia niesprawiedliwości i strachu. To było zbyt wiele. Mary upadła na drewniane deski. Matka i ojciec klęczeli nad nią, sędzia zaś spoglądał z góry z mieszaniną konfuzji i obawy. Bardzo zaprażyła napić się wody.

– Mary! – powiedziała matka. – Nie ruszaj się! Leż spokojnie!

Kiwnęła głową. Sędzia nie wiedział, czy powtórzyć pytanie, czy nie.

Wreszcie Mary odezwała się do wszystkich:

– Moja służąca odeszła, ponieważ myślała, że zakopałam widelce w ziemi. Przy ścieżce wiodącej do naszego domu. Uciekła, bo się bała, że używam ich do jakiegoś zaklęcia. Sądzi, że...

Urwała, wydało jej się to bowiem zbyt śmieszne. Niedorzeczne. Nie zniosłaby wypowiedzenia tych słów.

– Proszę mówić dalej – polecił sędzia pokoju.

Mary więc kontynuowała.

– Uciekła, gdyż uznała mnie za wiedźmę.

Matka, już i tak zdenerwowana wszystkim, co się dotąd wydarzyło, zerknęła na ojca wstrząśnięta. W oczach miała strach.



Gdy Mary wróciła z rodzicami do swojego domu, nie zastali tam ani Thomasa, ani Catherine. Całą trójką weszli do środka. Kominiek był zimny. Na wyraźne polecenie ojca wrócili na podjazd.

– Gdzie znalazłaś te widelce i tłuczek? – zapytał Burden.

Mary pokazała. Ślady po jej wykopkach pozostawały widoczne w postaci małych pryzm ziemi.

– Powiedziałaś Richardowi, że to nie ty je tam umieściłaś. To prawda?

– Tak – odparła drżącym głosem, ponieważ zdawała sobie sprawę, że nie wyjawiała wszystkiego.

Nie umieściła ich tam za pierwszym razem. A tłuczka w ogóle. Ale widelce oddała ziemi, wbiła je w grunt, jak się wbija paliki. Rozumiała podtekst kryjący się za pytaniem ojca. Czyżby skłamała? Czyżby jednak zgrzeszyła? Sama nie była tego pewna, lękała się tylko, że tak właśnie jest.

– Skoro wcześniej odkryłaś te widelce i skoro skonfrontowałaś się z Catherine, po co znowu wychodziłaś z nimi nocą?

– Jamesie, skończ przesłuchiwać naszą córkę! – wtrąciła się Priscilla.

– Próbuję lepiej zrozumieć całą sprawę. Sędziowie na pewno będą o to pytać. – Ojciec odwrócił się z powrotem ku Mary i podjął: – Nie chciałem mówić zbyt ostro, gołąbeczko.

– Wiem – odrzekła. I poczuła, że teraz musi powiedzieć prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, ze względu na samą sprawiedliwość i dla dobra własnej duszy. – Umieściłam te widelce ponownie tam, gdzie je znalazłam, w nadziei, że stojąca za tym wszystkim osoba nie dowie się, iż je odkryłam.

– Od samego początku podejrzewałaś więc, że to magia i gusła?

– Owszem.

– Ludzką ręką czynione czy diabelską? – zapytał ojciec.

– Ludzką.

– Mary... – powiedziała jej matka ostrożnie. – Wiem, jak bardzo pragniesz dzieci. Mów: czy chciałaś w ten sposób rzucić urok?

– Mamo! Co diabelskie zębiska mogą mieć wspólnego z dziećmi, na litość boską?

– Chciałam się tylko upewnić. Nic ponadto. Muszę wiedzieć, czy moja córka nie została zwiedziona przez Diabła lub Jego sługi.

– Przecież to ty przyniosłaś widelce do tego domu! To twój mąż sprowadził je do tego miasta!

Ojciec pokręcił głową:

– To tylko sztucce.

– Właśnie – przytaknęła matka.

– Ale – podjął Burden – skoro nawet ty, mimo całej swej bystrości, mogłaś opacznie zrozumieć ich zastosowanie i zobaczyć w nich błyskotkę, którą Szatan macha nam przed oczami, podobnie

mógł pomyśleć każdy. A to ważne, ze względu na podejrzenia twojej młodej służącej. Wszyscy wiemy, że nawet najbardziej niedorzeczne, nonsensowne oskarżenia przynoszą czasem opłakane skutki.

– Cały ambaras związany z widelcami miał swój początek w tym miejscu. Tutaj też się zakończy – oznajmiła Mary.

Uniosła ranną dłoń, zła, że rodzice tracą z oczu prawdziwą zbrodnię. Matka ją głąskała po plecach szerokimi, łagodnymi ruchami.

Ojciec skierował się ku tylnej części domu, kobiety poszły za nim. Zobaczyli, że krowa rasy dewońskiej rozpaczliwie wymaga dojenia, więc Priscilla złapała za wiadro i zajęła się zwierzęciem. James tymczasem rozsypywał ziarno kurom. Mary zagapiła się na ogródek warzywny, który nie został całkowicie przygotowany do zimy – wielkie brązowe liście dyni wciąż czekały na zmianę w mulcz. Dalej rozciągała się łąka, na której wydzielili z Thomasem część do uprawy chmielu. Stały tam wysokie tyczki, obecnie puste, ponieważ szyszki zostały zebrane wraz z ostatnimi warzywami.

Po pewnym czasie Mary wróciła z matką do domu, na piętro. Tam do skórzanej sakwy spakowały trochę ubrań oraz kilka innych przedmiotów, które pani Deerfield chciała zabrać. Priscilla zaproponowała, że poniesie dodatkową parę butów Mary. Wszystko to nie trwało długo. Zgromadziwszy rzeczy, obie kobiety raz jeszcze omiotły wzrokiem skromne pomieszczenie.

– Uspokój mnie, Mary – odezwała się cicho matka. – Zapytam tylko raz. Nie bawisz się w żadne czarnoksięstwo, prawda?

– Prawda – odrzekła jej córka.

Poczuła zarazem strach. Może faktycznie umieściła widelce z powrotem w ziemi, ponieważ liczyła na to, że ich obecność tchnie życie w jej bezpłodne łono? Czy stanowiły ofiarę dla Diabła, swoistą rekompensatę? *Zanoszę ci moje posłuszeństwo i oddanie w zamian za twoją obietnicę, że urodzę dziecko?* Tego dnia przeszła tak wiele, spała tak mało, że cały organizm dygotał z bólu. Zadawano jej tyle pytań, że nic już właściwie nie wiedziała, a to podsyciło jej obawy o stan własnej duszy oraz przyszłość w niebie.

Przed wyjściem napisała liścik do Thomasa i położyła go na stole, przy którym jadali. Informowała w nim, gdzie jest i że nie wróci. Tłuczek, który wyciągnęła z ziemi, leżał na półce. Gdy matka się odwróciła, Mary złapała go i wsunęła do sakwy.

„Być może Mary Deerfield jest bezpłodna, tak, ale czy nieczysta? Nie będę udawać, że to wiem. Tylko nasz Pan i Zbawiciel może stwierdzić, z jakich powodów nigdy nie poczęła dziecka”.

*Zeznanie lekarza, doktora Rogera Pickeringa, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 9

Mary zaproponowała, że pomoże matce i Abigail, starszej z dwóch służących rodziców, przygotować kolację, ale nie chciały jej na to pozwolić ze względu na obrażenia ręki. Priscilla stanowczo kazała córce odpocząć, a sama wzięła się do mieszania w garnku purée z kukurydzy i fasoli. Kiedy się zagotowało, dodała trochę masła i czosnku. Abigail wyjęła z pieca chleb i jeleninę, a następnie zaczęła nakrywać do stołu. Mary ulżyło, że nigdzie nie widać diabelskich zębisk. Druga panna służąca, Hanna, wyszła z domu nakarmić inwentarz. Nadciągał zmrok, a ojciec miał wrócić ze swego składu. Trzy kobiety rozmawiały, lecz tylko Mary siedziała na krześle z wysokim szczebelkowym oparciem.

Nagle usłyszały stukot końskich kopyt, a chwilę potem odgłos butów na podjeździe. Abigail poszła otworzyć drzwi, nim niespodziewany gość zdążył zapukać. W progu stał Thomas.

Zdjął kapelusz i uklonił się teściowej oraz żonie.

– Dobry wieczór, Priscillo – powiedział.

Mary nie wiedziała, co sądzić o jego tonie. Zdawał się niemal speszony.

– Thomasie – odrzekła, ledwie zwróciwszy uwagę na zięcia.

Ten popatrzył więc na Mary.

– Chcesz już wrócić do domu? Jesteś gotowa?

Abigail zerknęła na swoją panią. Spytała, czy ma przygotować dodatkowy talerz dla gościa.

Zanim starsza kobieta zdążyła zareagować, Thomas rzucił:

– Jeśli już, Abigail, to dziś przy stole zasiądzie jedna osoba mniej. Myślę, że moja żona przyjmie moje przeprosiny i pójdzie ze mną do domu.

– Przepraszasz za wicie mi w rękę diabelskich zębów? – odezwała się Mary.

Westchnął.

– Niczego podobnego nie zrobiłem. Taka jest prawda.

– A oto dowód. – Uniosła owiniętą w bandaż dłoń. – Nie sposób kłamać, gdy prawda jest równie oczywista.

– Przecież to imbryk zawinił.

Mary na chwilę oniemiała z powodu jego bezczelności. Zebrawszy się w sobie, spytała:

– Twierdzisz, że uderzyłeś mnie w rękę dzióbkiem gorącego czajnika?

Thomas potarł powieki, opuścił ramiona wzdłuż boków i popatrzył Mary w oczy.

– Zbyt wolno zareagowałem, kiedy się potknęłaś, niosąc imbryk. Powinienem być cię złapać. Przepraszam. Nigdy nie zapomnę twojego upadku oraz widoku wbijającego się potem dzióbka w dłoń. Gdybym był młodszy, pewnie oszczędziłbym ci tego bólu. Błagam o wybaczenie, jak tylko grzesznik potrafi.

– Zamierzasz dalej bezwstydnie kłamać? Szczerze sądzisz, że będę chciała wrócić do domu gwałtownika i łgarza?

– Cieszę się, że przynajmniej woda nie była wrząca.

Ta zuchwałość zdumiała Mary. Czy on naprawdę gotów był utrzymywać, że potknęła się, niosąc imbryk?

– Nie – oznajmiła stanowczo. – Nic takiego się nie zdarzyło – dodała i zobaczyła, jak Abigail zerka na panią domu. Dziewczyna czuła się nieswojo, nie wiedząc, czy ma zostać, czy raczej zniknąć.

– Pomóż Hannie z inwentarzem, proszę – zwróciła się pani Burden do Abigail.

Służka, której wyraźniej ulżyło, wycofała się chyłkiem na zewnątrz. Priscilla obrzuciła wzrokiem zięcia – w istocie swego rówieśnika – po czym dodała:

– Niebezpiecznie igrasz z własną duszą.

– Czy to bardziej niebezpieczne, Priscillo, niż sprowadzanie przez twojego męża trójzębnych widelców do naszej gminy? Bardziej niebezpieczne od tego, że twoja córka używa owych diabelskich przyrządów do odprawiania czarów? Wasza rodzina naraża cały Boston na gniew Pański. A ja jestem mężczyzną, który chce tylko powrotu żony do domu, tam, gdzie według Boga i prawa jest jej miejsce.

– Wszyscyśmy grzesznikami, owszem. Ale niektórzy obrzydliwsi od innych – powiedziała matka.

– Nie jestem czarownicą, Thomasie – wtrąciła Mary.

– Catherine się obawia, że jesteś.

– To pomyłka.

Thomas pokiwał głową.

– Zgoda. Nie chciałbym twojego powrotu, gdybym podzielał zdanie służki. Mimo wszystko oskarżenie jest poważnego kalibru.

– Nawet z jej ust? – spytała Priscilla. – Dziewki, która ma przed sobą jeszcze wiele lat kontraktowej służby?

– Największym grzechem jest pycha, Priscillo – odparował Thomas tonem pełnym zadumy, co było dlań nietypowe. – Wszyscy to wiemy. We mnie nie ma żadnej. Znam swoje słabości i swoje uchybienia. Przepraszam z całego serca za ostre słowa, które czasami do ciebie wypowiadam, Mary. Jednakże, Priscillo, bądź pewna, że nigdy nie uderzyłem twojej córki, a tym bardziej nie byłbym zdolny jej napaść tak, jak sugeruje, tymi diabelskimi przedmiotami pokusy, które twój mąż upiera się sprowadzać.

– Chcę, żebyś stąd wyszedł – oznajmiła Mary, z trudem walcząc ze łzami.

Pragnęła coś oznajmić, ale bez lamentowania nad tym – wiedziała bowiem, że nie będzie żałować słów, które zamierzała wypowiedzieć.

– Nigdy więcej nie będę z tobą sam na sam.

– Nieładnie tak się zarzekać.

– Bo w takich okolicznościach mnie zaatakowałaś.

– Jesteś moją żoną.

– A ty moim mężem, jeszcze. Ale to się zmieni. Miarkuj sobie, Thomasie Deerfield, to się zmieni.

– Zastanów się, Mary. Wiem, że twój umysł jest...

– Czym? Nabrałem? – dokończyła za niego zdanie. – Czyż nie to ciągle głośisz?

Uśmiechnął się. Twarz miał starszą niż kiedyś, wciąż jednak tak przystojną, jaką pamiętała z czasów odległych jak dzieciństwo. Pokręcił głową.

– Wiem, że cechuje cię bystry umysł. Zawsze byłaś wspaniałą towarzyszką życia. Wdzięczny jestem, że przed laty znalazłaś drogę do mego serca, i wierzę, że znów tam zamieszkas. Dziś pozwolę ci przenocować pod dobrą opieką rodziców.

Mary uznała, że tym sposobem rozmowa jest skończona. Matka jednak najwyraźniej miała do Thomasa jeszcze jedno pytanie.

– Powiedz mi, proszę – rzuciła Priscilla – gdzie jest Catherine.

– W moim domu. Błędnie zakładałem, że Mary tam powróci, więc odebrałem służkę od Petera Howlanda. Lecz skoro Mary tu zostaje, sam nie wiem, dokąd Catherine się teraz uda.

– Będą krążyć plotki.

– Owszem. Ale jest też prawo. Spodziewam się dojść z Peterem do porozumienia. Chcę mu płacić za noclegi Catherine. W ciągu dnia będzie pracować u mnie, doglądać zwierząt, gotować i sprzątać. Wierzę, że układ ten będzie obowiązywać krótko, gdyż niebawem moja żona zrozumie absurdalność swoich oskarżeń i wróci do domu. Tam, gdzie jej miejsce i gdzie chce ją widzieć Bóg.

Po tych słowach Thomas włożył kapelusz i życząc im dobrej nocy, wsiadł na konia, a następnie zniknął w zapadającym nad miastem zmierzchu.

\* \* \*

Nazajutrz rano Mary i jej ojciec spotkali się z Benjaminem Hullem. Przybyli do biura rejenta dokładnie w tej samej chwili, co właściciel. Miał on na sobie wodoodporną pelerynę z kamlotu, ufarbowaną na czerwono. Gdy zostawił ją na wieszaku, Mary zauważyła, że kołnierz i rękawy są nieskazitelnie czyste, idealnie białe, niczym chmurka, którą widziała na zimnym, błękitnym niebie, kiedy szła tutaj z ojcem. Kaftan prawnika był soczyście zielony. Wszystko w tym człowieku zdawało się tchnąć dbałością, włącznie z czarną brodą, jakby wyrzeźbioną w zgodzie z linią zuchwy i podbródka. Mary pomyślała, że pewnie ma dziesięć lat więcej od niej.

Biuro było małe, ściany bielone, lecz surowe. Na blacie leżały gęsie pióra i stały kałamarze w doskonałym szeregu, niczym żołnierze na defiladzie.

Mimo chłodu na zewnątrz Hull otworzył okno na zawiasach, aby wpuścić do pomieszczenia więcej światła. Potem usiadł za biurkiem, goście zaś na ławce, naprzeciwko. Rejent z wielką pieczołowitością gładził kartkę papieru, słuchając o powodach pojawienia się interesantów oraz o ich oczekiwaniach względem niego. Kiedy skończyli mówić, wychylił się naprzód i rzekł:

- Nie wspomnieli państwo o żadnych świadkach okrutnego czynu Thomasa Deerfielda.
- Są świadkowie słów, które do mnie wypowiedział – odparła Mary.
- Mówiła pani komuś o biciu?
- Znajoma, pani Cooper, zauważyła sińce. Podobnie mój zięć Jonathan Cooke.
- Przyda się.

James Burden, pochyliwszy się, dodał:

- Matka Mary i ja też je zauważyliśmy.
- A Beth Howland? Czy wydała jaki komentarz?
- Niewykluczone, że i ona widziała sińce – stwierdziła Mary. – Lecz z pewnością niezbyt przychylnie się o mnie wypowie.

Rejent złożył ręce na biurku.

- Dają mi państwo mało czasu. Sąd zbiera się za niecałe dwa tygodnie.
- Czy podszedłby pan do sprawy inaczej, gdyby zbierał się za miesiąc lub więcej? – zapytał Burden.

- Sugeruje pan, żebyśmy poczekali do kolejnego posiedzenia?

– Być może – mruknął James.

Lecz myśl o przedłużaniu w czasie tego czyśca, o byciu i niebyciu mężatką zarazem, była dla Mary nieznośna. Pragnęła rozvodu jak najszybciej, najlepiej od razu. Chciała być wolna.

– Dużo pracy to wszystko wymaga? – spytała reagenta.

– Będę musiał zebrać zeznania świadków i dopilnować, aby chociaż niektórzy z nich stawili się przed sądem, gdy ten zajmie się rozpatrywaniem pani pozwu. A to oznacza, że trzeba ich znaleźć i z każdym porozmawiać.

– Lista nie jest długa.

– Owszem, nie jest – zgodził się Hull. – Mimo to wymaga czasu. Weźmy na przykład Catherine Stileman. Albo Rebeka Cooper. Lub też właściciele gospód, gdzie Thomas mógł wykazywać swoje skłonności do czynów nagannych, będąc pod wpływem upojenia. To może być ważne, Mary, i zagadnienie to zamierzam z pełną werwą zbadać. Będę również chciał spędzić nieco czasu z pani rodzicami oraz z nią samą w celu upewnienia się, że postępowanie sądowe nie jest dla państwa czarną magią i dadzą sobie państwo radę z pytaniami sędziów.

– Znam Richarda Wildera! – oznajmił James Burden.

W uszach jego córki zabrzmiało to jak przechwałka. W uszach reagenta najwyraźniej też.

– Zna pan go jako przyjaciela – powiedział Benjamin Hull. – Ale wątpię, aby miał pan z nim do czynienia w roli sędziego pokoju.

\* \* \*

Wieczorem na kolację przyszli Valentine Hill z żoną. Mary zwróciła uwagę, że matka nie kazała Abigail położyć na stole trójzębnych widelców. Jedli ziemniaki gotowane w węglach oraz dzikiego indyka, które służące upiekły na rożnie. Mary nie miała apetytu, co częściowo przypisywała nagłej i przykryj zmianie w swym życiu, częściowo zaś bólowi, który nie opuszczał ręki. Gdy zdjęła opatrunek założony dzień wcześniej przez lekarza, strupy wyglądały okropnie, a siniec miał kolor jeżyn.

Państwo Hillowie przypominali Mary rodziców: ludzi zamożnych i uprzywilejowanych w stopniu należnym zaledwie kilku innym rodzinom w Bostonie. Cała czwórka dobrze znała gubernatora Johna Endicotta, siadała w sąsiednich ławkach w Pierwszym Kościele i często rozmawiała z pastorem Johnem Nortonem na temat jego kazań. Tyle że Hillowie mieli całkiem siwe włosy, Valentine mocno utył, nos Eleanor zrobił się czerwony, a palce sękaty od upływu lat. Sprawiali wrażenie znacznie starszych od rodziców Mary, choć może było to tylko złudzenie.



Usługiwały im Abigail i Hanna. Po modlitwie panowie zaczęli rozmawiać o przybywających okrętach i ich zawartości. Mary odpłynęła myślami. Zarówno ojciec, jak i Valentine postrzegali swoją pracę jako ważną dla całej kolonii, a fakt, że uczyniła ich bogatymi – jako dowód własnego uświęcenia. W pewnej chwili Eleanor Hill zapytała o dzikich, których widziała w porcie rankiem, jak oddawali się handlowi. Ciekawe, powiedziała, czy Indianie z modlących się miast Nowej Anglii staną się tu kiedyś widokiem powszechnym.

Mężczyznom perspektywa pojawienia się tych ludzi w bostońskich kościołach zdała się nieprzyjemną, lecz Eleanor nie ustępowała, aż wreszcie jej mąż się uśmiechnął i rzekł:

– Wygadujesz niedorzeczności podobne do tych, którymi raczy nas siostrzeniec. Henry również dostrzega w nich zalety, jakimi Bóg chyba ich nie obdarzył.

Słyszając to imię, Mary lekko się wyprostowała.

– Henry Simmons?

– Tak – potwierdził Valentine Hill, po czym włożył do ust łyżkę z kawałkiem ziemniaka i przeżuwał go ze smakiem. – To mój siostrzeniec. A właściwie siostrzeniec Eleanor. Przyjechał do nas w tym roku, z Yarmouth. Skąd go znasz?

– Właściwie to nie znam – odrzekła Mary. – Któregoś dnia pomógł mi po tym, jak zostałam nieomal przejechana przez zaprzęg. Sądziłam, że ten człowiek to służący.

Valentine pokręcił głową.

– Nosi się biednie, lecz umysł ma dobry. Znakomity nawet. Kiedyś może przejąć moje interesy, ponieważ nie mamy synów. Musi jednak zmienić nastawienie.

– Uderzył cię zaprzęg? – wtrąciła się matka. – Nic nie mówiłaś!

– Bo nie było o czym, mamó.

– Siostrzeniec Valentine'a udzielił ci pomocy?

Mary skinęła głową.

– To dobry chłopak – oznajmił Hill. – Może trochę za bardzo wygadany i zbyt pewny swojej pozycji na tym świecie. I na następnym. Sympatyk radykałów. Przestaje z wykluczonymi, biednymi i dzikimi.

Eleanor się roześmiała.

– Ty też przestajesz z dzikimi! Tyle z nimi handlujesz!

– Handlować z nimi to jedno – sprostował Valentine. – A zupełnie co innego nie uznawać ich miejsca w hierarchii ustanowionej przez Pana. – Zwrócił się teraz do Mary z bezpośredniością, z której słynął: – Ojciec twój powiada, że planujesz się rozwieść z Thomasem.

– Tak – potwierdziła.

– To człowiek bogaty. Więc i ty możesz zostać bogatą kobietą – ciągnął Valentine. – Jeśli sąd wyda korzystny dla ciebie wyrok, otrzymasz jedną trzecią majątku. Twoja pozycja wzrośnie niepomiarowo.

– Nie dlatego żądam procesu – skwitowała Mary. Poczuli się urażeni podobną sugestią.

– Oczywiście, że nie – przyznał Hill. – Miałem na myśli wyłącznie kwestie prawne.

– Nie wyobrażam sobie powrotu Mary do człowieka, który gotów jest ranić własną żonę widelcem – dodała Eleanor, zdegustowana samą myślą.

Prawdę mówiąc, Mary też nie mieściło się to w głowie. Już snuła plany dalszych działań po uzyskaniu oficjalnego rozwodu. Jej czyny będą mieć konsekwencje, z których część mogła przewidzieć, a części nie. Sytuacja podobna była do tamtej, sprzed lat, kiedy w Anglii weszła na pokład płynącego za ocean okrętu. Jeszcze z pirsu wpatrywała się w żagle i takielunek, czując mieszaninę ekscytacji przed czekającą ją podróżą oraz lęku wobec całkowitej niepewności dalszego losu. Samego rejsu nie bała się wcale, jak niektórzy pasażerowie – dopiero sztorm trzynastego dnia dał jej po raz pierwszy do zrozumienia, że brak wygod tego zwodniczo małego statku jest niczym w porównaniu z jego kruchością pod razami ciężkich fal atakujących tylny pokład, kołyszących nim tak, jak dziecko potrząsa grzechotką. Nigdy nie doświadczyła Bożej obecności, choć doświadczało jej wielu bliźnich. Rozwód jednak pod wieloma względami bardzo się różnił od tamtego zdarzenia. Przede wszystkim dlatego, że pochodził z wyboru, którego Mary sama dokonała. Wtedy, jako dziewczynce, nie dano jej szansy decydowania: rodzice ruszali za morze, więc i ona musiała. Co więcej, żaden spośród znajomych, przyjaciół i członków rodziny nie miał Mary za złe, że poszła za Panem i towarzyszyła rodzinie w drodze do tego nowego, bardziej zbożnego świata. Natomiast po rozwodzie z Thomasem Deerfieldem ludzie bez cienia wątpliwości zareagują odmiennie.

I tylko to było jasne, jeśli chodzi o przyszłość Mary.

Czy zostanie w Bostonie z rodzicami? Zamieszka sama gdzieś w pobliżu? A może powróci do Anglii, do posiadłości braci?

Nie. Nie ma mowy. Skończyła zaledwie dwadzieścia cztery lata. Jeśli nawet Pan nie przewidział dla niej dzieci, to nie miała powodu zakładać, iż zaplanował wyłącznie samotne staropanieństwo. Znów wyjdzie za mąż, wyjdzie za mąż tutaj, znajdzie kogoś bożego, człowieka Kościoła. Znajdzie człowieka dobrego: już nie popełni tego samego błędu. Co nie będzie trudne: kolonia jest przecież teraz o wiele większa niż pięć lat temu. W dodatku, jak zauważył Valentine Hill, stanie się kobietą bardzo zamożną. Wniesie posag zawierający nie tylko jedną trzecią majątku Thomasa Deerfielda, lecz także to, co przynależało się jej jako dziecku – choć tylko córce – renomowanego kupca Jamesa Burdena.

Znów powędrowała myślami do Henry'ego Simmonsa. Nagle przestała się martwić o jutro i o dzień kolejny, o to, co się z nią stanie. Przestała się gryźć, a nawet pamiętać o ręce. Ból zniknął na zagadkowo długą chwilę, rozwiął się niczym poranna mgła w porcie.

– Mary?

Podniosła wzrok na matkę. Wszyscy przy stole patrzyli na nią.

– O czym tak rozmyślasz?

– Przepraszam, mammo. Co mówiłaś?

– Valentine pytał, czy nie rozważyłabyś mediacji. Jeszcze nie rozmawialiśmy ze starszymi Kościoła.

Mary odwróciła się do przyjaciela rodziny.

– Nie. Sprawy między Thomasem a mną są już poza wszelką mediacją.

– Mógłbym zamienić słowo z pastorem Nortonem – zasugerował Hill. – Gdybyś zmieniła zdanie.

– Moi rodzice też mogliby zamienić z nim słowo. I ja sama. Ale nie zamienimy. Nie życzę sobie.

– Spodziewam się więc, że to on przyjdzie porozmawiać z tobą.

– Trudno. Nie ustąpię.

– No dobrze – powiedział Valentine Hill, odrywając palcami kawałek indyka. Potem, nie patrząc nikomu w oczy, mruknął: – Czasem mocno odpływasz myślami, Mary. Jakby ktoś rzucił na ciebie urok.

„Ona nie jest ani uzdrowicielką, ani akuszerką. Jej zioła niekoniecznie muszą pochodzić od Diabła, ale też nie mają właściwości leczniczych. Uczyła ją pewna stara kobieta, która mieszka nieopodal Przesmyku. Sądzę, że żadna akuszerka nigdy by się nie zgodziła, by ktoś tak bezpłodny brał udział w odbieraniu porodu”.

*Zeznanie lekarza, doktora Rogera Pickeringa, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 10

Mary siedziała z matką w kościele, jak co tydzień. Catherine postanowiła zająć tej niedzieli miejsce możliwie najdalej od niej i Priscilli Burden, w drugiej ławce od końca. Choć pomieszkiwała teraz u Howlandów, nie towarzyszyła Beth, lecz innym dziewczętom służebnym z miasta, nastolatkom zbliżającym się do dwudziestki – była wśród nich najstarsza. Mary zauważyła ją dopiero, gdy tamta zaczęła rozciągać sobie szyję i rozglądać się dookoła na początku trzeciej godziny nabożeństwa. Służąca wpatrywała się w Thomasa. Mary ostatni raz widziała Catherine tuż przed jej ucieczką z domu, kilka dni wcześniej, zanim mąż wbił jej widelec w rękę. Dotarli do niej jednak wiadomości o tym, czym Catherine zajmowała się w minionym tygodniu: dziewczyna opowiedziała jejności Howland, że widziała Mary nocą, przed domem, z diabelskimi zębami, a Beth Howland powtórzyła to przynajmniej jednej (a zapewne więcej niż jednej) ich wspólnej znajomej. Kiedy Mary spotkała Rebekę Cooper u szewca, gdzie obie kupowały obuwie na jesień – Rebeka dla siebie oraz dwojga swych dzieci – przyjaciółka oznajmiła, iż Catherine oskarża ją przed Beth o szalone rzeczy. Powiedziała też, że Beth ma służkę za osobę nieco rozhisteryzowaną, żywi jednak poważne podejrzania wobec Mary. Rebeka nie sądziła, aby wymienione chciały oskarżyć ją o czarnoksięstwo, domniemała jednak, że wyłącznie z respektu dla statusu społecznego Mary w kolonii oraz obaw przed wpływami jej rodziny.

– Możliwe też – skomentowała pani Deerfield – że nie wniesie tych oskarżeń, ponieważ nie jestem opętana. Nie jestem żadną wiedźmą, a ona doskonale o tym wie.

Nagle uświadomiła sobie, że w trakcie kazania Thomas co chwila na nią zerka. Wyraz twarzy zmieniał mu się jak u zdolnego aktora, od zadumanego po groźny. Mężczyzna zdawał się stęskniony, a jego starzejące się oczy to błagały ją o powrót, to twardniały i zachodziły mrokiem. Jego mina emanowała złośliwością. Mary znów ujrzała w mężu tego samego człowieka, który rzucił nią kiedyś o ceglany kominek. Obok Thomasa siedział jej zięć Jonathan i również przyglądał się Mary. Od pewnego czasu pracował jako stolarz, na powietrzu, twarz miał ładnie opaloną. Jego żona Peregrine znajdowała się kilka ławek dalej. Stanowili piękną parę. Mary zazdrościła Peregrine i zdawała sobie z tego sprawę. Poczula teraz falę wstydu i pożądania, aczkolwiek nie umiała stwierdzić, którą bardziej przemożnie. Było jasne, że życie stałoby się łatwiejsze i przyjemniejsze,

gdyby mogła spędzać dni (i noce) z mężczyzną bliższym jej wiekiem i usposobieniem, takim jak Jonathan.

W nabożeństwie ogłoszono przerwę na obiad, wierni zaczęli wychodzić z Pierwszego Kościoła na posiłek. Mary oddaliła się od matki, Abigail i Hanny, i ruszyła za Catherine. Jako wymówkę podała chęć uniknięcia spotkania z Thomasem, lecz matka musiała widzieć, że to nagłe odejście córki ma drugie dno: Thomas nie podejmował żadnych wysiłków, aby przedrzeć się ku nim przez tłum.

Służąca szła ulicą w stronę swego dawnego domu, aby przygotować obiad dla pana. Mary przyspieszyła kroku i dogoniła Catherine w miejscu, w którym rynek stykał się z rezydencjami najzamożniejszych rodzin w mieście.

– Dzień dobry – zagaiła.

Dziewczyna spojrzała na intruzkę wzrokiem bardziej zirytowanym niż niespokojnym. Odrzekła jednak uprzejmie:

– Dzień dobry. – I kroczyła dalej.

– Powietrze mieliśmy rześkie nad ranem. Jesień nadeszła.

– Owszem – zgodziła się Catherine.

– Czy Thomas dobrze cię traktuje? Pan Howland i jego żona też?

– Tak. – Służąca obrzuciła wzrokiem rękawiczkę, którą Mary nosiła na prawej ręce, a potem bandaż na lewej. – Słyszałam o pani wypadku.

Mary pokręciła głową.

– Przecież wiesz, że to nie był wypadek.

– Z czajnikiem – dodała dziewczyna.

– To był diabelski widelec – skorygowała ją Mary. – Którym posłużył się twój pan.

– Oskarża go pani o czarnoksięstwo? – Być może Catherine wykazywała skłonność do nadmiernych reakcji, ale głupia nie była. Usłyszała sarkazm w głosie Mary i tym samym odpowiedziała.

Pani Deerfield postanowiła zachować ostrożność.

– Oczywiście, że nie. Ale zamierzam oskarżyć go o maltretowanie.

– Pani prawo.

– Ty będziesz świadkiem.

– Czego?

– Tego, jak mnie traktował. Tego, co mówił i co robił.

Catherine stanęła i wpatrzyła się pod nogi, w bruk. Westchnęła.

– Tak, słyszałam, jak czasem przemawiał ostro, ale najczęściej wydawało mi się, że po prostu przypomina pani, gdzie jej miejsce.

Mary zastanawiała się, czy nie powinna skarcić dziewczyny za tę zuchwałość. Dziś jednak bardziej interesowało ją zrozumienie motywów Catherine niż dyscyplinowanie służącej za brak posłuszeństwa.

– Sądzisz, że wychodziłam poza swoją rolę żony i towarzyszkę życia?

– Nie chciałam pani urazić. Po prostu...

– Mów śmiało.

– Po prostu zdarzało się, że przemawiała pani z pewnością siebie mężczyzny. Kiedy mój pan udzielał jej reprimendy, to wierzę, że w nadziei, iż powstrzyma to męskie zadufanie. Wskazówek tych udzielał zawsze w trosce o pani duszę.

– Najbardziej troszczył się o nią, będąc pijanym, nieprawdaż?

– Ale czy kiedykolwiek podniósł na panią rękę? Nie widziałam. Moim zdaniem to nie leżało w jego naturze, którą znajduję miłą i prawą.

– Czyżbym nie była mu dobrą żoną? – nacisnęła Mary.

– On był dla pani dobrym mężem.

– Ach, dobrym, ale zaopatrzeniowcem. Tutaj się z tobą zgodzę. Lecz to niejedyne kryterium. Dlaczego nie odpowiedziałaś na moje pytanie?

Catherine parsknęła.

– No dobrze. Z tego, co widziałam, była pani dobrą żoną. Ale wiem również, co widzieli inni.

– To znaczy?

– Nie powinnam mówić dalej. To tylko plotki.

– Dziękuję, że to rozumiesz i przyznajesz.

– Nie ma doprawdy za co.

– Powiedz, Catherine: byłam dla ciebie dobrą panią?

– Owszem. Była pani.

– W takim razie zapytam wprost: uważasz mnie za czarownicę? Czy widziałaś, bym kiedy zachowywała się w sposób wskazujący na opętanie?

– Nie widziałam.

– Czy wierzysz w głębi serca, że odprawiałam jakieś diabelskie obrzędy albo oddawałam się Szatanowi jako służebnica?

– Nie chcę o tym rozmawiać w dzień Pański.

– Kiedy więc?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Ku zaskoczeniu Mary zaczęła się od niej oddalać, więc zdrową ręką złapała Catherine za skryty pod peleryną łokieć.

Służąca znieruchomiała, odebrało jej mowę. Była ładna, nawet bardzo ładna. Jak mogła chronić, a może nawet pożądać człowieka takiego jak Thomas Deerfield, skoro w mieście istnieli mężczyźni w rodzaju Henry'ego Simmonsa czy Jonathana Cooke'a – och, nie chodziło konkretnie o tych dwóch, lecz o ich gatunek – którzy zdawali się o wiele odpowiedniejsi? A jednak Catherine żywiła wobec Thomasa jakieś niedozwolone uczucie: Mary widziała je wyraźnie w twarzy dziewczyny.

– Kiedy więc? – powtórzyła z jawnym zniecierpliwieniem.

Zamiast odpowiedzieć, Catherine zebrała się w sobie i rzuciła tonem tak dystygowanym, że Mary byłaby się roześmiała, gdyby nie uznała tego za niebezpieczne dla siebie:

– Wiem tylko jedno, proszę pani. Jest pani bezpłodna i pragnie dziecka. Wzięła pani te diabelskie zębiska oraz tłuczek, aby tamtej nocy odprawić jakieś mroczne czary. Wiem, co widziałam.

Po tych słowach wyrwała się Mary i rażnym krokiem ruszyła ulicą w kierunku domu, o którym kiedyś pani Deerfield sądziła, że zbuduje w nim swoje nowe życie i założy rodzinę.

\* \* \*

W poniedziałek rano Mary uznała, że odwiedzi swojego rejenta, a to z jednego prostego powodu: odczuwała niepokój, a sumienność tego człowieka oraz jego przywiązanie do szczegółów dodawały jej otuchy. Modliła się w nocy, ale to nie wystarczyło, chciała też podniesienia na duchu od tego frapującego znawcy tematu.

Mijając pręgierz oraz szafot nieopodal ratusza, usłyszała, jak ktoś wypowiada jej imię. Z tłumu ludzi na targowisku wyłoniła się Constance Winston.

– Mary Deerfield! – powiedziała kobieta.

Mary spróbowała stłumić dyskomfort związany z tym, że osoba będąca wyrzutkiem spośród wiernych Kościoła zwraca się do niej głośno, publicznie. Fakt, że się od niej odseparowała, gdy ziółka i napary nie poskutkowały poczęciem dziecka, tylko pogorszył samopoczucie wywołanej: miała wyrzuty sumienia, czuła się pozbawiona moralnego kręgosłupa.

– Dzień dobry, Constance – przywitała się teraz.

Nie była pewna, czy kiedykolwiek spotkała tę kobietę tutaj, w centrum miasta. Ich wszelkie schadzki odbywały się w skromnym domu tamtej nieopodal Przesmyku. Mary chadzała tam ukradkiem, starając się, aby nikt nie odnotował jej wizyt.



– Dawno się nie widziałyśmy.

– Owszem – przyznała Mary.

W głosie tamtej usłyszała krytykę. Constance zdawała więc sobie sprawę, że Mary jej unika.

– Byłam ostatnio bardzo zajęta.

– Ostatnio? W takim razie miałaś nader pracowity rok.

Constance była o głowę wyższa od Mary, nosiła się z tym samym arystokratycznym szykiem, co jej matka. Miała zielone oczy i srebrzyste, starannie schowane pod kornetem włosy. Przekroczyła pięćdziesiątkę, ale zmarszczki na twarzy żadną miarą nie umniejszały jej urody. Nosiła szkarłatną pelerynę z jedwabną podpinką barwy cynamonu. Posiadała majątek, ale nie świadczył o nim ów elegancki strój, gdyby bowiem ubierała się ponad stan, została by ukarana grzywną.

– Zgadza się. Ja...

– Nie powinnaś się przede mną tłumaczyć – przerwała Constance. – W ogóle nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

– No tak. Po prostu...

– To tylko plotki – dokończyła kobieta i wskazała na szafot. – Spokojny dzień, jak się zdaje. Nikogo nie wieszają ani nie hańbią. Jak tu przeżyć ten poniedziałek?

– Myślę, że to dobrze świadczy o naszej społeczności, skoro nikt nie przekroczył jej praw.

– Bzdura. To świadczy jedynie o tym, że przestępcy albo jeszcze nie wykazali skruchy, albo nie zostali złapani bądź sąd się ostatnio nie zbierał.

– Możliwe – zgodziła się Mary. – Posiedzenie jest w przyszłym tygodniu.

Constance analizowała tę wiadomość.

– No tak, oczywiście. To ci ludzie przesądzą o twojej przyszłości, prawda? Słyszałam co nieco. Kiedy się widziałyśmy ostatnio, chciałaś począć z mężem dziecko. A teraz pragniesz znaleźć się odeń tak daleko, jak tylko przewiduje to prawo.

– Jak już mówiłam, byłam zajęta.

– Pomyśl, co by było, gdyby herbatka z pokrzywy wykazała swoją magię. Miałaś szczęście.

Mary uniosła lewą, zabandażowaną rękę.

– Nie mogę się w pełni zgodzić. Skoro słyszałaś o mojej decyzji rozwiedzenia się z Thomasem Deerfieldem, to może też o przemocy, która stała u jej podstaw?

– Tak. Mówiono mi, że taka była bezpośrednia przyczyna: brutalny element, który otworzył ci oczy.

– Mogę wiedzieć, co dokładnie słyszałaś?

Constance wzruszyła ramionami.

- Tego rodzaju historie są niczym gęsi. Wędrują daleko i szybko.
- On opowiada, że upadłam na imbryk do herbaty.
- Muszę wyznać, że od razu uznałam to za kłamstwo.
- Z właściwą sobie przenikliwością.
- Ile widziała wasza służąca?
- Nic.

Kobieta westchnęła.

- Nic?
- Niestety.

- Mary, nie wiem i nie muszę wiedzieć, czy wyrwałaś mnie ze swojego życia jak chory ząb, ponieważ zawiodły cię moje lekarstwa, czy może dlatego, że dla niektórych ludzi moje zainteresowania są zbyt osobliwe, więc mówiąc otwarcie, bałaś się być powiązana z kimś mojego autoramentu.

- Już wyjaśniałam – odparła Mary szybko. – Miałam po prostu wiele pilnych spraw.

- Nieważne. Wiedz tylko jedno: jesteś kobietą rzucającą wyzwanie mężczyznom, dlatego chętnie widzieliby cię powieszoną, o tam. – Constance wskazała na szafot i platformę pod nim. – Nie żywię najmniejszej urazy, nie przemawiam w złej woli. Sądzę, że jesteśmy do siebie bardziej podobne, niż byłabyś gotowa przyznać. Gdybym mogła ci jakoś pomóc, nie wahaj się odnowić naszej znajomości.

Mary podniosła wzrok na ciemne drewno i okazałe ściany nowego ratusza.

- Dziękuję ci, Constance – rzekła wreszcie. – Naprawdę.

Tamta się uśmiechnęła i uściśnęła z uczuciem ramię pani Deerfield. Za jej plecami stała grupka obserwujących je pań. W niektórych Mary rozpoznała parafianki jej kościoła.

- Wygląda na to, że idziemy w tę samą stronę. Pozwolisz? – spytała Constance.

Dalsza droga do rejenta oznaczałaby konieczność wspólnego spaceru z dawną znajomą, a nic dobrego nie mogło wyniknąć z afiszowania się z mieszkanką Przesmyku, zwłaszcza w perspektywie przyszłotygodniowej rozprawy przed sądem. Nadeszła jedna z tych nieuniknionych chwil, w których należało zaprząć do pracy pragmatyzm i okrucieństwo.

Mimo bólu, który jest to sprawiło, pogłębiając poczucie winy, Mary odparła:

- Nie, chyba pójdę w przeciwnym kierunku. Postanowiłam zamieszkać u rodziców, właśnie tam teraz zmierzam.

Constance od razu rozpoznała unik. Uśmiechnęła się lekko, ironicznie.

- Znakomicie. Miłego dnia, Mary – powiedziała i odeszła.

\* \* \*

Przez trzy kolejne dni Mary, wytrącona z równowagi spotkaniem z Constance Winston, pozostawała w domu z matką i jej służącymi. Wraz z Hanną przygotowywała ogród na zimę i zajmowała się zwierzętami, a w towarzystwie Abigail naprawiała ubrania przed nadchodzącym chłodem i gromadziła zapasy warzyw okopowych. Z matką pisała długie listy do jej braci w Anglii. Nie pracowała ani wydajnie, ani szybko, spowalniana uszkodzoną ręką. Starła się jednak, jak mogła. Rejent przybył do ich domu dwukrotnie, aby dodać paniom otuchy. Podczas drugiej wizyty poinformował Mary, że tego dnia po południu zamierza porozmawiać z Catherine Stileman. Mary sypiała w swoim dawnym pokoju, gdzie mieszkała przed poślubieniem Thomasa. Nic się w nim nie zmieniło: był mały, ciemny, położony daleko od kominka. Pamiętała panujący zimą chłód. Któregoś wieczoru, gdy miała siedemnaście lat, umieściła pod kołdrą szkandelę z gorącymi węglami – jak w większość zimowych nocy – lecz nagle biała tkanina zaczęła się tlić. Mary szybko zalała łóżko wodą z wiadra do mycia i ugasiła pożar, nim na dobre wybuchł. Tamtej nocy spała w wilgotnej pościeli i do końca zimy nie nagrzewała pościeli.

A teraz okrutne, bezlitosne mrozy znów nadchodziły. Słońce chowało się za horyzontem wcześniej, wstawało później. Często padał zimny deszcz.

Rodzice uważali, że częściej śąpi w Anglii, ale Mary pamiętała co innego. Jej dziewczęcy pokój w starym kraju zawsze był pełen słońca.

Ojciec dwukrotnie podkreślił w rozmowie, że w przyszłym tygodniu zbiera się Sąd Cechowy, aby rozpatrzyć pozew Mary o rozwód. W obu przypadkach dodał, iż muszą mieć pewność, że Benjamin Hull skonfrontował się ze świadkami i ci dobitnie przedstawią trybunałowi skłonność Thomasa Deerfielda do przemocy i pijaństwa. Gdy Mary przypomniała, że w przypadku Catherine nie można liczyć na więcej niż to, że nie odzegna się od ostrych słów swego pana i zezna, iż je wypowiadał, ojciec pokiwał głową z powagą i przyznał, że chociaż tyle należy docenić. Sam pozwolił sobie skontaktować się z człowiekiem, który prowadził najczęściej odwiedzaną przez Thomasa gospodę. Zapewniał córkę, że mężczyzna ten spotkał się z rejentem i źle mówił o nawykach jej męża. Mary nie czuła się uspokojona: James Burden był w mieście ważną postacią, lecz Thomas również. Być może nie tak szanowaną i zamożną jak jej ojciec, jednak cieszącą się sporym respektem i znaną jako stały klient wielu gospód.

Matka z kolei martwiła się, że Catherine zaprzeczy, że podłożyła widelce – jeśli to pytanie padnie – a nie ma nikogo innego, kogo można by o ten czyn zasadnie oskarżyć. Nie przychodziła im bowiem do głowy ani jedna zdolna do czegoś takiego osoba.

Pewnego popołudnia, kiedy Abigail ubijała masło, a Hanna wsadzała na stojak drewniane polana do kominka, Mary wyjęła spod łóżka, gdzie go skrywała, tajemniczy tłuczek. Wpatrywała się w wyryte na uchwycie diabelskie zębiska. Wiedziała, co się działo tej jesieni w Hartfordzie i dlaczego matka tak się niepokoi. Mary Sanford powieszono tam za uprawianie czarów. Ann Cole przyznała się do opętania. Rebecca Greensmith wyznała, że Diabeł posiadał jej ciało w sposób zmysłowy. Mary musnęła palcami znak na tłuczku, myśląc o tym, co robiła samej sobie w łóżku, z leżącym obok mężem. Jak dziesiątki razy wcześniej zadała sobie pytanie, czy to pokusa zesłana przez Diabła, dar od Boga czy raczej coś, co ma niewiele z nimi wspólnego. Jej życie przypominało kołowrotek.

Była pewna tylko jednego: to nie ona podłożyła widelce w ziemi, przynajmniej za pierwszym razem, i nigdy nie umieściła tam tłuczka. Zamierzała wypowiedzieć to jasno, gdyby proces rozwodowy zmienił się w paskudną – i niebezpieczną – litanie oskarżeń o to, kto jest, a kto nie jest wiedźmą. Skoro jednak to nie Mary podrzuciła widelce, rodziło się pytanie o sprawcę. Catherine? Thomas? Ktoś inny? Coś innego? Nie wiedziała.

Rozebrała się i w zimnym pokoju uważnie obejrzała całe ciało w poszukiwaniu wiedźmiego sutka bądź innych znaków Diabła. Żadnych nie znalazła – co zupełnie jej nie zaskoczyło. Jak się wyraził mąż Mary owego strasznego wieczoru, gdy wbił jej widelec w rękę: można o niej powiedzieć wiele rzeczy, ale z pewnością nie to, że jest czarownicą.

\* \* \*

W czwartek nie mogła już dłużej znieść ciągłego przebywania w mrocznym domu ani na jego tyłach, w umierającym ogrodzie, wśród zwierząt. Ubrała się, po czym delikatnie nasunęła rękawiczkę na lewą dłoń. Minąwszy ratusz, skierowała się do magazynów portowych. Wiszące niebo było szare i płaskie, wzburzoną wodę w zatoce pokrywały grzywacze. Przed kolacją pewnie się rozpada. Cumujące statki kołysały się w oczekiwaniu na podejście do pirsu, by pozbyć się ładunku. Żagle miały ciasno zwinięte do masztów. Mężczyźni na nabrzeżu sunęli metodycznie po deskach tam i z powrotem, niosąc skrzynie, beczki, a czasem też wielki, elegancki kredens lub stół, wykonane przez rzemieślników z Anglii.

Mary ominęła skład należący do ojca, usiłując przekonać samą siebie, że wyszła tylko zaczerpnąć świeżego powietrza i wędruje bez celu. Owszem, bezcelowość oznaczała umizgiwanie się do Diabła, lecz po tym wszystkim, co przeżyła i co niosła jej najbliższa przyszłość, uznała, że zasłużyła sobie na troszkę niefrasobliwości.

Przez chwilę stała na bruku naprzeciwko drzwi wiodących do biura Valentine'a Hilla. Magazyn ciągnął się wzdłuż całego nabrzeża. Zdała sobie sprawę, że próbuje wywołać Henry'ego Simmonsa myślami – o ile tam w ogóle jest, na co nie miała gwarancji. Czy w ten sposób się modliła, czy raczej flirtowała z Szatanem? Gdyby Henry zobaczył ją przez okno i wyszedł na zewnątrz, czy byłby to znak? Gdyby wybrał właśnie ten moment, nieświadomy, że ona tu stoi i czeka, czy byłby to zbieg okoliczności, pokusa, a może dowód na powodzenie życiowe, które zbliżało się do Mary jeszcze na tym świecie, a także na uświęcenie spodziewane w świecie kolejnym?

Ale Henry nie wyłonił się z biura. Poczowała pierwsze krople deszczu. Powinna wracać do domu, zwinąć się w kłębek przed kominkiem. Cóż za absurd, że tu przyszła.

Kiedy jednak zaczęła się oddalać od wody, dostrzegła Eleanor Hill w drzwiach magazynu portowego. Kobieta była ciasno opatulona w płaszcz z kapturem, dłonie miała schowane w futrzanej mufce.

– Dzień dobry, Eleanor – przywitała się Mary. – Widzę, że jesteś odpowiednio odziana na te chłody.

– I deszcze – dodała żona Valentine'a. – Obawiam się, że ten jest zwiastunem śniegu. Bardzo zimno. Idziesz z wizytą do ojca?

– Nie. Chciałam tylko poczuć słone powietrze. Przespacerować się trochę.

– W takim razie chodźmy, aby uniknąć ulewy. Będę rada, mając towarzystwo w domu. Jak twoja ręka? Goi się?

– Tak.

– To dobrze – mruknęła Eleanor nieco rozkojarzona, jakby jej myśli powędrowały nagle gdzieś indziej. Po chwili Mary zrozumiała dokąd. – Wczoraj przypłynęła „Przyjaźń” – oznajmiła starsza pani. – Nie umiem ci powiedzieć, ile było na niej antałów portugalskiej madery, ale z pewnością wiele. Valentine odłożył parę dla nas, na wieczór. Uwielbia ją. Ja zresztą też. Mam już serdecznie dość tegorocznego cydru. Obiecałam sobie, że przyniosę do domu butelkę lub dwie, ale całkiem zapomniałam. Chodź ze mną. – Wyjęła rękę z mufki, ujęła Mary za zdrową dłoń i poprowadziła do magazynu, gdzie mieściły się biura jej męża.

Był tam Henry Simmons. Mary poczuła lekkie mrowienie w piersi. Siedział za wielkim mahoniowym biurkiem, zdobniejszym niż to, które posiadał jej ojciec, z mosiężnymi uchwytami i zatokami dla krzeseł po obu stronach. Na widok Eleanor i Mary wstał. W ręku trzymał gęsie pióro, a na blacie, tuż przed nim, leżała otwarta księga rejestrowa.

– Mój drogi – odezwała się Eleonor. – Zapomniałam madery. Myślę, że Valentine zostawił coś dla mnie w najbliższym składziku. – Potem zwróciła się do Mary: – Zaraz wracam. Znasz chyba

Henry'ego?

– Tak – odparła Mary.

Starsza kobieta zniknęła w drzwiach za wielkim biurkiem.

– Dzień dobry – przywitał się mężczyzna. – Cóż to za szczęście, którego nigdy bym się nie spodziewał tego deszczowego popołudnia.

Mary uniosła brwi, zaskoczona tą próbą flirtu: przecież tak naprawdę nie mógł postrzegać tej wizyty jako szczęścia. Już trzykrotnie starała się go wysledzić i za każdym razem prezentował się w ubiorze coraz porządniejszym: dziś miał na sobie karmazynowy kaftan z flamandzkiej, przypominającej aksamit wełny, o nieskazitelnie czystym kołnierzu i mankietach.

– Dzień dobry, Henry – odrzekła oficjalnym tonem.

Zaraz zdjęła z głowy kaptur. Zauważyła we własnym głosie lekkie drżenie. Czy on również je dostrzegł w tak krótkiej wypowiedzi?

– Ciotka i wuj opowiadali mi o pani kłopotcie.

– Z ręką znacznie lepiej. Dziękuję.

– Miałem na myśli poważniejsze zmartwienie.

– Niekiedy Pan uznaje za stosowne nas sprawdzić.

– Owszem, uznaje. Przykro mi jednak. Nie znam Thomasa Deerfielda, ale zdaje mi się, że dobrze pani uczyni, pozbywając się go.

– Moje życie się wtedy poprawi, owszem – powiedziała Mary i palcami prawej dłoni wskazała lewą. – Tylko że nie będzie takie, jakiego się spodziewałam. Ani też łatwe.

– Bóg wspiera nasze wysiłki. I raczej ich oczekuje, jak sądzę.

Znów to samo: opinia, która na pierwszy rzut oka pasowałaby raczej do jednego z kazań wielbego Nortona z Pierwszego Kościoła, w ustach Henry'ego Simmonsa brzmiała osobiście świętokradczo.

– Widziałam pana w kościele w zeszłą niedzielę? – spytała.

– Skoro pani tego nie pamięta, najwyraźniej nie zrobiłem wrażenia, które pragnąłbym zrobić.

– A cóż to za wrażenie?

– Tutaj, w tym kraju? Och, rzecz jasna męża pobożnego, członka ludu wybranych.

– Ale tego nigdy nie można być pewnym, prawda?

– Nie można.

– Jest pan wiernym Kościoła?

– Nie jestem. Chciałbym jednak podkreślić, że to pani mąż jest szanowanym członkiem kongregacji, a jego zachowania względem niej nie da się nazwać przykładem chrześcijańskiej

miłości.

– Ale przystąpi pan do Kościoła?

Henry skinął głową.

– Tak. Bądź co bądź kiedyś zostanę spadkobiercą tego interesu.

– Żaden to powód.

Mężczyzna odłożył pióro na podstawkę i zamyślił się na długo, nim odpowiedział.

– Żaden – przyznał wreszcie. – Żaden powód.

– Będzie pan tam w najbliższą niedzielę?

– Zdecydowanie.

– To dobrze.

– Mogę panią o coś spytać, Mary?

– Oczywiście.

– O co się pani modli w związku ze swoim wnioskiem rozwodowym do Sądu Cechowego?

– Nie modlę się w tej sprawie.

– Nie?

– Wiele lat modliłam się o dziecko i wciąż go nie mam. Miesiącami modliłam się o wyzdrowienie Williama Stilemana, a on umarł. Od dzieciństwa modlę się za żywych i umarłych, ale...

– Ale pani modlitwy pozostają niewysłuchane.

– To nie tak – poprawiła Henry'ego Mary. – Ostatecznie zaakceptowałam, że nasz Pan ma swój plan wobec każdego i nie mnie jest wpływać na Jego postanowienia. Nie nam. Ostatnio zrozumiałam, że nie ma sensu wnosić apelacji.

– Słyszałam twierdzenie, że modlitwa nie zmienia Bożych postanowień, tylko nas.

– Sam akt.

– Owszem, sam akt.

– Zastanowię się nad tym zdaniem.

Henry pokiwał głową.

– Rozwodząc się z Thomasem Deerfieldem, weźmie pani swój los we własne ręce.

– Podobnie jak wtedy, gdy wychodziłam za niego za mąż. Jesteśmy niedoskonalimi, popełniamy błędy. Powinniśmy się starać je naprawiać.

Kiedy Henry się uśmiechnął, zobaczyła na jego twarzy aprobatę. Wydało jej się, że myśl ta jest przejawem próżności, ale gwałtowny przypływ szczęścia, który poczuła, był równie rzeczywisty jak deszcz bębniący o dach czy kaptur zarzucony za głowę.

– Moje pierwsze wrażenie związane z panią okazuje się trafne. Aby ją pokonać albo zniewolić, trzeba czegoś więcej niż brutala lub zaprzęgu wołów – powiedział Henry.

– Czy też – dodała – brutala z widelcem.

Wtedy nadeszła Eleanor, niosąc butelki z winem. Przerzucała wzrok od Mary do swego siostrzeńca i z powrotem. Pani Deerfield zaczęła się zastanawiać, czy starsza kobieta zobaczyła na jej twarzy radość i rumieniec, które pozostawiła rozmowa z Simmonsem – poniekąd frywolna, owszem, lecz w równej mierze bardzo rzeczowa.



„Mąż, który bije żonę albo się na nią złości, sprzeniewierza się wyznaniu naszej wiary, neguje zdrowe boskie prawa oraz hańbi naszego Pana i Zbawiciela”.

*Zeznanie wielbnego Johna Nortona, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

# Rozdział 11

W sobotę po południu pasierbica Mary, jej mąż oraz dwoje małych dzieci złożyli niespodziewaną wizytę w domu państwa Burdenów. Gdy pojawili się nagle Peregrine, Jonathan i dwie dziewczynki, Mary obsługiwała kołowrotek. Ojciec przebywał w biurze na nabrzeżu, a matka poszła zanieść kotlarzowi uszkodzone mosiężne naczynie do naprawy. Abigail szykowała kolację, a Hanna doła krowy. Przez zasłony okienne Mary zobaczyła całą rodzinę kroczącą wraz z koniem Jonathana. Dzieci jechały na tylnym siodełku. Przerwała pracę i wyszła ich powitać. Otworzywszy drzwi, zaprosiła gości do ciepłego salonu. Dziewczynki miały trzy i cztery lata. Jonathan zdjął dzieci z konia i przekazał Peregrine, która postawiła je na ścieżce przed domem. Niczym szczeniaki rzuciły się biegiem, minęły Mary i wpadły do środka.

Peregrine zatarła z zimna ręce, rzucając komentarz na temat szybko zmieniającej się pogody. Jonathan – jego męska uroda jak zwykle wywarła na Mary wrażenie, gdy zdjął wełnianą czapkę – podzielił się z Abigail opinią o pięknie pachnącym indyku, który obracał się na rożnie.

– Dobrze cię widzieć, Mary – powiedział, biorąc od Peregrine płaszcz i wieszając na haczyku naprzeciwko kominka.

Mary wskazała krzesła wokół stołu, sugerując, by usiedli.

– Peregrine podejrzewa u siebie kolejne dziecko w drodze – ciągnął Jonathan. – To błogosławieństwo, owszem, ale żadne z nas się nie spodziewało, że będzie tak bardzo zmęczona.

Wiadomość Mary odczuła niczym cios, mimo że zakładała rychłą ciążę Peregrine, ponieważ od urodzin Amity minęły trzy lata. Na chwilę znieruchomiała, uświadomiwszy sobie, że jej nigdy nie będzie to dane.

– Cudowne wieści – zwróciła się do pasierbicy, siadając obok niej przy stole. Sunęła wzrokiem od Peregrine do Jonathana i z powrotem. – Bardzo się cieszę. Zasługujecie na ten dar.

– Jesteśmy wdzięczni – zgodził się Jonathan.

– Oby najbliższe miesiące minęły ci lekko, Peregrine. A jeśli nie zostaniecie pobłogosławieni chłopcem, to niech mała będzie równie piękna jak ta parka – powiedziała Mary, wskazując dziewczynki.

Obie, wraz z ojcem, wpatrywały się w obraz i tapety na ścianach. Luksusy te należały do rzadkości. Mary zdawała sobie sprawę, że Jonathan Cooke nie może zapewnić podobnego

dobrobytu swoim bliskim, choć nie ulegało wątpliwości, że bardzo tego pragnie.

– Pan nie poskąpił nam dzieci – ośmieliła się stwierdzić Peregrine.

Nim Mary zdążyła poprosić Abigail o przyniesienie gościom czegoś do picia, ta wręczyła całej trójce po cynowym kuflu piwa. Następnie, wyczuwszy poufną rozmowę, zaproponowała, że zabierze dzieci na zewnątrz, do zwierząt gospodarskich. Obiecała, że zajmą się dziewczynkami razem z Hanną.

– A ty jak się miewasz? – zapytała poważnym tonem Peregrine, gdy zostali już sami.

– Tak, jak można się spodziewać.

– Mój teść pozostaje głęboko zasmucony tą separacją – oznajmił Jonathan. – Wydaje się, że ty również.

– Czy dlatego przyszlście mnie odwiedzić?

Jonathan upił solidny łyk piwa.

– Tak, lecz także po to, by podzielić się z tobą wiadomością o nowym błogosławieństwie, które rośnie w łonie Peregrine. Rzecz jasna, Thomas śle ci pozdrowienia, Mary.

– Ufam, że ma się dobrze.

– Poza tym, że jest bez ciebie samotny? Chyba tak – odrzekł Jonathan i po chwili dodał: – Przyszedł do niego rejent. Niejaki Hull.

– Tak, Benjamin Hull. Moja rodzina zwróciła się do niego o pomoc.

– Nas również odwiedził – ciągnął Jonathan. – Niezbyt sympatyczny jegomość. Spodziewa się, że będę podkreślać, iż zauważyłem siniec albo dwa na twojej twarzy.

– On tylko wykonuje swoje obowiązki. Niektóre są mniej przyjemne od innych.

– Pytania, które zadawał, mocno mnie uraziły. Ciebie również, prawda? – zwrócił się do żony Jonathan.

Peregrine kiwnęła głową, kładąc dłoń na brzuchu, jakby chciała go chronić. Jej oczy sunęły po ścianach, po mapie Bostonu, a potem po kredensie z naczyniami i sztucami.

– Proszę, wybaczenie Benjaminowi – odezwała się Mary. – To ja jestem winna temu, że czujecie się obrażeni. Ale nie żałuję, iż mój rejent poważnie podchodzi do swojej pracy.

Jonathan spojrział na żonę, potem na Mary. Zawsze był dobroduszny, więc jego poirytowanie i dyskomfort żadną miarą nie cieszyły pani Deerfield.

– Teść prosił, abym zapytał wprost: teraz, kiedy miałaś już sporo czasu na zastanowienie się nad swoimi zamiarami, wobec zbliżającego się posiedzenia sądu, czy nie chciałabyś zmienić zdania?

– Nie. Nie chciałabym.

– Mieszkaś w domu, w którym spędziłaś dzieciństwo – skomentował. I zacytował Pismo: – „Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko”<sup>2</sup>.

– „Kiedy zaś mężem się stałem, wyzbyłem się tego, co dziecięce” – dokończyła Mary. – Dzieckiem byłam tam, w Anglii. Nie tutaj. Wyzbyłam się tego, co dziecięce, wchodząc z rodzicami na statek, który płynął do Bostonu. Powrót do domu ojca nie oznacza, że ubrałam się w swoje dziecięce szatki i szelki do nauki chodzenia.

– Brak mi ciebie, Mary. Wszyscy tęsknimy – wtrąciła się Peregrine, zmieniając ich taktykę.

– Ja również za tobą tęsknię, Peregrine. I za tobą, Jonathanie – odrzekła Mary.

Wypowiadając imię zięcia, odniosła wrażenie, jakby w pokoju wzniósł się dziwny wir. Peregrine przyglądała się jej uważnie, z lekko przechyloną głową. Czy ta kobieta podejrzewała Mary o nieczyste myśli związane z jej mężem? Przez sekundę młoda gospodyni obawiała się, że zdradziła się teraz tonem głosu, a może wcześniej podczas tych wszystkich wspólnych posiłków. Uznała jednak, że to niemożliwe. Po prostu... niemożliwe.

– Nie brak ci Thomasa? Nie tęsknisz za naturalnym porządkiem życia u boku mężczyzny? – zapytał Jonathan z osobliwie akademicką intonacją. Przypominał pastora wygłaszającego kazanie, zadającego oczywiste pytania.

Zdrową ręką Mary sięgnęła po kufel i upiła z niego łyk, by zyskać na czasie. Prawda była taka, że nie tęskniła za Thomasem Deerfieldem w najmniejszym stopniu. Nie mogła tego jednak powiedzieć w obecności jego córki. A jednak ta kobieta musiała się domyślać jej uczuć. Mary przysłała do głowy myśl, że Jonathan zastawił na nią pułapkę, aby ją skłonić do wyrzucenia z siebie czegoś, co można by uznać za bluźniercze.

Istniała również inna możliwość. Czyżby liczył na to, że w obliczu niezachwianej miłości córki do ojca oraz chęci ochrony przez nią własnego małżeństwa Mary wyrazi skruchę? Śmieszne, żeby Peregrine czuła choćby cień obawy: Mary nie stanowiła dla niej najmniejszego zagrożenia. Owszem, miewała niestosowne myśli na temat Jonathana, lecz był on przecież mężczyzną przystojnym, zabawnym i miłym. Każda kobieta snułaby takie marzenia. Nie zamierzała jednak się nim interesować w żaden sposób niezgodny z porządkiem rzeczy, zdeprawowany oraz – tak – grzeszny.

Faktycznie, przyznanie się przed córką Thomasa Deerfielda do tęsknoty za jej ojcem nie przyniosłoby większych szkód. Mary wiedziała, że to, co ją czeka przed sądem, będzie znacznie gorsze. Odłożyła kufel z piwem na stół i zadała własne pytanie.

– Peregrine, jesteś córką Thomasa, mieszkasz z nim przez większość swojego życia. Wiesz, jak wyglądało jego małżeństwo z twoją matką. Jak się wobec niej zachowywał?

– Wobec mojej mamy?

– Tak. Anne.

Peregrine położyła na brzuchu drugą rękę i odwróciła wzrok. Jakby się obawiała, że samo spojrzenie Mary mogłoby zaszkodzić rosnącemu w jej łonie dziecku.

– Była jego towarzyszką życia – mruknęła. – A on jej mężem.

Mary wyprostowała się na krześle. Spodziewała się więcej entuzjazmu podczas obrony związku Thomasa i Anne.

– Kochał ją?

– Na swój sposób.

– Na swój sposób?

Jonathan patrzył to na jedną, to na drugą kobietę. Mary dostrzegła jego zaskoczenie.

– Peregrine? – rzucił.

– Kochał ją – wycofała się. – Tak jak kocha ciebie, Mary.

– Czy był dla twojej matki surowy, nieprzyjemny? Proszę cię o szczerłość.

Oczy Peregrine znów zaczęły wędrować po salonie. Tym razem spoczęły na portrecie dziadka Mary pędzla Dobsona. Potem, zagapiwszy się w ogień, odparła:

– Nie.

– Nie? – naciskała Mary. – Ani razu nie okazał jej gniewu?

– Tylko z miłości.

Czasami, gdy Thomas dyscyplinował Mary (było to słowo używane przez niego, nie przez nią), podkreślał, że czyni to dla jej zbawienia. Pamiętała przemowę, którą wygłosił, nim spróbował przybić jej dłoń do stołu diabelskimi zębami: „Twojej duszy zagraża pycha. Zbyt wielką wiarę pokładasz w swoim kobiecym rozumku”. Być może pierwszą żonę traktował podobnie.

– Okazywał jej gniew z miłości? – dopytała. – Czyżby Anne Drury była dzieckiem, które trzeba karcić?

– Księga Objawienia nie wspomina w trzecim rozdziale o dzieciach – oświadczyła Peregrine.

– Znam ten werset: „Ja wszystkich, których kocham, karzę i ćwiczę”. Ale czy nie jest to prawem wyłącznie rodziców i Boga?

– Męża też – poprawił Mary Jonathan.

– Tak, oczywiście. W jaki sposób dyscyplinował twoją matkę, Peregrine? Słowami czy różgą? Edukował ją czy bił wierzchem ręki?

Jonathan pochylił się i delikatnie dotknął palcami barku Mary.

– Bardzo cię proszę. Nie przyszliśmy tutaj się spierać. Nie przyszliśmy wylewać żalów.

Spojrzała na jego długie, szczupłe palce koło swojego obojczyka. Wtedy je cofnął. Wciąż jednak czuła ich dotyk. Zaschło jej w ustach, zapragnęła napić się piwa, nie śmiała jednak. Peregrine obserwowała męża i Mary bez mrugnięcia. W niewielkim pomieszczeniu zapadło milczenie.

– Jasne, że nie. Rozumiem – odezwała się wreszcie Mary, przerywając ciszę, ponieważ musiały to zrobić. Dosłownie musiały.

Wyobraziła sobie sąd – ten prawdziwy i ten przenośny – który czekał ją w następnym tygodniu. Uznała za konieczne dowiedzieć się możliwie najwięcej, dopóki miała szansę.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Peregrine. Czy słowa twojego ojca, wypowiedane nawet z miłości, bywały zbyt ostre i nieprzyjemne jak na mężczyznę odzywającego się do własnej żony?

– Mogę ci jedynie powiedzieć, Mary, że nigdy nie widziałam, aby ją uderzył.

Przynajmniej raz gniew Thomasa – bezzasadny, napędzany zbyt dużą ilością mocnego cydru bądź piwa – musiał wybuchnąć, kiedy Peregrine była dzieckiem. Mary też nie mogłaby wymienić zbyt wielu przypadków bicia czy ciskania nią o cegły lub wieszaki. Ale Thomas żył z Anne Drury znacznie dłużej niż z nią. Jednak rzucanie bezpośredniego wyzwania Peregrine albo oskarżanie jej o kłamstwo w niczym nie pomoże. Możliwe, że Thomas ukrywał swój prawdziwy temperament przed córką tak samo, jak taił go przed Catherine.

Mary mruknęła więc tylko:

– Co jeszcze nie znaczy, że tego nie robił.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam, nasze służące też nie – odparła Peregrine.

Jonathan pokręcił głową.

– Mary, on zastrzelił konia, który złamał jego żonie kark. Zastrzelił. Kochał Anne. Jej śmierć go zdruzgotała.

– Rozumiem.

– I pamiętaj – ciągnął Jonathan – że dom, w którym dorastała Peregrine, trudno nazwać pałacem. Na pewno by o wszystkim wiedziała.

Sprawił wrażenie coraz bardziej zaniepokojonego kierunkiem, w którym podążała ta rozmowa. Zaczął się bawić sprzączką bryczesów nad prawym kolaniem. Kobiety milczały. Jonathan podniósł na nie wzrok i zapytał:

– Mary, zdajesz sobie sprawę, co ryzykujesz? Kwestionujesz wszystko, co staramy się tutaj zbudować. Zaprzeczasz naturalnemu porządkowi rzeczy ustanowionemu przez Boga, ściągasz gniew Pana.

– Już dwukrotnie słyszałam od ciebie o naturalnym porządku rzeczy. Ale kobieta to przecież nie wąż, którego mężczyzna może miażdżyć stopami – odrzekła Mary. Miała nadzieję, że jej głos nie

zabrzmiął piskliwie. – Nie, nie mogę wrócić – dodała łagodniej. – Nie mogę.

– Wiesz, co zezna Catherine? – spytała Peregrine.

Mary zrozumiała, że jej pasierbica wcale nie chciała podnosić tej kwestii. To była ich ostatnia deska ratunku.

– Podejrzewam. Ale jej szalone i bezpodstawne oskarżenia nie kryją choćby ziarna prawdy.

– Może i szalone – powiedział Jonathan. – Jednak świat pogrążony jest w szaleństwie. Dlatego właśnie opieramy się na Biblii i na stróżach prawa. – Zrobił wdech, desperacko pragnąc utrzymać spokój. – Proszę cię, Mary, weź pod uwagę nasze ostrzeżenia. Thomas chce, żebyś wróciła, my także. Jesteśmy rodziną.

Ochronnym ruchem Peregrine położyła dłoń na ręce męża, co nie uszło uwagi Mary. *Chcemy, żebyś wróciła*, mówił ów drobny gest, *ale nie łudź się: ten mężczyzna jest mój*.

– Jonathanie – zaczęła Mary. – Żywię najgłębszą nadzieję, że nasza trójka oraz wasze dziewczynki, a także dzieciątko, które nosisz w łonie, Peregrine, pozostaniemy rodziną. A przynajmniej w przyjacielskich stosunkach. Pojawię się jednak przed sądem, a kiedy przyjdzie moja kolej na zabranie głosu, opowiem swoją historię.

– Jesteś zdecydowana – rzucił Jonathan melancholijnie, z rezygnacją.

– Jestem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Mary słyszała głośnie krzyki mew za oknem. Nagle Peregrine wstała i docisnęła dłonie do blatu. Jej mąż również się podniósł. Oznajmił, że idzie po dzieci.

– Żegnaj – powiedziała Peregrine do Mary, kiedy zostały same. Ton jej głosu był bezbarwny.

– Proszę, módl się za mnie – usłyszała w odpowiedzi.

Peregrine spojrzała Mary prosto w oczy.

– Będę się modlić. Już się modlę. – Potem ruszyła za mężem na dwór, po córki.

\* \* \*

Wielebny John Norton miał pięćdziesiąt sześć lat, czyli równo rok więcej niż ojciec Mary i trzy lata więcej niż jej matka. Sprawiał jednak wrażenie o wiele od nich starszego. Nie był wątył, zdecydowanie nie, prezentował się bardzo dostojnie. Mierzył sześć stóp wzrostu, nawet w tym wieku, a brodę miał nieskazitelnie szpakowatą. Przebywał w kolonii od 1635 roku, lecz kilka miesięcy wcześniej odbył podróż do Anglii i z powrotem w towarzystwie gubernatora Bradstreeta, aby oddać hołd królowi Karolowi II po powrocie Stuartów na tron, a także potwierdzić przywileje nadane kolonii przez władze. Miał absolutny posłuch, opowiadał się za dyscyplinowaniem

kwaków, których najchętniej karałby za ich szaleństwo, a także za stosownym piętnowaniem grzeszników z jego własnej kongregacji.

W poniedziałek, dzień po szabacie, rodzice przyprowadzili Mary na spotkanie z pastorem. Nie chcieli tego ani oni, ani główna zainteresowana – wielebny ich po prostu wezwał. James i Priscilla Burdenowie dobrze znali przywódcę Pierwszego Kościoła. James zapewnił córkę, że Thomasa na spotkaniu nie będzie. Wielebny dał jasno do zrozumienia, iż bierze pod uwagę wstęp do mediacji, na razie jednak pragnie poznać konkrety dotyczące małżeńskiego sporu.

– Jestem już zmęczona tłumaczeniem, dlaczego to robię! – zagotowała się Mary, gdy ojciec poinformował ją o naciskach pastora. – Jeszcze zanim stanę przed sądem, moja wersja będzie powszechnie znana i nieświeża jak wystygła owsianka, nawet dla mnie. – Niemniej zdawała sobie sprawę, że wielebny dysponuje wielką władzą, i pogodziła się z losem.

A teraz, opowiedziawszy pastorowi o sytuacjach, w których Thomas ją bił, a także historię z widelcem, wspomniawszy o częstej przemocy werbalnej, o okrutnych słowach, usiadła wygodnie w wyściełanym fotelu w gabinecie duchownego. Był to jeden z najświetniejszych i najwygodniejszych foteli, jakie widziano w Bostonie, na wzór francuski obity tkaniną w niebieskie irysy. Rodzice zajęli miejsca na trzcinowych krzesłach, które ojciec oraz pastor przenieśli tutaj z jadalni.

John Norton nachylił się nad biurkiem i rzekł:

– Przykro mi z powodu wszystkiego, co przeszłaś, Mary.

– Dziękuję panu.

– Nie dziękuj. Nie zazdroszczę ci, że musisz rozważyć podjęcie tak skrajnych kroków.

Mary obserwowała reakcję ojca. Czy odczuł ulgę? Czy jemu również się zdało, że ten najpotężniejszy z pastorów zamierza poprzeć wniosek rozwodowy pani Deerfield?

Nagle jednak John Norton dodał:

– Thomas zaprzecza, by cię kiedykolwiek uderzył.

– W takim razie ma na sumieniu kolejne kłamstwo – odparła.

– Możliwe. Ale o tobie przemawia z estymą. Odnosi się z należyty szacunkiem. Twierdzi, że nie pojmuję, skąd w tobie tyle kobiecego jadu.

– Nie mam żadnego jadu, kobiecego czy nie. Nie jestem żmiją i nie szukam z nimi powiązań. Zarówno z prawdziwymi wężami, jak i tymi odzianymi w wełniane portki.

Wzrok wielebnego nieco ochłódł. Mary nie posunęła się do jawnej bezczelności, ale nie była też potulna.



– Skoro mamy dawać innym przykład, powinniśmy eksponować swoją sprawiedliwość – powiedział. – Pan nie pochwała impertynencji. Nie zapominajmy, jaka jest cena za bunt.

– Ja się nie buntuję przeciwko Panu. Zależy mi tylko na rozwodzie z mężem. – Kątem oka zauważyła zaniepokojenie na twarzy matki.

– Przyszedł do mnie rejent Benjamin Hull i poprosił o stawienie się na rozprawie – oznajmił pastor.

– O co cię pytał? – zainteresował się James Burden.

– Uważa, że byłoby z korzyścią dla waszej córki, gdybym podzielił się z sądem opinią na temat stanowiska Kościoła w kwestii mężów bijących żony.

– Jestem ci wdzięczny – mruknął James.

– Jeszcze nie zdecydowałem, czy zjawię się tam osobiście. Może udzielię mu pisemnego zeznania, które przedstawi składowi. – Wielebny znów skierował uwagę na Mary. – Słyszałem opowieści o trójzębnym widelcu. Wiele się mówi o twoim poglądzie na jego stosowanie.

– To tylko sztuciec, Johnie – odezwał się ojciec, nim Mary zdołała zareagować.

– Stosowanie trójzębnych sztucców wydaje się niedorzeczne, skoro dwuzębne całkowicie wystarczają – zauważył pastor.

– Przy krojeniu mięsa, tak – zgodził się Burden.

Mary zamknęła oczy, sfrustrowana obrotem, jaki przybierała ta rozmowa. Zaraz je jednak otworzyła, gdy wielebny oświadczył:

– Zawsze sądziłem, że nóż i łyżka wystarczą, ale odnoszę wrażenie, że gdyby Diabeł chciał kogoś zwieść, posłużyłby się czymś lepszym niż widelec.

– Zgadza się – przyznał ojciec Mary. – Jeśli jednak chciałbyś spróbować, jak się je...

– Nie. Dziękuję, Jamesie.

– W ręku Thomasa to była broń – przypomniała im młoda pani Deerfield.

Uznała za ważne podnieść tę kwestię ponownie, podkreślić fakt, że przecież mąż zaatakował ją widelcem – był to ostatni, finalny cios, który zniosła. Dlaczego oni nie czuli jej ogromnego pragnienia, namacalnego jak lipcowe słońce na twarzy, żeby się od Thomasa uwolnić?

– Ledwie kilka chwil temu opisywałam panu, jak mnie nim dźgnął.

– Rozumiem, Mary. Naprawdę – podkreślił Norton. – Nie wszyscy o tym wiedzą, ale twój ojciec z pewnością tak: przed sześciu laty sprzeciwiałem się egzekucji Ann Hibbens.

– Pamiętam – potwierdził Burden.

Twarz jego żony poszarzała jak popiół. Ann Hibbens powieszono w Bostonie w 1656 roku. Nie uratowały jej ani pokaźny majątek, ani to, że była szwagierką dawnego gubernatora kolonii. John

Endicott wręczył jej wyrok osobiście. Świadomość, że temat tej kobiety poruszono w toczonej obecnie rozmowie, przyprawiła Mary o dreszcz – przecież wносиła o rozwód, a jednak wiatr miotał nią niczym martwym liściem w kierunku Szatana.

– Wolałbym ekskomunikowanie – ciągnął wielebny. – Ale z pewnością dotarli do was wieści z Hartfordu o służebnicach, które zebrał sobie Diabeł.

– Tak, słyszeliśmy – powiedział James.

– Jeśli będziesz się upierać przy sprawie sądowej, Mary, zaczną się pojawiać oszczerstwa dotyczące twojej osoby. Może nawet oskarżenia.

– Jest też szansa, że sprawiedliwości stanie się zadość – mruknęła.

– Może. A może nie. Jesteśmy śmiertelnikami, popełniamy błędy, choćbyśmy się starali ich nie popełniać, widzimy jakby w zwierciadle, niejasno. Spodziewam się wezwania do sądu, jako świadków przeciw tobie, twojej służącej Catherine, a także Beth Howland i doktora Pickeringa. Może będą też inni.

– Ale ja nic nie zrobiłam! Po co Beth miałyby...

Ojciec uciszył Mary, kładąc jej dłoń na ramieniu.

– Bardzo mądra to rada, Johnie. Dziękuję za twoją szczerość.

– Mary, namawiałem cię do ponownego rozważenia sprawy i rozumiem, że tego nie chcesz. Twoja decyzja. Domyślałam się także, że nie interesują cię mediacje. To również twoja decyzja, więc nie będę wzywał starszych Kościoła. Gdybyś jednak zechciała przyjąć ode mnie dwie maleńkie wskazówki, oto one...

Czekała, poirytowana.

– Po pierwsze – podjął wielebny. – Od dziś aż do dnia rozprawy omijaj szerokim łukiem jejmość Howland i Catherine Stileman.

– A po drugie?

– Zaufaj swojemu ojcu i mnie. Ja nie chcę mieć na sumieniu kolejnej Ann Hibbens i nie chcę, żeby szaleństwo, które dotknęło Hartford, przyszło także do nas.

Nagle zrozumiała. Przynajmniej tak jej się zdało. Pojęła to ze spojrzeń, jakie wymieniali rodzice i pastor John Norton, z rosnącej między nimi atmosfery konspiracji. Widziała w ich oczach, że jeśli nie będzie ostrożna, może ją czekać los znacznie gorszy niż życie z Thomasem Deerfieldem.

„To, co zobaczyłam, wstrząsnęło mną do głębi. Mówię to jako świadek, nie plotkuję”.

*Zeznanie Abigail Gathers, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 12

Benjamin Hull wstąpił do domu Jamesa Burdena, aby powiadomić Mary, że jej wniosek zostanie rozpatrzony przez sąd jeszcze w tym tygodniu, zapewne w czwartek. Na podstawie liczby spraw będących tego dnia na wokandzie rejent wnioskuje, że skład zajmie się nim zaraz po obiedzie. Mary nie pytała o innych powodów, bała się bowiem, iż wiedza ta tylko spotęguje jej niepokój. Hull oznajmił jednak, że jeśli chodzi o rozwody, przewód jest tylko jeden. Oczywiście.

Gdy rejent wyszedł, udała się do swojego pokoju i przysunęła do okna niewielkie krzesło. Tam, w popołudniowym świetle, zaczęła pisać w pamiętniku. Trzymała go na kolanach, kałamarz stał na parapecie. Nie wspomniała o czekającym ją procesie ani o obawach związanych z ewentualnymi oskarżeniami, o tym, że mogłaby się znaleźć na celowniku muszkietu. Nie wspomniała o przystojnym Indianinie, którego widziała handlującego na targu, ani o tym, że iskry i płomień w kuźni z dzisiejszego ranka wydały jej się piękniejsze od wschodu słońca. Pisała o chwilach, gdy jako mała dziewczynka mieszkała w Anglii, o tym, jak turlała się ze zbrocza w rodzinnej posiadłości, gdzie jej brat Giles hoduje teraz owce. Miała siedem lat, powietrze było rześkie, kłujące, lecz ona na to nie zważała. Przez jakiś czas bawiła się sama, ale potem dołączył do niej młodszy z dwojga starszego rodzeństwa, Charles. Udawali, że są pniami toczącymi się do wąwozu, a kiedy zatrzymywali się u stóp wzgórza i wstawali, świat wirował jak oszalały, a nogi odmawiały im posłuszeństwa. Wówczas chwiali się i zataczali, pozując na pijaków, co zasiedzieli się w gospodzie. Słowa wypowiadali niewyraźnie i bełkotliwie. Teatralnie padali na ziemię, a potem gramolili się na czworaka, wspinali na zbocze i powtarzali całą zabawę.

Mary zaczęła czytać to, co właśnie napisała. Zawsze marzyła, że któregoś dnia wejdzie na szczyt wzgórza po śladach swojej córeczki i będzie patrzeć, jak dziecko turla się w dół po łące dokładnie tak samo, jak kiedyś ona – w jej wyobraźni dziewczynka miała kasztanowe włosy schowane pod czepkiem, oczy radosne i okrągłe. Niestety. Wyglądało na to, że nigdy nie przyjdzie jej tego doświadczyć.

Przypomniała sobie, jak w Anglii dorośli grywali w karty. Nawet jej rodzice. Tęskniła za ich śmiechem podczas gry.

Tęskniła za świętami Bożego Narodzenia.

Zamknęła oczy, bo zbyt uleganie realności świąt czy rozgrywek karcianych nie mogło jej się teraz przysłużyć. Najlepiej, jak potrafiła, stosowała się do treści Pisma, najwyraźniej jednak nie dość dobrze. W najlepszym razie należało uznać Mary za frywolną, w najgorszym – za bezecną. Otworzyła oczy i odwróciła się w stronę łóżka. Wiedziała, co robiła tam zeszłej nocy, sama, w ciemnościach, myśląc o mężczyźnie, który nazywał się Henry Simmons i który nie był jej mężem.

Nagle, spojrzawszy w okno, zobaczyła ogromne stado lecących na południe gęsi, w budzącym podziw kluczu w kształcie litery V. Nadchodziła zima. A z nią mróz, śnieg i lód.

Zapewniała się w myślach, że po złożeniu zeznań przed sądem doczeka się sprawiedliwości i że powinna być wdzięczna za to, iż mieszka tutaj, w Bostonie, gdzie rozwody są możliwe. Przypomniała sobie jednak spojrzenia wymieniane przez rodziców i wielebnego Nortona. Ogarnął ją strach, że jest tak naiwna.

Starła płamę z jednej z romboidalnych szybek okna. Piekło spowite jest ogniem. To Mary wiedziała. A Bóg nie usprawiedliwia bezecnych. Z tego również zdawała sobie sprawę.

Ale ten oziębły świat Nowej Anglii? To nie było żadne niebo.

\* \* \*

Kiedy wieczorem Mary, jej rodzice i służące kończyli jeść kolację, usłyszeli zgrzytliwy dźwięk końskich kopyt na podwórku. Hanna podeszła otworzyć drzwi. Stał w nich Thomas Deerfield z kapeluszem w ręku. Konia przywiązał do palika na skraju podjazdu.

– Dzień dobry, Hanno – powiedział.

Mary i jej matka nie wstały, zrobił to jednak ojciec.

– Co cię sprowadza, Thomasie? – zapytał James Burden.

– Miałem nadzieję po raz ostatni porozmawiać z twoją córką. Pozostaję otwarty na mediacje, nawet gdyby miało to oznaczać wtrącanie się starszych Kościoła w moje życie. Ciągłe modłę się o jakieś wyjście i powstrzymanie tego szaleństwa, nim stanie się przedmiotem zainteresowania władz.

– Nie ma takiego wyjścia – odparł ojciec Mary.

Ona sama patrzyła z zakłopotaniem to na rodziców, to na Abigail i Hannę. Wszyscy oni wbijali wzrok w Thomasa, a potem spoglądali po sobie. Jak gdyby Mary była niewidzialna.

– Thomasie, jeśli życzysz sobie rozmawiać ze mną, proszę bardzo – oznajmiła, wstając. – Nie mam pojęcia, jaka korzyść mogłaby z tego wyniknąć, ale cię wysłucham.

– Dziękuję.

– Mary, nie musisz się z nim zadawać – powiedział James Burden.

– Muszę – odrzekła. – Muszę.

– Zamienimy słowo na osobności? – poprosił Thomas głosem wręcz nieśmiałym, jakby należał do konkurentów ubiegających się o jej rękę, jakby był chłopcem, nie dorosłym mężczyzną.

– Tak – zgodziła się i z wieszaka obok kominka zdjęła swój płaszcz. – Wyjdźmy na zewnątrz. – Skinęła głową do rodziców, dając im do zrozumienia, że wszystko w porządku, a ta rozmowa jej nie turbuje. Potem zamknęła za sobą frontowe drzwi. Zostali sami w ciemną noc, która byłaby całkowicie pozbawiona światła, gdyby nie to bijące od świec i kominka, promieniejące zza szyb.

Przez dłuższą chwilę on tylko na nią patrzył. Poczowała jego oddech, pachnący piwem, które zapewne wypił do kolacji, albo po niej, w jakiejś gospodzie. Nic jednak nie wskazywało w jego twarzy ani zachowaniu, żeby był pijany.

– Tęsknię za tobą, Mary – odezwał się w końcu.

– To budujące – skwitowała. – Ale nasza miłość przypomina jabłko, które spadło z drzewa i nikt go nie podniósł.

– Nie zgadzam się. Nie ma żadnego gnicia w moim sercu. Jest owocem wciąż świeżym, jak wówczas, gdy pierwszy raz cię ujrzałem.

Uniosła lewą dłoń. Goiła się wprawdzie, lecz dla Mary nadal stanowiła wiadomość potężniejszą od słów. Następnie dotknęła palcem miejsc na twarzy, w które Thomas ją bił.

– Dla ciebie moja twarz była jabłkiem, które mogłeś swobodnie obijać.

– Zgrzeszyłem, to prawda – przyznał Thomas. Wyczuła w jego oczach ślad żalu. – Ale nigdy więcej. Składam ci obietnicę: jeśli wrócisz, więcej cię nie zranię. Nigdy.

– Już to obiecywałeś.

– Ale jak dotąd nie czułem takiej goryczy, spowodowanej utratą ciebie.

Zastanawiała cię, czego szczególnie mu brakuje. Dostępu do jej ciała, kiedy ma na to ochotę? Jej pracy jako żony i towarzyszk życia? Tego, że utrzymywała pościel w czystości? Owszem, miał Catherine, ale z pewnością musiał teraz więcej pracować przy domu i zwierzętach, jak nigdy dotąd. Powinien zatrudnić drugą służącą. A może z próżności i wstydu obawiał się skutków rozwodu: upublicznienia swojej porażki?

– Czego brakuje ci najbardziej?

Spojrzał w niebo, na gwiazdy i księżyc ukryte za chmurami.

– To przesłuchanie?

– Zadałam tylko jedno pytanie.

– Przychodzę tu pokorny, przywołany do porządku. Czy to nie dość?

– Nie chcę twojego łaszenia się. Kiedyś pragnęłam twojej miłości, lecz ty zdajesz się wierzyć, że pokora to wystarczający fundament dla małżeństwa.

– Czego ty chcesz, Mary? Złożyłem ci przysięgę.

– A czego chcesz ty, Thomasie? – odpowiedziała pytaniem. – Nie jesteś zdolny zaoferować mi niczego poza słowami o tęsknocie, odkąd znalazłam schronienie u rodziców.

– Za twoim nieposłuszeństwem nie tęskniłem.

– Byłam posłuszną żoną.

– Świetnie. Zatem brak mi tego posłuszeństwa.

– To budowanie na piasku. Buduj swój dom na skale.

– Posłuszeństwo to nie piasek. Jeśli zamierzasz bić mnie po głowie Biblią, nie ciskaj słów, jakbyś była tylko...

– Jakbym była kim? Kobietą z nabiąłem zamiast mózgu?

Skrzyżował ramiona na piersi i wbił wzrok w swoje buty.

– Są chwile, w których twój umysł mnie przeraża. Nie o to chodzi, że myślisz wolno, raczej, że nie rozumiesz potrzeby uległości.

– Moje kolana istnieją więc po to, aby się zginały?

– Bolało mnie, kiedy cię krzywdziłem. Pewnie w to nie uwierzysz, ale taka jest prawda. Wiem, czego Pan Bóg od nas chce. Nie zależało mi na psuciu ci nastroju, po prostu niektóre reprimendy piękną bardziej od innych. Lepiej, żebyś odczuła przemijający ból na tym świecie niż nieskończoną udrękę na tamtym.

– Żadne z nas nie powinno być tak bezczelne, żeby czytać w głowie Boga.

Thomas wypuszczał powietrze z płuc, głośno i długo. Zaczynał się denerwować.

– No właśnie. To miałem na myśli.

– A zatem mój mózg składa się z nabią, ponieważ śmiem się nim posługiwać – powiedziała Mary. – Taka jest twoja logika?

– Mężczyzna to byt ułomny, Mary. A ja jestem mężczyzną.

– Ja natomiast ułomną kobietą i...

– Tak – zgodził się Thomas, tym samym jej przerywając. – Owszem. I kiedy cię dyscyplinowałem, to zawsze z lęku o twoją duszę. Już to mówiłem, ale powtórzę: drzę ogromnie przed naszym Panem i nie mam żadnej pewności, czy ty podzielasz mój lęk.

Poczuła złość na tę jego hipokryzję, bezczelność kłamstw albo monumentalnego zwodzenia samego siebie, zdołała się jednak pohamować. Już wcześniej słyszała z ust Thomasa to usprawiedliwienie dla własnego okrucieństwa.

– Nasze niedoskonałości, połączone, wiodą w najlepszym razie do nieporozumień, w najgorszym do gniewu i nieszczęścia – zasugerowała.

– No cóż, z pewnością nie zaowocowały dzieckiem.

Skwitowała ten przytyk skinieniem głowy. Powiedział to odruchowo, bez namysłu. Ludzie się nie zmieniają.

– Zobaczymy się w sądzie.

Zamknął jej ramię w mocnym uścisku.

– Jeśli myślisz, że przypadnie ci w udziale jedna trzecia mojego młyna i domu, to żywisz najzłudniejszą nadzieję.

– Rekompensatą będzie mi przyszłość bez ciebie: przyszłość bez lęku o życie, w której mąż nie postrzega żony jako zwierzęcia do bicia wedle woli.

– Nigdy cię nie biłem wedle woli. Powtarzam: nigdy nie chciałem cię zranić. To ty nie dałaś mi wyboru.

Naprawdę w to wierzył? Nie umiała stwierdzić. Zresztą już o to nie dbała. Uwolniła się i położyła palce na klamce u drzwi. Był zagubiony tak samo, jak był agresywny. Żałowała, że naskoczyła na niego, ponieważ nie sposób wygrać dyskusji z osobą tak fundamentalnie pozbawioną rozsądku. Przypomniała sobie słowa Jezusa z Kazania na górze.

– Nie rozmawiajmy tak ze sobą – rzekła cicho. – Wierzę, że mnie kiedyś kochałeś. Ja kiedyś kochałam ciebie. Uderzyłeś mnie w prawy policzek, nadstawiam lewy.

Thomas się uśmiechnął, ale wrednie, złowrogo.

– „A jeśli ktoś chce się z tobą sądzić i zabrać twoją suknię – zaczął, by po chwili przerwy dokończyć werset – oddaj mu i płaszcz”. – Po czym zdjął swoją ciemnozieloną pelerynę i rzucił na ziemię, pod jej nogi. – Weź go sobie, Mary. Ale jest pewne jak słońce: to wszystko, co ode mnie uzyskasz. – Podeszedł do palika, do którego uwiązał konia, wspiął się na siodło i odjechał ulicą z nietypową dla siebie chyżością.

\* \* \*

Nazajutrz nadszedł list od brata Mary, Charlesa. Przypłynął na ogromnej, stutonowej brygantynie pod nazwą „Maria Pełna Nadziei”. Priscilla Burden uznała to za cudowny znak, skoro pismo nadeszło statkiem tak ochrzczonym. Wiadomości były istotnie dobre: żadnych chorób, kolejne dziecko urodziło się zdrowe – tym razem dziewczynka – dawki słońca i deszczu okazały się odpowiednie. James Burden wyraził wdzięczność Panu w modlitwie przed kolacją, po czym



wyszedł na North End, lecz nie do swojego składu w porcie. Gdy Mary spytała matkę, dokąd udał się ojciec, ta odrzekła, że z małą sprawą do załatwienia i zaraz wróci do biura na nabrzeżu. Mary dopytywała o szczegóły, jednakże pani Burden żadnych nie znała.

Po obiedzie Mary zastanawiała się nad spacerem w kierunku pirsu. Ojciec twierdził, że „Maria Pełna Nadziei” niebawem odpłynie do Londynu, więc chciała ją przedtem zobaczyć, choćby ze względu na samą nazwę. Ostatnio senior rodu ekscytował się także spodziewanym przybyciem słupa z Barbadosu, wyładowanego cukrem, solą i barwnikami. W głębi serca Mary zdawała sobie sprawę, że jeśli pójdzie do doków, to także – przynajmniej po części – ze względu na Henry’ego Simmonsa, a tej pokusy postanowiła unikać. Ruszyła więc na zachód, ku Watch Hill, lecz tak jak nie chciała spotkać Henry’ego, tak zdecydowana była omijać North End i młyn zbożowy swojego męża.

\* \* \*

Stanąła na wzniesieniu i wpatrywała się w miasto pod sobą. W jednym kierunku nadal rozciągał się las, biegł daleko: świat zwierząt, Indian oraz ekskomunikowanych. W pozostałych widziała ziemię uprawną po wykarczowanych drzewach i farmy, gdzie jesienią zebrano ostatnie kłosa zboża. Wątpiła, by stać ją było na choćby odrobinę dzielności kobiet i mężczyzn, którzy tam mieszkali i pracowali. Mary słyszała o dwóch wdowach żyjących samotnie na maleńkich działkach, daleko od rodziny, sąsiadów, pomocy. Czy można się dziwić, że ostatecznie kobiety takie jak one zwracały się po wsparcie do Szatana?

Uznała, że powinna częściej odwiedzać tę część miasta. Różniła się ona od handlowego centrum i okolic portu: było tu spokojniej. Dostrzegła też inne ptaki poza mewami. Ruszyła w drogę powrotną i różnym krokiem przeszła obok ulicy, przy której stał młyn Thomasa.

\* \* \*

Dotarłszy do domu, z zaskoczeniem stwierdziła, że Diabeł sprowadził jej pokusę właśnie tutaj. W kuchni, obok stołu, tkwił Henry Simmons. Rozmawiał wesoło z Abigail, która przygotowywała kolację. Dziś miał na sobie zielony kaftan, a ciemne włosy starannie uczesał. Gdy Mary weszła do środka, pomógł jej zdjąć płaszcz gestem szarmanckim, lecz zarazem – w jej odczuciu – nazbyt intymnym.

– Gdzie moja matka? – zwróciła się z pytaniem do Abigail.

- W aptece, proszę pani.
- A pana cóż do nas sprowadza, panie Henry Simmons?

Wskazał butelkę na stole.

– Rum. Podarunek od mojego wuja dla jego przyjaciół, państwa Burdenów, oraz, rzecz jasna, ich córki.

- Dziękuję.
- Cała podzięką należy się wyłącznie wujowi Valentine'owi. Ja jestem tylko posłańcem.
- Wyświadczą mu pan wiele przysług.
- Zwykle nie są trudniejsze od rozbicia jajka.

Na te słowa Abigail podniosła wzrok znad sera i mąki w misce przed sobą i się uśmiechnęła.

– Widziałam sporo mężczyzn, co jajka dobrze rozbić nie umieli – powiedziała.

– Ja to robię poprawnie.

– Wątpię – odrzekła służąca. – I podejrzewam, że pańskie umiejętności zawodowe nie obejmują kuchni.

– Och, sam nie wiem dokładnie, jakie są moje umiejętności zawodowe.

– Na pewno nie rozbijanie jajek – mruknęła Abigail.

Mary poczuła lekkie ukłucie zazdrości wobec sposobu, w jaki ta dziewczyna flirtowała z Henrym, ale słuchała rozmowy z zainteresowaniem. Podziwiała śmiałość młódki. Ta wymiana zdań wzbudziła też w niej pewne podniecenie.

– Może właśnie dlatego przyjechałem do Bostonu. Kolonii są na gwałt potrzebni mężczyźni umiejący narobić straszliwego bałaganu w kuchni.

Służąca przewróciła oczami, wytarła ręce o fartuch i oznajmiła:

– Trzeba mi mnóstwa jajek do tego ciasta. Proszę rozgrzać dłonie, a kiedy wrócę, pokaże mi pan swoje talenty. – Potem wyszła z domu do kurnika na tyłach.

– Ona zawsze jest tak cudownie pewna siebie? – Henry zwrócił się z pytaniem do Mary, kiedy zostali sami.

– Nie. To pan wydobywa z nas wszystkich to, co najgorsze, Henry – odparła Mary tonem wesołym, nie karcącym.

– Oto dopiero jest szlachetna umiejętność! I powód, dla którego przebyłem całą drogę tutaj.

– Och. I Diabeł może przybierać piękne oblicze. Lecz by kogoś zwieść na pokuszenie, trzeba czegoś więcej.

– Mam piękne oblicze? A to dobrze wiedzieć.

– Wie pan o tym doskonale.

– I znów to samo: najbardziej śmiertelny z grzechów, pycha. Często jej ulegam. Wpędzi mnie do grobu.

– Ach, a któż spośród nas do tego doprowadzi?

– Nie pani – powiedział i podszedł do niej.

Stanął tak blisko, że poczuła jego oddech na swojej twarzy.

– Niby czemu?

Wbił w nią wzrok, intensywny.

– Ponieważ jak sądzę, jesteście do siebie podobni.

– W jaki sposób? Prawie się nie znamy.

– Sokół z daleka rozpozna pobratymca.

– I ofiarę.

Henry się uśmiechnął.

– Otóż to. Jestem w pani szponach.

Nachylił się głębiej; poczuła, jak bierze jej prawą dłoń w swoją rękę.

– Mary, nigdy nie zapominaj o jednym: jesteś znacznie bardziej urodziwa niż ja przystojny. Jest to fakt tak bezsporny jak fale w porcie i czerwień liści, nim spadną.

Zdała sobie sprawę, że on zaraz ją pocałuje. Myśl ta ją sparaliżowała. Potem jednak, bezwiednie, jej ciało zaczęło się ruszać, jakby posiadało własną wolę, zmienione w pragnienie i potrzebę. Mary wspięła się na palce i otworzyła usta, gotowa przyjąć jego wargi.

W tym momencie dał się słyszeć huk spadającej misy z jajkami, które rozbiły się na podłodze. Abigail stała w drzwiach, z dłonią na ustach.

„Robotę Szatana dostrzegamy w pokusach, którymi wymachuje nam wszystkim przed oczami, ale najwyraźniej w zachętach, jakie stosuje wobec nieródek, w namowach do złego, którymi zwodzi kobiety bezpłodne”.

*Zeznanie wielbnego Johna Nortona, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 13

W dniu, w którym miał być rozpatrzony jej pozew rozwodowy, Mary zjadła bardzo skromne śniadanie. Tuż przed południem, na naleganie matki, skubnęła trochę chleba na zakwasie, zagryzła rzepą i urwała kawałek mięsa z uda indyka. Abigail i Hanna prawie się do niej nie odzywały, co trwało od chwili, w której ta pierwsza ujrzała swoją panią w bliskim kontakcie z Henrym Simmonsem, z ręką splecioną z jego ręką. Mieszkały wprawdzie pod jednym dachem, Mary poznała Abigail zaraz po jej przybyciu do kolonii, lecz oto nagle stały się dla siebie obce. Młoda pani Deerfield rozumiała dylemat dziewczyny: jej zeznanie mogłoby rozgniewać pracodawców, lecz kłamstwo niosło ze sobą znacznie poważniejsze, bo wieczne konsekwencje. Mary wyznała rodzicom wszystko, co stało się między nią a Henrym, wspomniała też o wejściu Abigail. Pan Burden przeprowadził ze służącą rozmowę, podczas której wywarł na nią presję co do ewentualnych zeznań.

– Mam nadzieję, Abigail – mówił w obecności Mary – że nigdy nie stracisz z oczu ran, jakie Thomas Deerfield zadał mojej córce. Spójrz na jej dłoń. Przypomnij sobie, jak wyglądała, gdy córka do nas wróciła. Nie można wykluczyć pojawienia się insynuacji, które pognębiłyby Mary na zawsze. Solennie rozważ w swym sercu, że to, co zapewne widziałaś, jest drobiazgiem w porównaniu z ogromem szkody, którą poniesie dobre imię mojej córki, jeśli to wszystko przekształci się w coś większego niż tylko pozew rozwodowy z powodu brutalności jej męża.

– Zapamiętam, proszę pana – odrzekła Abigail, lecz Mary poczuła się bardziej zawstydzona niż uspokojona. Wiedziała, czego się dopuściła. Uległa pokusie i zdawała sobie sprawę, ile owa chwila słabości może ją kosztować.

Ojciec spotkał się również z Henrym Simmonsem. Nie zrelacjonował Mary zbyt obszernie, o czym mówił z młodszym mężczyzną, zapewnił jedynie, że jeśli w procesie podniesiona zostanie kwestia cudzołóstwa, Henry gotów jest wziąć na siebie całą winę i baty. Ojciec przypomniał Mary ponadto, iż Abigail widziała jedynie pocałunek, po czym zażądał, aby córka potwierdziła, że istotnie do niczego więcej nie doszło. Bądź co bądź cudzołóstwo było poważnym przestępstwem.

Mary zdawała sobie sprawę ze stanu swoich uczuć wobec Henry'ego. Pociągał ją. Czowała pokusę. Doznawała przy nim zawrotu głowy, którego nigdy nie doświadczyła w obecności Thomasa. Myślała o Henrym całymi dniami od wielu tygodni, myślała o nim, leżąc nocą samotnie w łóżku.

Mary i jej rodzice byli świadomi, że Deerfield wynajął sobie prawnika i że ów prawnik rozmawiał wczoraj z obiema służącymi Burdenów. Człowiek ten, Philip Bristol, należący do nielicznych w kolonii adwokatów, prezentował się jako jegomość pulchny, z czarno-białymi gąsienicami brwi. Powszechnie się nim brzydzono, głównie ze względu na jego profesję, choć nikt nie powątpiewał w intelekt Bristola. Zatrudnienie rejenta takiego jak Benjamin Hull należało jeszcze do dobrego tonu, natomiast zwrócenie się o pomoc do prawnika, by ten reprezentował kogoś przed sądem, uważano za rzecz nieprzyzwoitą. Ale wśród sędziów pokoju znajdowali się ludzie wykształceni prawniczo jeszcze w Anglii, dlatego zaczynano tolerować w ratuszu nawet adwokatów.

Otóż adwokat oznajmił obu służącym, że chce zrozumieć, dlaczego Mary pojawiła się owego ranka w domu swoich rodziców. Abigail zapewniła pana Burdena, że pytania o Henry'ego Simmonsa nie padły.

– Dlaczego miałyby paść? – spytał James.

Spośród dwojga dziewcząt stawiennictwa przed sądem zażądano tylko od Abigail. To był zły omen, jak się zdawało, złowieszczą wróżba tego, co służąca mogłaby tam zeznać.

W mijającym tygodniu Mary często rozmyślała o rozmowie z Thomasem, próbując ustalić jego motywy, pojąć, dlaczego wkłada tak wielki wysiłek w zachowanie ich małżeństwa. Czy powoduje nim duma? Ryzyko utraty jednej trzeciej majątku? A może naprawdę ją kocha? Mary nie знаła odpowiedzi, zakładała jednak, że trzecia możliwość jest najmniej prawdopodobna. Przecież w jego oczach jest tylko głupią dziewczką i pełną pychy grzesznicą – w obu przypadkach wymagającą kurateli i prowadzenia, nawet za pomocą barbarzyńskiego bicia.

W przeddzień rozprawy kilka godzin spędziła z matką i z Benjaminem Hullem przy stole w domu rodziców, przeglądając zeznania skrupulatnie spisane przez rejenta. Nie widziała w tych słowach niczego, co mogłoby jej istotnie pomóc. W pewnym momencie poczuła się zbulwersowana rzekomo nieskazitelną reputacją Thomasa Deerfielda, jak również obsesją Catherine Stileman na punkcie czarów i widelców. Zrobiło jej się niedobrze i musiała wyjść do ogrodu. Tam, za małym kojcem dla kur, zwymiotowała. Wracając do środka, żeby wytrzeć usta w fartuch, spojrzała na bliźnię, która na zawsze miała już szpecić jej lewą dłoń. Uderzenie o dzióbek imbryka? Kto mógłby uwierzyć w coś takiego? Przecież nadal było widać ślady po trzech zębach widelca.

Niestety, coraz słabiej.

Mary uznała, że kość się goi, nadal jednak bolała. Większość obowiązków starała się więc wykonywać prawą ręką.

Matka spytała córkę, czy źle się czuje z powodu niepokoju, czy może jest chora. Odparła, że nic jej nie jest. Gdyby nie miała menstruacji po odejściu od Thomasa, mogłaby podejrzewać u siebie

ciążę. Ale w nią nie zaszła, tego była pewna.

Podobnie jak tego, że nigdy nie zajdzie.

Rejent oznajmił, iż złożył w ratuszu część spisanych przez siebie zeznań, ale ma jeszcze inne, których nie oddał sędziom do przeczytania. Nie są wprawdzie bezużyteczne, tłumaczył, lecz także niezbyt pomocne. Dodał, że mógłby jeszcze tego popołudnia poszukać paru osób gotowych zeznawać następnego dnia w ratuszu i złożyć ustne zeznania na temat stosunków między Thomasem i Mary. Opowiedzieć o tym, czego byli lub nie byli świadkami.

– Proszę mi coś wyznać – zwróciła się Mary do Hulla w ową środę.

Ten oparł się wygodnie na krześle i czekał. Pani Burden zrobiła to samo.

– Gdy już wszystkie oszczerstwa na temat mojej osoby zostaną wypowiedziane i zacnie się we mnie widzieć grzesznicę niewartą... – urwała.

– Proszę kontynuować – powiedział Hull.

Na obliczu Priscilli odmalował się wielki niepokój. Jeszcze większy niż chwilę wcześniej, gdy jej córka wyszła na zewnątrz.

– Kiedy stanie się dla sędziów jasne, że jestem nieposłuszna, pyszna, że mam skłonność do najbardziej grzesznych przyjemności, że jestem być może służebnicą Szatana...

– Przestań tak mówić! – rozkazała matka. – Nikt nigdy nie powinien w to uwierzyć!

– Och, mam, ależ uwierzą. Na pewno. Widziałaś zapiski pana Benjamina. Wszyscy wiemy, co Catherine powie i co widziała Abigail.

Rejent przenosił spojrzenie od jednej kobiety do drugiej.

– Proszę kontynuować, Mary.

– Jak będzie wyglądać moja przyszłość? Spędził pan w ratuszu, w sali rozpraw, wiele dni. Zna pan orzeczenia sądu, widział pan grzeszników karanych grzywną, batożonych, wsadzonych w dyby. Mam w ogóle jakieś szanse?

– Nie potrafię przewidywać przyszłości – odparł Hull i zerknął na panią Burden. – Ale mąż nie ma prawa bić żony. Przepisy stanowią to jasno. Zdecydowanie nie widzę pani w dybach.

– To może na szubienicy? – spytała, rozmyślnie ignorując jego optymizm.

Matka ujęła Mary za rękę.

– Dziecko, nie bądź niemądra. Nie ma w twojej duszy takiego mroku, żeby jutro ktokolwiek uwierzył w bzdury wygadywane przez Catherine Stileman. Poza tym to twój własny ojciec sprowadził te widelce.

– A ludzie powiedzą, że ja je zakopałam.

– Przecież nie zakopałaś – sprzeciwiła się Priscilla Burden.

– Nie na samym początku.

– Tak. Nie jako pierwsza – powtórzył rejent pod nosem.

– Nie wiemy, czy to mężczyzna, kobieta albo demon wbił te widelce w ziemię za pierwszym razem – a także tłuczek. Ale z pewnością nie byłam to ja – ciągnęła Mary.

Benjamin zanurzył pióro w atramencie i sporządził dla siebie krótką notkę.

– Nie zdręczajmy się szczegółami, Mary – rzekł. – Jak powiedziała pani matka: w tym względzie nie ma się pani czego bać.

Po raz kolejny oczy dwojga starszych dorosłych spotkały się na ułamek sekundy, jakby dzieląc się konspiracyjnym sekretem, którego oznaki Mary dostrzegła wcześniej w rozmowach rodziców z sędzią Richardem Wilderem i pastorem Johnem Nortonem. Nie wiedziała, czy nieznanne jej machinacje tych dostojnych osób niosą ze sobą pociechę, czy budzą lęk.

\* \* \*

W Cambridge, Bostonie, Salem, Springfield, Ipswich i w Yorku funkcjonowały sądy hrabstw. Były niższej rangi i rozstrzygały spory cywilne, gdy w grę wchodziła kwota mniejsza od dziesięciu funtów. Zajmowały się także drobnymi przestępstwami kryminalnymi, o ile skazanie nie wiązało się z wygnaniem, obcięciem członków toporem bądź nożem ani ze śmiercią przez powieszenie. Służyły do dyscyplinowania próżniaków, karania tych, którzy ubierali się nazbyt strojnie, oraz nakładania grzywien na każdego, kto handlował z dzikimi bez stosownej licencji.

Ponad sądami hrabstw działały kolonialne sądy cechowe. W skład trybunału wchodził: gubernator, jego zastępca oraz dwunastu obieralnych sędziów pokoju, choć rzadko cała czternastka gromadziła się jednocześnie na sesji. Byli to ludzie zajęci, dlatego wymagano zaledwie siedmioosobowego kworum, aby wydać werdykt w sprawach cywilnych – takich jak pozew rozwodowy Mary Deerfield – bądź też kryminalnych, które mu przedstawiano. Sędziowie słuchali, zadawali pytania, czasami dyskutowali na osobności. Potem odbywało się głosowanie oraz wydanie wyroku większością głosów.

Mary, jej rodzice i Benjamin Hull stawili się na pierwszym piętrze ratusza. Tego dnia obecnych było jedenastu członków składu, w tym przyjaciel Burdenów, Richard Wilder. Na ławie zasiadał ponadto gubernator John Endicott. Miał prawie siedemdziesiąt pięć lat. Gdy szedł, kulejąc, na przód wielkiej sali rozpraw, wydał się Mary uderzająco kruchy. Roił się tu tłumek innych powodów i świadków, od trzydziestu do trzydziestu pięciu osób. Nagle zobaczyła Thomasa. Stał pod ścianą ze złożonymi rękami i adwokatem u boku. Skinęła mu głową i ukłoniła się z szacunkiem, a następnie



przekląła samą siebie za tę odruchową czołobitność. Jego oczy spoglądały dziwnie łagodnie, minę miał uprzejmą. Mary uznała to za przejaw strategii.

Pozostali sędziowie siedzieli za długim polerowanym kontuarem dębowym, w okazałych, wysokich ławach, ubrani w czarne togi. Mary zlustrowała salę w poszukiwaniu znajomych, nikogo jednak nie rozpoznała. Nie odczuła żadnej ulgi, ponieważ wiedziała, że służąca jej rodziców, Abigail, dostała już wezwanie sądowe, Beth Howland też planowała zeznawać. Zapewne świadkowie znajdowali się jeszcze na targu albo dopiero wchodzili do ratusza, by się stawić na wezwanie woźnego.

– Przed pani wnioskiem, Mary, zostaną rozpatrzone trzy lub cztery inne – odezwał się Hull. – Nie są zbyt skomplikowane, więc spodziewam się ich szybkiego załatwienia. Ale nigdy nie wiadomo. Czasem w najbardziej oczywistych sprawach napotyka się skrupulatność graniczącą z pedanterią.

Mary skinęła głową i nic nie odpowiedziała. Wkrótce miała zabrać głos, mówić we własnym imieniu. Nie zaryzykowała gniewu sędziów, zatrudniając adwokata. Thomas podjął decyzję zgoła odwrotną, sądziła jednak, że i tak będzie zmuszony do udzielania odpowiedzi osobiście. Była zdenerwowana, choć strach nie należał do paraliżujących. Przez cały poprzedni tydzień starannie ćwiczyła swoje wystąpienie, pracując mniej więcej tak, jak pracowała w Anglii jako dziewczynka, gdy nauczyciel wyznaczał jej jakieś zadania. Ojciec zapewnił Mary właściwą edukację, sprowadzał do domu tutorów języka i muzyki. Inne dziewczęta pobierały lekcje tańca i gracji, nawet te należące do rodzin zamierzających wyemigrować do Nowej Anglii. Bądź co bądź Biblia nie zabraniała tańca. Mary pamiętała, jak zazdrościła tym pannom, lecz ojciec stał twardo przy swoim: taniec może prowadzić do pożądliwości zmysłów. Przygotowania do dzisiejszego dnia Mary potraktowała znacznie poważniej, pracując z zaciekleścią i nakierowaniem na cel, których nigdy nie przejawiała w dzieciństwie.

Skupiała się teraz na tym, co zezna oraz jak będzie odpowiadać na pytania sędziów.

Nagle woźny sądowy zastukał laską w drewnianą podłogę i zażądał ciszy. Tłumek zamilkł i skupił uwagę na ławie sędziowskiej. Gubernator właśnie kończył nakładać swą czarną togę.

Woźny oznajmił, że tego popołudnia nie ma skarg wymagających powołania ławy przysięgłych i że takie wysłuchane zostaną jutro. Dodał, że pierwszy pozew dotyczy kolizji dwóch łodzi w porcie, skutkującej złamaniem nogi przez niejakiego Knighta. Rybak ów stracił swój kuter, który bezceremonialnie zatonął przy nabrzeżu. Według świadków wydarzenia pozwany Lewis Farrington, którego jednostka również została uszkodzona, ale nie zatonąła, był pijany i kierował nią nieostrożnie. Przez pewien czas Mary obserwowała proces z zainteresowaniem. Ani Knight, ani

Farrington nie zatrudnili adwokatów, ale ten pierwszy miał swojego rejenta. Wsparty na kulach, kuśtykając, przedkładał sądowi stosy papierów: zeznania spisane przez rejenta, w tym te od marynarzy, którzy wyciągnęli biedaka z wody. Wynik rozprawy zdał się Mary tak oczywisty, że zaczęła ją ona nudzić. Ostatecznie rzecz rozstrzygnęła się zgodnie z przewidywaniem: Farringtona uznano za winnego. Miał zwrócić Knightowi koszt kupna nowej łodzi oraz dołożyć dwadzieścia funtów. Wymierzono mu też grzywnę w wysokości dziesięciu funtów za pijaństwo oraz karę całodziennego zakucia w dyby pojutrze.

Następnym pozwanym był Indianin skazany na trzydzieści batów za to, że włamał się do pewnego domu i przypadkowo, będąc nietrzeźwym, przewrócił beczkę z cydrem. W tym wypadku zarówno werdykt, jak i cały proces wywołały w Mary dziwne zmieszanie. Indianin miał nie więcej niż szesnaście, siedemnaście lat i pozostawało niejasne, czy w ogóle rozumie angielski. Ubrany był w spodnie i koszulę o wiele za obszerne na swą szczupłą postać. W ciemnych oczach chłopca widziała strach. Nikt nie przemawiał w jego obronie. Właściciel beczki z cydrem, przystojny mężczyzna o złotych włosach, wyraził oburzenie brakiem trzykrotnej rekompensaty za utratę napoju. Wtedy Wilder rozparł się w krześle i zapytał powoda, na jakiej właściwie podstawie spodziewa się, by dziki spłacił mu choćby pensa. Gdy Indianina wyprowadzono, serce Mary zalała litość dla owego młodego człowieka. Był całkowicie sam, czekała go chłosta tylko dlatego, że nikt nie pouczył go wcześniej o przykazaniach Pana.

Wreszcie sąd zajął się apelacją z sądu hrabstwa w Ipswich, dotyczącą jakiegoś ogrodzenia blokującego drogę publiczną. Sprawa była nudna.

Mary szepnęła do Benjamina Hulla:

– Czy sądy często zajmują się tak przyziemnymi kwestiami?

Rejent się uśmiechnął i odrzekł cicho:

– Przyziemna jest tylko dla kogoś, komu ogrodzenie nie utrudnia wypasu zwierząt na własnej ziemi.

Sędziowie zapoznali się z decyzją sądu niższej instancji i omówili treść otrzymanych zeznań na piśmie. Następnie wysłuchali powoda, pozwanego oraz świadków, którzy opowiadali o reputacji rzeczonych mężczyzn. Trwało to w nieskończoność: słońce już zachodziło na niebie, salę ogarniał mrok. Ktoś zapalił świece podsufitowe oraz te na kinkietach lewej ściany. Ostatecznie sąd uchylił postanowienie niższej instancji i nakazał rozebranie ogrodzenia.

I wtedy, niczym burzowa chmura pojawiająca się znikąd w letni dzień, nadeszła kolej Mary. Usłyszała, jak jeden z sędziów pokoju, Daniel Winslow, wypowiada jej nazwisko. Przez chwilę stała sparaliżowana, a potem ojciec mruknął jej do ucha:

– Już pora, Mary. Śmiało. Walcz z podniesioną głową. Bóg jest z tobą!

„Zauważyłem po prostu, że gdyby Thomas Deerfield chciał panią zamordować, nie skończyłby na pani ręce”.

*Uwagi sędziego Caleba Adamsa, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 14

– Okrucieństwo – mówił Richard Wilder – można zdefiniować jako niesprowokowany akt przemocy oraz stosowanie nadmiernej dyscypliny. Mamy przed sobą żonę, która chce się rozwieść z mężem, ponieważ wedle jej pozwu traktowana jest przez niego z bezsensowną i uporczywą nikczemnością. Mąż bije ją i znęca się nad nią fizycznie, ignorując fakt, że kobieta jest przecież istotą słabszą i kruchszą.

Mary kiwnęła głową, choć wyglądało na to, że sędzia przemawia bardziej do swoich kolegów niż do niej.

– Mary Deerfield prosi o rozwód z Thomasem Deerfieldem. Czy powódka mogłaby podejść bliżej?

Mary podeszła. Stała przed ławą, czując się naga i bezbronna. Koronkowy kołnierz i mankiety owinęła niebieskimi wstążkami, które jej zdaniem dobrze pasowały do koloru gorsetu i spódnicy, wykonanych z zielonej wełny. Włosy spięła ciasno pod nieskazitelnie białym kornetem. Płaszcz miała czarny.

– Dzień dobry – przywitał się sędzia.

– Dzień dobry – odpowiedziała Mary.

Widziała w tym człowieku sprzymierzeńca, ale ojciec oraz Benjamin Hull dali wcześniej jasno do zrozumienia, że nie wiadomo, jaką decyzję podejmą inni członkowie trybunału. Będzie to zależec od zeznań, z których przynajmniej niektóre mogą być – jak się wyraził rejent – niebezpieczne. Gdy ją zaprzysięgano, straciła całą pewność siebie. Chciała się uśmiechnąć, aby pokazać, że jest ładna i miła, obawiała się jednak, że mogłoby to wskazywać na frywolność i brak zrozumienia dla powagi sytuacji.

– Czytaliśmy pani pozew. Twierdzi pani, że Thomas Deerfield nazywał ją dziwką tudzież opowiadał o pani niedorzeczności wysane z palca. I że często ją bił, niekiedy nawet w twarz. Uzasadniał to dyscyplinowaniem, ale raczej czynił tak pod wpływem nadmiaru spożytego cydru lub piwa. Czy to się zgadza?

– Tak.

– Ile lat jesteście małżeństwem? – zapytał John Endicott.

– Pięc.

– A ile razy, jak pani twierdzi, Thomas ją uderzył?

Mary nie znała dokładnej liczby, znała jednak właściwą odpowiedź, którą należało przedstawić temu sądowi. Hull ją tego nauczył. Mimo wszystko prawda była bolesna: musiała teraz stawić czoło upokorzeniu związanemu z tym, co powie, i czuła, że zaczyna się rumienić. Tego rodzaju publicznego spektaklu, zogniskowanego wokół własnej osoby, nigdy się nie spodziewała. Czuła wstyd, mimo świadomości, że przecież nie zawiniła.

– Nie potrafię podać dokładnej liczby – odparła. – Ale pobił mnie co najmniej kilkanaście razy. Często trafiał w boczną część głowy, aby sińce dawało się zasłonić włosami albo kornetem. Przypuszczał ataki celowo na te miejsca, które łatwo zamaskować. Wiedział, że bicie jest czymś nagannym, i nie chciał, aby inni widzieli dowody jego barbarzyństwa. Raz rzucił mną o kominek. Raz wylał na mnie resztki gorącej kolacji. Gdy wreszcie wbił mi widelec w rękę, zrozumiałam, że więcej nie zniosę tej udręki. Zaczęłam bać się o swoje życie. Uznałam, że czas na rozwód.

– Proszę powiedzieć nam precyzyjnie: dlaczego mąż panią bił? – zapytał Richard Wilder.

Mary czuła, że Thomas nie spuszcza jej z oka, nie śmiała się jednak odwrócić. Sytuacja była wystarczająco trudna.

– Bez żadnego powodu. Często bywał podchmielony, pił za dużo cydru albo piwa. Chciał dostać kolację na cynowych talerzach, a ja podałam drewnianą deskę z jedzeniem. Okazywał niezadowolenie z posiłków, które przygotowywałam. Gdy w młynie wydarzyło się coś niepomysłnego, przychodził do domu zrzędlivy.

– Niczym nie sprowokowała go pani do ataku?

– Nigdy.

Caleb Adams, najmłodszy z sędziów – liczył zaledwie trzydzieści lat, ale słynął z pobożności i zalet intelektu – wyprostował się na krześle. Nosił flamandzką, nienagannie przystrzyżoną bródkę. Potarł szczękę z niepotrzebną dramaturgią.

– Czy pani mąż postrzegał dyscyplinowanie jako metodę wychowawczą?

*Główną podstawę do maltretowania?*, pomyślała. *Z pewnością.* Powstrzymała się jednak od tego komentarza, ponieważ wiedziała, że tupet nie doprowadzi do niczego dobrego. Zdecydowała się więc zadać pytanie, aby sprawdzić, czy sędzia zmieni mętne pojęcie *dyscyplinowania* na konkretne: *przemoc* lub *bicie*.

– Czy przez dyscyplinowanie rozumie pan jego gniew oraz agresję?

– Wyrazę się jaśniej – westchnął Adams.

Mary poczuła trzepot dumy, że jej taktyka odniosła mały sukces.

– Uważała pani, że dyscyplinowanie jej przez męża było nadmierne. Czy to znaczy, że stosował je jako człowiek odpowiedzialny za krnąbrną i nieułożoną połowicę?

– Nie – odparła.

Ale zaraz przypomniawszy sobie rozmowę z Thomasem w drzwiach domu rodziców, jak przekonywał samego siebie, że dręczenie Mary leżało w jej najlepszym interesie i bił ją dla dobra jej duszy. Świadomość ta wzbudziła w Mary pewien niepokój, że ukrywanie teraz owego faktu może wskazywać, iż jest ona potępiona tak samo jak jej mąż.

Sędzia Daniel Winslow siedział z rękami złożonymi na blacie.

– Jak bardzo gwałtowny był Thomas? – zapytał. – Naprawdę bała się pani o swoje życie?

– Tak.

– Od dawna?

– Od chwili, gdy wbił mi w dłoń widelec. Wtedy przestraszyłam się nie na żarty.

– Stało się to tej jesieni?

– Tak. Kości jeszcze się nie zagoiły.

– Proszę mi coś powiedzieć, Mary – wtrącił spokojnym głosem Caleb Adams.

– Co tylko pan każe.

– Mówiono mi, że te widelce mają trzy zęby. Diabelskie zębiska. A w pani wniosku rozwodowym jest napisane tylko „widelec”. Czy narzędziem, którym – jak pani twierdzi – mąż ją ugodził, był normalny, dwuzębny widelec zdatny przy krojeniu mięsa, czy może coś bardziej dyskusyjnego?

– To był trójzębny widelec.

– Ten, który wbił w pani rękę?

– Tak. Stąd wiem, że widelec może być straszną bronią.

– W takim razie mam dwa pytania – mruknął Adams. – Pierwsze: według pani zeznań cios był nakierowany na dłoń. Z tego nie powstają rany śmiertelne. Dlaczego zatem obawiała się pani o swoje życie?

– Ponieważ działo się coraz gorzej. Maltretowanie narastało. Najpierw mnie bił, potem rzucił mną o kominek, w końcu mnie dźgnął.

– W rękę. Dźgnął panią w rękę.

– Czy to umniejsza jego okrucieństwo? – zaripostowała pytaniem, podnosząc głos.

Usłyszała za sobą szmer, kolektywne chóralne westchnienie osób zebranych w ratuszu, reagujących na jej ton. Nie spodziewano się, że kobieta rzuci wyzwanie sędziemu. Zazwyczaj pytania – nie tylko zwykłe prośby o wyjaśnienie zeznań – padały wyłącznie z ławy sędziowskiej.

Jeśli ktoś w ogóle dyskutował z członkiem składu, to raczej jakiś adwokat, którego nieciesząca się dobrą opinią profesja znana była z ordynarnej bezczelności.

– Zauważyłem po prostu, że gdyby Thomas Deerfield chciał panią zamordować, nie skończyłby na pani ręce – powiedział Adams i wzruszył ramionami. – Drugie pytanie brzmi: skąd w ogóle te diabelskie zęby znalazły się w waszym domu?

– Importuje je mój ojciec. Są coraz popularniejsze w Europie.

Gubernator popatrzył na Adamsa i przez chwilę Mary myślała z ulgą, że ta nonsensowna rozmowa o sztuccach wreszcie się skończy. Zrozumiała swój błąd natychmiast, gdy tylko John Endicott się odezwał.

– W Europie różne rzeczy są popularne, Mary. Właśnie dlatego przybyliśmy tutaj.

Na te słowa mężczyźni w ławie sędziowskiej zgodnie pokiwali głowami, nawet Richard Wilder.

– Powiada się również – podjął Adams – że używała pani tych diabelskich zębów w innym celu niż tylko jako sztucca.

Mary miała ochotę krzyknąć ze złością: *Czy możemy używać słowa widelec?* Wiedziała jednak, że jej nie wolno. Powściągnęła język i czekała, ostrożnie formułując w myślach odpowiedź. Znała stawkę, o którą toczyła się ta gra. Była też świadoma dwóch faktów: ktoś lub coś zakopało te widelce przed jej domem – a potem ona zrobiła to samo, wyjąwszy je wcześniej z ziemi. Istniało tyle słów do wypowiedzenia, mnóstwo rzeczy do wyjaśnienia.

Już miała odpowiedzieć, gdy Adams dodał:

– Mamy zeznanie na piśmie, zgodnie z którym mogła pani stosować te przedmioty w złych celach...

– Gorszych niż wbicie jednego z nich w rękę człowieka i złamanie mu kości? – parsknęła odruchowo, przerywając sędziemu.

Czuła się kompletnie zbita z pantałyku. Tego było za wiele. Po prostu za wiele. Natychmiast zrozumiała jednak, że popełniła błąd. Przesłuchanie ją bulwersowało, zwłaszcza że temat oddalał się od istoty sprawy, uzasadnionego wniosku o rozwód, i zmierzał do śmiesznej i chyba katastrofalnej w skutkach dyskusji o nowym typie sztucców.

– Tak, być może – odrzekł Adams krótko. – Jest świadek, który widział, jak zakopywała pani diabelskie zębiska w ziemi, jako ofiarę.

Mary wciągnęła powietrze w płuca i zebrała się w sobie.

– Widelec to nie ziarno – stwierdziła. – Cóż bowiem może wyrosnąć z kawałka srebra wbitego w ziemię?

– Mówiłem o ofierze. Nie o ziarnie.



– Ofierze dla kogo? Noża? Łyżki? – Kilka osób za jej plecami się zaśmiało, nie poczuła się jednak dumna z ich rozbawienia. Nim Adams lub któryś z pozostałych sędziów zdążył się obrazić, podjęła: – Proszę wybaczyć. Nie chciałam być niegrzeczna. Po prostu nie rozumiem, jaka korzyść może płynąć z sadzenia widelców w ziemi.

Gubernator szepnął coś do ucha Richardowi Wilderowi. Ten skinął głową.

– Mary – powiedział – proszę panią, aby tymczasowo oddała miejsce dla świadków. Wiemy, że do ratusza przybyła właśnie Catherine Stileman, chcielibyśmy ją teraz przesłuchać. Chwila zdaje się odpowiednia.

Stawiła się, rzeczywiście. Służąca sprawiała wrażenie przerażonej i małej, kornet miała ciasno związany wokół twarzy, zdawała się więc składać wyłącznie z pary niebieskich oczu oraz lekko zadartego nosa. Ustawiała się obok Mary, nie dalej niż sześć, siedem stóp po jej prawej stronie, wpatrzona w sędziów. Mary wiedziała, że dziewczyna na nią nie spojrzy, przynajmniej nie od razu. Może za kilka chwil, gdy ośmielą ją ludzie w rodzaju Caleba Adamsa.

Kiedy Catherine składała przysięgę, adwokat Thomasa, Philip Bristol, skinął Mary głową – a potem, ku jej zdumieniu, uśmiechnął się.

\* \* \*

– Panie Bristol – zaczął gubernator z wyraźną irytacją, którą budziła w nim obecność adwokata u boku świadka – zamierza pan przemówić w imieniu Catherine Stileman?

– Jestem tu na wszelki wypadek, gdyby mnie potrzebowała – wyjaśnił prawnik. – Aby w razie konieczności rozwinąć jej wypowiedzi.

Endicott kiwnął ociężale głową.

– Catherine, proszę powiedzieć sądowi, czego byłaś świadkiem pewnej nocy dwa tygodnie temu i co robiła twoja pani.

– Mogę zacząć od wcześniejszego momentu, proszę pana?

– Jak bardzo wcześniejszego? – spytał gubernator.

Bristol wmieszał się z wyjaśnieniem:

– Z tego samego dnia. Nie chcemy marnować czasu wysokiego sądu na rozwlekłe historie.

– Dobrze. Proszę mówić.

Catherine skinęła głową z szacunkiem.

– Tamtego dnia – podjęła nerwowo – kiedy niosłam do domu jajka, podeszła do mnie moja pani.

– Dalej.

– Powiedziała, że znalazła przed domem diabelskie zębiska, zakopane w ziemi, dwa takie, i mi je pokazała. Wciąż były brudne. I oskarżyła mnie, że to ja je tam wsadziłam.

– Do ziemi?

– Tak. Odrzekłam, że nie mam o niczym takim pojęcia i wcale tego nie zrobiłam.

– Poczujesz się urażona?

– Przestraszona. Bałam się, że tu chodzi o jakieś czary.

Przez salę przebiegł szmer.

Bristol uniósł palec i rzekł z wielką powagą:

– To jeszcze nie wszystko, panie gubernatorze, nie wszystko. Mów dalej, Catherine.

Dziewczyna kontynuowała:

– Bałam się też, że zostanę niesłusznie oskarżona o tak potworną zbrodnię.

Gubernator uśmiechnął się niemal dobrotliwie.

– Ta sprawa nie ma z tobą nic wspólnego, Catherine. Jesteś tu tylko świadkiem.

Dziewczyna złożyła dłonie i splotła ciasno palce, jak do modlitwy.

– Potem, wieczorem tego dnia, obudziłam się, bo usłyszałam za oknem pokoju, w którym spałam...

– To znaczy na podwórzu – dodał Bristol.

– Tak, na podwórzu. Wyrzałam na zewnątrz. Zobaczyłam Mary Deerfield i wyszłam do niej. Byłam bardzo skonsternowana jej obecnością poza domem wieczorem, w koszuli nocnej.

– Co dokładnie zobaczyłaś?

– Jak moja pani wbija diabelskie zębiska w ziemię, zakopuje je.

– Ponownie zakopuje – podsunął adwokat usłużnie. – Catherine widziała, jak jej pani z powrotem umieszcza te przedmioty w gruncie. Ta opowieść ma dalszy ciąg.

– Proszę więc mówić, Catherine – polecił Caleb Adams.

– Miała przy sobie jakąś broń.

– Miałam tłuczek! – wtrąciła się Mary. – Właśnie go znalazłam, na podwórku. Tłuczek, nie żadną broń!

Gubernator spojrzał na nią gniewnie.

– Będzie pani miała jeszcze szansę przemawiać, Mary. Teraz kolej Catherine. – Potem zwrócił się do służącej: – Jesteś bystrą dziewczyną. Dlaczego sądzisz, że ona zakopywała owe przyrządy?

Ośmielona komplementem Catherine lekko się wyprostowała.

– Bałam się, że to czarnoksiężstwo – odrzekła. – Nie wiedziałam, o jaką klątwę chodzi ani jakiego targu moja pani dobiła ze Złym, ale zaraz pomyślałam o tych godzinach, które spędzała z moim chorym bratem i ziółkach, które mu przynosiła.

Richard Wilder pochylił się nad stołem.

– Ale co to ma wspólnego z widelcami? Twój brat odszedł już wtedy do Pana.

– Mogę? – interweniował adwokat.

Wilder kiwnął głową.

Bristol spojrzął na jeden z dokumentów, które trzymał, i wyjaśnił.

– Nie oskarżamy Mary Deerfield o uprawianie czarów. Przynajmniej formalnie. Catherine Stileman zeznaje jedynie o tym, co tamtego wieczoru widziała i co o tym myśli. Zobaczywszy swoją panią z diabelskimi zębiskami, przestraszyła się, że Mary Deerfield wcale nie pomagała jej bratu, nie leczyła go minionego lata ziołami, ale w rzeczywistości pogłębiała jego chorobę. Mary przyjaźni się z Constance Winston, dziwną starą kobietą, która mieszka na Przesmyku i która znała się z powieszoną wiedźmą, Ann Hibbens. To Constance Winston udzielała Mary Deerfield różnych nauk związanych z ziołami.

– Tak, jestem świadom, kim jest Constance Winston, i wiem o jej związkach z Ann – odezwał się gubernator głosem zmęczonym i smutnym. – Hibbens! – dodał nagle, wypowiadając te dwie sylaby z dziwnym naciskiem, jak gdyby nazywanie powieszonej czarownicy wyłącznie imieniem sugerowało nadmierną familiarność.

– Wydało się Catherine możebne – podjął Bristol – że Mary Deerfield próbuje zaszkodzić jej choremu bratu. Mary starała się bowiem dopilnować, aby Szatan pozyskał dla siebie brata Catherine. W zamian za to oczekiwała, że Diabeł sprawi, iż zajdzie w ciążę.

Przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu panowała cisza jak makiem zasiał, wywołana powagą oskarżenia. Mary nie mogła w to uwierzyć. *Przecież przynosiłam tylko żywokost i koper*, pomyślała. Nagle tłum zaczął rozprawiać między sobą z takim ożywieniem, że woźny musiał postukać laską w podłogę kilka razy, aż się uspokoiło. W narastającym niczym fale szmerze za plecami słyszała powtarzające się słowa *wiedźma* i *czary*. Zobaczyła, jak matka nachyla się w stronę ojca i chowa twarz w jego ramieniu. James Burden skinął córce głową, spojrzenie miał pewne i niosące w tej opresji wsparcie.

Gdy tłumek się wreszcie uspokoił i można było wznowić składanie zeznań, odezwała się Mary. Głos jej mocno drżał, budząc w niej samej protest, że nie jest zdolna nad tym zapanować.

– Ja tylko starałam się pomóc... Przynosiłam Williamowi Stilemanowi ziółka ze swojego ogrodu...

Richard Wilder zareagował.

– Pozwolę sobie wszystkim przypomnieć, że rozpatrujemy tu pozew rozwodowy, nie prowadzimy procesu o uprawianie czarów. To powództwo cywilne, niewymagające dowodów jak w sprawie karnej. – Potem uśmiechnął się bardzo nieznacznie i dodał: – Jesteśmy przecież w Bostonie. Nie w Hartfordzie.

Lecz ten delikatny żart z miasta rozciągającego się na południowy zachód stąd i jego niedawnej batalii z Szatanem pozostał bez echa. Zarówno gubernator, jak i Caleb Adams rzucili Wilderowi gniewne spojrzenia.

– Catherine Stileman – podjął Endicott. – Czy widziałaś jakiegokolwiek oznaki opętania u Mary Deerfield?

– Nie, proszę pana – odrzekła dziewczyna.

Wtedy gubernator zwrócił się do tłumu:

– A czy ktoś z obecnych dziś na tej sali dostrzegł takie znaki u Mary Deerfield?

Mary czekała. Czy byłby tu człowiek gotowy zaryzykować Boży gniew z powodu kłamstwa? Ktoś, kto naprawdę zawarł pakt z Diabłem, a ona, Mary Deerfield, miała się stać jego ofiarą? Oczekiwanie, choć zapewne niezbyt długie, zdawało się trwać w nieskończoność. Mary czuła, jak kolana robią się jej miękkie pod halką. Nikt się nie odezwał. Nikt nie zamierzał poprzeć oskarżeń Catherine, sugerując, że widział oznaki opętania u powódki.

– Świetnie – mruknął gubernator. – Kontynuujmy zatem rozpatrywanie złożonego do sądu pozwu. Gdybyśmy jednak musieli skupić naszą uwagę na czarnoksiężstwie, natychmiast to uczynimy. – Zerknął na sędziów pokoju siedzących na ławie po jego obu stronach, a potem na Catherine. – Powiedz nam pewną rzecz.

– Tak, proszę pana.

– Czy widziałaś kiedy, żeby Thomas Deerfield uderzył swoją połowicę? Zgodnie z wnioskiem rozwodowym bił ją jakoby często i bez powodu.

– Nie. Nigdy – odparła Catherine. – To nie ten typ człowieka. Jest wspaniałym panem, a moja służba u niego to istne błogosławieństwo. Bogobojny, kocha Najwyższego. Nigdy nie widziałam, żeby uderzył Mary Deerfield. Ani razu.

– Ani razu? – upewnił się Endicott. – Odkąd u nich mieszkasz? Od czasu swego przybycia do Bostonu?

– Ani razu, proszę pana – potwierdziła dziewczyna.

Mary zaczęła się zastanawiać, czy Thomas nie uśmiecha się teraz złośliwie pod nosem, lecz nie śmiała zerknąć w jego stronę.

– A zatem ujrzałaś Mary Deerfield z diabelskimi zębiskami w ręku – odezwał się Caleb Adams. – Co działo się dalej?

– Zaprzeczyła, jakoby to ona je zakopała i jakoby współpracowała z Diabłem.

– A ty?

– Uciekłam, proszę pana. Biegłam. Biegłam szybko.

– Przecież masz umowę służebną z Thomasem Deerfieldem, jesteś mu przypisana. Jakim prawem uciekłaś? – dopytywał Wilder.

– Nie myśląc. Za bardzo się bałam. Chciałam być jak najdalej od czarów, które rzucała Mary Deerfield. I chociaż mieszkam teraz u państwa Howlandów, bo życie pod jednym dachem we dwójkę z moim panem byłoby rzeczą niestosowną, to codziennie chodzę do jego domu wykonywać swoje obowiązki, odpracowywać umowę. Mam nadzieję, że pan Deerfield nie ma do mnie żalu. Ja nie żywię do niego najmniejszych pretensji. Jestem też pewna, że wybaczył mi oddalenie się tamtego wieczoru, bo tak zrobiłby człowiek sprawiedliwy. Na pewno rozumie mój strach i wie, że nie zamierzałam zaniedbywać obowiązków.

– A jednak uciekłaś.

– Tak.

– Więc nie widziałaś, jak owego wieczoru Mary Deerfield uszkodziła sobie rękę? – wtrącił się Wilder.

– O czajnik – odrzekła Catherine.

Wilder pokręcił głową.

– Być może tak, być może nie, Catherine. Pytałem tylko o to, co widziałaś, i jest już jasne, że nic, co miałoby dziś dla nas znaczenie. – Popatrzył na gubernatora, który wzruszył ramionami.

– Dziękujemy ci – rzucił John Endicott.

Catherine stała jeszcze przez chwilę i Mary pomyślała, że służąca będzie mieć jednak dość odwagi, by na nią spojrzeć. Niemal pragnęła tej konfrontacji. Czekwała. Lecz choć dziewczyna lekko obróciła głowę w jej kierunku, strach lub poczucie winy uniemożliwiły jej spojrzenie Mary w oczy. Podeszła do Philipa Bristola, a ten – jak się zdawało – pochwalił ją za dzielną postawę. O tak, spisała się przecież świetnie.

\* \* \*

Po odejściu Catherine Stileman gubernator zawiesił wzrok na Mary i ruchem ręki kazał jej podejść.

– Za chwilę porozmawiamy z wielbnym Nortonem – oznajmił. – Ale coś mnie ciekawi. Opierała się pani propozycjom mediacji. Wiem, że wielu starszych Kościoła chciało wprowadzić chrześcijański pokój pomiędzy Thomasem a panią. Dlaczego nie rozważyła pani takiej możliwości?

– Ponieważ nie czuję się w tym domu bezpieczna – odparła. – Ponieważ nie wierzę, żeby on zmienił swoje postępowanie. Ponieważ łamał prawo i traktował mnie okrutnie. Przykro mi, jest mi ogromnie żal naszego małżeństwa, nie mogę jednak żyć z człowiekiem tak pełnym grzechu, że gotów jest wbijać we mnie coś ostrego. We mnie, jego posłuszną połówicę.

Endicott skinął głową, natomiast Caleb Adams zaczął kręcić swoją i zwrócił się do gubernatora:

– Nie zapominajmy, Johnie, że kij ma dwa końce. Brak nam świadków. Jeszcze nie wiemy, czy rana została zadana diabelskimi zębami czy dzióbkiem czajnika. Jeszcze nie wiemy, czy Thomas rzeczywiście popełnił to, o co oskarża go Mary. Być może nigdy się nie dowiemy. Warto zauważyć, że dziewczyna, ta służąca, ma zupełnie odmienne spojrzenie na Deerfielda niż jego własna żona.

Wilder patrzył na obu sędziów, unosząc wysoko brwi. Mary wiedziała, że ciągle ma w nim sprzymierzeńca, lecz on najwyraźniej uznał, że nic dobrego nie wyniknie z publicznego strofowania kolegów z ławy.

– Zastanawiała się pani nad swoją przyszłością w przypadku uzyskania rozwodu? – zapytał Adams.

– Tak.

– I co będzie pani robić? Hodować pszczoły?

Mary bardzo nie podobała się protekcjonalność w głosie sędziego, uznała jednak, że nie powinna odpowiedzieć tym samym, dając się podburzyć jego brakiem grzeczności.

– Jeszcze zanim moja rodzina tutaj przybyła, w Salem przeznaczano niezamężnym kobietom osobne parcele. Był nawet okres, że musiały nosić woalki. Szybko jednak doszło do zmiany obowiązujących w tym mieście przepisów. Na szczęście Boston nigdy takich ograniczeń dla kobiet nie wprowadzał. Za chwilę przemówi pastor, o wiele lepiej znający się na Bożych prawach i bardziej elokwentny ode mnie, sądzę jednak, że nie znajdziemy w Biblii ani jednego słowa, zgodnie z którym samotne zamieszkiwanie przez kobietę byłoby grzechem. Świat jest pełen wdów i starych panien.

– Takich jak pani przyjaciółka Constance Winston?

Mary miała ochotę zaprzeczyć, że zna Constance – bądź co bądź nie były już przyjaciółkami – ale nie chciała ulegać tej słabości charakteru.

– Myślę, że Constance wcale nie mieszka sama – odparła spokojnie. – Podobno ma służącą.

– A zatem zamierza pani żyć samotnie, chyba że okoliczności pozwolą jej na zatrudnienie służki?

– Nie, nie będę żyć samotnie. Przynajmniej nie od razu. Zamieszkam z ojcem i matką.

– Posiadając jedną trzecią majątku Thomasa.

– Zgodnie z prawem. Ale nie podjęłam decyzji o rozwiązaniu naszego małżeństwa ze względu na swój udział.

– Swój udział? – powtórzył Adams. – To brzmi tak, jakby uważała pani tę sprawę za już wygraną.

– Och, ależ nie. Wcale tak nie uważam.

W ratuszu nastąpiła niezręczna cisza. Mary czekała.

Wreszcie gubernator powiedział:

– Dziękujemy pani. Po przesłuchaniu pozostałych świadków spodziewam się jeszcze wezwania pani, aby odpowiedziała na oskarżenia albo podała więcej szczegółów w sprawie. Najpierw jednak niech przemówi John Norton, by mógł szybko powrócić do swoich normalnych obowiązków.

Mary spojrzała na rejenta, który skinął głową, po czym cofnęła się i wtopiła w tłumek, obok ojca, matki oraz Benjaminu Hulla.

„Zachowywała się wstrętnie. Jakbyśmy znów znalazły się w Londynie wśród potępionych, a ona była zwykłą dziewczką czekającą na marynarzy”.

*Zeznanie Beth Howland, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*



## Rozdział 15

Broda wielbnego Johna Nortona była przystrzyżona jak na niedzielę, kiedy to stawał na kazalnicy Pierwszego Kościoła. Pastor, odziany w czarny, bardzo drogi kaftan, uśmiechał się do gubernatora. Oto w jednym miejscu znaleźli się dwaj najpotężniejsi mężczyźni w kolonii, przyjaciele. Mary poczuła lekki wyrzut sumienia, że ośmiela się marnować ich czas. To było bezczelne. Wprawdzie bezczelność nie jest grzechem, ale plasuje się przerażająco blisko pychy.

– Dzień dobry, Johnie – powiedział gubernator. – Dziękujemy za twoje stawiennictwo.

– Och, to ja dziękuję za waszą służbę.

– Co możesz nam powiedzieć o Mary Deerfield?

– Zawsze sprawiała na mnie wrażenie prawej i pobożnej duszy: młodej kobiety, która obraca się głównie w zacnym towarzystwie. Wierzę, że kocha naszego Zbawiciela i pragnie spełniać dobre uczynki. Nigdy nie uważałem jej za bardziej grzeszną niż inne osoby, które widuję w niedziele, a może nawet uznawałem, że jest mniej grzeszna od nich.

– A co pan sądzi o zarzutach dotyczących Constance Winston? – zapytał Caleb Adams.

– Wiem bardzo niewiele o przyjaźni Mary z tą kobietą.

Adams skinął głową. Przez chwilę Mary się obawiała, że doda coś jeszcze, podkreśli tę relację i uczyni z jej znajomości z Constance rzecz istotną. Zanim jednak sędzia zdołał cokolwiek powiedzieć, wtrącił się gubernator. Mary odetchnęła z ulgą.

– A Thomas Deerfield? Jakie jest twoje zdanie?

– To sprawny młynarz. Chodzi do kościoła. Popija nad miarę.

Po sali rozszła się fala śmiechu, nawet dwóch sędziów uśmiechnęło się bezwiednie.

Philip Bristol zareagował natychmiast:

– Ale oczywiście dżentelmen ten nigdy nie został ukarany grzywną ani nie okrył się hańbą z uwagi na trunki. Nigdy nie uczynił niczego, co mogłoby wskazywać, że jest dzikusem nieświadomym skutków nadmiaru.

– Owszem – potwierdził pastor. – Zgoda. Nie włamuje się do domów i nie przewraca beczek z cydrem. – Znow parę osób zachichotało. Mary przypomniała sobie Indianina skazanego na batożenie.

Sędzia Daniel Winslow, nachyliwszy się nad blatem, zapytał:

– Zna pastor, w zarysie, pozew rozwodowy Mary Deerfield, prawda?

– Znam. Bardzo pragnie rozstania z mężem.

– Czy słyszał pan jakieś plotki albo opowieści o tym, że Thomas Deerfield bije żonę?

Wielebny pokręcił głową.

– Tylko to, co Mary sama mi powiedziała. Że ją wykorzystywał, maltretował i że chce ona rozwiązać swoje małżeństwo.

– A zatem, nim nadeszła ta jesień, Mary nigdy nie zwracała się do pana w związku z postępowaniem jej męża, które jak twierdzi, powtarza się regularnie?

– Nie.

– A czy powinna była?

Pastor zadumał się nad pytaniem. Wreszcie odrzekł:

– W zeszłym tygodniu wezwałem Mary i jej rodziców, aby zaproponować mediację ze strony starszych Kościoła. Uważamy, że mąż powinien zarządzać żoną łagodnie i delikatnie, a gdy tak się nie dzieje, dochodzi do uchybień. Coś należy naprawić. Mąż ma tak kierować swą połówicą, żeby ta podporządkowała się chętnie i z radością. Bo przecież Pan pragnie udanych małżeństw. Sukces ten ma łączyć w sobie ziemskie przyjemności oraz celebrować przykazania Boże w praktyce. Niestety, jesteśmy istotami niedoskonałymi. Czasem mediacja stanowi zdrową alternatywę dla rozwodu. Ale nie zawsze.

Gubernator uniósł brwi.

– Czasem? Nie zawsze?

Tym razem pastor odpowiedział bez zawahania.

– Mąż, który bije żonę albo się na nią złości, sprzeniewierza się wyznaniu naszej wiary, neguje zdrowe boskie prawa oraz hańbi naszego Pana i Zbawiciela – rzekł stanowczo, jakby przemawiał z kazalnicy. – To przestępstwo cywilne, owszem. Lecz także coś więcej.

Mary stwierdziła, że kiwa głową. Pozwoliła sobie zerknąć na Benjaminu Hulla. Rejent także sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Ale my nie wiemy, czy Thomas rzeczywiście bił swoją żonę – odezwał się prawnik Deerfielda. – Proszę o tym nie zapominać.

– Pan Bristol ma rację – powiedział Caleb Adams. – Pastorze, czy mogę zapytać o ten drugi zarzut ze strony Catherine Stileman?

– Oczywiście.

– Zacznę od podstawowej roli kobiety oraz od jej pragnień. Jaki wniosek płynie z faktu, że Mary Deerfield jest bezpłodna?

– Czy wiemy to na pewno?

– Z moich obserwacji wynika, że ma ona już dwadzieścia cztery lata, a od pięciu pozostaje w związku małżeńskim z Thomasem. Jest osobą zdrową i silną. A jednak nie wydała na świat ani chłopca, ani dziewczynki, podczas gdy Anne Drury, pierwsza małżonka Thomasa Deerfielda, urodziła troje dzieci, z czego jedno nadal żyje.

I znów wielebny zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Faktu, że Mary Deerfield nie została pobłogosławiona dzieckiem, nie postrzegam jako skutku jej postępowania. Nic nie wskazuje na to, że jest to kara boska. Mary zawsze wykazywała się wielkim oddaniem. Być może Pan nagrodzi ją jeszcze potomstwem.

– Oddaniem Bogu czy oddaniem mężowi? Apostoł Paweł...

– Tak, apostoł Paweł podał jasny przykład relacji między mężem a żoną: obowiązki, powinności, współczucie. Nic mi nie wiadomo, aby Mary Deerfield zachowywała się w sposób wskazujący na brak oddania.

– Nie licząc wystąpienia o rozwód.

– Co, jak dobrze wiesz, Calebie, może mieć znaczenie dla tych, którzy błędą i niewłaściwie rozumieją Słowo Boże. Dla nas, tutaj w Bostonie, nie stanowi to żadnego zagrożenia.

Sędzia wyglądał na skarconego uczniaka.

– Tak – przyznał. – To prawda. Ale ja nie podważam prawa Mary Deerfield do rozwodu. Zmierzam do czegoś innego. Proszę wybaczyć, że zbłądziłem z drogi.

– Nie potrzebujesz wybaczenia.

Adams wbił wzrok w Mary, a potem spojrział na Johna Nortona.

– Mary Deerfield, czy pragnie pani dziecka?

Pytanie zaskoczyło ją całkiem, ponieważ był to czas poświęcony na zeznania pastora, jednego z najważniejszych ludzi w kolonii.

– Tak, proszę pana – odrzekła. – Bardzo chcę mieć dzieci. Nie służyłam jeszcze Panu Bogu jako matka: tak jak On sobie tego życzy i do czego zostałam stworzona.

Adams kiwnął głową.

– Wróćmy do Catherine Stileman. Uważa ona, że jej pani miała nadzieję na poczęcie w swym łonie dziecka, jeśli sprzysięgnie się z Diabłem. Co pan sądzi o tym oskarżeniu? – zapytał wielebny Norton

– Nie ulega kwestii, że robotę Szatana dostrzegamy w pokusach, którymi wymachuje nam przed oczami, ale najwyraźniej w zachętach, jakie stosuje wobec nieródek, namowach do złego, którymi zwodzi kobiety bezpłodne – odparł pastor. – Nie mamy jednak powodu sądzić, że Mary Deerfield

taki pakt zawarła. Jak słyszeliśmy wcześniej, nikt nigdy nie widział żadnych oznak opętania u tej kobiety.

– Nie widział – zgodził się sędzia. – Nie widzieliśmy. Przynajmniej jak dotąd.

\* \* \*

Gubernator patrzył na Richarda Wildera, który z kolei spoglądał na Daniela Winslowa. Nachylali się ku sobie, coś mrużąc.

Nagle John Endicott odezwał się do Mary:

– Zatrudniony przez panią rejent przedstawił nam spisane zeznanie doktora Rogera Pickeringa. Czy lekarz jest obecny na sali, aby odpowiedzieć na pytania sądu?

Gdzieś z tyłu rozległ się męski głos:

– Tutaj! Jestem obecny! – Chwilę później doktor przepchnął się przez tłumek na sam przód i stanął obok Mary. – Dzień dobry pani – przywitał się grzecznie.

Skinęła mu głową. Według rejenta lekarz nie powiedział niczego, co mogłoby Mary zaszkodzić, dlatego Hull dołączył jego zeznania do materiału dowodowego. Lecz wtedy, gdy badał jej rękę, wyczuła u niego niechęć do siebie: albo dlatego, że czasem spotykał się on z Thomasem i mąż mógł mu powiedzieć coś uwłaczającego Mary, albo po prostu dlatego, że pochodziła z rodziny uprzywilejowanej, który to fakt go irytował.

– Dzień dobry, Rogerze – zaczął gubernator.

– Naprawdę o tej porze? – zapytał doktor. – Przecież jest zimno i czuć wilgoć. Spójrzcie w okna, już się ciemno zrobiło. Dziś słońce schowało się za wzgórzami bardzo wcześnie.

– Chyba nie jesteście rozkochani w jesieni.

– Nie jestem rozkochany w zimnie ani wilgoci – odparł Pickering. – Zbyt mocno czuję w kościach to, co nadchodzi.

Lekarz znany był ze swej zręczności, ale jednocześnie szanowano go za dobre serce i humor w obchodzeniu się z chorymi i umierającymi. Ludzie żartowali sobie z jego charakteru, ponieważ on sam lubił to robić. Liczył mniej więcej pięćdziesiąt lat, miał siwe włosy i skórę szorstką niczym żeglarz. Żona zmarła mu przed dwoma dekadami, nigdy nie ożenił się ponownie. Jego dzieci mieszkały obecnie w New Haven.

– Mamy tylko parę pytań – poinformował gubernator. – Co nie zajmie zbyt wiele czasu.

– Tutaj jest cieplej niż na dworze. – Lekarz wskazał najbliższe, zwieńczone szczytem okno. – Nie ma potrzeby wypędzać mnie tak szybko w ciemności.

Gubernator się uśmiechnął.

– Mamy twoje słowa spisane przez Benjamin Hulla w związku ze sprawą Mary Deerfield. Dziękujemy. Poprosiliśmy cię tutaj ze względu na zeznania Catherine Stileman oraz ich związek z pozwem rozwodowym pani Deerfield. Znasz Mary. Czy kiedykolwiek leczyłeś ją przed wypadkiem, który doprowadził do rany na jej ręce?

– Tak. Nigdy na nic poważnego. Jej ciałem rządzi krew: usposobienie sangwiczne. Bywa ognista. Przetrwiała ospę i odrę wspaniale.

Daniel Winslow wyprostował się i spytał:

– Czy z tego powodu jest niepłodna?

– Nie. Kobiety, które przeszły obie te choroby, rodzą dzieci cały czas.

– Dlaczego więc? – zaciekawiał się Caleb Adams. – Na podstawie dotychczasowych zeznań nie mamy żadnego powodu mniemać, by Thomas Deerfield i Mary nie odbywali normalnych stosunków małżeńskich, jak czynił to Thomas ze swoją pierwszą połowicą Anne Drury.

– No cóż, Mary wniosła o rozwód. Moim zdaniem wskazuje to, że ich stosunki małżeńskie były całkiem normalne – powiedział lekarz.

Mężczyźni zachichotali, a Mary mogła się tylko zalać rumieńcem i wbić wzrok w buty. Świadomość, że rozmowa dotyczy tego, co robili z Thomasem w zaciszu sypialni, była dla niej druzgocąca. Benjamin przed tym ostrzegwał, jednak nie sposób się przygotować do myśli, że kopulowanie – lub jego brak – jest właśnie przedmiotem dochodzenia sądowego. Zakręciło jej się w głowie, było jej wstyd, miała już dość tego powszechnego zainteresowania.

– Sądzę, doktorze Pickering, że wie pan, co chciałbym zasugerować – mówił Adams. – Ale wyrażę się jaśniej: czy przyczyną jej bezpłodności może być zgnilizna moralna?

Lekarz machnął ręką, jakby odpędzał tę koncepcję niczym muchę.

– Być może Mary Deerfield jest bezpłodna, tak, ale czy nieczysta? Nie będę udawać, że to wiem. Tylko nasz Pan i Zbawiciel może stwierdzić, z jakich powodów nigdy nie poczęła dziecka.

– Rozumiem – mruknął Adams.

– Mam nadzieję.

– A zatem badał pan rękę Mary, czy tak?

– Badałem.

– I?

– Była złamana. Goi się. Gdyby wezwała mnie wcześniej, byłoby zapewne lepiej. Lecz ona i jej matka, jak wiele zarozumiałych kobiet, uważają się za odpowiednio wykwalifikowane do leczenia takich ran. Gwoli uczciwości należy jednak powiedzieć, że z pękniętymi kośćmi niewiele da się

zrobić, poza zostawieniem ich w spokoju. Nie byłbym w stanie nastawić ich jak należy. Te akurat są zbyt małe.

– Przyczyna złamania?

– Wiem tylko to, co powiedziano już przed sądem. Thomas Deerfield twierdzi, że jego żona upadła na dzióbek imbryka. Mary upiera się przy ciosie widelcem.

– Diabelskimi zębiskami – skorygował Caleb Adams.

– Sztućcem – powiedział lekarz.

– Zatem na podstawie oglądu rany nie potrafi pan wywnioskować ani czasu jej powstania, ani rodzaju narzędzia, które je zadało?

– Nie potrafię.

– A twoja ogólna opinia? – włączył się gubernator.

– Tylko ta, że obrażenia są poważne. Samowolne zajmowanie się nimi przez te kobiety przynajmniej nie pogorszyło sytuacji.

– Leczył pan brata Catherine, Williama, prawda? – zapytał Adams.

– Leczyłem, tak.

– W jaki sposób?

– Spuszczałem mu krew, stawiałem bańki. Oczyszczaliśmy go. Dawaliśmy mu jajka. Koper włoski. Rum. Wpychałem mu gotowaną i suszoną ropuchę do nosa, to znaczy proszek. Próbowaliśmy też pajaków. Ale wybiła jego godzina, nie dało się odmienić trajektorii jego losu.

– Czy jest pan świadom, że Mary Deerfield nosiła choremu zioła? – naciskał Adams.

– Taaak. – Lekarz przeciągnął to słowo tak, że Mary usłyszała sporą dawkę szyderstwa, którą zdołał on przemycić w tej jednej sylabie.

– I co pan o tym myśli?

– Ona nie jest ani uzdrowicielką, ani akuszerką. Jej zioła niekoniecznie muszą pochodzić od Diabła, ale też nie mają właściwości leczniczych. Uczyła ją pewna stara kobieta, która mieszka nieopodal Przesmyku. Sądzę, że żadna akuszerka nigdy by się nie zgodziła, by ktoś tak bezpłodny brał udział w odbieraniu porodu.

To była absolutna nieprawda. Mary nie mogła dłużej tolerować pogardy tego człowieka.

– Czterokrotnie asystowałam akuszerkom przy porodach! Byłam obecna cztery razy! – zawołała do Pickeringa oraz sędziów pokoju, tkwiących szeregiem w ławie. – Dlaczego w ogóle się o tym dyskutuje? Czy nie jesteśmy tutaj, ponieważ Thomas Deerfield uszkodził mi dłoń widelcem? Ponieważ Thomas Deerfield chciał...

– Dość tego, Mary, już wysłuchaliśmy, co miała pani do powiedzenia! – rzucił ostro gubernator, podnosząc głos i przerywając powódce. Potem zerknął na kolegów i znów przeniósł wzrok na Mary. Tym razem jego ton był łagodniejszy, nieomal figlarny: – I jestem pewny, że przesłuchamy ją ponownie. Teraz zeznania składa pan doktor.

– Och, nie mam już nic więcej do dodania. – Roger Pickering przewrócił oczami. – Mogę iść na kolację?

– Możesz.

Wychodząc, lekarz skinął Mary głową w sposób, który zdawał się wyrażać szacunek, lecz ona dostrzegła w nim zamierzoną protekcjonalność. Zrobiła głęboki wdech, aby zapanować nad sobą po reprimendzie ze strony gubernatora.

– Czy na sali obecny jest Jonathan Cooke? – zapytał Winslow.

– Jestem!

Mary usłyszała wołanie swojego zięcia, który zaraz wyszedł naprzód. Wyglądał na bardziej ponurego niż kiedykolwiek. Gdy składał przysięgę, nie dostrzegła w jego oczach błysku. Hull powiedział wcześniej Mary, że w swoim zeznaniu Jonathan uznał za możliwe, iż w co najmniej dwóch przypadkach sińce na jej twarzy powstały z winy teścia. Co za tym idzie, dzisiejsze wystąpienie przed sądem nie mogło przynieść Jonathanowi nic dobrego: albo zaatakuje ojca swojej żony, albo okryje się hańbą kłamstwa.

– Mamy do pana tylko parę pytań – rzekł Richard Wilder. – Podobno widywał pan sińce na obliczu Mary Deerfield?

– Tak. Widywałem.

– Jak często?

– Pamiętam dwa.

– Mogło być więcej?

– Tak, proszę pana.

Caleb Adams nachylił się w stronę Jonathana.

– Czy Mary wspominała coś o przyczynie tych obrażeń?

Jonathan nerwowo pociągnął za mankiety.

– Raz, że uderzyła się o kołek wieszaka. Za drugim razem o żeliwny kociołek.

– A zatem nie oskarżała o nie męża?

– Nie.

– Ale pan miał wątpliwości? – zapytał Wilder.

– Wątpliwości to zbyt mocne słowo. Dziwiła mnie częstość takich wypadków. Nigdy jednak nie wspomniała, by Thomas ją uderzył.

No właśnie, pomyślała Mary. Jonathan obrał więc taką drogę postępowania. Naprawdę nie mogło być inaczej.

– Dziękujemy panu – powiedział Caleb Adams.

– Calebie! – zaproponował Wilder. – Wydaje się jasne, że Mary chciała chronić swojego męża przed społecznym ostracyzmem. Miała nadzieję oszczędzić Thomasowi sporego upokorzenia.

– Powiedz mi więc, Richardzie – zaripostował Adams. – Czy sugerujesz, że Mary Deerfield wtedy skłamała, a teraz mówi prawdę?

Wilder sprawiał wrażenie poirytowanego.

– Tak, mogła kłamać, ukrywając fakty przed zięciem, w obecności swojej pasierbicy, to znaczy to, że bije ją jego teść. A skoro już oszczerczo podważamy wiarygodność naszych świadków, to nie zapominajmy o pogłoskach na temat Jonathana Cooke’a. Tu też zapewne nie powinniśmy wierzyć w ani jedno słowo z tej paskudnej historii.

Jonathan wyglądał tak, jakby przed chwilą skazano go na dyby: przybity, zawstydzony i przestraszony.

Mary odwróciła się do rejenta:

– Jonathan? Cóż to za pogłoski o Jonathanie? – szepnęła.

– Hazarduje się z marynarzami, którzy tu przypływają i odpływają. Grywa z nimi w karty – mruknął Hull.

Mary nie miała o tym pojęcia. Teraz na chłopięcy wdzięk i niefrasobliwość swojego zięcia patrzyła inaczej, jako na oznaki jego nieodpowiedzialności.

– Chce pan coś jeszcze dodać? – zapytał świadka Adams.

– Nie chcę – wymamrotał upokorzony Jonathan.

– Dobrze. Może pan odejść – powiedział gubernator.

Młody mężczyzna zniknął w tłumie, odmawiając kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. Mary się zastanawiała, kto będzie następny. Thomas? Abigail? Beth Howland?

Ale zobaczyła, jak John Endicott rozmawia cicho z Richardem Wilderem i Calebem Adamsem. Daniel Winslow wskazywał na wschodnie okna sali. Na dworze było czarno. Zapadła noc.

– Ogłaszamy przerwę w obradach. Na dzisiaj koniec – odezwał się Endicott. – Rozprawa zostanie wznowiona jutro z samego rana. Oczekujemy pojawienia się obu zainteresowanych stron.

Thomas wystąpił naprzód.



– Panie gubernatorze, dziś nie mogłem zajmować się swoim młynem przez całe popołudnie. Czy spodziewa się pan, że jutro też będę musiał się stawić?

– Tylko jeśli zależy panu na utrzymaniu małżeństwa – odparł Endicott.

– I zachowaniu jednej trzeciej majątku – szepnął Benjamin Hull do ucha Mary tak, by tylko ona to słyszała.

Woźny stuknął laską o deski podłogi. Mary zdała sobie sprawę, że faktycznie na dzisiaj to koniec. Rozpatrywanie jej wniosku przesunięto na kolejny dzień. Teraz musiała wrócić do domu rodziców i spędzić wieczór pod niechętnym spojrzeniem Abigail Gathers. Odpocząć, żeby nazajutrz rano znów stać się bohaterką miejskiego spektaklu.

„Widziałem, jak okazywała współczucie pewnemu kwakrowi, czym byłem zbulwersowany i zawiedziony”.

*Zeznanie Isaaca Willarda, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 16

Kiedy wieczorem Mary wróciła z rodzicami do domu, natknęła się na Peregrine Cooke wychodzącą z ogrodu.

– Peregrine, przepraszam, że nas nie zastałaś – powiedziała Mary – ale pewnie wiesz, że byliśmy w ratuszu.

– Tak. Słyszałam, że rozprawa została przeniesiona na kolejny dzień.

– Coś się stało?

Kobieta miała ciemne worki pod oczami.

– Nie. Źle się czułam po naszym rozstaniu, po ostatniej wizycie.

Prawą dłonią Mary dotknęła ramienia Peregrine i powiedziała:

– Ciiii. Nie mów nic więcej. Ja też byłam zbyt oschła. – Po czym odwróciła się do matki i ojca: – Zaraz do was dołączę.

Rodzice popatrzyli na dwie młode kobiety, niemal rówieśnice, mimo że jedna była małżonką ojca drugiej. Priscilla Burden uśmiechnęła się z rezerwą.

– Dobrze. Peregrine, wspaniale cię widzieć. Miłego wieczoru.

– Przyniosłam pieczone jabłka z rodzynkami – oznajmiła Peregrine, gdy starsi weszli do środka. – Przygotowałyśmy z Rebeką Cooper kilka porcji. Przed chwilą jedną zostawiłam Hannie. W gości dobrej woli. Twoi rodzice musieli poczuć ich zapach, jak tylko otworzyli drzwi.

– Och, uwielbiam pieczone jabłka!

– Wiem. Rebeka mi powiedziała.

– Jak się czujesz?

Ciężarna przechyliła głowę i wzruszyła ramionami. Poklepała się po brzuchu.

– Bardzo jestem zmęczona tą małą. Ale Pan nie da mi nic ponad to, co zdołam udźwignąć.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie, nie możesz. Chcę tylko, żebyś wiedziała...

– O czym? Możesz mówić otwarcie.

– Nie będę próbowała cię skłaniać do zmiany decyzji. Ojciec pewnie tak. Ale ja rozumiem drogę, którą wybrałaś. Szanuję to.

Mary była tak wzruszona, że chciała tamtą objąć. Poczwała napływające do oczu łzy.

- Tak mi przykro – szepnęła tylko.
- Mogę cię o coś prosić, Mary?
- Tak, o wszystko.
- Niewielu rzeczy na tym świecie się lękam.
- Zawsze to podejrzewałam.

Peregrine nie miała rękawiczek, więc pochuchała w palce. Mary zobaczyła w wieczornym powietrzu mgiełkę jej oddechu.

– Wiem, że jesteś w trudnym położeniu. Wiem, że ludzie mówią o tobie różne rzeczy i że zadawałaś się z Constance Winston.

- Co mi dajesz do zrozumienia?
- Że powinnaś się bardziej bać, Mary.
- Mam nadzieję, że nie wierzysz w te bzdury, jakobym zawarła pakt ze Złym.

– Proszę cię – jęknęła Peregrine. – Widziałam, w jaki sposób mój mąż na ciebie patrzy. Wiem, że twoje ciało jest wolne od śladów urodzenia dziecka. Jeśli chodzi o mojego ojca, rób, co musisz. Ale wara od mojego męża. On też ma swoje słabości.

– Nie mam żadnych zamiarów wobec twojego męża! Dlaczego tak w ogóle myślisz?

– Mówi o tobie z najwyższym uznaniem.

– Schowaj te obawy głęboko. Są śmieszne – oznajmiła Mary. Przypomniała sobie wygłoszone na sali sądowej słowa Benjamina Hulla o Jonathanie.

– Świat jest skąpany w grzechu.

– Ależ, Peregrine...

– Dobrze, nie będę więcej o tym wspominać. Kiedyś się przyjaźniłyśmy, byliśmy też rodziną. Dlatego to, co powiem, powiem z szacunkiem należnym osobie, którą dobrze znałam.

– Nadal mnie znasz. Nie zmieniałam się.

Peregrine odezwała się cichym, ale mocnym głosem, z wyraźnym wzburzeniem.

– Bądź ostrożna. Najgorsze dopiero nadejdzie. Znasz tych ludzi, ale ja też ich znam. Może nawet lepiej niż ty. Istnieją zagrożenia, co do których wątpię, byś brała je pod uwagę.

Mary zastanowiła się, czy Peregrine ma zamiar coś jeszcze dodać. Chyba tak. Nagle jednak usłyszały zbliżającą się Hannę, która prawdopodobnie wracała z kurnika.

– Ja tylko... Mam nadzieję, że jabłka będą ci smakowały. – Peregrine pokręciła głową, uśmiechnęła się smutno i odwróciła do wyjścia.

Mary chciała za nią zawołać, lecz wiedziała w głębi serca, że tamta powiedziała więcej, niż planowała. Za co była jej trochę wdzięczna.

Ale czy tylko? Sama nie miała pojęcia, czy powinna czuć się urażona faktem, że ta kobieta widziała w niej cudzołożnicę, czy raczej lękać się możliwości zawiśnięcia na szubienicy jako wiedźma.

\* \* \*

Tego wieczoru zjedli kolację później niż zwykle, ponieważ Hanna przygotowywała ją samotnie. Pracowała z typową dla siebie skutecznością, przywykła jednak do obecności i pomocy Abigail oraz matki Mary – a potem także samej pani Deerfield – z którymi dzieliła obowiązki. Tymczasem Mary i Priscilla spędziły całe popołudnie w sali na piętrze ratusza, Abigail zaś chodziła nerwowo po jego parterze, czekając na wezwanie. Cała piątka – Mary, jej rodzice oraz dwie służące – posilała się w milczeniu fasolą w melasie oraz wieprzowiną. Wcześniej James odmówił modlitwę. Korzystali z najwykleszych desek na potrawy. Także podczas spożywania deseru, dostarczonego przez Peregrine, prawie się nie odzywali. Mary pomyślała, że pieczone jabłka, choć pewnie podarowane w dobrym zamiarze, są kwaśniejsze, niż lubi, więc ugryzła tylko kawałek. Jedynie Hannie zdawały się smakować, spałaszowała je do końca. Od czasu powrotu Mary do domu rodziców wśród sztuców nie widziało się żadnego widelca.

Dziś lewa ręka bolała ją bardziej niż wczoraj, wypła więc drugi, a potem trzeci kubek piwa. Miała pewność, że kość się zrasta, a ból przypisywała wyłącznie chłodom, które panowały o tej szarej porze roku. W dniach, gdy opadły już liście, ale śnieg jeszcze się nie pojawił, niebo było bezkresne, popielate i płaskie.

\* \* \*

Gdy Abigail myła sztucce i naczynia w wiadrze z wodą, a Hanna poszła zanieść pozostałości kolacji zwierzętom, Mary usłyszała tętent końskich kopyt. Z przestachem pomyślała, że to Thomas. Już miała wejść na piętro, do swojej izby, ale popatrzyła na ojca i matkę pełna niepokoju. Oni najwyraźniej podejrzewali to samo. Ojciec podszedł do drzwi, otworzył je, a tam, istotnie, uwiązując konia do słupka, stał Deerfield. Zrobiwszy, co trzeba, zbliżył się do progu.

– Dzień dobry, Thomasie – powiedział James spokojnie.

Thomas zobaczył Priscillę i Mary za plecami Burdena i zdjął kapelusz.

– Jamesie – zaczął. – Moje panie.

– Po co przyjechałeś? – spytał gospodarz.

Mary zwróciła uwagę na sposób, w jaki Thomas wbił buty w grunt i zbliżył kolana. Znała tę postawę. Próbował ukryć, ile wypił. Prawdopodobnie na większy cud niż unikanie przez tyle lat zakucia w dyby zakrawało w jego przypadku to, że będąc w tym stanie, nigdy nie spadł z Cukierka i nie złamał sobie karku.

– Nie wydarzyło się nic nowego poza tym, że dziś po południu w ratuszu mocno zaszkodzonej mojej reputacji – powiedział zgrzytliwym głosem. Przemawiał powoli, z precyzją charakterystyczną dla chwil, gdy pozostawał pod wpływem. – Mając na względzie to, co czeka mnie jutro, przychodzę omówić pozew twojej córki.

Burden chciał coś odrzec, lecz Mary położyła mu dłoń na ramieniu i uciszyła go.

– Ten pozew złożyłam ja, ojciec – powiedziała, a potem, zwracając się do Thomasa, podjęła: – Peregrine dała mi do zrozumienia, że przyjdiesz.

– Naprawdę? Dobrze zna swojego tatę, nieprawdaż? – skomentował Deerfield z niejaką dumą. – Wieczorem dostarczyła mi pieczonych jabłek z rodzynkami. Pyszne, zapewniam.

Mary milczała, czekając, co Thomas powie dalej.

– Byłem właśnie w gospodzie – ciągnął – i dowiedziałem się, że twój rejent poświęcił sporo czasu na rozmowę z Wardem Hollingsworthem.

– To dobrze – rzuciła Mary.

Hollingsworth był właścicielem wspomnianego przybytku, do którego jej mąż lubił uczęszczać.

– Zapewniam cię, to próżne wysiłki. Ward twierdzi, że nie zeznał niczego godnego uwagi tej wszy, którą zatrudniłaś do zniszczenia mojej osoby.

– Przekonamy się jutro – ucięła Mary.

Czytała zeznania Hollingswortha spisane przez Benjamina Hulla. I choć nie były jednoznacznie negatywne dla Thomasa, człowiek ten przyznał, że w niektóre wieczory musiał przestać dolewać mu do kufła.

– I jeszcze jedno – podjął Thomas ponuro. – Słyszałem, że Rebecca Greensmith z Hartfordu opowiadała sędziom pokoju, iż Diabeł zawarł zmysłową znajomość z jej ciałem. Ona jest teraz w więzieniu.

– To nie ma ze mną nic wspólnego. Głupie karczemne gadki.

– Powiesz ją, Mary.

– Powtarzam: bez związku z moim pozewem.

– Nie zgadzam się z tobą. To mocno zaważy na zdaniu sędziów, już jutro. Wiedzą o tym, co się zdarzyło w Hartfordzie, że Diabeł wdarł się do ich ostoi. Nawet pewna dobra kobieta nazwiskiem Cole, Ann Cole, kobieta prawdziwej pobożności, jak mówią, dostała się w jego szpony.

– Plotki nie spędzają mi snu z powiek – oświadczyła Mary, choć znów poczuła ukłucie bólu i mdlący przyływ zwątpienia.

– Mary Sanford już powieszono – przypomniał Thomas, jakby wyczuwając jej konsternację. – To nie plotki.

– Catherine Stileman starała się mi zaszkodzić, jak mogła. Wypowiedziała swoje oskarżenia, ale sędziowie żadnego nie potraktowali poważnie. Czy twoim zdaniem wyglądam na opętaną?

– Och, ja wiem, że opętana nie jesteś. Ale wiem także, że Diabeł lubi nękać niewinnych, a bogobojnych wieszać. Podobnie nie należy choćby w najmniejszym stopniu prowokować Pana, aby zobaczyć pysznych dyndających na linie albo płonących jak pochodnia. Wiesz co, Mary? Być może jesteś bogobojna, ale ja wiem o zadufaniu, które czai się w twojej duszy.

– A niby skąd o tym wiesz? Masz jakiś specjalny wgląd w umysł Diable albo Boga?

– Mary, wystarczy! – skarcił ją ojciec.

Młoda kobieta odwrócił się ku niemu, zaskoczona.

Stojąca u boku męża matka Mary sprawiała wrażenie przestraszonej i zbolalej.

– Jutro – powiedziała Priscilla – sędziowie przesłuchają Beth Howland oraz Abigail. Są też inni świadkowie. Znajdziesz się wśród nich i ty, Thomasie.

Słyszając swoje imię, Abigail podniosła wzrok znad wiadra. Milczała.

– Owszem – przyznał Deerfield.

– Czy twój adwokat wie, że przyszedłeś do nas z wizytą? – zapytał ojciec Mary.

– Nie.

James pokiwał głową i po raz kolejny Mary wyczuła, że chociaż jej mąż był pijany, a ojciec poirytowany, dobrze się rozumieli. Stali po różnych stronach sporu jako przeciwnicy, to jasne, a mimo wszystko doznała znajomego dreszczu, który przeszywał ją sporadycznie na przestrzeni ostatnich dwóch tygodni, podpowiadając, że za jej plecami knuto spisek.

– Thomasie, ojcze? – zaczęła, przerzucając spojrzenie z jednego na drugiego. – Czy powinnam o czymś wiedzieć? Skoro tak, to mówcie. Gra toczy się o mnie i to o moim życiu zdecydują sędziowie.

– Nie o życiu, gołąbku – odezwała się matka. – To przecież tylko pozew rozwodowy.

– Tylko pozew rozwodowy? – warknął Thomas, sarkastycznie podkreślając pierwsze słowo. – Dla ciebie to jak negocjowanie ceny worka ze zbożem! A przecież naprawdę chodzi o życie twojej córki. I moje! O naszą reputację. Priscillo, ty świetnie rozumiesz, że stawką jest przetrwanie twojego dziecka na tym świecie, jeśli nie będzie ono dość ostrożnie stąpać po tym bagnie w ratuszach, wobec tych żmij w czarnych togach.

– Thomasie! – zareagował Burden, lecz Deerfield nie dał sobie przerwać.

– Zaraz pójde, Jamesie, bez obaw. A jutro będę zeznawać i przysięgam ci, że zrobię wszystko, aby zakończyć to szaleństwo.

Odwrócił się i ruszył podjazdem. Potknął się o kamień, zaraz jednak odzyskał równowagę. Obejrzawszy się, czy pozostali to zauważyli, niezwykle ostrożnie wspiął się na konia.

\* \* \*

Państwo Burdenowie i Mary weszli z powrotem do domu, gdzie siedziała Abigail. Hanna właśnie wróciła od zwierząt gospodarskich. Nagle dziewczyna zamknęła oczy, oparła się dłońmi o blat stołu i nisko skłoniła głowę.

– Hanna? – zdziwiła się Mary. – Coś cię boli?

Służka potwierdziła, a następnie zbliżyła się do kominka.

– Dopadł mnie okropny skurcz, ale chyba mój czas jeszcze nie nastał – szepnęła z grymasem na twarzy. – Ja...

– Mów – poleciła Abigail.

Lecz Hanna opadła na kolana i wykrztusiła ponuro:

– Niedobrze mi.

Mary i Abigail uklęknęły obok niej. Abigail pocierała towarzyszkę po plecach. Nagle dziewczyna poddała się mdłościom, uniosła rękę do ust i zwymiotowała do kominka, na gorące węgle, ale z daleka od płomieni.

– Mnie też jakby mdli – rzuciła Abigail, dalej masując plecy koleżanki. – Nie tak mocno jak ciebie, ale jednak.

Mary przyniosła Hannie kufel piwa, lecz ta pokręciła głową.

– Muszę tylko trochę odpocząć – powiedziała, opierając się plecami o cegły kominka.

Mary podniosła wzrok na rodziców, którzy sprawiali wrażenie bardziej zaniepokojonych, niżby się spodziewała.

– Wygląda na to, że wieprzowina ci nie podeszła – stwierdziła matka.

– I mnie coś kłuje w dołku – dodał James Burden. – Gołąbeczko, a ty jak się czujesz?

– Dobrze – odrzekła Mary. – Też jadłam mięso.

Priscilla popatrzyła na obie służące oraz na córkę, wszystkie przycupnięte na podłodze. Skupiła wzrok na Hannie. Przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Dużo zjadłaś tych pieczonych jabłek – zauważyła.



– Tak – przyznała Hanna, przyciągając kolana do piersi. Zamknęła oczy, ponieważ doznała kolejnego skurczu.

– Abigail, a ty? – spytała Priscilla.

– Wzięłam tylko mały gryz. Nie smakowała mi jedna z przypraw.

– A jakaż to przyprawa? Najlepiej znasz się tutaj na sprawach kulinarnych.

– Nie wiem. Wydało mi się, że coś jest nie tak.

– Mnie też – zgodziła się z nią Mary. – Bo zazwyczaj lubię pieczone jabłka.

Matka pokiwała głową.

– Tylko Hanna zjadła ich sporo. Pozostali coś skubnęli i tyle...

– Nawet ja – mruknął James. – Jeden kęs.

– Mamo, czy sugerujesz, że Peregrine chciała nas otruć? – spytała Mary.

– Sądzę, że to mało prawdopodobne – wtrącił się ojciec. – Ale może jabłka były zepsute. Lub któryś z pozostałych składników.

– Jamesie, jesteś nadto wyrozumiały. To nie był zbieg okoliczności. Łatwo się domyślić, dlaczego próbowała nas otruć – powiedziała Priscilla.

– Żebyśmy nie mogli stawić się jutro na rozprawie, jako zbyt chorzy – dorzuciła Mary. – A przynajmniej ja. Gdybym nie mogła bronić tam swoich racji, w razie konieczności przemawiać we własnym imieniu, mój wniosek rozwodowy zostałby odrzucony.

– Tak – zgodziła się matka.

– Ale przecież...

– Dokończ – poprosiła Priscilla.

– Peregrine piekła te jabłka razem z moją przyjaciółką Rebeką. Poza tym zaniósła je również Thomasowi.

– Cóż, gdyby Peregrine planowała doprowadzić nas do choroby, najpewniej nie konsultowałyby tego z ojcem – zauważył James Burden.

Mary znów się zdało, że ojciec i matka coś przed nią ukrywają.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że macie przede mną jakieś tajemnice? – zwróciła się do rodziców.

– Nie mamy żadnych – odparł James kategorycznym tonem.

– Żadnych?

– Żadnych – potwierdził, lecz Mary mu nie uwierzyła.

Podpieraną przez Abigail Hanna zdołała wstać.

– Mogę się oddalić?

– Oczywiście – powiedziała Priscilla. Potem, wzięwszy w ręce garnek z pieczonymi jabłkami, ruszyła do wyjścia. – Jamesie? – mruknęła, stając w drzwiach.

– Tak?

– Grunt chyba nie jest jeszcze twardy jak kamień, prawda?

– Tylko na powierzchni. Wątpię jednak, by głębiej zamarznął.

– Chodź ze mną, proszę. Trzeba to zakopać. Będę potrzebowała twojej pomocy. Nie chcę dawać tych jabłek nawet świniom, bo nie wiadomo, jakiego paskudnego jadu Peregrine tam dodała.

James Burden kiwnął głową i poszedł za żoną. Mary tymczasem pomogła Abigail położyć Hanne do łóżka.

\* \* \*

Kilka godzin później, nie mogąc zasnąć, Mary stała przy niewielkim oknie swojej sypialni i wpatrywała się w księżycową noc. Pozostałą część domu spowijała cisza, sąsiednie budynki wyrastały z ciemnej ulicy.

Próbowała wodzić wzrokiem za nietoperzami, które śmigały swawolnie niczym jaskółki. Na podjeździe zauważyła miodowo-białego kota poszukującego ofiary. Zwierzę przywarło brzuchem do ziemi, do połowy ukryte w krzaku róż pozbawionym liści na zimę. Polowało na szczura, innego gryzonia czy tylko się skradało?

Wiedziała, co niektórzy sądzą o kotach, nie dostrzegając jednak w tych stworzeniach nic demonicznego. Łowiły myszy, takie było ich przeznaczenie. Lecz czy Mary miała o czymkolwiek pełne pojęcie? Kłykciami prawej ręki postukała w okienną szybkę, kot podniósł głowę. Patrzył na nią. Ich oczy się spotkały. To tylko kot, nie miała wątpliwości. Przypadkowy, obcy kot, którego nie przysłała żadna wiedźma, aby ją szpiegował.

Gdy wcześniej rodzice zastanawiali się, dlaczego Peregrine chciała ich otruć (to znaczy zatruć Mary, pozostałych niejako przy okazji), ona sama podejrzewała jeszcze inny motyw. Uznała, że to ostrzeżenie przed zadawaniem się z Jonathanem i dowód na to, iż Peregrine też potrafi być groźną przeciwniczką, gotową uczynić wszystko, co konieczne, by chronić własne małżeństwo. Mary chciała podzielić się tą koncepcją z ojcem i matką, ale doszła do wniosku, że i tę tajemnicę winna zachować wyłącznie dla siebie. Cóż dobrego mogłoby wyniknąć z poinformowania rodziców, że zdaniem Peregrine ich córka ma apetyt na Jonathana Cooke'a, własnego zięcia? Cóż za plugastwo. Rzecz karygodna. A przede wszystkim – grzech. Czy reputacja Mary nie została już wystarczająco nadwyrężona? Rodzice mieli pełną wiedzę o tym, co widziała Abigail. A gdyby służące były obecne

przy rozmowie na temat rzekomych zamiarów wykradnięcia przez Mary Jonathana Cooke'a? Mogłoby to zniweczyć wszelkie nadzieje, jakie wciąż żywiła, że jej pozew rozwodowy zostanie rozpatrzony pozytywnie. Że wyjdzie z tego koszmaru, zachowując dobre imię.

Tylko czy Peregrine na pewno chciała Mary otruć? Thomas też jadł pieczone jabłka, i to bez wątpienia porcję o wiele większą, niż pochłonęła Hanna. I jeszcze jedno: pasierbica nie przygotowała tych jabłek sama. Pomagała jej Rebeka Cooper, działały razem. Co również wskazywało na niewinność Peregrine.

Albo...

Mary zadała sobie trud, by się skupić na tej przygnębiającej koncepcji.

A może to Rebeka zatrula jabłka? Mary natychmiast skarciła się za podejrzenie najbliższej przyjaciółki o niegodziwość. Nie potrafiła zresztą podać żadnego powodu, dla którego Rebeka życzyłaby źle jej i jej rodzinie. Lecz myśl ta nie chciała odejść, była niby kamyk w butcie.

Mary czuła ogromny zawód, że proces nie zakończył się w ciągu jednego dnia i miał być kontynuowany nazajutrz. Pragnęła mieć to już za sobą. Pod każdym względem był to bowiem spektakl upokarzający bardziej, niż sobie wyobrażała, bardziej niż zakucie w dyby albo pręgierz. I chyba boleśniejszy od batożenia. Spojrzała na swoją lewą rękę. Czy uderzenie różgą mogło boleć bardziej od tego, co Thomas zrobił jej widelcem? Zdawało się to nieprawdopodobne. Dlaczego większość składanych dzisiejszego popołudnia zeznań dotyczyła Mary, a nie jego? Jak to możliwe, że skupiano się tak mocno na jej zachowaniu, a tak mało na jego postępach?

Wiedziała, że jutro w ratuszu Thomas będzie kłamał. Powie sędziom, że wcale nie wbił widelca w rękę żony. Że nie cisnął nią o kominek. Nie bił jej po twarzy. To po prostu niezdarna kobieta, która ma nabiął zamiast mózgu – choć, oczywiście, wyrazi się inaczej – i która lubi wpadać na kołki wieszaków albo dzióbki imbryków. Doda, że obawiał się o jej duszę i jako mąż robił wszystko, by prowadzić ją właściwymi drogami. Jego największe przewinienie? Przypadkowo trafił Mary wielką żeliwną patelnią, kiedy Catherine wyszła, a on chciał pomóc w gotowaniu kolacji.

Nikczemnik.

Tak, owszem, ona też jest grzesznicą. Może nie znajduje się wśród wybranych. Ale nie uważa, by stać ją było na takie okrucieństwo jak jego. Pożądanie to przypadłość straszna i przerażająca, która może wieść na potępienie. A jednak jej największą zbrodnię stanowił pocałunek z Henrym Simmonsem. Splamiła swoje własne ciało, nigdy jednak nie upodliła ciała innej osoby ani nie umniejszyła magii cudownych dzieł Pańskich.

Mary westchnęła. Ciekawe, co robi teraz Henry Simmons. Często o nim myślała, jej umysł znajdował pociechę w fantazjowaniu o tym mężczyźnie, zwłaszcza gdy siedziała samotnie

w pokoju. Z pewnością dotarły już do niego relacje o dzisiejszych wydarzeniach w sądzie. Bez wątplenia słyszał, co ludzie o niej gadali. O jej bezpłodności. O widelcach. Czy ona mogła być dla niego pociągająca? Dobry Boże, czy mogła być pociągająca dla Jonathana? Mary powinna była powiedzieć Peregrine: nikt nigdy mnie nie zechce, bo przecież nie mogę mieć dzieci.

Lecz przecież Henry Simmons jej pragnął, czyż nie? Owszem. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. To był fakt równie niezaprzeczalny jak to, że w tym nowym świecie jesienią liście stają się karmazynowe, nim umrą, jak wędrujące po plaży wspaniałe homary. Wielkie, o szczypcach niby morskie potwory. Henry czuł do niej pociąg, tak jak ona czuła pociąg do niego, magnetyzm realny jak ten obracający wskazówki kompasu ku północy, bezdyskusyjny jak obecność Szatana. Nawet tutaj. Człowiek mógł przebyć ogromny, szeroki ocean, płynąć po nim sześć do siedmiu tygodni, narażając się na sztormy i chorobę morską, a Diabeł już tu czekał. Tak, może i zgiął kolano przed Panem, ale nigdy Mu się nie pokłonił.

Henry Simmons pożądał Mary, jak ona pożądała jego. Całe życie mogła się zastanawiać, czy to diabelska pokusa, przynęta mająca ją zwabić do Złego. Dowie się tego, dopiero wydawszy ostatnie tchnienie, kiedy jej dusza powędruje albo do Nieba, albo do Piekła.

Pozwoliła sobie chwilę pomarzyć: wygrywa proces i uzyskawszy jedną trzecią majątku Thomasa, wychodzi za Henry'ego za męża. Wyjeżdżają do Hadley, na zachód, albo do Providence, na południe. Jakimś cudem okazuje się, że wcale nie jest bezpłodna, mają dzieci, chłopców i dziewczynki.

Żyją.

Nagle zobaczyła, jak kot zbiera się, skacze na wielkiego szczura, a potem przewraca się na grzbiet, trzymając ofiarę przednimi łapami, tylnymi zaś rozrywając jej brzuch. Następnie siada i wpatruje się w trupa niemalże z ciekawością. Kolejny nietoperz przeleciał obok okna. Kot podążył za nim wzrokiem i zobaczył Mary stojącą za szybą. Zaczął ruszać głową, patrząc to na nią, to na martwego szczura, jakby chciał powiedzieć: „Mam cię w zasięgu wzroku, Mary Deerfield. Widzę cię”.

„W niektóre wieczory zmuszony byłem przestać mu dolewać do kufła”.

*Zeznanie Warda Hollingswortha, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts,  
rok 1662, tom III*

## Rozdział 17

Ani Mary, ani jej rodzice nie wezwali rano lekarza, ponieważ Hanna się uparła, że jest jej lepiej. Przed wyjściem wszystkich pozostałych domowników na rozprawę – obróciwszy się nieco – posłała im słaby uśmiech. Oznajmiła, że zaraz weźmie się do pracy i kiedy wróca, kolacja będzie już czekać. Priscilla stanowczo jej tego zakazała.

James tymczasem przyjrzał się każdemu członkowi rodziny i doszedł do wniosku, że sprezentowanie jabłek nie miało w sobie nic podstępnego. Cokolwiek dolegało Hannie, należało to raczej przypisać wpływowi nadchodzącej zimy.

\* \* \*

Tuż przed schodami na parterze ratusza Mary, jej rodzice i Benjamin Hull wpadli niespodziewanie na Beth Howland. Nocą przyszedł mróz, oczy Beth łzawiły z zimna, ocierała je skrajem kornetu. Była na tym tak skoncentrowana, że nie zauważyła Mary. Dopiero po chwili, na widok pani Deerfield, jęła mrugać. Zaczęła coś mówić, po czym – równie szybko – niezręczność sytuacji kazała jej zamknąć usta.

– O, jejmość Howland, dzień dobry – powiedziała Priscilla Burden z uśmiechem. Nawet teraz, w poranek, w który Beth miała ukazać Mary jako zatwardziałą grzesznicę, Priscilla zachowywała się uprzejmie – albo dlatego, że jej serce faktycznie wypełniała chrześcijańska miłość, albo sądziła, że w ostatnim momencie da się jakoś wpłynąć na treść owych zeznań dzięki drobnemu aktowi grzeczności. – Mam głęboką nadzieję, że twoja rodzina czuje się dobrze.

Beth Howland zalała się rumieńcem. Patrzyła na rodziców Mary oraz na Hulla jak ktoś zapędzony w kozi róg. W pułapce. W końcu skinęła głową i ruszyła po schodach przed Burdenami. Mary bardzo chciała zrozumieć, choćby mgliście, dlaczego ta kobieta jej tak nie cierpi.

\* \* \*

Tego ranka w ratuszu panował większy ziąb niż wczorajszego popołudnia. Słońce nie miało jeszcze okazji ogrzać budynku po pierwszej tej jesieni naprawdę mroźnej nocy, a także dlatego, że ogień w wielkich piecach rozpalano tu dopiero po śniadaniu. Całe ciało Mary domagało się zwinięcia w kłębek pod płaszczem, ramiona jej opadały. Mimo wszystko starała się stać prosto i dumnie, w nadziei, że emanuje pewnością siebie, której wcale nie czuła.

Po raz kolejny wbiła wzrok w sędziów siedzących za wysokim blatem. Wraz z rodzicami i rejentem, którzy otaczali ją niby straż przyboczna, czekała na rozpoczęcie rozprawy. Kiedy woźny uderzył żelazną laską o drewnianą podłogę, tłumek – mniejszy niż wczoraj, gdyż pozostali powodowie wiedzieli, że dzień zacznie się od wznowienia wczorajszych obrad – uciszył się, a John Endicott, obracając głowę, omiół wzrokiem siedzących po jego bokach mężczyzn.

– Dziś znów nie trzeba ławy przysięgłych? – zapytał Richarda Wildera.

– Rano nie. Powołaliśmy ją dopiero na popołudniową wokandę.

Gubernator przyjął to do wiadomości. Dziś sprawiał wrażenie jeszcze starszego niż wczoraj.

Mary zobaczyła po drugiej stronie sali Thomasa. Ich oczy się spotkały. Kiedy się do niej uśmiechnął, odwróciła wzrok. Deerfield nie wyglądał na kogoś, kto niedawno zatrut się jabłkami. Abigail zajmowała miejsce obok pani Burden. Mary wciąż nie miała pewności, co dziewczyna powie. Przyszło jej do głowy, że koncepcja, jakoby Peregrine zamierzała otruć rodzinę Burdonów, niczego właściwie nie zmieniała. Konstatacja ta dodała Mary nieco otuchy.

Naprzód wystąpił Philip Bristol.

– Za pozwoleniem wysokiego sądu prosiłbym, aby jako pierwszy zabrał głos Thomas Deerfield. Wiem, że planowano najpierw wysłuchać jejmości Howland oraz Abigail Gathers, ale dziś do Thomasa przybywa pewien farmer z Salem. Mój klient spodziewał się zakończenia obrad wczorajszego popołudnia, dlatego ów dżentelmen ma się zjawić zgodnie z ustaleniami, wraz z ostatnią dostawą zboża.

– A dlaczegoż to młynarz musi być przy tym obecny?

– Wciąż toczą się pewne negocjacje.

– Czy chce zabrać głos i wyjść? Nie czekając na wyrok w sprawie? – zapytał gubernator.

– Zamierza wrócić. Natychmiast po spotkaniu z gospodarzem z Salem pan Thomas Deerfield zjawi się ponownie w sali rozpraw – powiedział Bristol, wskazując palcem na drewnianą podłogę, jak gdyby chciał stuknąć w nią laską.

Gubernator, poznawszy ów plan, potraktował go dość obojętnie, natomiast główny sojusznik Mary wśród sędziów, Richard Wilder, wyglądał na poirytowanego.

– W takim razie zacznijmy od męża – polecił Endicott. – Wystąp, proszę, Thomasie.

Mary patrzyła, jak Thomas staje przed ławą. Składając przysięgę, wspiął się lekko na palce.

– Co ma pan do powiedzenia w reakcji na pozew rozwodowy Mary Deerfield? – zapytał gubernator.

Obserwując profil męża, Mary dostrzegła sieć żyłek na jego czerwonym nosie, który pod tym kątem zdawał się za duży jak na tę twarz. Kiedy się zgodziła na małżeństwo kilka lat wcześniej, zakładała, że z czasem pokocha tego człowieka. Nagle przysłała jej do głowy przerażająca myśl: czy on od samego początku wiedział, że ona nigdy nie darzyła go uczuciem, i właśnie dlatego traktował ją z takim okrucieństwem? Czy to wszystko jej wina? Potrząsnęła głową, odrzucając ten pomysł. Nie zasłużyła sobie, by ciskano nią o kominek, bito ją po twarzy czy przebijano dłoń srebrnym widelcem. Mimo to ów nowy wniosek sparaliżował Mary. Prawda, że nie kochała tego mężczyzny, nie usprawiedliwiała maltretowania, ale mogła je tłumaczyć.

– Postrzegam Mary jako dobrą połowicę – odrzekł Thomas. – Kocham ją tak, jak mąż winien kochać żonę.

– I nie chce pan tego rozwodu – powiedział Caleb Adams. Było to stwierdzenie, nie pytanie.

– Nie chcę.

Adams zerknął na leżący przed nim papier.

– Żona oskarża pana o bicie. Zaprzecza pan?

– Tak.

Sędzia czekał, aż Deerfield rozwinie odpowiedź, ale to nie nastąpiło. W sali panowała cisza, nie licząc trzasku polan płonących w dwóch wielkich kominkach.

Wreszcie Adams podjął:

– Czyli nigdy jej pan nie uderzył?

– Nigdy – potwierdził Thomas.

Mary musiała zrobić głęboki, powolny wdech, aby powstrzymać wybuch frustracji wywołanej tym kłamstwem. Jeśli on zełga po raz trzeci, to czy zapieje kur? Nagle poczuła się winna, że ona – tak niska i podła – śmie porównywać swoją niedolę z losem jej Pana. Tym niemniej kłamstwo Deerfielda mocno nią wzburzyło.

Co gorsza, wyglądało na to, iż Thomas zrozumiał sygnały wysyłane przez Caleba Adamsa, że sędziowie chcieliby usłyszeć nieco obszerniejsze wyjaśnienia. Dlatego kontynuował:

– Jak wspomniałem, kocham swoją żonę. Jestem grzesznikiem, owszem, ale wiem, na czym polega rola męża.

– Jak pan prostował jej niedociągnięcia?

– Tak jak nasz Zbawiciel poprawia nas: z miłością i dobrocią.



– Mary napisała w pozwie, a wczoraj zeznała o tym w sądzie, że kilka tygodni temu wbił jej pan w lewą rękę diabelskie zębiska i złamał kość. Zaprzeczy pan temu?

– Słyszeli panowie słowa lekarza, który był tu wczoraj. Upadła na dzióbek imbryka.

– Nie! Doktor Pickering niczego takiego nie powiedział! – wykrzyknęła Mary odruchowo. – Powiedział natomiast, że...

– Naprawdę dość tego! – warknął Adams. – Niech pani powstrzyma język! Słuchamy teraz zeznań Thomasa Deerfielda!

Daniel Winslow delikatnie dotknął przedramienia swojego kolegi przez togę.

– Ta kobieta ma rację, Calebie. Doktor Pickering stwierdził, że nie potrafi określić, w jaki sposób Mary złamała sobie rękę.

– Ani tego, w jaki sposób ktoś inny się do tego przyczynił – dodał Richard Wilder.

Adams westchnął.

– Ustalmy więc gwooli jasności. Thomasie, mówi pan, że nigdy nie zaatakował Mary diabelskimi zębiskami. Czy to się zgadza?

– Tak. Zgadza się. Nigdy niczym jej nie ugodziłem. Złamała rękę, upadając wieczorem na imbryk.

Na tę zuchwałość Mary pokręciła głową, ale zmilczała.

Wilder złożył palce w piramidkę i spytał:

– A pan co jej zrobił?

Thomas sprawiał wrażenie zmieszanego.

– Już mówiłem: nie wyrządziłem jej krzywdy. Sama się zraniła.

Wilder nie wyglądał na przekonanego.

– Załóżmy, że jak pan twierdzi, Mary upadła na ostro zakończoną szyjkę czajnika. W nocy. Co działo się później?

Deerfield musiał się zastanowić. Odchrząknął. W końcu odparł:

– Powstrzymałem krwawienie. I uznałem, że rano wezwiemy lekarza.

– Rano, według zeznań przedstawionych przez rejenta powódki, udał się pan do młyna. Nie wezwał pan doktora Pickeringa. Zmienił pan zdanie?

– Krwawienie ustało. Rana wyglądała znacznie lepiej.

– Poszedł więc pan do pracy? – naciskał Wilder.

– Tak. Pomodliliśmy się, zjedliśmy śniadanie i wyszedłem do młyna.

– Pańskiej służącej nie było. Zniknęła. Co pan powie na ten temat? Podejrzewał pan, że gdzie się schroniła?

Thomas wzruszył ramionami.

– Catherine uciekła już poprzedniego wieczoru. Wiem, że to dobra dziewczyna. Zakładałem, że jest u Howlandów, a kiedy oprzytomnieje, wróci i pomoże Mary z kolacją. Martwiłem się wyłącznie o żonę i jej skaleczoną rękę.

– Tylko że Mary również odeszła. Tego samego ranka. Czemu przypisywał pan jej odejście?

– Nie przychodzi mi do głowy żaden powód.

– Nie pokłóciliście się? Mężowie i żony się kłócą, Thomasie – powiedział Wilder. – To nie przestępstwo.

– Ani powód do wnoszenia o rozwód – wtrącił Philip Bristol, lecz sędziowie jak jeden mąż spojrzeli na niego z dezaprobatą.

Nawet Thomas zdawał się zaskoczony tym, że jego adwokat uznał za konieczne coś powiedzieć. Właśnie z powodu takiego zachowania prawnicy cieszyli się jak najgorszą opinią.

– Thomas świetnie potrafi mówić za siebie – mruknął Wilder.

Adwokat kiwnął głową, nie sprawiał jednak wrażenia skruszonego.

– Nie – odrzekł Deerfield. – Nie pokłóciliśmy się. Martwiłem się o nią. Cierpiała. To nie był odpowiedni moment na spory. Poza tym nie istniało nic, o co mogliśmy się spierać.

– Proszę wybaczyć, ale czy poprzedniego wieczoru nie wypił pan tyle, że osiągnął stan upojenia? – zapytał Wilder.

I znów wtrącił się adwokat:

– Wysoki sądzie, Thomas nie może tego wyznaczyć, ponieważ przyznałby się tym samym do przestępstwa, o które nie jest oskarżony. Dzisiejsze przesłuchanie nie dotyczy nadmiernego spożycia alkoholu.

Wilder spojrział na prawnika z jawną złością. Już miał coś powiedzieć, lecz nagle Deerfield wszedł mu w słowo.

– Znam dobrze gospody i karczmy. Żadna to tajemnica ani też coś, za co musiałbym prosić o wybaczenie sąd bądź samego Pana. Czy jednak kiedykolwiek ukarano mnie za nadmierną skłonność do picia? Nie. Czy kiedykolwiek poddano mnie publicznej chłości za ów występki? Oczywiście, że nie. Sąd mnie zna, wie, że mam młyn. Tak, istnieją we mnie zło i serce skłonne do grzechu. Choć często mam powody wstydzić się przed Bogiem, prawda jest taka, że zawsze staram się Go wielbić we wszystkim. Ostatecznie odpowiem za wiele popełnionych w życiu błędów, lecz moja postawa względem żony, Mary Deerfield, nie będzie jednym z nich.

Nastała chwila ciszy, ponieważ na większości sędziów oraz widzach mowa ta wywarła spore wrażenie. W odróżnieniu od Mary, którą ogarnęła wściekłość. Zastanawiała się, czy Thomas

przygotował to wystąpienie wcześniej i je przećwiczył, czy raczej został poinstruowany przez swego prawnika, a potem tylko czekał na właściwą chwilę, żeby złożyć fałszywe zeznanie, umiejętnie odgrywając skruszonego.

Wreszcie zareagował nie kto inny jak Richard Wilder. Jego pytanie było krótkie i rzeczowe. Mary wiedziała, że tylko on jeden na ławie sędziowskiej przejrzał tę farsę.

– A zatem nie potrafi pan wskazać żadnego powodu, dla którego Mary postanowiła wrócić do swoich rodziców owego ranka?

– Żadnego. Czyż o tym nie wspomniałem? Nie wyraziłem się dość jasno? Mój adwokat twierdzi, że jedyną radą na oszczercę jest zmuszenie go do publicznego wycofania się z potwarzy. Może to ja powinienem wnieść pozew z żądaniem, aby Mary odwołała swoje zarzuty, jakoby zniżyłem się do braku szacunku i śmiałem ją uderzyć? Niewykluczone, że...

– W rzeczywistości Thomas nie zamierza składać pozwu i zajmować cennego czasu wysokiego sądu – przerwał adwokat swojemu klientowi.

Stało się jednak oczywiste, że złożona przez Deerfielda samokrytyka rozpadła się niczym domek z kart. Mary pokręciła głową. Próbowwała przekonywać siebie, że gdyby doszło do zderzenia jej słów z jego słowami, sędziowie mogliby przychylić się ku jej zeznaniom, choć była tylko kobietą, ponieważ Thomas nie potrafił się wytłumaczyć z wielu rzeczy i ponieważ jego zachowanie – tudzież zachowanie jego prawnika – budziło niesmak.

Caleb Adams wyprostował się w ławie i podjął próbę skoncentrowania dyskusji na procedowanej sprawie.

– To właśnie część zagadki, której nie umiem rozwikłać. Thomas Deerfield stanowczo twierdzi, że nigdy nie uderzył żony. Ostatnio Pierwszy Kościół, o czym wszyscy wiemy, ekskomunikował Mary Wharton za ohydne klątwy rzucane na własnego męża oraz za gwałtowną napaść na niego. To samo stało się z Marcy Verin, za podobne zbrodnie. Kościół wydalili też Jamesa Mattocka za to, że odmawiał żonie normalnego pożycia, a Williama Franklina za okrutne traktowanie służących i połowicy. Zarazem Pierwszy Kościół nie rozważa podjęcia takich kroków wobec Thomasa Deerfielda. W ogóle nie brano tego pod uwagę. – Adams odwrócił się do pozostałych sędziów.

– Kontynuuj, Calebie – powiedział gubernator.

Mary zerknęła na rejenta, ciekawa, dokąd to wszystko prowadzi, lecz Hull tylko dyskretnie potrząsnął głową. Sam nie miał pojęcia.

Adams wbił surowe spojrzenie w Thomasa.

– A zatem nie mamy logicznego powodu, dla którego żona miałaby odejść, chyba że...

– Chyba że co? – zapytał Thomas, a Mary poczuła ulgę, dokończywszy w duchu zdanie sędziego: *chyba że pan kłamie i naprawdę wbił pan te diabelskie zębiska w rękę swej nieszczęsnej połowicy!*

Ale Adams nie to miał na myśli. Zdecydowanie nie.

– Chyba że – podjął surowo – Mary Deerfield zachowała się w sposób niedopuszczalny, gdyż faktycznie jest opętana przez Diabła.

Tłumek zgromadzony na piętrze ratusza potrzebował chwili, aby zrozumieć, że Adams po raz kolejny podnosi kwestię czarów. Mary poczuła nagłe mdłości, zakręciło jej się w głowie. Złapała ojca za łokieć, świadoma otaczających ją zewsząd pomruków. Burden spojrzał na córkę, wyrazem twarzy dodając jej otuchy, a następnie położył sobie palec na ustach. Matka z kolei sprawiała wrażenie przestraszonej nie na żarty. Woźny sądowy trzykrotnie postukał w podłogę i tłumek się uciszył.

Wilder popatrzył na Adamsa, potem na gubernatora, i rzekł:

– Chciałbym przypomnieć wszystkim siedzącym obok mnie w tej ławie, że sprawa dotyczy pozwu rozwodowego. Nie roztrząsamy oskarżeń o czary.

– Ona jest bezpłodna – rzucił Adams. – Czy muszę przypominać, że świadek widział, jak Mary Deerfield zakopuje diabelskie zębiska pod własnymi drzwiami? Czyż to nie jest *maleficium*?

– Mary Deerfield z całą pewnością opętana nie jest! – wtrącił głośno Thomas. Stawał w jej obronie z mocą, której by się po nim nie spodziewała. – Mary Deerfield nie jest wiedźmą! Zapewniam wysoki sąd, że kocha naszego Pana i Zbawiciela całym sercem. Modlę się, by w głębi owego serca kochała także mnie, miłością, od której większa jest tylko ta do Jezusa Chrystusa. Mam nadzieję, że osobliwa melancholia, która kazała jej ode mnie odejść, minie i znów zaczniemy żyć jako mąż i żona.

– Dziękuję, Thomasie – powiedział gubernator. Omiótł wzrokiem sędziów. – Czy któryś z panów ma jeszcze pytania? – A kiedy z ławy dobiegła jedynie cisza, milczał nawet Caleb Adams, zwrócił się do pozwanego: – Chciałbyś coś dodać?

– Nie.

– W takim razie proszę się udać na spotkanie z farmerem z Salem i szybko wrócić. Do wysłuchania pozostało nam już zaledwie paru świadków. Liczę, że wydamy wyrok przed obiadem albo tuż po nim.

Mary patrzyła, jak Thomas kłania się sędziom, a potem kiwa głową jej i rodzicom. Ruszył ku schodom, omijając Burdenów szerokim łukiem. Zbiegł po stopniach szybko, ze sprawnością znacznie młodszego człowieka.

Człowieka – o czym pomyślała z irytującym poczuciem winy, bo jak mogła o nim w ogóle teraz myśleć – w wieku Henry’ego Simmonsa.

„Nigdy nie widziałam, żeby mój ojciec uderzył moją matkę, o nie”.

*Zeznanie Peregrine Deerfield Cooke, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 18

Po wyjściu Thomasa zeznawała mała procesja świadków. Przyjaciółka Mary Rebeka Cooper poinformowała sędziów, że o ile pamięta, trzykrotnie widziała sińce na twarzy powódki. Tym samym powtórzyła to, co powiedziała wcześniej rejentowi.

– Czy Mary mówiła pani, że Thomas ją bije? – zapytał Caleb Adams.

– Nie.

– Pytała pani?

– Nie. Ale...

– Ale najwyraźniej nie poczuła się pani zaniepokojona – zauważył sędzia.

Boleśnie przypominało to składanie zeznań przez Jonathana. Gdy Rebeka wychodziła z ratusza, Mary próbowała sobie wyobrazić, o czym rozmawiała ona z Peregrine. O dzieciach? Obowiązках? Przepisach na pieczone jabłka z rodzynkami? A może znajomość tych dwóch kobiet była bliższa, niż Mary mogłaby się spodziewać?

Przed sądem stanął właściciel gospody, Ward Hollingsworth, który stwierdził, że w niektóre wieczory Thomas Deerfield wypijał więcej alkoholu, niż to konieczne do ugaszenia pragnienia, nigdy jednak nie zachowywał się źle. Może czasem wygadywał coś zbyt głośno i w nadmiernym podnieceniu, lecz Hollingsworth podkreślił, że miewa gorszych klientów.

– A zatem dawał pan sobie z nim radę – skwitował Wilder.

Mary pomyślała, że to niewinne stwierdzenie ze strony sędziego, ale zmieniła zdanie, słysząc odpowiedź Hollingswortha. Dopiero wtedy zrozumiała, jak sprytny jest Wilder.

– Och, zdarzało się, że przestawałem mu dolewać do kufla – oznajmił karczmarz z niejaką dumą.

Na twarzach części mężczyzn zasiadających w ławie odmalowała się świadomość szkody, którą tamten bezwiednie wyrządził Thomasowi Deerfieldowi.

Jako następny stawił się sąsiad Mary, Isaac Willard. Nie miała pojęcia, dlaczego go wezwano. Rejent wcześniej z nim nie rozmawiał. Gdy jednak Caleb Adams ją zadawać pytania, Mary zrozumiała: chodziło o kolejne zniesławienie jej osoby. Adams chciał poznać szczegóły dotyczące owego popołudnia, kiedy młoda pani Deerfield powstrzymała dzieci jejmości Howland, zabraniając im dodawać cierpień człowiekowi przywiązanemu do wozu.

– A zatem postanowił pan interweniować? – dociekał Adams.

– Owszem. Widziałem, że Mary Deerfield okazuje współczucie temu kwakrowi, co wzbudziło we mnie rozczarowanie i trwogę – odrzekł Willard.

– Czy wcześniej widział pan, by zachowywała się równie dziwnie?

– Bezpłodne kobiety często zachowują się dziwnie. Są niczym sowy nieumiejące latać: stanowią zaprzeczenie celu, jaki wyznaczył im nasz Pan. Takie zwierzę w sposób nieunikniony musi oszaleć – perorował.

Mary miała ochotę załamać ręce z irytacji, że pozwala się starcowi wypowiadać tego typu tezy. Sędziowie tymczasem chłonęli jego słowa niczym ewangeliczną mądrość. Wreszcie odezwał się Wilder.

– Wypowiada pan tylko własną opinię – stwierdził. – Nie przemawia tu jako pastor.

– Regularnie czytam Biblię.

– Nie mam żadnych wątpliwości – mruknął sędzia.

Gubernator podziękował wezwanemu i pozwolił mu odejść.

– Panie gubernatorze, czy Thomas mógłby powołać jeszcze jednego świadka? – zapytał Philip Bristol, gdy Willard opuszczał salę.

John Endicott machnął ręką lekceważąco, ale rzekł:

– Dobrze, Philipie. Dobrze. Tylko proszę, nie spowalniaj nam procedowania.

– Tak. Oczywiście – zgodził się prawnik.

Obejrzał się przez ramię i skinął na kobietę, która wystąpiła naprzód. Mary zobaczyła Peregrine Cooke. Wczorajszego wieczoru sprawiała wrażenie zmęczonej, jednak tego ranka wyglądała pięknie, co Mary przypisywała zarówno oddziaływaniu światła słonecznego, jak i wdziękowi, jaki towarzyszy ciężarnej. Nawet jej twarz jakby się zaokrągliła w ostatnich kilku dniach, gdyż ciało zaczęło dostosowywać się do dziecka w łonie. Na ten widok Mary poczuła ukłucie zazdrości i natychmiast skrytykowała stan własnej duszy za skłonność do żalowania pasierbicy tej odrobiny szczęścia.

Widząc nowego świadka, pani Burden szepnęła coś mężowi na ucho, lecz kiedy Mary uniosła pytającą brwi, ojciec tylko pokręcił głową.

– Mów! – poleciła cicho.

– Jak Caleb Adams albo ktokolwiek inny ma czelność sugerować, że moja córka przestaje z Diabłem, skoro ta tutaj rozmyślnie próbowała nas otruć? – syknęła Priscilla.

– Tego nie możemy być pewni – powiedział Burden. – Teraz, wiedząc, że zachorowała tylko Hanna, jestem skłonny uznać, że Peregrine nie chciała nikomu zaszkodzić.



– Nie zgadzam się z tobą – mruknęła Priscilla.

– Jest pani córką Thomasa, zgadza się? – pytał tymczasem Daniel Winslow.

– Tak. Nazywam się Peregrine Cooke – odrzekła świadek, wsadzając luźny kosmyk rudawych włosów pod kornet.

– Co chciałyby nam pani powiedzieć?

– Nie chcę niczego powiedzieć, proszę pana. Przyszłam, bo namówił mnie na to obecny tu adwokat mojego ojca.

– W takim razie proszę nam wyjaśnić, dlaczego... – Winslow westchnął w tym miejscu, nim wypowiedział z nieskrywaną wzgardą: – adwokat pani ojca skłonił ją do stanięcia przed ławą.

– Prosił, żebym odpowiedziała na wasze pytania.

Winslow spojrzał na sędziów.

– Mamy jakoweś?

Nastąpiła niezręczna cisza, po czym inicjatywę przejął Caleb Adams.

– Czy ojciec pani uderzył kiedykolwiek jej matkę?

Peregrine spojrzała na wschodnie okno.

– Nigdy nie widziałam, żeby ją uderzył.

– Ojciec dobrze panią wychowywał?

– Każdego ranka czytał Psałterz mojej matce, mojemu bratu i mnie, a potem, po śmierci brata, tylko nam dwóm.

Mary skonstatowała, że nie były to odpowiedzi tak kategoryczne, jakich spodziewali się Bristol i niektórzy sędziowie.

– Peregrine – naciskał Adams. – Mówi pani, że nigdy nie widziała, aby ojciec uderzył jej matkę, czy tak?

Kobieta kiwnęła głową.

– A czy kiedykolwiek upokarzał ją słownie w sposób brutalny, bluźnierczy, wulgarny?

– Nie w sposób bluźnierczy ani wulgarny.

– Ale brutalny? – zapytał Wilder.

– Brutalność to określenie względne, Richardzie – rzucił Adams. – Istnieją różne interpretacje tego terminu. Natomiast bluźnierstwo to rzecz jednoznaczna, a Peregrine dała jasno do zrozumienia, że Thomas nigdy nie upokarzał swej pierwszej żony w ten sposób.

– Słusznie – zauważył gubernator.

Peregrine nie podjęła żadnej dyskusji. Wzrok miała pusty.

– Kiedy skończyła pani czternaście lat, ojciec zastrzelił konia, ponieważ ten śmiertelnie kopnął pani matkę. Moim zdaniem świadczy to o intensywności uczuć, jakie żywił względem Anne – ciągnął Adams.

– Czy pamiętasz tamto zdarzenie, Calebie? – zapytał Wilder tonem niemalże pogodnym.

– Nie – przyznał Adams. – Byłem za młody. Ale pamiętam, że bardzo mnie to poruszyło.

*To, że człowiek zabił konia, pomyślała Mary.*

Wilder wychylił się naprzód.

– Peregrine, czy po tym, jak pani ojciec ożenił się ponownie, widziała pani sińce na twarzy Mary Deerfield?

Peregrine trzymała dłonie złożone jak do modlitwy. Mary czekała. Sąd czekał. Wreszcie odparła:

– Tak.

– Proszę dalej.

– Na bocznej części twarzy.

– Wie pani, skąd się wzięły?

– Ojciec albo Mary tłumaczyli je różnie, jak sąd wie. Że nocą uderzyła się o kołek wieszaka na ubrania. Za drugim razem o kocioł.

– I podobno zdarzyło się, że upadła i coś sobie zrobiła – podsunął Wilder.

Peregrine milczała.

– A ostatnio, znowuż podobno, starła się z dzióbkiem od imbryka.

Ponieważ Peregrine nadal się nie odzywała, Wilder zapytał:

– Czemu przypisuje pani ów... ciąg wypadków?

– Wypadki zdarzają się wszystkim – odrzekła Peregrine. – Kiedyś potknęłam się na kostce brukowej i bardzo mocno skręciłam nogę.

Tyle że Wilder udowodnił już to, co chciał.

Gubernator obrzucił wzrokiem mężczyzn siedzących po obu jego stronach, ciekaw, czy mają jeszcze jakieś pytania. Skoro nie mieli, podziękował Peregrine i zaprosił przed ławę kolejnego świadka.

Kiedy Peregrine ruszyła ku schodom, Mary zauważyła, jak James Burden mocno chwyta pod łokieć żonę, ta zaś patrzy na ciężarną spode łba, z nieskrywaną niechęcią.

\* \* \*

Mary słuchała, jak Beth Howland oczernia ją, nazywając „nikim innym jak tylko grzesznicą, której serce jest pełne żądz i która nie zna ani wstydu, ani wyrzutów sumienia”. Pomyślała ponuro: *No cóż, przynajmniej nie oskarża mnie o zamordowanie swojego służącego. Przynajmniej nie zarzuca mi czarnoksiężstwa.*

– A zatem – upewnił się Caleb Adams – widziała ją pani w towarzystwie Henry’ego Simmonsa, siostrzeńca Valentine’a, na nabrzeżu.

– Tak.

Mary miała ochotę oznajmić wszystkim, że Henry tylko pomógł jej wykaraskać się spod kół rozpędzonego wozu, ale odebrała już nauczkę: przerywanie świadkowi nie przysparza sympatii sądu.

– Zachowywała się odrażająco – podjęła Beth. – Jakby znajdowała się w Londynie, wśród potępionych, niczym dziewczka oczekująca marynarzy.

– Widziała pani, by Mary upadła się z obcymi mężczyznami? – spytał Adams.

– Nim William Stileman zachorował i został przykuty do łóżka, a wtedy tylko spał i nie był zdolny mówić, Mary składała mu wizyty. Oboje gawędzili bez końca. Najwyższa niestosowność. Bardzo się zaniepokoiłam.

– Zaniepokoiłam? – wtrącił Richard Wilder. – Rozumiem ogrom emocji, jeśli to, co pani mówi, jest prawdą. Ale proszę wyjaśnić, dlaczego poczuła się pani zaniepokojona?

W tym momencie Beth Howland zaczęła potrząsać energicznie głową. Wskazując palcem na Mary, zawołała:

– To pozbawiona wstydu, bezbożna i lubieżna kobieta! Grzechami swymi ściągnie gniew Pana nie tylko na siebie, lecz także na miasto, w którym mieszka!

Część widzów pokiwała głowami, podobnie jak Caleb Adams. Mary się odwróciła i zobaczyła służącego, który dorzucił do pobliskiego paleniska dwie wielkie kłody drewna. W kierunku komina, niczym świetliki, uniosła się chmura iskier. Mary zaczęła odpływać myślami od ratusza i rozprawy sądowej. Wiedziała, że powinna słuchać zeznania, że powinna się skupić, gdyż przesądzano o jej przyszłości, lecz nie mogła. Już nie. To było szaleństwo. Catherine zasugerowała, że Mary chciała zamordować jej brata, a jejmość Howland – że zamierzała go uwieść. Te dwie rzeczy się wykluczały, żadna nie była prawdą. Mimo wszystko umysł Mary koncentrował się teraz na zagadce diabelskich zębisk, na kwestii bezpłodności. Myślała też o swych nocnych potrzebach. Wiedziała, kim jest, wiedziała, czym jest. Tak, Beth Howland może i przesadzała z powodu urojeń albo celowo, ale czy to miało znaczenie? Ta kobieta bez wątpienia wejrzała Mary w duszę.

Chyba należało zjeść swoją porcję jabłek zatrutych przez Peregrine bądź przez Rebeke i umrzeć – albo jak Hanna rozchorować się tak, by nie przyjść tu dziś rano. Nie musiałyby słuchać, jak sromotnie oczernia się ją i krytykuje. Najbardziej ze wszystkiego Mary pragnęła stąd wyjść. Odwrócić się plecami do sędziów, zejść po schodach i pójść...

Pójść? Nie było dokąd. To tutaj rozgrywały się jej losy.

Poczuła na ramieniu dłoń ojca. Burden przyglądał się córce z miłością w oczach, w których czaiła się też jakaś intensywność. Próbował ją przywrócić do rzeczywistości. Mary odpowiedziała spojrzeniem, niepewna, czy się uśmiecha, marszczy czoło czy może układa usta w literę O.

Lewa ręka, ta okryta rękawiczką, zaczęła nagle pulsować. Mary rozmasowała ją dwoma palcami prawej. Mówiła sobie, że to z zimna, w głębi serca czuła jednak lęk, że chodzi o coś więcej: że to znak. Bo przecież, jeśli rozejrzeć się wokół uważniej, było nim wszystko.

\* \* \*

Caleb Adams zapytał Abigail Gathers, czy kiedykolwiek widziała, by Thomas Deerfield uderzył Mary. Odpowiedź przecząca w najmniejszym stopniu nikogo nie zdziwiła. Bądź co bądź dziewczyna służyła u rodziców pani Deerfield i z nimi mieszkała. Nie miała więc nic wspólnego z domem Thomasa i Mary, nie była tam obecna nocą, kiedy działo się najgorsze. Adams zadał to pytanie wyłącznie w jednym celu: chciał, aby sędziowie po raz kolejny usłyszeli, że Thomas nie bił swej drugiej żony.

Czy właśnie dlatego przed kilkoma dniami Philip Bristol zażądał od dziewczyny pisemnego zeznania, a potem – jako adwokat Thomasa – wezwał ją na dzisiejszą rozprawę? Ani Mary, ani jej rodzice nie wiedzieli, co służąca mówiła wcześniej prawnikowi i czy ujawni teraz coś, co może się okazać obciążające.

– Jakiego pokroju osobą jest Mary Deerfield? – dopytywał Adams.

Nim Abigail zdążyła odpowiedzieć, Wilder odwrócił się do kolegi i rzekł:

– Calebie, to pytanie bez związku ze sprawą. Gdyby nawet powódka była grzesznicą najbardziej karygodnego autoramentu, żaden mężczyzna nie ma prawa okładać żony. Za to należy się kara.

Adams dźgnął Wildera palcem i uśmiechnął się szyderczo.

– A zemsta? Wiemy, do kogo należy zemsta.

– Nie zapuszczałbym się w te rejony – mruknął Wilder.

– Pytanie jest zasadne ze względu na powagę oskarżeń wobec Mary oraz doniosłe konsekwencje jej pozwu. Czyż nie mamy prawa dowiedzieć się czegoś więcej o charakterze tej kobiety?

Gubernator przerzucał wzrok między Adamsem a Wilderem.

– Zezwalam na pytanie. Abigail, możesz odpowiedzieć sędziemu – oznajmił.

Dziewczyna najwyraźniej potrzebowała chwili do namysłu.

– Bardzo ją lubię. Jest bardzo miła – rzuciła wreszcie.

– Dziękuję – skwitował Wilder, lecz Adams znów uniósł palec wskazujący.

– Czy jest grzesznicą? – zapytał.

– Chyba wszyscy jesteśmy?

– Czy widziałaś jakiś grzeszny akt z jej strony? – Sędzia nie ustępował.

Mary ogarnął lęk, że jakimś cudem on coś wie.

– Nie mam pojęcia, co drzemie w sercu pani Deerfield – odrzekła dziewczyna.

– Ale wiesz, co to jest cudzołóstwo, prawda, Abigail?

Kiwnęła głową.

– I wiesz, czym są nieczyste myśli? Rozpoznasz taką, gdy się urzeczywistni w ciele i postępowaniu?

– Mam nadzieję, że tak. Z całą uwagą słucham, jak mój pan James Burden czyta Psałterz, a także kazań wielbnego Nortona.

– Bardzo dobrze, Abigail. Powiedz więc, proszę, czy widziałaś, żeby Mary Deerfield zachowywała się w sposób nieczysty?

– Szuka na oślep – szepnął Hull do ucha Mary. – Próbuje budować na tym, co mówiła jejmość Howland.

Widać było, że Abigail gra na czas.

– Nieczysty? – spytała.

– Wskazujący na gotowość uwolnienia splugawionej duszy od wszelkich pęt.

– Jestem tylko zwykłą dziewczyną, zbyt młodą i niedoświadczoną. Ponadto...

– Tak?

Abigail zerknęła na Jamesa i Priscillę Burdenów. Mary zdała sobie sprawę, z jaką starannością jej rejent oraz rodzice przygotowali służkę do zeznań.

– Ponadto – podjęła Abigail, odwróciwszy się ku ławie sędziowskiej, choć oczy miała teraz spuszczone: – Kimże jestem, by pierwsza rzucić kamieniem?

Adams skrzyżował ramiona na piersi. Odchrząknął, po czym z jawną irytacją spytał:

– Czy widziałaś, by Mary Deerfield zgrzeszyła, Abigail? Wiedz, że twój Pan i Zbawiciel usłyszcy twą odpowiedź równie wyraźnie jak ja.

Ledwie dostrzegalnie dziewczyna kiwnęła głową.

– Raz. Chyba... – powiedziała łamiącym się głosem.

– Rozwiń to, dziecko.

– Raz, tylko jeden, widziałam, jak Mary i Henry Simmons trzymali się za ręce i całowali. Nie, raczej mieli się pocałować. Wszystko działo się tak szybko.

– Mieli się pocałować? – Adams domagał się więcej. W jego głosie dała się słyszeć niemal pożądlivość.

– Właściwie to nie widziałam, jak się całowali.

– To znaczy, że w twojej obecności przestali?

– Albo dlatego, że się opamiętali. Wiedzieli, że to, co planują, jest nieczne. Mary Deerfield jest dobrą osobą, proszę pana. Miłą. – Dziewczyna sprawiała wrażenie załamanej.

– Dlaczego mam poczucie, że coś ukrywasz? – naciskał Adams.

– Nie wiem, co miałabym ukrywać – odrzekła bojaźliwie.

Mary pomyślała, że tamta zaraz się rozpłacze, ponieważ najwyraźniej uważała się teraz za zdrajczynię rodziny Burdenów.

– Mów, dziecko! – ryknął Adams z nieukrywaną wściekłością.

Odpowiedziała łamiącym się głosem:

– Może przestali, bo upuściłam miskę pełną jajek.

– To znaczy?

– Zaskoczyłam ich, sama też byłam zaskoczona tym, co widzę. Mary trzymała mężczyznę za rękę, twarze mieli blisko siebie. Upuściłam jajka.

– Usłyszeli to?

Abigail kiwnęła głową.

– To poważne oskarżenie – wtrącił się Wilder. – Jesteś pewna, że dobrze zapamiętałaś tę scenę?

Abigail zalała się łzami, ramiona jej drżały przy każdej wypowiedzianej sylabie.

– Głęboko mną wstrząsnął ten widok. Przemawiam jako świadek, nie plotkuję – kwiliła.

Mówiła coraz więcej, lecz jej słowa tonęły we łkaniu. Mary poczuła, jak napina się jej skóra, w głowie miała tylko jedną myśl: *Oto cena mojego grzechu. Zasłużyłam sobie, bo jestem tchórzliwa i podła, sama sprowadziłam na siebie to zagrożenie. Zasłużyłam na każdy siniec i złamaną kość, słusznie spadł na mnie gniew męża, zasłużyłam na to, by wylać na mnie gorący sos do sałaty, jakbym ja też była śmieciem i ruiną. Jestem... przekłeta. Jestem darmożadem i dziwką, która potraktowała miłość mojego Pana Boga jak gnój.* Miała ochotę zniknąć, umrzeć, skurczyć się w nicłość.

Mogłaby pogrążyć się w tych myślach w nieskończoność, aż zostanie wezwana przed ławę sędziowską, lecz nagle dostrzegła, że tłumek widzów rozdziela się i – najpierw jako cień, mrok na

podłódze na tle promieni słonecznych wpadających przez wschodnie okna – na scenę wkracza Henry Simmons i kieruje się prosto ku sędziom. Zdezorientowana spojrzała na rejenta i rodziców. Czy byli równie zszokowani jak ona? Nie umiała stwierdzić. Woźny sądowy, poruszony bądź to biadoleniem i łkaniem Abigail, bądź też oburzeniem widowni na tego pojawiającego się znikąd intruza, stanął pomiędzy Simmonsem a składem sędziowskim, jakby się spodziewał, że młody człowiek zaatakuje owych zacnych obywateli za wielką drewnianą balustradą. Kutą żelazną laskę trzymał teraz poziomo, niczym fragment płotu, swoistą barykadę.

– Panie gubernatorze, chciałbym zabrać głos, jeśli wolno – powiedział Henry stanowczo.

Endicott omiół wzrokiem sędziów siedzących po obu jego stronach, potem skupił się na Richardzie Wilderze i Calebie Adamsie.

Adams przeczesał ręką włosy i rzekł:

– To siostrzeniec Valentine’a Hilla. Henry Simmons.

– Ten, z którym Mary Deerfield miała, wedle oskarżenia...? – dopytał Endicott.

– Tak – odparł Wilder.

Mary odniosła wrażenie, że przerwał Endicottowi po to, by ten nie wymówił nazwy przestępstwa.

– Dzień dobry, Henry – przywitał się sędzia. Następnie zwrócił się do woźnego: – Siostrzeniec Valentine’a Hilla nie stanowi zagrożenia. Nikt nas tu nie atakuje. Możecie odstąpić. – Woźny kołysał się na piętach i palcach, tam i z powrotem, rzucając na Henry’ego spojrzenia spode łba, ale w końcu wycofał się na miejsce.

– Panowie – podjął Henry. – Jestem wdzięczny za wasz czas. Przychodzę tu złożyć relację z własnych uczynków i odpokutować za grzechy. – Spojrzał na Abigail, która ocierała oczy rękawem, próbując wziąć się w garść.

Gubernator pokiwał głową.

– Abigail! – Słyszac swe imię, dziewczyna aż się wzdrygnęła. – Dziękujemy za twoją szczerość. Skończyliśmy, możesz wracać do domu.

Służąca ukloniła się i odeszła, obrawszy drogę ku schodom możliwie najdalej od Mary i Burdenów. Gdyby nie to, że pani Deerfield nie mogła oderwać oczu od Henry’ego, podeszłaby do dziewczyny i zapewniła ją, że przecież nie zeznała nieprawdy i nie powinna mieć do siebie pretensji. Ale nie było na to czasu, zresztą Henry miał za chwilę zabrać głos.

– Co chciałbyś nam powiedzieć? – zapytał Wilder.

Henry zaczął bez wahania.

– Jestem tylko pyłkiem na wietrze, niegodnym waszej uwagi, panowie. Oddaję się miłosierdziu wysokiego sądu, choć na nie nie zasługuję. Tak, usiłowałem pocałować Mary Deerfield, jak prawdziwie i słusznie zeznała młoda służąca. Jednakże do pocałunku nie doszło, z powodu tego, że Mary oparła się moim awansom. Oznajmiła bez zwłoki, że jest mężatką i nie pozwoli się uwieść, popełnić chwilowego cudzołóstwa, które zhańbiłoby ją przed tą społecznością, a także przed jej Panem i Zbawicielem.

Wilder zmrużył dobrodusznie oczy.

– A zatem twierdzisz, że nie musimy rozważać tu jeszcze cudzołóstwa ze strony powódki?

– Zgadza się.

– Jedynie z twojej strony?

– Tak.

Wilder szepnął do gubernatora coś, czego Mary nie usłyszała, a potem odezwał się cicho do Caleba Adamsa. Świstało jej w uszach, niczym płomień huczący pod kuźnią kowala. Uznała, że powinna wstać i przyznać, że ona również była grzesznicą, że w każdym calu jest tak samo winna jak Henry Simmons. Powinna oznajmić sędziom, iż Henry skłamał, i choć zrobił to w jej obronie, fakt ten przecież budził odrazę u Pana. Już chciała się zerwać, lecz nagle poczuła na ramieniu ucisk ojcowskiej dłoni, jego długie i mocne palce niczym macki morskiego potwora, jakie czasem rysuje się na mapach. Nacisk był silny: Mary zrozumiała, że ma się nie ruszać. Została więc, jeszcze bardziej nienawidząc samej siebie za to, co określiła w głowie jako budzącą mdłości mieszaninę tchórzostwa i uległości.

– Czy to jedyny raz, kiedy kusiłeś Mary? – zapytał gubernator.

– Tak. Jedyny raz.

– A ona się opierała?

– Owszem. Skutecznie, z pełną determinacją.

Adams zwrócił się do pozostałych mężczyzn:

– Czy mamy wezwać służącą ponownie? Przekonać się, czy potwierdzi słowa tego człowieka?

– Nie, Calebie – odrzekł gubernator. – Nie ma takiej potrzeby. To przecież siostrzeniec Valentine’a Hilla. Uważam, że możemy przyjąć jego wersję bez zbędnego sceptycyzmu. – Endicott wychylił się przez balustradę i dodał: – Jest jasne, że nie doszło do cudzołóstwa. Myślę, że batożenie wystarczy. Jutro o godzinie dziesiątej rano Henry Simmons stawi się na placu, gdzie zostanie wychłostany – przerwał na chwilę – piętnastoma razami w nagie plecy.

Henry skinął głową. Mary przypomniał się bity kwakier, choć jego okładano znacznie okrutniej i zmuszono do paradowania po ulicach. W swoim życiu widziała wielu chłostanych mężczyzn



i wiele kobiet, których poszarpane, czerwone grzbiety spływały krwią, tak że wyglądali jak kawałki mięsa u rzeźnika, nie ludzie. Ostatni raz zerknęła na ojca, który delikatnie pokręcił głową. Miała pewność, że tylko ona dostrzegła ów gest, i zrozumiała, co oznacza. I choć była pogrążona w żalu oraz wzdargie dla samej siebie, bo zdawała sobie sprawę, że jeśli dotychczas nie została potępiona, to teraz zapewne jest, stała w milczeniu, nieruchomo, czekając, co wydarzy się dalej.

\* \* \*

Ale nic się nie wydarzyło, nie było już nic więcej. Wszyscy świadkowie zostali wysłuchani, zeznania wyczerpano.

– Przejdziemy teraz do kantorka, aby omówić werdykt – powiedział gubernator, odnosząc się do niewielkiego pomieszczenia, w którym Mary i jej rodzice spotkali się z Richardem Wilderem. – Czy Thomas Deerfield już wrócił?

Woźny sądowy doniósł, że nie.

– Proszę go sprowadzić – polecił Endicott, a potem zwrócił się do Mary: – Dyskusja nie potrwa długo.

– Sugerujesz, że skończymy przed obiadem? – zapytał James Burden.

Endicott zatarł palce, mocno opuchnięte w okolicach stawów.

– Nie – odrzekł. – Mam po prostu nadzieję, że wyrok wydamy szybko.

Mary popatrzyła na swojego rejenta pełna obaw, że decyzja, która zdawała się gubernatorowi oczywista, źle wróży jej powodzeniu. W głębi serca liczyła, że się po prostu myli. Jednakże rejent nie odwzajemnił spojrzenia, minę miał nieprzeniknioną.

„Ilekoć rozpatrujemy pozew tak ważki jak ten, czuję się w obowiązku zadać sobie pytania: gdybym teraz stanął w obliczu śmierci, jak chciałbym myśleć o swoim postępowaniu w życiu, za co pragnąłbym być zapamiętany, a za co musiałbym odpowiedzieć przed naszym Panem i Zbawicielem?”

*Uwagi sędziego Richarda Wildera, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1662, tom III*

## Rozdział 19

Mary musiała usiąść, wręcz desperacko tego potrzebowała. Tak samo jej matka. Dlatego Benjamin Hull zaproponował im, aby się udały do jego biura, gdzie oprócz biurka znajdowały się krzesło oraz ława. Spacer nie był długi, lecz Mary nie omieszkała dostrzec chwiejnego kroku rodzicielki ani jej przytrzymywania się ramienia męża. Młoda pani Deerfield poszukiwała zarazem wzrokiem Henry'ego. Zdawała sobie sprawę, że jeśli nawet go zauważy, nie ośmieli się z nim porozmawiać, jednak pragnienie ujżenia tego człowieka – po tym, co dla niej uczynił – było niemal nieznośne. Henry miał odebrać chłostę – za nią. Uratował resztki jej reputacji, jeśli jeszcze jakaś została. Mary zastanawiała się, co powiedziałyby na to wszystko jej posępny, barczysty małżonek, gdyby akurat znajdował się w ratuszu, kiedy Henry wystąpił przed sądem z tak nonszalanckim brakiem dbałości o samego siebie. Wprawdzie Thomas przewyższał go posturą, ale czy mógłby dorównać mu pod względem fizycznym? Owszem, uznała Mary, mógłby. Był wrednym pijakiem ze skłonnością do burd. Bez względu na to, co orzekną dziś sędziowie w sprawie jej pozwu, bez względu na to, czy zostanie wolną kobietą, czy dalej uwięzioną jako żona Thomasa Deerfielda, Henry Simmons będzie musiał mieć się na baczności, uważać na siebie na każdym kroku, niczym miejski wartownik.

Kiedy dotarli do biura rejenta, ten poprosił z naciskiem, aby Priscilla usiadła na jego krześle. Mary zajęła miejsce na ławie. Hull nie miał piwa, którym mógłby ich poczęstować, ale otworzył butelkę madery, ponieważ wszystkim straszliwie chciało się pić. Państwo Burdenowie z córką raczyli się winem z jednego kufła, a gospodarz popijał wprost z butelki, opierając się o ścianę. James stał tuż obok okna. Wędrował wzrokiem od ulicy do ozdobnego zegara, który Hull trzymał na stoliku naprzeciwko biurka. Na brązowej tarczy widniały przedstawienia tulipanów.

– Myślę, że mamy trochę czasu – zwrócił się rejent do członków rodziny Burdenów. – Sąd Cehowy wydaje wyroki dość szybko, ale wchodzący w jego skład mężczyźni będą wyrażać różne opinie, które muszą być wysłuchane.

Mary się zastanawiała, czy nie spytać Hulla o spodziewany wynik narady, czuła jednak zbyt wielki strach. Odnosiła też przemożne wrażenie, że i matka się boi. Starła się odepchnąć od siebie lęk, który gromadził się w jej wnętrzu niby chmura burzowa barwy spalonego drewna. Jednym uchem słuchała niezobowiązującej rozmowy ojca z Hullem, tworząc w głowie rejestr świadków, którzy zeznawali na jej korzyść oraz przeciwko niej. Kilku, co Mary pojmowała, należało zarazem

do jednych i drugich. Uznała za dowód własnej nikczemności, że większy gniew wywołuje w niej teraz Beth Howland niż Thomas Deerfield.

Ojciec zaproponował matce kolejny łyk z kufla, lecz ta – z ciasno założonymi na piersiach rękoma – siedziała absolutnie bez ruchu. Pokręciła tylko głową, z oczami utkwionymi w zegarze.

– Peregrine Cooke próbowała nas wczoraj otruć – rzekła, gdy obaj mężczyźni umilkli.

– Priscillo... – zaczął James Burden, lecz żona nie pozwoliła mu dokończyć.

– Nasz rejent powinien o tym wiedzieć.

Hull czekał, aż Burden wyjaśni sprawę.

– Peregrine przyniosła nam wczoraj wieczorem deser z jabłek. Jedna z naszych służących się rozchorowała. Możliwe, że nie miało to ze sobą nic wspólnego, a jeśli nawet, to zapewne przez przypadek. Przygotowała takie samo danie dla Thomasa, który nie miał żadnych dolegliwości.

– Z całą pewnością to wiązało się z jabłkami. Wszyscy czuliśmy obrzydliwy smak czegoś zjełczałego, więc każdy wziął zaledwie kęs albo dwa, oprócz dziewczyny, która po prostu lubi takie rzeczy. To właśnie jej zaszkodziło.

– Po co Peregrine miałyby to robić? – zapytał Hull.

– Żeby uniemożliwić Mary wystąpienie przed sądem – odparła Priscilla.

– A wystąpiła?

– Czy przemawiała? Pan najlepiej zna odpowiedź. Nie, ale Peregrine nie mogła tego przewidzieć. A obecność Mary niewątpliwie utrudniła Abigail podzielenie się z sądem tym, co widziała.

– Priscillo – powtórzył James. – Abigail uczyniła wszystko, co w jej mocy, żeby chronić naszą córkę, bez względu na to, czy była ona w sali, czy nie.

– To mogła być zacna pani Cooper – mruknęła Mary.

– Rebeka? – zdziwiła się matka. – Przecież to twoja przyjaciółka.

– Wspominam o niej tylko dlatego, że Peregrine i Rebeka przygotowywały ów deser razem. Skoro mamy rozważyć wszystkie możliwości...

– Mary, dość! – zachnął się Burden.

Podniosła wzrok na niego, potem na matkę. Priscilla wpatrywała się w okno. Ojciec miał rację, musiała przestać rozważać ów wątek. Rację miał też rejent: Peregrine zapewne wcale nie myślała o procesie, gdy – jeśli – dodała do jabłek coś paskudnego i śmierdzącego. Mary przypomniała sobie własne podejrzenia z samotnej nocy w sypialni: być może pasierbica chciała ją zatruć, a nawet zamordować, żeby trzymać konkurentkę z daleka od Jonathana. Czyż sama nie wyraziła tego jasno,

kiedy przyniosła deser do domu Burdenów? Lecz nawet to, po głębszym namyśle, zdało się teraz absurdem. Czy Peregrine mogła zakładać, że zachoruje wyłącznie Mary?

Och, pewnie jej to nie obchodziło. Niech inni też padną, trudno.

Mary westchnęła. Dlaczego ludzie nie zadowolają się tymi, którymi pobłogosławił ich Bóg? Catherine ciągnęło do Thomasa, Peregrine bała się, że Mary poluje na Jonathana, który być może też ma na nią oko. A sama pani Deerfield pożyła Henry'ego Simmonsa. Wszystko to było nazbyt skomplikowane.

– Mary?

Podniosła wzrok.

– Jeszcze wina? – zapytał Hull, nachylając się nad biurkiem.

– Za chwilę – odrzekła.

Obserwowała, jak ojciec łagodnie poklepuje prawą rękę swej żony, co kazało Mary pomyśleć o niedawno zgruchotanych kościach lewej dłoni.

\* \* \*

Przez następne pół godziny Mary i jej matka niewiele się odzywały. Hull i Burden snuli domysły o tym, co się dzieje w ratuszu, wszystko to opierało się jednak na spekulacjach. Posłaniec zapewne dotarł już do młyna Thomasa Deerfielda, by ten wybrał się z powrotem do centrum miasta. Mary ostrożnie zdjęła lewą rękawiczkę i przyjrzała się dłoni. Opuchlizna prawie ustąpiła, rana goiła się dobrze, ale bywało, że Mary musiała sięgać po walerianę, która zresztą nie przynosiła większej ulgi w bólu. Zobaczyła, jak po blacie biurka nieopodal butelki biegnie pająk i po chwili znika pod spodem. Poprosiła rejenta o ponowne napełnienie kufła, wzięła długi łyk. Dopiła wino, mając nadzieję, że tym sposobem nawilży spieczony język i ukoji rytmiczne pulsowanie w ręce. Chciała też uspokoić nerwy. Irytujące, że nawet teraz pozostawało zagadką, gdzie będzie spać w nocy.

– Bardzo boli? – spytała matka.

– Nie – odrzekła młoda kobieta. – Nic mi nie jest.

– Mary – odezwał się ojciec surowym tonem. – Cokolwiek się stanie, znajdź pociechę w pewności, że Pan wie, co jest dla ciebie najlepsze, i sprawuje nad tobą pieczę. Niech ulży ci myśl, że mamy znakomitego rejenta. – James Burden uśmiechnął się po ojcowsku do drugiego mężczyzny w pomieszczeniu, a Hull skromnie wzruszył ramionami.

Mary starała się nie przypisywać tym słowom znaczenia większego, niż zapewne niosły. Nie mogła jednak zignorować w nich echa złych przeczuć. Przypomniały jej się te chwile w ostatnich

tygodniach, gdy widziała lub wyczuwała pewne oznaki konspiracji, trud, który zadawali sobie bliscy, aby...

Aby co? Chronić ją?

Powrót do domu Thomasa Deerfielda oznaczałby wszelki brak ochrony, chyba że w grę wchodziło niebezpieczeństwo znacznie większe niż maltretowanie przez męża. Mary odstawiła kufel na biurko rejenta, obok kałamarza. Po raz kolejny musnęła opuszkami palców prawej ręki ranę na lewej i pomyślała o widelcach, także o tym, który Thomas dzierżył jako broń. Pomyślała o tłuczku.

– Mary, rozumiesz mnie? – zapytał ojciec.

Patrzyła, jak wiatr od portu podrywa szkarłatne liście na ulicy, unosi je nad brukiem. Uderzające piękno. Nawet suche i martwe wyglądały uroczo. Boże dzieło. Boży świat.

– Tak – odrzekła. – Rozumiem.

I znów mężczyźni wdali się w krótką rozmowę, podczas gdy matka obserwowała Mary z niepokojem, lecz w milczeniu. Nagle ujrzeni za oknem chłopca mniej więcej czternastoletniego, praktykanta u jednego z sędziów, który biegł w kierunku biura.

Zanim młodzian zapukał do drzwi rejenta, Hull klasnął w dłonie i rzekł:

– Już pora! Wydali wyrok. Wracajmy!

\* \* \*

Sędziowie, mężczyźni za balustradą, mieli kamienne twarze. Czyżby Caleb Adams sprawiał wrażenie zadowolonego i zadufanego w sobie, kontent, że sprawiedliwości stało się zadość i małżeństwo nie będzie zerwane? Mary nie potrafiła tego stwierdzić. Czyżby Richard Wilder był sfrustrowany, że córka jego przyjaciela Jamesa Burdena zostanie oddana z powrotem bestii, a może towarzyszyła mu ulga, że pozew rozpatrzono pozytywnie i odtąd kobieta zacznie nowe życie? Oczy sędziego były nieprzeniknione. Daniel Winslow zdawał się absolutnie skupiony na jakimś dokumencie, który leżał przed nim na ławie, a gubernator Endicott był zwyczajnie znużony. Ponieważ żaden z nich nie nawiązał z Mary kontaktu wzrokowego, poczuła nagłe ukłucie lęku.

Naprzeciwko stał Thomas i uśmiechał się szyderczo i złośliwie. Pomyślała ze strachem, że może zna werdykt. Obok tkwił Philip Bristol z rękoma za plecami. Kołysał się lekko w przód i w tył na palcach i piętach. Mary wiedziała, że adwokat jest niższy od jej męża, lecz dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo: Thomas przewyższał tamtego o głowę.

Usłyszała gubernatora przywołującego woźnego sądowego.

– Widzę, że wszyscy wrócili. Procedujmy więc.

Wózny zastukał laską w drewnianą podłogę, pomruk rozmów w sali ratusza ucichł.

– Richardzie, powierzam ci ogłoszenie wyroku – powiedział Endicott.

Mary zalała chwilowa fala ufności. Fakt, że to Wilder miał obwieścić jej dalsze losy, mógł być znakiem, że Bóg się do niej uśmiechnął, że zesłał wybawienie.

– Ilekroć rozpatrujemy pozew tak ważki jak ten, czuję się w obowiązku zadać sobie pytanie: gdybym teraz stanął w obliczu śmierci, jak chciałbym myśleć o swoim postępowaniu w życiu? Za co pragnąłbym być zapamiętany, a za co musiałbym odpowiedzieć przed naszym Panem i Zbawicielem? Sąd taki jak nasz to bardzo niedoskonała instytucja, której werdykty są mocno skażone naszymi osobistymi słabościami i grzechami. Nie mamy ani mądrości, ani chwały naszego Stwórcy. Wszyscy w głębi serca zdajemy sobie sprawę, że codziennie, codziennie!, obrażamy Go na tysiąc sposobów.

Mary poczuła w lędźwiach ból od ciągłego stania. Pomyślała o ojcu i matce, dużo starszych od niej, którzy musieli tkwić w tej pozycji cały czas wczoraj i dzisiaj, u jej boku.

– Jesteśmy niczym szczury czające się w zaułkach. A jednak podejmujemy starania, robimy co możemy, bo taka jest konieczność. Jeszcze jedno. – Wilder wbił zdecydowany wzrok w Burdena. – Jamesie, pozew złożony przez twoją córkę nie ma nic wspólnego z działalnością handlową, którą prowadzisz. Nie istnieje prawo zakazujące sprowadzania trójzębnych widelców. Ale jak się można domyślić, z twojego tupetu nie może wynikać nic dobrego. Wyrażamy nadzieję, że nigdy więcej nie usłyszymy o tych przedmiotach w tej sali.

Sędzia uniósł jedną brew. Mimo wydźwięku swoich słów sprawiał raczej wrażenie rozbawionego niż gniewnego. Burden z zakłopotaniem kiwnął głową.

– Przedyskutowaliśmy wniosek rozwodowy złożony przez powódkę, starannie rozważyliśmy wszystkie zeznania. Dziękujemy świadkom za otwartość – ciągnął Wilder. Nagle ton jego głosu przybrał posępną barwę. – Oto co wiemy. Każdy zbawiony chrześcijanin poślubiony jest Bogu w małżeństwie o charakterze nadprzyrodzonym. Nasze przymierze z Bogiem jest natury duchowej. Podobnie, gdy mężczyzna bierze sobie kobietę za żonę. W tym wypadku, rzecz jasna, chodzi o umowę dotyczącą stanu cywilnego. Rozważmy jednak podobieństwa. Bóg kocha śmiertelnika mimo jego głupoty i grzeszności, tak jak mąż winien kochać żonę mimo jej głupoty i grzeszności. Bóg kocha śmiertelnika mimo jego słabości i tchórzliwych odruchów, tak jak mąż winien kochać żonę mimo jej słabości i tchórzostwa. Kobieta bywa uparta i zapalczywa, zachowuje się niekiedy jak osoba pełna pychy, jednak nie umniejsza to powagi małżeństwa, nie sprawia, że przestaje ono

obowiązywać. Żona jest połowicą męża, tak, lecz to ona z tych dwojga jest słabsza i jako taka zasługuje na troskę.

Mary spojrzała na ojca, poirytowana tym wykładem, ponieważ zaczynała się lękać, dokąd może on prowadzić. Lecz ojciec nie wykazywał oznak niepokoju. Podczas całego kazania kiwał głową na znak, że się zgadza.

– A jeśli żona była niewierna? Może to stanowić podstawę do rozwodu. Podobnie gdy mężczyzna dopuścił się niewierności, żona może się z nim rozwieść. W tym jednak przypadku do zdrady małżeńskiej nie doszło. Zaistniała pewna pokusa, ale to wszystko. I Henry Simmons zostanie stosownie ukarany. Niech wszyscy zebrani skupią się teraz na samym pozwie i tylko na nim, nie tracąc z pola widzenia mądrości Bożej i pieczołowicie ustalonej przez Boga hierarchii. On ma bowiem władzę nad człowiekiem, człowiek zaś nad zwierzętami. Rodzice kierują dziećmi, a mężczyzna kieruje swą żoną.

Czyżby Thomas uśmiechnął się szyderczo? Tak. Mary poczuła ostry ból w plecach i w dłoni. Pomyślała, że zaraz się rozpłacze, tutaj, w sali ratusza.

– Sąd nigdy nie pozna prawdy o tym, co wydarzyło się owego wieczoru, gdy ręka Mary Deerfield doznała obrażeń, a służąca Thomasa Deerfielda uciekła z domu. Usłyszeliśmy mnóstwo pogłosek i liczne oskarżenia. Jedynie Thomas, Mary i nasz Bóg wiedzą, co się stało i co tkwi w sercach małżonków. Czy doszło do maltretowania? – Wilder urwał i wbił wzrok w Thomasa. – Niewykluczone. Być może mieliśmy nawet do czynienia z recydywą w tym względzie. Mam swoje zdanie na ów temat, podobnie jak inni sędziowie mają własne. Jak zauważył pewien wielki duszpasterz, postrzegamy świat niejasno, jakby w lustrze, widok mamy zmałowany występkiem.

Zwracając się do tłumu widzów, Wilder kontynuował:

– Człowiek przychodzi do Boga skąpany w plugastwie i hańbie, w podobnym stanie znajdują się mężczyzna i kobieta przed małżeństwem. To prowadzi nas do apostoła Pawła i jego napomnienia: musimy robić wszystko, aby oczyszczać z brudu nasze ciało i ducha. Musimy. Poniesiemy porażkę, ale są różne stopnie tej porażki. Rozpatrywany wniosek rozwodowy nie jest ugruntowany ani na przestępczym braku czystości moralnej, ani na cudzołóstwie. Nikt też nikogo nie opuścił: widzę obecnych na sali zarówno męża, jak i żonę. Pomimo braku dziecka w tym związku nie można zakładać, że brak w nim intymnych zbliżeń. – Wilder pokręcił głową. – Powództwo opiera się tylko na jednej, jedynej poszlacie: okrutnym maltretowaniu jednej ze stron. Lecz, niestety, nie mamy świadków owego maltretowania ani dowodów, że do niego doszło. Mamy tylko sprzeczne ze sobą zeznania, to wszystko. Dlatego wniosek Mary Deerfield o udzielenie jej rozwodu zostaje oddalony.



Wymieniona nakazem sądu ma jeszcze dzisiejszego popołudnia wrócić do swego męża Thomasa Deerfielda. Koniec.

I rzeczywiście to był koniec. Stało się. Mary widziała, jak Thomas energicznie potrząsa prawicą adwokata. Obaj mężczyźni wyglądali na bardzo zadowolonych z siebie. Również Caleb Adams sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego w sposób, który przeobraził w Mary rodzącą się pogardę dla tego człowieka w rzecz stałą i twardą: jak z ciasta powstaje chleb, jak z gaszonego wapna cegła. Jego protekcyjność względem niej – względem wszystkich kobiet – napełniała Mary obrzydzeniem. Poczuła, jak matka głaszcze ją po plecach. Po chwili Priscilla wyszeptła do ucha córki, że wszystko jest dobrze, że będzie dobrze, że jest bezpieczna. To słowo – *bezpieczna* – również wzbudziło irytację Mary. Naprawdę? Jak miała teraz wrócić do człowieka, który przybił jej rękę do stołu widelcem? Czy to wskazywało na bezpieczne dalsze życie?

Gdy Thomas do nich podszedł, woźny odprowadził skład sędziowski do innego pomieszczenia, gdzie miano pochylić się nad dzisiejszymi pozwami. Mary stała w milczeniu, bez słowa. Wyglądała na przegraną, zdawała sobie sprawę, że na zewnątrz może sprawiać takie wrażenie – w środku jednak coś się poruszało i gotowało, osiągało punkt wrzenia. W jej duszy mieścił się ogromny magazyn emocji, wielkości składów handlowych jej ojca, a w nim także świadomość, że to zgniłe małżeństwo nie jest warte pomyj dla świń, zaś wyrok sądu był niesprawiedliwością nie do zniesienia. Po tym orzeczeniu przemoc ze strony Thomasa tylko eskaluje, tego Mary była pewna. Gdy stanął u jej boku i delikatnie ujął ją za prawą rękę, spojrzała mu w oczy – jakże był z siebie zadowolony! – i w jego intensywnie brązowych źrenicach zobaczyła trójzębne widelce. Czy to wyobraźnia płata jej figle? Nie wiedziała, nie dbała jednak o nic. Owszem, pomsta należy do Pana, lecz tutaj zapadł niesłuszny wyrok. Może te widelce stanowiły znak: znak dla niej. W głowie Mary jęła się formować myśl, zrazu mglista i bezkształtna jak chmury poprzedzające wielką burzę. Thomas coś do niej mówił, ojciec też. Lecz ich słowa ginęły w panującym tumulcie, w zalewie wspomnień, i tylko jedna myśl zaczynała się zakorzeniać w umyśle młodej kobiety niczym pędy cisu w glebie. Tak, pomsta należy do Boga. Ale wymierzenie sprawiedliwości? To będzie należeć do niej.

# KSIĘGA WIEDZMY

„Mary Deerfield, zostałaś oskarżona o uprawianie czarów. Zarzut ten jest oparty na licznych dowodach. Powiedz nam bez ogródek, byśmy wiedzieli: czy przyznajesz, że uległaś diabelskim pokusom i podpisałaś pakt z Ciemnością?”

*Akt oskarżenia odczytany przez gubernatora Johna Endicotta, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 20

Catherine przygotowała kolację dla całej trójki, składającą się z aromatycznego kabaczka oraz małży, które Thomas kazał jej kupić rano na targu. Do tego podała chleb kukurydziany i ser.

W pewnym momencie Deerfield oparł pięść koło talerza dziewczyny i zapytał:

– Nadal uważasz swoją panią za opętaną?

Mary starała się rozszyfrować ton jego głosu: z pozoru ojcowski, lecz gdzieś w głębi, zwłaszcza w ostatnim wyrazie, kryło się syczenie sugerujące groźbę.

Catherine ponuro potrząsnęła głową, a potem wsadziła sobie do ust małą i wysssała ze skorupy ugotowane zwierzę. Dziewczyna nie miała możliwości ruchu. Cóż powinna odpowiedzieć? Uzgodnili, że po południu odbierze swoje rzeczy z domu Beth Howland i wróci do Deerfieldów. Tę noc znów spędzi w kuchni, jak zawsze, odkąd zamieszkała w Bostonie, z wyjątkiem okresu, kiedy przebywała u Howlandów. Mary podejrzewała, że służąca nie będzie sypiać zbyt dobrze, ale nie współczuła jej zbytnio. Jeśli nawet Catherine pożądała Thomasa, on nie sprawiał wrażenia, by odwzajemniał ów żar. A jeśli naprawdę uważała Mary za wiedźmę, to teraz znalazła się w pułapce. Owszem, Mary przegrała proces, ale najwyraźniej Catherine również poniosła porażkę.

– To dobrze – powiedział Thomas. – Znowu będziesz tu szczęśliwa. – Wziął łyk piwa i uśmiechnął się łagodnie. Po czym oświadczył, że prosił lekarza, aby odwiedził ich dziś po południu i zbadał rękę Mary, czy się właściwie goi.

– To nie jest konieczne – odrzekła Mary.

– Ależ oczywiście, że tak – rzucił, a następnie sparodiował to, co mówiła w sali sądowej. – Bądź co bądź, Mary, imbryk potrafi być najstraszliwszą z broni.

Mary milczała. Dopiero po chwili odezwała się do Catherine:

– Ciągle tęsknię za twoim bratem. Przykro mi, że odszedł tak młodo.

– Jest teraz z Panem. Ma się dobrze – mruknęła służąca.

– Tak – zgodziła się Mary. – To prawda.

Kiedy skończyli obiad, Thomas wrócił do młyna. Kobiety pozmywały naczynia i wyrzuciły resztki jedzenia. Potem Catherine udała się do domu Howlandów, a Mary usiadła samotnie przy kuchennym stole. W pomieszczeniu panowała kompletna cisza. Wróciła myślami do posiłku. Thomas odmówił krótką modlitwę, w której dziękował Panu za to, że oddał mu żonę. Modlitwa nie

zawierała żadnej refleksji nad jego czynami, sugerowała, że Deerfield nie ma za co pokutować: jak gdyby żona zaginęła gdzieś na oceanie, po czym nagle – ku powszechnemu zaskoczeniu – została odnaleziona żywa. W rozmowie Thomas zdawał się poruszać wątki zupełnie zwyczajne, choć od czasu do czasu pobrzmiwały w niej złowieszcze echa. W pewnej chwili, chcąc być szczególnie miłym, opowiedział Mary o swoim porannym spotkaniu z farmerem z Salem. Innym zaś razem spojrzął wilkiem na kabaczek i zaczął na głos rozmyślać.

– Co wy o tym sądzicie? Byłby mi potrzebny podczaszy? Powinienem poszukać sobie prywatnego Nehemiasza, aby mieć pewność, że mój pokarm nie jest zatruty?

Mary, której przypomniały się jabłka przygotowane przez jego córkę, nie zareagowała, podobnie jak Catherine.

A teraz, siedząc w samotności, zdała sobie sprawę, że cały czas jest w szoku. Kiedyś, na początku lata, wędrując po obrzeżach miasta, widziała jastrzębia spadającego gwałtownie nad ornym polem, a następnie ulatującego z jakimś gryzoniem w szponach. Zwierzątko nadal żyło, ale już się poddało, oszołomione. Osłupiałe. Mary pojmowała, że jej sytuacja nie jest aż tak straszna. Nie groziła jej natychmiastowa śmierć, nikt nie zamierzał jej zjeść, ale nie mieściło jej się w głowie, że ledwie dwie godziny wcześniej znajdowała się na sali rozpraw w ratuszu, pełna nadziei, iż jej pozew o rozwód zostanie rozpatrzony pozytywnie i będzie wolna, a tymczasem teraz stała się więźniarką – słowo to przyszło do niej samo, uznała, że nie jest przesadnie melodramatyczne.

Była uwięziona przez człowieka, w którym mieszkało monstrum. Żyło pośród czterech płynów humoralnych, dlatego Thomas tak łatwo ulegał jego kaprysom. Szczególnie brutalności własnych zachcianek, gdy był pijany. Byłoby jednak błędem przypisywać ową skłonność do przemocy wyłącznie zamiłowaniu Deerfielda do cydru i piwa. Mary wiedziała, do czego jest zdolny nawet w stanie trzeźwości. Co więcej, realizował to zło z przezornością: atakował ją jedynie wtedy, gdy wokół nie było żadnych świadków.

Poruszyła się wreszcie, wstała i podeszła do wiadra, w którym Catherine moczyła sztuce. Wyjęła z wody jeden z noży. Trzymała go w prawej ręce, znów rozmyślając o gryzoniu w szponach jastrzębia. Czowała się zawiedziona, zalana spontanicznymi emocjami, żalem tak głębokim, że zaczęła płakać. Opadła na podłogę, oparła się plecami o ścianę i przez łzy wpatrywała w ostrze. Docisnęła je do lewego nadgarstka, ciekawa, czy może przeciąć skórę, czy chciałaby obserwować rozlewającą się po deskach kałużę krwi.

Odróciwszy lewą dłoń, Mary spojrzała na ślady pozostałe po wbiciu przez Thomasa widelca i przypomniała sobie tamten ból. W Liście do Koryntian przeczytała kiedyś pytanie: „Gdzież jest, o śmierci, twój oścień?”. Odpowiedź brzmiała: „Żądłem śmierci jest grzech”.

Ona sama знаła żądło diabelskich zębisk.

Nie, ostrość widelca.

To przecież tylko sztuciec, nie bardziej demoniczny od noża w ręku lub tych moczących się wraz z łyżkami w wiadrze. Odtąd Mary zamierzała nazywać go wyłącznie w ten sposób. To był... widelec. Czy cios nożem przyniosłby ból większy niż ten, który Thomas osiągnął za pomocą widelca? Kiedyś pozna odwieczny plan, jaki Bóg dla niej przygotował, dowie się, czy jest potępiona, czy wybrana. Czy to ważne, że odkryje prawdę za dziesięć lat albo dziesięć minut? Nie. Bóg jest nieprzenikniony. Mary może tu teraz umrzeć, stać się jedynie ścierwem, rozpadającymi się szczątkami, ofiarą własnej zapalczywości, znalezioną przez Catherine albo Thomasa. Jej dusza pójdzie bądź do Nieba, bądź do Pieła.

Obróciła nóż tak, że koniuszek ostrza dotknął wewnętrznej strony nadgarstka, i przebiła skórę do krwi. Było to drobne nacięcie, lecz na tyle głębokie, żeby mogła obserwować gromadzącą się czerwień. Wyobraziła sobie, jak kroi własne ciało niczym tuszę wieprzową. Miała na to dość siły w prawym ramieniu. Mogłaby skończyć teraz, położyć się i czekać na spotkanie z Bogiem lub Szatanem. Mogłaby. Spojrzała w górę, na ciężki stół i dalej, na okno, skąd padało popołudniowe światło. Uwielbiała światło o tej porze roku. Kochała je rozproszone wśród drzew, których liście zmieniały się jak w kalejdoskopie na czerwone i żółte, uwielbiała, gdy spadały, odsłaniając szczupłe gałęzie dębu, czarne kreski na tle szafirowego nieba. W odpowiedniej porze dnia widziało się świat jakby przez gazę, słońce nadawało mu uspokajający, brązowy odcień.

Nagle w umyśle Mary pojawiło się jedno słowo, którego każda sylaba brzmiała czysto i wyraźnie: wstań. Czy to przemówił Pan? Bo na pewno było to polecenie. Wstań. Wstań już. Spojrzała na kominek, prawie wygasły, dostrzegła piękno ognia. Głos, jeśli był to głos, nie należał ani do Stwórcy, ani do Diabła. Należał... do niej. Własna dusza przypominała Mary, że jej los spoczywa w rękach Boga, i to od samego początku czasu, lecz ta chwila na ziemi jest jej. Jest. Jej. Żal nad sobą rósł niczym styczniowy śnieg na parapecie – oślepił – odkąd ponownie weszła do tego domu. Zdjął ją lęk, że jeśli się nie ruszy, wytnie sobie tym nożem kawał własnego ciała w okolicach przegubu i już nigdy nie wstanie. A tego przecież nie chciała. Absolutnie nie. Pragnęła więcej, pragnęła żyć. Gdzie była tamta kobieta, która stała w ratuszu, przysięgając, że po wydaniu nedorzecznego wyroku sama sięgnie po sprawiedliwość? Gdzie zniknęła?

Na wspomnienie własnej determinacji Mary pochyliła się i wrzuciła nóż do wiadra, po czym, krzywiąc się i używając obu rąk – także lewej, mimo bólu gojących się kości pulsującego aż do ramienia – podniosła się z trudem. Nie będzie się tarzać po podłodze. Będzie walczyć. Jak brzmiał ten marynarski termin? Szyk liniowy. Skieruje działa burtowe na swego męża, stawi czoło

wszystkim Catherine'om Stileman, jejmościom Howland i Peregrine'om Cooke, a może nawet Rebekom Cooper Bostonu. Ustali, kto zakopał przed jej domem widelce i tłuczek oraz dlaczego to zrobił. A przede wszystkim będzie wolna. Nie mogła i nie chciała tak żyć: jako istota kontemplująca swój upadek, klęskę zadaną sobie samej. Jako pani domu dręczona przez służebną dziewczkę i straszona przez męża.

Podeszła do okna, żeby wyjrzeć na świat, na światło stworzone przez Boga, dar, którym należało się rozkoszować – i krótko naprawdę się tym rozkoszowała. Nie mogła jednak pozwolić sobie na więcej radości. Ujrzała lekarza, Rogera Pickeringa, siedzącego okrakiem na majestatycznym białoszarym koniu, który wkraczał właśnie na podwórze. Gdy doktor zsiadł, Mary napotkała jego wzrok. Uchylił kapelusza, a następnie przywiązał zwierzę do słupka. Mary nasunęła rękaw na miejsce i przycisnęła go do nadgarstka, tam, gdzie wcześniej nacięła skórę czubkiem noża. Szybko wytarła krzepnącą krew. Ciekawe, pomyślała, czy lekarz w ogóle to zauważy.

\* \* \*

Tej nocy Thomas przechylił ją nad stelażem łóżka i wziął gwałtownie. Z bólu zaciskała palce na kołdrze. Chwytał ją od tyłu za włosy i szarpnął głowę ku sobie, by wysyczeć jej do ucha, że jest grzesznicą i nieposłuszną kurwą. Stała wsparta bosymi stopami o deski podłogi, usiłując skupiać uwagę na kawałku szorstkiego drewna pod prawą piętą, lecz umysł nakazywał powracać do bólu między nogami oraz na głowie. Miała wrażenie, że Thomas wyrwie jej zaraz całą kępę włosów. Tak mocno wygiął jej plecy do tyłu, że gdy otworzyła oczy, zobaczyła sufit i krokwie, które niczym mosty biegły między skosami dachu. Czy teraz chodzi tylko o moją nienawiść do niego?, myślała. Czy on próbuje w ten sposób poradzić sobie z wewnętrzną samotnością, zwierzęcą żądzą, czy może jest to kolejny sposób na ukaranie własnej żony? Thomas nie był pijany, to Mary wiedziała. Po wszystkich oskarżeniach i sugestiach, jakie padły w trakcie procesu, podczas dzisiejszej kolacji uważał, pił piwo małymi łykami.

Kiedy skończył, puścił jej włosy i pchnął ją na kołdrę. Uznała, że już po wszystkim, i zaczęła sięgać po nocną koszulę. Wtedy złapał ją za prawe ramię, obrócił i przyciągnął ku sobie. Czuła, jak jego nasienie spływa po jej udach.

Ująwszy lewą dłoń Mary, Thomas szepnął z groźbą:

– Lekarz mówi, że ręka się goi. Musisz bardziej uważać, moja droga. Wiem, że twoim zdaniem zraniłem cię bez powodu, ale to nieprawda. Potrzebujesz ułożenia, jak koń. Pokory, jak upadły anioł. Jesteś tylko tępą czy to coś gorszego? Może pycha? Coś, co skaże cię na potępienie.

Chciała mu przypomnieć, że kwestia potępienia i zbawienia została już dawno rozstrzygnięta, przesądzona z góry. Rozumiała jednak, że wypowiedzenie choćby słowa byłoby teraz błędem.

– Wiem jedno z całą pewnością – ciągnął. – Nie możesz już sobie pozwolić na kolejny wypadek jak ten – tu urwał na chwilę – z czajnikiem. Współczuję ci, Mary. Naprawdę.

Przez dłuższą chwilę ścisnął jej palce, w słabym świetle samotnej świecy przyglądając się dłoni, którą kiedyś poranił.

– Tak, goi się – dodał z nagłą zadumą, jakby naprawdę się na tym znał.

Mary widziała, że wzbiera w nim jakaś myśl, i to myśl mroczna.

– Te palce nie wyglądają na szpony wiedźmy.

Czekała, milcząca i napięta.

– Powiedz mi coś – rozkazał.

– Tak? – odrzekła ostrożnie, spodziewając się brutalnej napaści fizycznej bądź słownej.

– Czy wiesz, dlaczego skłamałem przed sądem?

Zdumiała ją owa szczerość. Istniało kilkanaście możliwych odpowiedzi na to pytanie, od bezsensownych i fałszywych po prawdziwą i najbardziej oskarżycielską. Na przykład: że on ją kocha, że jest pełen pychy, że zależało mu na ratowaniu resztek własnej reputacji. Mogłaby wspomnieć, iż nie zniósłby utraty jednej trzeciej majątku. A nawet, że mówieniem nieprawdy nie naraził na ryzyko swej nieśmiertelnej duszy, ponieważ wiedział niemal na pewno, że nie znajduje się wśród wybranych, cóż więc jedno więcej kłamstwo, nawet tak bezczelne, mogłoby zmienić?

Być może, gdyby wcześniej zrozumiała, jakie ma być ostatnie słowo, absolutnie ostatnie, dotyczące sprawiedliwości, a nie tylko wypowiedziane dzisiaj, miałyby gotową odpowiedź. Tymczasem odparła niepewnie:

– Nie wiem. Ale...

– Ale co?

– Cieszę się, że przynajmniej teraz, tutaj, w łóżku i tylko w mojej obecności powiedziałeś prawdę.

Puścił jej dłoń. Uniósł brwi i oznajmił:

– Musiałem skłamać. W swoim najlepiej pojętym interesie, tak. To oczywiste dla aniołów i demonów, po równi. Był to jedyny sposób, żebyś wróciła jako żona pod mój dach, gdzie jest twoje miejsce. A teraz posłuchaj uważnie tego, co powiem, ponieważ to czysta prawda: uczyniłem to także dla ciebie.

– Dla mnie?

Thomas kiwnął głową.



– *My uczyniliśmy to dla ciebie – podkreślił. – Twój ojciec i jego przyjaciel z ratusza. Ten sędzia.*

Była zaskoczona, lecz bardziej faktem, że on jej o tym mówi, niż świadomością, że spiskowano za jej plecami. Czuła to od dnia, w którym po raz pierwszy wszyscy Burdenowie spotkali się z Richardem Wilderem.

Thomas ciągnął:

– Tak, twój ojciec, sędzia i ja rozmawialiśmy o tym dwukrotnie. To bowiem był jedyny sposób, żeby uchronić cię przed zarzutami o czarnoksiężstwo. Przypomnij sobie, o co oskarżała cię ta dziewczyna na dole. Przypomnij sobie insynuacje jejmości Howland. Pomyśl o śmierci Williama Stilemana. Nie jestem idealnym mężem ani idealnym człowiekiem. To też fakt. Ale troszczę się o ciebie, uczę cię, nawet jeśli czasem dawkuje wiedzę bolesnymi metodami. I wiesz co, Mary? Weź sobie do serca jeszcze to, że stanowią znacznie lepszą alternatywę od stryczka.

Chciała coś powiedzieć, lecz on położył palec na jej ustach.

– Od samego początku, przez cały czas twój pozew miał takie szanse powodzenia jak maleńka barka podczas huraganu. Nie, nawet nie to. Jak motyl w burzy śnieżnej. Twój rejent się spisał, lecz ty jesteś tylko kobietą, a kobieta, której postęпки są bardziej podejrzane niż zachowanie męża, bywa źle widziana. Owszem, masz potężnego ojca. Jednak jak mogliśmy się przekonać na przykładzie Hartfordu, nawet najbardziej wpływowy człowiek jest bezsilny wobec tłuszczy, wobec szajki. Zwłaszcza szajki sędziów, którzy zwęszyli pośród siebie wiedźmę.

Położył rękę na szyi Mary, ale nie zacisnął palców. Chwył był delikatny, zwiastował jednak groźbę.

– Wiem, że według ciebie traktowałem cię podle. Lecz moje dłonie to nie sznur. Wiem także to, że możemy ruszyć naprzód jako mąż i żona. Damy radę. Poprawię się. Ale musisz wyjść mi w pół drogi, jeśli twój ojciec i ja mamy cię ochronić.

Mary z trudem przełknęła ślinę, świadoma, że on poczuje ruch mięśni jej szyi. Zaszło jej w ustach.

– W pół drogi? Co to konkretnie znaczy? – spytała nieoczekiwanie ochryplym głosem.

– Nie mam pojęcia, co sobie projektujesz i co zamierzałaś zrobić z tymi diabelskimi zębiskami. Nie mam pojęcia, jak daleko zaszedł twój flirt z Henrym Simmonsem. Nie wiem nawet, czy nadal odwiedzasz tę dziwną kobietę z Przesmyku. Constance Winston. – Thomas zdjął rękę z gardła żony. – Ale zrozum, że musisz być ostrożna. Nie umizguj się do Szatana. To pan o wiele okrutniejszy ode mnie.

Naciągnął na siebie koszulę nocną. Potem się odwrócił, podniósł z podłogi nocnik i odszedł w róg pokoju. Mary siedziała na skraju łóżka, owinięta kołdrą, zbita z tropu jego słowami, choć nie

do końca zaskoczona. Właściwie to wszystko podejrzewała już wcześniej. Wróciła myślami do procesu w ratuszu.

Zdawała sobie sprawę, że nie zrobiła nic złego i że kiedyś w jakiś sposób w końcu uwolni się od tego człowieka. Co więcej, wyzwolenie to nie będzie pochodzić od sędziów, którzy skazali ją na życie z Thomasem Deerfieldem, a mogli ową podłość i nikczemność jeszcze spotęgować odesłaniem jej z tego świata na tamten, za pośrednictwem szubienicy.

– Mary?

Thomas już wrócił i usiadł obok, na łóżku.

– Tak?

– Potrzebny ci odpoczynek po tym, co przeszłaś. Zamknij oczy i uspokój umysł.

Kiwnęła głową, na pozór posłuszna. Wiedziała jednak, że zanim jej umysł zdoła się uspokoić na tyle, by mogła zasnąć, minie wiele godzin.

\* \* \*

W nocy miała sen tak realny, że obudziwszy się, patrzyła długo na ścianę naprzeciwko łóżka, zastanawiając się w duchu, czy był to znak – a jeśli tak, to co zwiastował. Zapisała ten sen w pamiętniku, ponieważ chciała zachować na zawsze to, co w nim widziała.

A śniła – o ile faktycznie śniła – o małej dziewczynce, najwyżej sześcioletniej, ubranej w błękitną koszulkę nocną i zajadającej maliny z błękitnej miseczki. Dziecko miało żółte włosy, spięte w ciasny kucyk różową jedwabną wstążką, oraz oczy tak zielone, że Mary skojarzyły się z kocimi. Nosilo eleganckie kapcie, które Mary pamiętała z własnego dzieciństwa, importowane przez jednego z przyjaciół ojca z Bombaju. Dziewczynka nie przemawiała jak dziecko, raczej jak osoba dorosła, rozsądna i mądra, która przeżyła długie, pełne sensu życie.

W tymże śnie Thomas drzemał obok Mary, nie drgnął, gdy zjawiła się dziewczynka z malinami. W pokoju było jasno od blasku księżyca, dziecko też jaśniało. Mary wcale się go nie bała. Nie zastanawiała się, po co ta mała istota ukazuje się nocą, odziana w strój, który żadną miarą nie może jej chronić przed zimnem Nowej Anglii. Ogarnęło ją po prostu zdziwienie. Usiadła, zsunęła nogi z łóżka i spytała dziewczynkę, kim jest i czy Catherine widziała, jak wchodzi do domu, a potem po schodach na piętro.

– Catherine nie wie, że przyszedłam – odparło dziecko.

– A maliny? Nie mieliśmy tu świeżych malin od wielu miesięcy.

Mała wyciągnęła miseczkę z owocami w kierunku Mary, jakby podawała jej komunię, a ta przyjęła jedną malinę niczym opłatek. Najpierw trzymała ją długo na języku, dopiero potem zgryzła. Smakowała wybornie, idealne połączenie słodczy i kwasoty.

– Ale kimże jesteś? – powtórzyła Mary. – Albo czym? Aniołem? Powiedz, proszę, że jesteś aniołem.

– Otrzymałam imię Desiree, ale wszyscy, którzy mnie znają, mówią Desire. Pragnienie.

– Wszyscy?

Dziewczynka uśmiechnęła się tak, jakby to jednowyrazowe pytanie było czymś absurdalnym, dziecinny.

– Wszyscy, którzy mnie znają.

– Jesteś moja?

Dziewczynka milczała, z jej spokoju nie dawało się nic wywnioskować.

– Czy ta cisza ma znaczyć, że nie jestem bezpłodna i jeszcze urodzę dziecko? – nalegała Mary.

Desiree uniosła palec wskazujący z opuszką poplamioną czerwonym sokiem. Potem przycisnęła go do czoła Mary i cofnęła się, by zobaczyć swe dzieło. Palec był ciepły, jego dotyk mocny.

– Już – powiedziało dziecko. – Oznaczyłam cię.

– Powiedz, proszę – błagała Mary. – Czy jesteś moim dzieckiem? Córeczką, o którą będę się modlić, dopóki...

– Dopóki co? Nie stracisz nadziei? Przystaniesz wierzyć?

Mary wyprostowała się defensywnie.

– Dopóki nie zrozumie, że wychowywanie dziecka nie należy do Bożego planu względem mnie.

Tym razem dziewczynka nie zareagowała, ponieważ już jej nie było. Zniknęła.

Rankiem, zapisując wszystko, co zdołała zapamiętać, Mary poczuła żal, że przeoczyła moment jej odejścia. Czy ta mała po prostu wyszła sobie z pokoju i zbiegła po schodach? A może wzniosła się ku niebu, żeby zasiąść przed – nie obok, co to, to nie – ich niebieskim Ojcem? Dopiero gdy skończyła notować, a Thomas poruszył się na swojej stronie łóżka, przyszło jej do głowy, by podejść do lustra i sprawdzić, czy na czole pozostał znak.

Nie było go. Nagle jej oczy wezbrały łzami i mimo całkowitej konfuzji męża zaczęła płakać.

„W przypadku wyroku skazującego nie oczekuj od tego sądu pobłażliwości”.

*Komentarz gubernatora Johna Endicotta, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 21

Po wyjściu Thomasa do młyna Catherine wyprała ubrania w wodzie zagotowanej w garncu nad ogniem, a potem rozwiesiła na sznurkach przed kominkiem, ponieważ na zewnątrz panowało zbyt wielkie zimno. Zacinał śnieg. Mary pomyślała, że szara połać nieba na zachodzie wskazuje, iż wkrótce rozpada się na całego. Być może zbliżała się pierwsza w tym roku zamieć. Gdy rano wybrały się ze służącą po kurze jajka i nakarmić inwentarz, zastały ziemię zamarznąłą, pod szronem. Wcześniej planowały ubić trochę masła na zewnątrz, co okazało się niemożliwe z powodu chłodu.

– Cieszę się, że Beth Howland traktowała cię dobrze – powiedziała Mary do Catherine, cerując dziurę w rękawie jednej z koszul Thomasa.

– Owszem, traktowała – przyznała dziewczyna.

– Nie tęsknisz za mieszkaniem u nich? Byłaś tam szczęśliwsza? – Mary nie planowała podnosić tego tematu, ale pytania wirowały w jej umyśle i wypowiedziała je bez zastanowienia.

– Mam nieliczne i skromne potrzeby. Byłam kontenta.

– A tutaj?

Catherine właśnie wieszała parę wełnianych pończoch Mary, obok jej halki.

– Mogę mówić szczerze?

– Oczywiście.

– Mąż pani jest lepszym człowiekiem, niż chce to pani przyznać. Lepszym i miłszym. Co do mnie, to akceptuję miejsce, jakie wyznaczył mi Bóg.

Mary nie podniosła oczu znad igły i nici.

– Uciekłaś, bo się mnie bałaś. Podejrzywałaś mnie o uprawianie czarów. A teraz?

– Przecież jestem tutaj, sam na sam z panią.

– A zatem nie sądzisz, że zostałam służebnicą Diabła.

– Może nie mam innego wyboru.

*Albo tak bardzo się cieszysz, że jest ci dane przebywać w obecności mojego męża,* pomyślała Mary, lecz zmilczała. Jej matka z pewnością zbeształaby tę dziewczynę za impertynencje. Mary nie była jednak swoją matką.

Po chwili ciszy, w której słyszały tylko trzask polan płonących w kominku oraz grzechot szyb uginających się pod podmuchami wiatru, Catherine rzuciła:

– Wolno o coś spytać?

– Tak, naturalnie.

– Skoro to nie pani zakopała ten tłuczek i diabelskie zębiska, kto to zrobił?

Mary westchnęła.

– To widelce, Catherine. Po prostu widelce. Nie bardziej diabelskie od tych używanych przez mojego ojca, gubernatora Endicotta czy całe rzesze ludzi w Niderlandach i we Francji. Nie zamierzam więcej umniejszać majestatu naszego Suwerena w Niebie, przypisując tym przedmiotom jakąś moc, poza zdolnością do przebijania mięsa albo ostryg prosto z morza.

– Gdy jednak oskarżyła mnie pani o umieszczenie ich w ziemi, bardzo się pani bała. Dobrze pamiętam. Oskarżyła mnie pani o nieczne zamiary albo o knucie z siłami mroku. Naprawdę się pani lękała.

Mary odłożyła rękaw. Czubek igły był bardzo ostry. Przypomniał jej się moment z wczoraj, z nożem, na podłodze.

– W takim razie dlaczego, na miłość boską, sądziłaś, że jestem wiedźmą? Skoro byłam tak przestraszona, czy to nie wskazywało, że...

– To było nocą, kiedy panią zastałam na gorącym uczynku. Wyglądało to na konspirację.

– Owszem – przyznała Mary. – Tu masz słuszość: kiedy odkryłam widelce, bardzo się przeraziłam.

– Jeśli można, powtórzę więc pytanie: skoro to nie pani zakopała tłuczek i diabelskie zębiska, kto to uczynił?

– Nie wiem.

Catherine zerknęła na tarkę, a potem skinęła głową, jakby coś nagle przyszło jej na myśl.

– I chyba właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, budzi we mnie lęk, gdy uświadamiam sobie, u kogo teraz mieszkam.

\* \* \*

Mary próbowała nie zastanawiać się przesadnie nad tym, co robi, czuła jednak podskórnice, że jest to chęć dzielenia bólu z Henrym Simmonsem, który sam przyjął go na siebie w jej imieniu. Wiedziała, że widok chłosty sprawi jej potworne cierpienie, rozjątrzy jej własną zgniliznę, spotęguje wyrzuty sumienia. Lecz przecież Thomas nie zabronił jej pójścia na rynek, aby

obserwowała wymierzanie kary. Pewnie nawet nie przyszło mu do głowy, że jego żona mogłaby to zrobić. Dlatego skończywszy cerować, Mary przypomniała Catherine, iż Thomas będzie chciał mięsa na kolację. Potem zadała służącej pytanie, na które odpowiedź znała:

– Mamy dość chleba?

– Nie, proszę pani. Upiec? Czy pójść do Obadiaha Wooda?

Mary pokręciła głową.

– Ja pójdę. Ty masz zbyt dużo roboty, a ja chętnie się wybiorę do piekarni.

Wood był stary i gadatliwy, i choć był dobrym chrześcijaninem, chętnie plotkował. Mary owinęła się dla ochrony przed śniegiem, założyła najsolidniejszą pelerynę z kapturem, ostrożnie naciągnęła rękawiczkę na lewą dłoń, potem – znacznie pewniej – na prawą. Wątpiła, żeby pogoda skłoniła woźnego do zmiany terminu wykonania sądowej kary. Zaczęła nawet myśleć, czy ziąb i śnieg nie podziałają korzystnie na plecy skazanego biedaka. Może znieczulą mu skórę i stłumią ból?

\* \* \*

Śnieg padał intensywniej, ulica robiła się coraz bardziej śliska. Dwukrotnie Mary nieomal upadła w drodze do śródmieścia, na oblodzonym bruku stopy sunęły we wszystkie strony jak zaczarowane, za każdym razem odzyskiwała jednak równowagę i przysięgała, że będzie szła wolniej. O ile się orientowała, nie było powodu do pośpiechu: albo chłosta została już zakończona, albo ją przesunięto na później. Minęła piekarnię. Zobaczyła przez okno, że Obadiah wciąż ma dużo chleba do sprzedania. Zdąży kupić, wracając do domu. Dźwięki świata stłumił padający puch, wszystko wydawało się jej piękne i spokojne, mimo że sama zmierzała w miejsce, w którym spokoju nie było.

Zbliżywszy się do placu, ujrzała w wirujących płatkach niewielki tłum złożony z dwudziestu kilku osób, zgromadzony pod wyniosłą platformą, gdzie ludzie pobożni karali wykolejeńców. Nikt jeszcze nie pokrzykiwał, co Mary przypisała raczej panującemu chłodowi niż powadze sytuacji. Często widywała przestępców chłostanych bądź stojących w słońcu, uwięzionych w dybach. Pamiętała też dzieci Howlandów, które minionej jesieni dokładały cierpień staremu kwakrowi, biczowanemu, prowadzonemu przez miasto. Teraz jednak nie słyszała ani trzasku pejcza rozrywającego ciało, ani pełnych bólu krzyków Henry’ego. Albo jeszcze nie zaczęto, albo już skończono, ponieważ z tak niewielkiej odległości nawet śnieg nie byłby w stanie stłumić odgłosów bicia.

Wątpiła, by wuj i ciotka Simmonsa pojawili się na placu – zresztą Mary nigdy by tu nie przyszła, gdyby istniało takie prawdopodobieństwo – albowiem z całą pewnością nie aprobowali jego czynu. Próba pocałowania zamężnej kobiety? Grzech niezwykle ciężki. Mimo wszystko nasunęła ciemny kaptur na włosy i opatulila szczelnie głowę, w razie gdyby napatoczył się ktoś znajomy wiedzący o jej domniemanych relacjach z tym młodym mężczyzną.

Już będąc pośród tłumu, Mary stwierdziła, że przyszła na miejsce dokładnie w chwili, w której rozpoczynało się wymierzanie kary – na swą dołę lub niedolę. Poczula zarówno strach, jak i wyrzuty sumienia wobec tego, co miała za chwilę zobaczyć. Nie było jednak wyboru – musiała tu być. Woźny sądowy skończył odczytywanie zarzutu: cudzołóstwo, a kapitan straży, którego Mary nie знаła – wysoki, o pięknie wyrzeźbionych kościach policzkowych nad jasną brodą – wziął bicz i go rozwinął. Piętnaście uderzeń, a potem przywiązanie do pręgierza aż do zachodu słońca.

Wtedy ukazał się on, bez koszuli, z głową i ramionami w dybach, zatrzaśniętych czarną kłódką, która blokowała drewniane sztaby przyprószone śniegiem niczym mąką. Palce miał zaciśnięte w pięści, we włosach sople lodu. Mary zabolalo w piersiach, odmówiła modlitwę pokutną za to, co uczyniła, prosząc o wybaczenie. Większość gapiów stała za Henrym, żeby widzieć jego plecy. Ona wybrała miejsce naprzeciwko niego. Spuścił głowę, choć nie umiała ocenić, czy z powodu wyczerpania, czy rezygnacji. Bo z całą pewnością nie ze skruchy. Henry Simmons był śmiertelnikiem jak każdy człowiek, narażonym na wstyd i hańbę, lecz nie z tego akurat powodu. Sam się zgłosił przed sąd, sam wybrał karę. Jego grzechy polegały na wyzwaniu i buncie, jego grzechy rodziły się z pychy i dumy. Mary nie sądziła, by się teraz bał – to raczej ona się lękała. Henry przyjmie razy, będzie go boleć – straszliwie – ale to minie. Domyślała się, że nie jest on osobą, która nie zniosłaby solidnej chłosty. Nie, głowę miał spuszczone zapewne ze zmęczenia, z pragnienia, aby już było po wszystkim, a może złościł go fakt, że obrabowano go z całego dnia. Z czasu.

Kapitan uniósł bicz i zadał pierwszy cios. Świst przeciął padający śnieg niczym rzadki, zimowy grzmot. Głowa Henry'ego odruchowo podskoczyła, oczy zrobiły się wielkie, ale przez otwarte usta nie dobył się nawet jęk. Mary się wzdrygnęła. I wtedy tłum wreszcie przemówił, wrzeszczał z pogardą przeciwko Henry'emu, unisono, w kakofonii pohukiwań, wycia i rechotu. Wyzywano go od grzeszników, nicponi i złodziei kobiet, a gdy drugi cios rozerwał jego ciało, Mary zdjęła z głowy kaptur i pozwoliła mu opaść na ramiona. Jeśli Henry ma znosić coś takiego dla jej dobra, ona powinna zaznaczyć swą obecność, a nie chować się jak szczur. Ich oczy się spotkały. Ilekroć bicz wbijał się w plecy młodego mężczyzny, jego ciało podrygiwało niby źle prowadzona marionetka. Mrugał, lecz po chwili wracał wzrokiem do Mary – zwięzając oczy, jakby czytał coś napisanego



drobnym drukiem przy biurku w składzie swego wuja Valentine'a. Mówiła sobie, że on widzi w jej spojrzeniu wdzięczność. Że cieszy się z jej przybycia.

Tymczasem w okolicach szóstego lub siódmego ciosu tłum znalazł sobie dziwne upodobanie w odliczaniu uderzeń i zaczął wspierać kapitana, jak w jakiejś odrażającej pijackiej zabawie, o których Mary słyszała, że odbywały się czasami w szynkach i gospodach.

Kiedy kapitan skończył, sięgnął po wiadro i nabrał z niego coś, co Mary przez króciutką chwilę wzięła za śnieg, zaraz jednak pojęła, że to sól. Cisnął nią na plecy Henry'ego, potem zwinął bicz, zszedł spod pręgierza i zaczął przepychać się przez tłum mężczyzn i kobiet. Mary skierowała wzrok z powrotem na Simmonsa. Bardzo nieznacznie kręcił głową. Mimo zimna twarz zalewał mu pot, a we włosach miał śnieg i lód. Zdała sobie sprawę, że choć jego początkowa reakcja na jej przybycie mogła wskazywać na wdzięczność, teraz jednak był mocno zaniepokojony i chciał, aby odeszła.

Przez chwilę się wahała, świadoma padających jej na twarz i kornet płatków śniegu. Czuła je na rzęsach i nosie. Nie wiedziała, co zrobić. On szarpnął głową w jej kierunku, w lewo – dla Mary w prawo. Odwróciła się tam, spodziewając się ujrzeć Beth Howland albo, Boże broń, swego męża. Lecz wśród stojących w pobliżu osób nie było nikogo znajomego. Henry wskazywał po prostu ulicę, nakłaniał Mary do odejścia.

Naciągnęła więc kaptur z powrotem i starła śnieg z twarzy. Gapie zaspokoili już ciekawość i zaczęli się rozpraszać. Obeszła pręgierz i dotarła do miejsca, gdzie krew spłynęła z pleców Henry'ego, gdzie wydarto mu mięśnie: ciało miał krwawiące, rozcięte, od łopatek po lędźwie. Mary zrobiło się niedobrze, bo wszystko to przypominało raczej fatalnie rozebrane poście tuszy niż ludzką skórę. Wzdłuż kręgosłupa spływały strużki krwi, barwiły materiał spodni opinających Simmonsa w pasie, śnieg na jego butach wyglądał, jakby skropiono go maderą. Oprócz długich, czarnych, krzyżujących się linii na plecach widać też było wybroczyny, jedną w kształcie gwiazdy. Mary uświadomiła sobie, że to otwarta rana.

Potarła oczy, które zaszyły łzami, ale nie z zimna. Płakała ze smutku i żalu. To ona ściągnęła tę karę na Henry'ego Simmonsa, to ona odziała go w tę potworną liberię, to ona przysporzyła mu tego rozpulchnionego obrzydlistwa.

Henry miał rację: musiała wziąć się w garść i odejść. Tak też uczyniła. Zaczęła się oddalać od pręgierza, przypominając sobie pretekst, pod jakim udała się do śródmieścia. Chleb. Obadiah. Łagodnie dotknęła gojącej się ręki, rozmyślając nad własną nędzą. Nad ludzką nędzą. Nad tym, że gniew znowu w niej wzbiera, znowu się w niej gotuje.

Nie będzie tego znosić. Nie będzie.

Teraz kupi chleb i wróci do domu. Przypomniała sobie pewną sztukę – bezbożną, owszem, ale której była mimo wszystko świadoma. Fragment dialogu unosił się w niej niczym ptak wysoko na niebie, odległy i rozmazany, jednak realny. Dotyczył walki o swoje. Myśl ta przypłynęła do Mary po tym, jak ujrzała pokiereszowane plecy Henry’ego, z powodu niesprawiedliwości, która była jej światem.

Nim skończy się zima – jeśli nie wcześniej – zdoła uzyskać to, co się jej należy.

\* \* \*

Wychodząc od piekarza, Mary wpadła na Rebekę Cooper. Dostrzegły się wzajemnie w tej samej chwili. Zaczyna mężatka prowadziła ze sobą dzieci. Mary przyjęła postawę obronną z powodu pieczonych jabłek z rodzynkami, ponieważ to Rebeka przygotowywała je razem z Peregrine. Lecz przyjaciółka – a przynajmniej kobieta, którą kiedyś za taką uważała – cała rozpląwała się w uśmiechach. Podbiegła do Mary, ciągnąc córkę za gorset i popędzając synka.

– Mary! – wykrzyknęła. – Słyszałam, że pojednałaś się z Thomasem.

– I to dla ciebie jest powód do radości, chociaż znasz moją przeszłość z tym człowiekiem i sposób, w jaki mnie traktował?

– Nie. Bo prostu cieszę się, że cię widzę. Tęskniłam, to wszystko.

Mary kiwnęła głową.

– Przepraszam. To było niegrzeczne.

Rebeka ujęła rękę Mary w obie dłonie i oznajmiła:

– To całkiem zrozumiałe. Nie chciałam umniejszać twojego rozczarowania wyrokiem sądu.

Współczuję ci. Powiedz: czy ręka się goi?

– Goi się. Już dobrze.

Córka Rebeki spojrzała na Mary z ciekawością, a tej przypomniała się dziewczynka ze snu.

– Wspaniale. Co za ulga. Wpadnę do was z wizytą. Mogę?

– Bardzo proszę.

– Czy tobie i twoim rodzicom smakował deser, który upiekliśmy z Peregrine? – Pani Cooper wskazała na dzieci. – To ulubione danie tej dwójki.

– A zrobiłaś je również dla swojej rodziny?

– Owszem. Dla rodziny Peregrine też. W tym roku mamy zatrzęsienie jabłek. Prawdziwe błogosławieństwo.

– Tak – zgodziła się Mary. – Błogosławieństwo.

Mówiła sobie, że wszelka nieufność, którą żywiła wobec tej kobiety, okazała się nieuzasadniona. Z pewnością. Być może Rebeka Cooper była jedyną prawdziwą przyjaciółką, jaka jej została na tym świecie.

\* \* \*

Ostatnim przystankiem Mary w drodze powrotnej był dom jej rodziców. Chciała zobaczyć, jak czuje się Hanna. Służąca wciąż słabowała, oblicze miała blade, ale była już na nogach, a nawet pomagała Abigail w obowiązkach.

– Sprawdzalam, czy ktoś nie podłożył nam pod progiem tych diabelskich zębisk – oznajmiła Hanna. – Ale ziemia jest zbyt twarda. Nie wydaje mi się, żeby to się stało.

– Nie – zgodziła się Mary. – Też w to wątpię.

\* \* \*

Burza trwała także nocą, ale nie zwiększyła intensywności. Nie była to zamieć z lodowatymi porywami wiatru, które potrząsałyby szybami w oknach i nawiewały śniegu do domu, na przemian podsycając i gasząc ogień w kominku, jakby ciągiem powietrza na jedno skinienie manipulowały płomieniami. Ale śnieg sypał niezmordowanie, w ciszy. Nad ranem nadmorskie miasto spowijało sześć do siedmiu cali ciężkiego białego puchu. Mary stała w sypialni przed oknem, opatulona kocem niby chustą, i wpatrywała się w milczący Boston. Wciąż się chmurzyło, lecz opady zelżały. Gałęzie drzew, które szczęśliwie pozbyły się liści kilka tygodni wcześniej, ugiwały się ku ziemi pod ciężarem wielkiego śnieżnego pledu, a smukły iglak na pobliskiej ulicy sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz pęknąć na pół.

Jednakże śniegu nie napadało na tyle, żeby sparaliżować miasto. Niedługo wyjadą sanie, pojawią się mężczyźni z łopatami. Każdy koń da sobie radę z siedmiocalową warstwą, więc Thomas pójdzie do młyna i tego samego będzie oczekiwał od swoich ludzi.

Jej mąż ciągle spał w łóżku, sapiąc raczej, niż chrapiąc. Mary spojrzała na niego i westchnęła. Nie znajdowała w tym człowieku niczego, co nie budziłoby w niej wstrętu. Odpychała ją nawet jego broda, teraz zmierzwiona od poduszki. Lewą dłoń trzymał przy twarzy, palce miał rozcapierzone na kształt pająka. Zastanawiała się, co by poczuł, gdyby ocknął się teraz z widelcem wbitym w rękę. Albo gdyby ktoś wylał na niego gorący sos do sałaty.

Gdzieś w innej części miasta budził się Henry Simmons. Oczami wyobraźni Mary zobaczyła, jak przerzuca nogi przez krawędź materaca, krzywiąc się z bólu promieniującego z całej powierzchni pleców. Czy Hillowie się nim zaopiekowali? Czy sprowadzili lekarza? Może zdaniem ciotki i wuja Henry powinien trwać w dolegliwościach, w ramach kary, aż skóra sama się wygoi.

Usłyszała kręcącą się na dole Catherine. Wiedziała, że powinna dołączyć do służki, ogrzać dom, nakarmić inwentarz, przygotować śniadanie. Ale ciągle myślała o widelcach, o tłuczku i znów o plecach Henry'ego Simmonsa. Wszystko to jakoś się wiązało. Cały świat oplatały wzajemne powiązania. Mary wróciła myślami do tamtych dwóch dni spędzonych w sądzie w ratuszu, do tego, co mówili o niej ludzie. To również miało związek. I wtedy zaczął w jej głowie kiełkować pewien pomysł. Najpierw jako mglista, pozbawiona konkretów idea, która jednak szybko nabierała kształtów, stawała się wyraźniejsza, jak morski brzeg widziany ze statku, gdy ten się doń zbliża.

Muszę się wybrać na Przesmyk, myślała Mary, na uliczkę w pobliżu Szubienicznej Góry, i odwiedzić Constance Winston. Kobieta nie ma powodu jej wybaczyć, ale od ich ostatniego spotkania jest jasne, że Constance nie żywi aż tak wielkiej urazy, by chciała się Mary wystrzegać. Z pewnością rozumiała, dlaczego młoda pani Deerfield trzyma się na dystans. Wprawdzie Winston nigdy oficjalnie nie oskarżono o czary, nawet w trakcie procesu Ann Hibbens, jednak po mieście krążyły pogłoski, iż posiada wielką, szczegółową wiedzę na temat czarnej magii.

Gdy się niedawno widziały, Constance potraktowała Mary całkiem miło.

Pani Deerfield uznała, że musi z nią porozmawiać, mimo że plotki o czarnoksięstwie otaczały tę kobietę niczym martwe liście wirujące na wrześnieowym wietrze. Jeśli bowiem istnieje ktoś, kto mógł coś wiedzieć o sprawcy zakopania dwóch widelców i tłuczka na podwórzu pod domem, to chyba tylko Winston. Jedynie ta niezależna kobieta o buntowniczej duszy będzie w stanie pomóc jej się uniezależnić – ostrożnie i w absolutnym ukryciu.

Jeszcze dziś, gdy tylko wypełnią z Catherine wszystkie swoje obowiązki i wyprawią Thomasa do młyna, Mary powędruje nad Przesmyk.

„Poczułam coś w kieszeni, a kiedy wsadziłam tam palce, odkryłam te diabelskie zębiska”.

*Zeznanie Catherine Stileman, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 22

Mary liczyła, że zastanie Constance samą, gdy jednak ta otworzyła drzwi, okazało się, iż w domu znajduje się jakaś młoda kobieta, która pomaga przygotować obiad. Na rożnie piekł się kurczak, nad ogniem w kominku wrzał kabaczek. Mary pamiętała, że dom odznaczał się skromnością stosowną dla budynku usytuowanego tak daleko od centrum, na Przesmyku: ściany nie miały ozdób, a na piętro można było się dostać tylko po drabinie, która sprawiała wrażenie dość chwiejnej.

Constance miała na sobie pelerynę barwy królewskiego szkarłatu. Właśnie zamierzała wyjść, więc Mary zaproponowała, że przyjdzie innego dnia.

Jednak Winston pokręciła głową i rzekła:

– Wiem, gdzie mieszkasz, Mary. Idę w tamtym kierunku. Możemy się przespacerować razem, jeśli nie przeszkadza ci pokazywanie się ze mną publicznie.

– Oczywiście, że nie.

Kobieta uśmiechnęła się zagadkowo.

– Niektórym przeszkadza. Pochlebia mi, że zmieniłaś zdanie. Rozumiem tych, którzy wolą konwersować ze mną w odosobnieniu moich – tu machnęła ręką w stronę niewielkiego zadymionego pomieszczenia – włości.

– Szukałam cię. I nie wstydzę się z tobą pokazać.

– To dobrze. Dzielną z siebie mężatka. Przynajmniej dzisiaj.

– Constance, ja...

– Albo szalona. Lub zdesperowana – przerwała Winston.

Potem oznajmiła służącej, że wybiera się do stolarza i niedługo wróci, a wtedy znów będą razem prząść.

Mary miała na nogach rakiety śnieżne i spodziewała się, że Constance również takie włoży, lecz ona wybrała solidne futrzane buty, jakie widuje się u traperów, tyle że bardziej kobiece i delikatniejsze – niewątpliwie kosztowny nabytek sprowadzony z Londynu.

– Pedał krosna się zepsuł – oznajmiła Constance bezceremonialnie, gdy tylko ruszyły.

– Jestem wdzięczna, że mogłam się znaleźć w twoim towarzystwie. Wiedz bowiem, że... – Tu głos zawiódł Mary. Tym razem Winston czekała. – Nie zamierzałam cię wykreślać ze swojego życia.

Kobieta zmrużyła oczy i uśmiechnęła się w sposób, którego Mary nie potrafiła rozszyfrować. Constance jakby czytała jej w myślach.

– Wolałabym, jeśli mam mówić otwarcie, żebyś wyrwała mnie ze swojego życia jak chwast, dlatego że moje ziółka cię nie uleczyły, niż dlatego, że drżysz przed ludzką obmową. Wielu rzeczy na tym świecie powinniśmy się bać, ale klękać przed najpośledniejszymi z umysłów? To niegodne rozumu tak bystrego jak ten, który podarował ci Pan Bóg. Świadczy o tchórzostwie nieprzystającym kobiecie na tyle odważnej, by podjąć próbę rozwiedzenia się z potworem, który rości sobie pretensje do władzy nad każdym jej oddechem. Przykro mi, że twoje wysiłki wyrwania się z łap tego monstrum spełzły na niczym.

Mary kiwnęła głową. Nie miała nic na swoją obronę. Była zaskoczona, choć tylko trochę, że Constance znała już wyrok sądu miejskiego.

– Tak – ciągnęła kobieta. – Twoja historia kursuje niczym szkuner na mocnym wietrze. Ale ja przyklaskuję twojej inicjatywie. Szkoda, że ci mężczyźni w czarnych togach nie dorośli do majestatu swego odzienia. Bojaźliwe stworzenia, oto czym są.

Constance kroczyła teraz szybko, zwolniła jednak, widząc, że Mary z trudem dotrzymuje jej tempa.

– Co słyszałaś?

– O które konkretnie kalumnie ci chodzi? To, że jesteś cudzołożnicą, czy to, że jesteś wiedźmą? Domniemywam, że raczej o to drugie. Ludzie nie przychodzą do mnie w sprawach łózkowych. Nikt nie sądzi, by stara kobieta znała się na namiętnościach.

– Nie jesteś stara.

– Wiem, jaka jestem.

Minęły garncarza, którego piec mieścił się w budzie tak nędznej, że widać go było pracującego za kołem.

– Nie jestem cudzołożnicą – powiedziała Mary bez przekonania.

– A ja nie jestem urzędniczką parafialną ani sędzią. Nie dbam o to.

– Zapewniam cię jednak: nie dlatego wybrałam się na Przesmyk.

– Jak mówiłam, nikt nie szuka tego rodzaju porad u starej kobiety.

– Ale znałaś Ann Hibbens? – spytała Mary.

– Tak. Jak większość ludzi w Bostonie.

– Nie wierzę, aby była wiedźmą.

– Dlaczego?

– Należała do kobiet dobrze urodzonych o wysokiej pozycji społecznej.

– Sądzę, że Diabłu bez różnicy, gdzie szuka sobie uczniów i akolitów.

Mary spodziewała się, że Constance stanie w obronie Hibbens. Zresztą nikt wśród znajomych samej pani Deerfield też nie uważał tamtej kobiety za czarownicę.

– Przyjaźniłaś się z Ann? Tak naprawdę?

– Naprawdę.

– Była opętana?

– Nie.

– Ale została ekskomunikowana przez Kościół.

– Lata temu. Byłaś jeszcze dzieckiem. Twoja rodzina wciąż mieszkała w Anglii, nie tutaj. Ann szesnaście lat przeżyła w oddzieleniu od Kościoła.

– Dlaczego ją wykluczono?

– Ekskomunikuje się ludzi z wielu powodów. Na przykład Edmunda i Esther Hawke'ów. Oni po prostu woleli mieszkać w puszczy niż w ramach rzekomo cywilizowanej wspólnoty Pierwszego Kościoła.

– A Ann Hibbens?

– Była trudna i obstawała przy swoim, wyklócała się ze stolarzami, którzy kazali jej zbyt słono płacić za jakieś partactwo. Pewnie powieszono by ją wtedy, ale jej mąż wciąż jeszcze żył.

– A zatem stracono ją niewinnie?

– Została skazana na śmierć, ponieważ miała ostrzejszy język i bystrzejszy umysł od swoich oskarżycieli. Zawsze tak jest, gdy mężczyźni wieszają kobiety. Popatrz na sędziego Caleba Adamsa: nic nie przeraża go bardziej niż niewiasta, która nie czuje się szczęśliwa pod butem męża.

– Bóg ma swój plan – odrzekła Mary, nie wkładając w tę wypowiedź serca.

– Owszem. A zgodnie z owym planem żona jest połowicą męża, nie jego niewolnicą. To różnica. Kobieta też ma rozum, co w naszych szanownych sędziach budzi niekłamany strach.

– Czasami mój mąż podkreśla, że zamiast mózgu mam nabiał. Może więc powinnam czerpać pociechę z faktu, że choć czekają mnie jeszcze przeróżne obelgi, to jednak nie sznur wisielczy – otworzyła się Mary.

– Mężczyźni nazywają inteligentne kobiety tępyimi, ilekroć czują się zagrożeni. Dlatego nie przywiązuj znaczenia do epitetów, którymi może cię obrzucić każdy z nich. To żadna gwarancja bezpieczeństwa.

Mary kiwnęła głową. Właśnie to podejrzewała, bo choć Thomas często ją spotwarzał, oskarżając o tępotę, lubił też podkreślać, że ma żonę zbyt bystrą – na jej własną zgubę.

– Poza tym... – Mary urwała, niepewna, jak ująć w słowa kolejną kwestię.



Zobaczyła parę wiewiórek wspinających się po pniu dębu na podwórku jakiegoś domu, którego nie zabezpieczono przed zimą.

– Mów wprost. Pytaj, o co zechcesz. Usłyszają nas tylko te wiewiórki. Widać, że to ważna sprawa dla ciebie.

– Tak. Powiedz mi, proszę: używasz widelca przy jedzeniu?

Winston się zatrzymała. Mimo że miała krzywe, pożółkłe zęby, jej uśmiech był czarujący.

– A zatem chodzi o diabelskie zębiska.

– Tak.

– Nie używam – odparła Constance i znów ruszyła. – Zawsze wystarczały mi łyżka i nóż.

– Boisz się widelców?

– Nie.

– Ktoś zakopał dwa takie przed wejściem do mojego domu. Po co to zrobił? Słyszałaś o takiej klątwie?

– Klątwie związanej z widelcem?

– Tak.

Constance milczała, zamyślona.

– Niekoniecznie z widelcem. Ale z czymś *rozwidlonym* – odrzekła wreszcie.

– Mów dalej.

– Szekspir wspominał o pewnej miksturze.

– Po wyjeździe z Anglii nie czytywałam Szekspira – powiedziała Mary ostrożnie. – Aczkolwiek niedawno przypomniała mi się jedna z jego sztuk.

– W *Makbecie* opisuje wiedźmy, które do warzenia swojego eliksiru korzystają z rozwidlonego języka żmii.

– Jest różnica między rozwidlonym językiem a widelcem.

– Zgadza się. Ale założmy, że wiedźma nie jest w stanie zdobyć węża i co za tym idzie, jego języka. Może uznać widelec za całkiem przydatny.

– Był też tłuczek – dorzuciła Mary i wyjęła go z kieszeni. – Zwróć uwagę na to, co wryto na uchwycie. Trójząb.

– To miałyby sens. Powiem ci, co słyszałam. Zważ jednak, że to wyłącznie pogłoski, ponieważ rzecz jasna nie jestem czarownicą – oznajmiła Constance, przyglądając się uważnie przedmiotowi.

– Nie jesteś – przyznała Mary, rozumiała bowiem, że to należało powiedzieć.

– Ten tłuczek to raczej metafora niż element zaklęcia. Podobnie jak diabelskie zębiska. Ktokolwiek chciał rzucić urok, wykorzystał te rzeczy zamiast rozwidlonego języka żmii,

odpowiednio zasuszonego i rozgniecionego w mózdzierzu.

– To skuteczne? Diabeł by zareagował? Przecież to nawet nie przypomina prawdziwej mikstury.

– Oczywiście, że nie – tłumaczyła Constance cierpliwie. – A jednak jest to ofiara. Diabła mniej interesują konkretne składniki eliksiru, bardziej pozyskanie dla siebie duszy. A przynajmniej tak głoszą niektóre osoby, w tym mężczyźni z kazalnicy.

Mimo śniegu ulice zaczynały się wypełniać pieszymi. Wyszyły już z Przesmyku i zbliżały się do gęściej zaludnionej części miasta.

Mary zapytała ściszym głosem:

– O co zabiegała osoba, która zakopała widelce i tłuczek? O co prosiła Szatana?

– Składając tę ofiarę?

– Tak.

Constance wskazała nisko posadowiony dom ze szczelinami zamiast okien i z kamiennym kominem, który wypuszczał czarny dym.

– Jesteśmy na miejscu – poinformowała, po czym zwróciła tłuczek Mary.

– Stolarz?

Winston kiwnęła głową.

– Mam nadzieję, że wykonał to, co miał zlecone, i będę mogła wrócić do przedzenia ze swoją służką.

– Nie odpowiedziałś mi – rzuciła Mary. – Jaki byłby cel takiej klątwy, w której użyto odpowiednio rozbitego albo startego języka żmii? Muszę to wiedzieć, aby ustalić, kto podrzucił widelce. Koniecznie muszę.

– Mąż dźgnął cię widelcem, prawda?

– Tak. Jednym z tych, które wykopałam spod drzwi.

– Szekspira pewnie nie ma w twojej biblioteczce, ale przecież jesteś dobrą chrześcijanką i przypuszczam, że znasz Biblię.

– Dokładam starań.

– Sprawdzałaś w niej?

Mary poczuła kłujące wyrzuty sumienia. Pokręciła głową.

– Szkoda – powiedziała Constance, po czym cicho cmoknęła.

– Powinnaś szukać tam słowa „widelec”?

– Możesz przeczytać Stary i Nowy Testament od deski do deski, a znajdziesz ów wyraz tylko raz. Najwyżej dwa razy. W kontekście, który w żaden sposób ci nie pomoże.

– Ty dobrze znasz tę księgę.

- Na jej studiowanie miałam znacznie więcej lat od ciebie.
  - Skoro nie widelec, to co? – spytała Mary, lecz właściwie już знаła odpowiedź. – Wąż – rzuciła, nim Winston zdążyła zareagować.
  - Brawo. Twój mąż się myli: umysł masz lotny i bystry.
  - Cieszę się, że tak uważasz.
  - Tak, słowo „wąż” będzie tu bardziej stosowne od „widelca”. Sprawa jest prosta: podejmujesz grę, która nie doprowadzi cię do niczego, jeśli będziesz widzieć tylko diabelskie zębiska.
  - To były widelce – oznajmiła Mary stanowczo, przypomniawszy sobie obietnicę, że w ten sposób będzie nazywać owe sztucce.
  - Zgadza się. Lecz jeśli to tylko składnik zaklęcia, użyty w zastępstwie żmijowego języka? To nawet bardziej sycąca strawa. Co jeszcze? Niewykluczone, że osoba naprawdę opętana posadziła go w ziemi twojego ogródka niczym ziarno, aby wzrastało.
  - Spotkamy się znowu, Constance?
- Winston zadrżała Mary głęboko w oczy.
- Możemy. Jestem wdzięczna, że postanowiłaś odnowić naszą znajomość, choćby tylko ze względu na chęć zadania mi pytań. Lubię cię i szanuję, Mary. Zawsze chętnie się z tobą spotkam. Dotąd byłaś ostrożna, bądź taka nadal.
  - Ponieważ?
  - Ponieważ nienawiść, jaka ogarnęła Hartford, może wkrótce zawitać do nas, a wówczas utrzymywanie ze mną kontaktów towarzyskich stanie się szczególnie niebezpieczne. Chyba że ktoś chce opuścić Boston przez powieszenie. Już słyhać obmowy i kalumnie dotyczące twojej osoby, powinnaś uważać.
  - Kiedyś bałam się o wiele bardziej, różnych rzeczy. Po tym, co przeżyłam tej jesieni, lękam się znacznie mniej. A największy z tych strachów, przynajmniej w tej chwili, to perspektywa życia u boku człowieka, którego słusznie nazwałam monstrum. I wiesz co, Constance?
  - Mów.
  - Przyjdzie dzień, kiedy opór nie będzie oznaczał zapiekłości, lecz posługiwanie się zdrowym rozsądkiem.
  - Nawet gdyby miał cię doprowadzić na stryczek?
  - Zamierzam postępować ostrożnie.
  - Stałaś się odważną dziewczyną. Mniej potulną, niż się wydajesz na pierwszy rzut oka, z powodu zasłony okrywającej twoje oblicze. Pochwalam to.
  - Dziękuję.

Constance poklepała Mary po ramieniu, uśmiechnęła się i weszła do chaty stolarza.

\* \* \*

„Kto we Mnie wierzy”, myślała Mary, wracając do śródmieścia.

„Kto we Mnie wierzy”...

Ewangelia Jana, rozdział jedenasty, wers dwudziesty szósty: „Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki”. Słowa wypowiedziane przez Jezusa do Marty.

Ci, którzy wątpią, są potępieni. Słusznie. Podobnie jak ci, którzy wierzą, ale trzymają stronę Lucyfera.

Mary nie do końca wiedziała, w co wierzy jej mąż i jak mocno. Jak mógł traktować ją w ten sposób, jeśli chciał naśladować swego Pana i Zbawcę z całego serca swego i z całej swojej duszy? Czyżby szczerze zakładał, że stosowanie przemocy wobec żony to dla niej lek? Przecież chodził do kościoła, czytywał Psalterz, modlił się przed posiłkami. Ilu innych wiernych żyło w podobnej hipokryzji? Udając, że ich przyszłość jest wśród wybranych, podczas gdy w rzeczywistości już zostali potępieni?

Być może Thomas naprawdę wierzył, jak sugerował owej nocy po odrzuceniu przez sąd pozwu rozwodowego, że to Mary zakopała widelce i tłuczek pod domem. Może jego zdaniem – oraz zdaniem jej rodziców – w ten sposób chronił żonę?

Lecz równie prawdopodobne zdawało się wyjaśnienie, iż uzasadniał tak własne kalumnie i kłamstwa.

Tak czy owak, nie miało to większego znaczenia. Ponieważ któregoś dnia on po prostu Mary zabije.

Po wejściu do domu zdjęła rakiety śnieżne. Catherine spytała swą panią, dokąd się wybrała – przez zwykłą ciekawość. Mary odparła, że do mosiężnika, który jednak nie miał dziś w sprzedaży chochel, więc będą musiały się zadowolić tą, którą posiadają.

– Ale ona jest w dobrym stanie – stwierdziła Catherine.

– To świetnie. Wydawało mi się, że widać na niej ząb czasu. Cieszę się, że byłam w błędzie.

\* \* \*

Nocą czytała Biblię, aż cała świeca się spaliła, a wyrazy zaczęły zacierać. Sunęła palcem strona po stronie, szukając jednego słowa oraz kontekstu, który mógłby stanowić wyraźny komunikat dla

osoby z duszą oddaną Diabłu: „wąż”. Chwilami zupełnie nie rozumiała zdań ani treści przeglądanych rozdziałów, musiała kartkować stronice i wracać do czytanych wcześniej passusów.

Rankiem przy śniadaniu zarówno Catherine, jak i Thomas, zauważywszy zaangażowanie Mary, wyrazili swoją aprobatę.

Stary Testament jest zbyt obszerny, pomyślała, a Nowy – pełen przypowieści i prorocत्व. Zadanie wydawało się ponad siły: odnaleźć jedno słowo w określonym kontekście, który pomógłby rozwiązać zagadkę. Jak? Do tego trzeba by najbystrzejszych umysłów w kolonii.

Mimo wszystko Mary poprzysięgła sobie, że się nie podda.

\* \* \*

Nawet teraz, Thomas niekiedy potrafił ją skonfundować.

Leżeli w łóżku, zgasiwszy świece. W pokoju panował mrok. Minęło już trochę czasu i Mary uznała, że jej mąż zasnął, choć nieco dziwił ją brak chrapania. Nagle się odezwał.

– Mary – mruknął, kładąc się na plecach. – Pewna rzecz mnie frasuje.

Ton głosu miał melancholijny, nie rozgniewany. Nie mogło chodzić o coś, co zrobiła albo czego nie zrobiła.

– Powiedz, proszę.

– Jonathan Cooke – rzucił.

Mary natychmiast wpadła w popłoch. Może jej się tylko wydawało, a on jednak wyczuł – albo widział – jak ona spoglądała na tego mężczyznę, z rozwiązłością w oczach.

– Tak?

– Poprosił mnie o pieniądze. Nie pierwszy raz, za to z wyjątkową desperacją. Przyszedł do młyna, z kapeluszem w ręku, ale postawę miał groźną.

– Groźną?

Mary nie wiedziała, że Jonathan i Peregrine są w tarapatach finansowych ani że człowiek ten już wcześniej chciał pożyczać od jej męża. Przypomniały jej się słowa rejenta, wyszeptane podczas składania zeznań przez jej zięcia: to hazardzista i karciarz.

– Roszczeniową. Był zły, że jak dotąd nie otworzyłem przed nim portfela.

– Wyłożyłeś szczodre wiano na Peregrine.

– Dawno zniknęło.

– Jonathan przeznaczył te pieniądze na budowę domu? – spytała.

Nie powiedziała Thomasowi, co domniemywał Benjamin Hull, ponieważ nie chciała podnosić tematu rozprawy rozwodowej ani sugerować, że coś zataiła przed mężem.

– Raczej wydał na gry hazardowe z marynarzami.

Mary usłyszała jakieś zwierzę czmychające korytarzem, zapewne mysz.

– Naprawdę? – Miała nadzieję, że sprawia wrażenie zaskoczonej.

– Znalazł się w sytuacji katastrofalnej, tak sądzi. Dwoje dzieci, trzecie w drodze. Członkowie jego dalszej rodziny nie dysponują środkami, żeby mu pomóc.

– O jaką sumę prosił? – zainteresowała się Mary, autentycznie zdumiona. Nie wyobrażała sobie, że jest aż tak źle.

– Nie podał konkretnej kwoty. Dał do zrozumienia, że bez mojej pomocy córkę i wnuki czeka straszna zima. Nędzna przyszłość.

– Czy odtąd będzie unikał pokus, jakie czekają w porcie?

– A ty?

– Ja? – szepnęła.

Rewelacje o poważnych problemach Jonathana z hazardem w połączeniu z myślą, że Thomas podejrzewa ją o podglądanie marynarzy, wzbudziły w Mary strach.

– Mary, wiem, że wykazujesz wielkie zainteresowanie bogactwem, które przyływa do nas codziennie. Nie widzę jednak nic grzesznego w oglądaniu tkanin czy mebli, które sprowadza twój ojciec – powiedział Thomas.

Poczuła ulgę. Nie chodziło więc o marynarzy, tylko o towary, które przywozili.

– Co zrobisz? – spytała.

Zakładała, że jako stolarz Jonathan zarabia całkiem nieźle, lecz przecież nie miała o ekonomii pojęcia.

– Trochę mu pomogę, oczywiście. Zapewnię mąkę i otręby.

– Nie wyobrażam sobie, by ta rodzina trafiła do przytułku dla ubogich albo znalazła się pod opieką rady miasta.

– Albo wyjechała z Bostonu, żeby się osiedlić gdzieś indziej. Zgoda. Myślę, że problem nie tkwi w groźących im nędzy i głodzie, lecz raczej w wybujałych ambicjach tego mężczyzny, wychodzących poza plan, który ma dla niego Bóg. Jonathan pragnie...

Czekała.

Wreszcie Thomas podjął, nieomal chichocząc:

– On pragnie świata, który widział w składach twojego ojca, towarów, jakie tam przybywają i stamtąd wybywają. Rzecz nie w tym, że on i moja córka zasilą szeregi miejskiej biedoty, ale w tym,

że nigdy nie znajdą się wśród miejskich bogaczy.

– To wielka hojność z twojej strony, że chcesz zaopatrzyć ich spiżarnię na zimę.

– Nie. Po prostu nie wyobrażam sobie, aby moja córka i wnuki chodziły głodne – odparł Thomas. – To by niedobrze o mnie świadczyło. – Potem przewrócił się na bok i mruknął, starając się zabrzmieć dowcipnie, choć ona usłyszała coś złowieszczonego i niepokojącego: – Wygląda na to, że Jonathan powinien być poślubić ciebie, Mary, a nie moją córkę. On pragnie być członkiem twojej rodziny, nie mojej.

„Było wielkości monety. Szylinga. Tylko że to nie był szyling. Wykonano to z drewna, na którym ktoś wyrył pięcioramienną gwiazdę, znak Szatana”.

*Zeznanie Catherine Stileman, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*



## Rozdział 23

W niedzielę przed obiadem Mary Deerfield siedziała z matką w ławce w Pierwszym Kościele, modliła się do swego Dobroczyńcy i słuchała wszystkiego, co mówił pastor Norton znad narożnej, wysokiej kazalnicy. Wiedziała, że w budynku obecni są Thomas i Henry Simmons, ale nie miała pojęcia, czy mąż wie o sąsiedztwie tego drugiego. Henry siedział w przedostatnim rzędzie, Thomas natomiast – jak zawsze – pośród najzamożniejszych mężczyzn w mieście. Jeśli Henry wciąż odczuwał dolegliwości po batożeniu, to ich nie okazywał. Mimo pokusy Mary zachowywała ostrożność i nie odwracała głowy do tyłu. Wędrowała myślami, zastanawiając się od czasu do czasu, czy on na nią patrzy.

Złapała się też na tym, że duma o Jonathanie Cooke'u i że ma teraz o nim gorsze zdanie. Cóż za dwulicową parę tworzyli z Peregrine. On uprawiał hazard, tracił cały majątek i wpędzał rodzinę w biedę, aż w końcu był zmuszony prosić teścia o pomoc finansową. Ona prawdopodobnie posypała trutką pieczone jabłka, aby sprowadzić chorobę na własną macochę, lub ją zabić, nawet gdyby miało to zaszkodzić innym ludziom.

Dziś John Norton wygłaszał kazanie, opierając się na Księdze Powtórzonego Prawa. Mary starała się koncentrować na wszystkim, z czym musiał się borykać Mojżesz. Gdy pastor dotarł do trzydziestego trzeciego wersetu trzydziestego drugiego rozdziału, pani Deerfield cicho westchnęła, lecz z taką boleścią, że zarówno matka, jak i Catherine na nią spojrzały.

– „Ich wino *jest*... – Duchowny wymówił czasownik z naciskiem. Został on również podkreślony w sfatygowanym egzemplarzu Biblii, którą Mary trzymała na kolanach. Zerknęła na stronicę. – ... jadem smoków, gwałtowną trucizną żmijową”.

Znów odruchowo wciągnęła powietrze, zdumiona, ponieważ był to znak, najwyraźniejszy ze wszystkich, które przekazywał jej Pan Bóg. Musiał przemawiać do Mary jej zmartwychwstały Zbawiciel, to nie ulegało wątpliwości – przecież nie Szatan. Nie tutaj. Nie teraz. Nie w tym miejscu, w kościele, w ławce. Kiwnęła głową Priscilli i Catherine, że czuje się dobrze i nie powinny się o nią obawiać. Spojrzała w dół, na słowo: „żmijową”. No właśnie. Jest. Wąż. Żmija. Żmijowy.

Trucizna smoków, jad żmijowy.

Żaden widelec. Ani rozwidlony język.

Mary przypomniał się spacer z Constance. Czy możliwe, że ten, kto zakopał widelce i tłuczek, miał nadzieję zatruć właścicielkę domu, rzucić na nią klątwę bardziej jadowitą niż skażony deser od Peregrine? Klątwę, która żądała bezpośredniego zaangażowania samego Lucyfera? A może to również była sprawka Peregrine, a po jabłka sięgnęła ona później, dopiero kiedy Mary odnalazła widelce?

– „Upoję krwią moje strzały” – ciągnął Norton, podnosząc głos, kiedy cytował słowa Pana.

Przemawiał z pasją, tak żarliwie, że wszystkim w świątyni się zdawało, że jest lipiec, znajdują się na zewnątrz i padają na nich gorące promienie słońca. Nagle pastor obiema rękami walnął w pulpit. Natychmiast zapadła cisza. Na tyłach kościoła zapłakała jakaś kobieta. Mary rozumiała tę boleść: świadomość poważnego grzechu, który tkwi w sercu, tego, że zawiodło się Pana, cierpienie wywołane samym myśleniem o oczekującym człowieka ogniu piekielnym. Znaleźć się wśród potępionych, a nie wśród wybranych? Nie ma i nie może być nic gorszego.

A jednak ludzie codzienne zawierali pakt z Diabłem. Uwodził ich delikatnie, wciągał w wir, od którego ktoś raz znęcony nie miał ucieczki.

– Pamiętajcie – podjął kazanie Norton. – Tak mówi Pan. Są między nami obecni ci, nasze siostry, naci bracia, nasze dzieci, którzy już zostali potępieni. Słusznie potępieni. Sprawiedliwie. Och, pochlebiają sobie: to nie mnie czekają owe płomienie. Przecież jestem tutaj, w kościele. Znam dziesięcioro przykazań, czytam Psalterz. Lecz Bóg jest świadom ich niegodziwości. Ludzie, którzy idą za ciemnością, staną się przedmiotem gniewu, którego żaden śmiertelny umysł nie potrafi sobie wyobrazić. Zobaczą swoją własną spaloną skórę schodzącą z ramion, swoje własne poczerniałe kości, będą patrzeć, jak ogień zmienia ich nogi w zwęglone polana, a stopy – w popiół. Będą to widzieć i czuć codziennie, przez wieczność. Każdego dnia. W każdej minucie i w każdej godzinie. Powieki im spłoną, więc ich nie zamkną na własną deformację, na męki i wstyd. Tak, wstyd. Wstyd grzesznika, najgorszy ze wszystkich. Już zawsze żyć będą w smrodzie spalonych włosów i ciała, z płomieniami liżącymi skórę, których nie zagaszają ich własny pot czy płyny ciała, a nawet ocean, równie szeroki jak ten, który oddziela nas od dawnego świata. Nawet ich oczy nigdy się nie stopią: ani na początku, ani jako ostatnie, nigdy. Zawsze więc będą oni widzieć to, co Szatan może z nimi zrobić i co zrobi. Ich krzyki przerodzą się we wrzaski, od których nawet pioruny struchleją.

– Lecz potępienie nie dotyczy wyłącznie owych osób. To będzie również nasze potępienie, jeśli nie zaczniemy z większym zapalem żyć tak, jak tego chce od nas Bóg. Jego gniew jest zasadny i to właśnie budzi w Nim irytację, ponieważ wszystkim, czego On od nas żąda, jest słuchanie Jego słów i kochanie Go tak, jak powinniśmy: bez odrzucania tego wspaniałego daru, jaki nam zaoferował.

Życia. Tak, życia tutaj. Dał nam nowy świat, szansę na zbudowanie nowej Anglii. Ale nie miejmy złudzeń: Jego cierpliwość wobec nas wkrótce się wyczerpie. Bo przecież Pan nie dał nam tej nowej ziemi, abyśmy służyli Szatanowi. Bóg nie będzie tolerował zatrucia, którego dopuściliśmy się w ogrodzie Eden, w Izraelu, we Francji i w Anglii, i wszędzie tam, gdzie człowiek postawił stopę, wszędzie tam, gdzie człowiek Go zawiódł – mówił Norton, a umysł Mary, niczym wąż, owinął się wokół słowa „zatrucie”. Kolejny znak.

Gdyby nawet przeczytała Biblię tak uważnie i skrupulatnie jak John Norton, nie znalazłaby wersetu trafniejszego, lepiej wyjaśniającego to, co się stało na podwórku przed jej domem.

Mary nie potrafiła rzucać klątw jak wiedźma, lecz może sztuka aptekarska leżała w jej zasięgu? Czy dałaby radę uwarzyć eliksir? Przygotować truciznę?

Skoro Peregrine to potrafiła, to ona też.

Na pewno.

Próbowała odsunąć od siebie tę myśl, przynajmniej chwilowo, bo przecież znajdowała się w domu Pańskim, lecz okazała się ona niczym wielki głaz wbity w nurt rzeki. Woda musiałaby całymi wiekami nacierać, by ruszyć go choćby o cal.

Pani Deerfield zerknęła na męża po drugiej stronie kościoła. Głowę miał spuszczoną, zauważyła jednak, że nie w modlitwie lub zasłuchaniu w słowa pastora. Był raczej senny, nieporuszony. Znudzony.

Jeśli ktoś rzeczywiście poczuje ból piekielny, to będzie to Thomas Deerfield.

Chyba że Mary dopilnuje, aby odczuł ów ból jeszcze tutaj.

\* \* \*

Śnieg w większości stopniał, ale wzdłuż płotów i na podwórkach wciąż leżały pryzmy, niektóre nieskazitelnie białe, głównie jednak czarne od sadzy i brązowe od zwierzęcych ekskrementów. Ulice były oczyszczone, chodziło się łatwo. Gdy Mary wraz z Thomasem i Catherine wyszła z kościoła na przerwę obiadową, spojrzała na słońce, ciesząc się jego promieniami na twarzy. Lecz jej umysł cały czas zajmował się słowami duchownego – czyli tymi, które wypowiedział sam Bóg. Często odnosiła wrażenie, że niedzielne czytanie skierowane jest do niej, a biorąc pod uwagę ostatnią porażkę sądową i niesławę, jaką się okryła, należało uznać za możliwe, że teraz jest tak rzeczywiście. Mary nie roztrząsała tej myśli dłużej, ale nie ze względu na towarzyszące jej zwykłe pragnienie zrozumienia sensu kazania, lecz dlatego, że w jej umyśle mocno i niespodziewanie zbiegły się takie kwestie jak widelce, żmije i trucizny. Tak, wydawało się, że John Norton mówi

bezpośrednio do niej, lecz nie ze względu na to, co uczyniła, ale raczej z powodu tego, co mogłaby zrobić. Czyżby dziś wielebny stał się zwykłym przekaźnikiem informacji, by Mary zainspirować? Jeśli pastor to tylko instrument, to muzykiem jest Bóg czy Diabeł? W kościele musiał być Bóg. Na zewnątrz – nie wiadomo.

Nie uszli zbyt daleko, gdy poczuła, jak Thomas bierze ją pod łokieć i przyciąga do siebie. Można by to uznać za gest rycerski lub podyktowany afektem, o ile nie znało się osobowości tego człowieka. Mary ją znała, rozumiała więc, że coś nadciąga i że nie będzie to przyjemne. Oderwała wzrok od słońca. Obok nich kroczył ulicą Henry Simmons.

– Dzień dobry – przywitał się z absolutną prostotą.

Wyglądał jak wesołe szczenię, choć Mary wiedziała, że w rzeczywistości wcale nim nie jest. Po kilku rozmowach z Henrym nie miała wątpliwości, iż miewa on mroczne myśli.

Thomas szedł teraz żwawiej, ciągnąc żonę za sobą. Spoglądał na drugiego mężczyznę spode łba, wyraźnie gotował się ze złości. Milczał, więc i Mary milczała.

– Thomasie, jestem ci winien przeprosiny – podjął Henry.

Dopiero wtedy Deerfield się zatrzymał. Mary nie miała pojęcia, co sądzić o tej niespodziewanej skruszce. Wolałaby, aby Henry trzymał się od nich z daleka, żeby nigdy się nie odezwał, ponieważ z tej konfrontacji nie mogło wyniknąć nic dobrego i ponieważ nie chciała patrzeć, jak Henry kaja się przed takim łajdakiem jak jej mąż.

– Catherine! – polecił Thomas służącej. – Idź do domu i zacznij przygotowywać obiad. Zaraz do ciebie dołączymy.

Dziewczyna nerwowo spojrzała najpierw na jednego mężczyznę, potem na drugiego, i pospiesznie odeszła.

Deerfield odwrócił się ku Henry'emu.

– Znam cię z oskarżeń służki Jamesa Burdena – rzucił opryskliwie.

– Tak. Jak wyznałem przed sądem, źle oceniłem sytuację i próbowałem wykorzystać twoją żonę. Wyraziłem swój żal naszemu Bogu oraz w obliczu sędziów, a po tym znakomitym kazaniu chciałem okazać skruchę także przed tobą. Popełniłem błąd, za który przepraszam.

Mary przysła do głowy myśl: *Henry robi to dla mnie, bo się boi, że Thomas może mnie traktować jeszcze gorzej niż zwykle, założywszy, iż byłam mu niewierna albo że zachowałam się w sposób wskazujący na tkwiące we mnie zakazane pragnienia.* Tak czy owak, Henry uznał, że przeprosiny obrócić się na jej korzyść. Niestety, nie mógł się bardziej mylić.

– Odnoszę wrażenie, że raczej martwisz się o własną duszę. Nie jestem pewny, czy twój żal jest autentyczny. Uznałbym go raczej za przejaw lęku – odpowiedział Thomas.

– Słucham słowa Pana. – Henry się uśmiechnął. – Ale po batożeniu boję się już niewiele.

– To był zaledwie przedsmak tego, co cię czeka.

– Być może.

– Gdybyśmy byli w Anglii, zażądałbym satysfakcji – oznajmił Deerfield, a Mary poczuła, jak jeszcze mocniej ściska jej ramię. Może za uśmiechem Henry’ego dostrzegł szyderstwo. – Myślę, że wykazujesz się niefrasobliwym brakiem szacunku do samego siebie.

– Niech się arystokraci pojedynkują tam w Anglii – powiedział Henry. – Tutaj zaś niech pokorny okaże skruchę, a szlachetny przyjmie pochylenie głowy kogoś niższego stanu oraz szczerą przeprosiny, które składa.

– Nie wiem, mimo twych zapewnień, czy aby przy pręgierzu nauczono cię wystarczającej pokory. A teraz idę na obiad. Nalegam, żebyś się trzymał z dala. – Thomas pociągnął za sobą żonę, lecz Henry złapał go za ramię i odwrócił ku sobie.

– Thomasie... – zaczął.

Nie zdążył jednak powiedzieć kolejnego słowa, gdyż Thomas z szybkością i zwinnością, które zszokowały Mary – choć przecież wiedziała, że jej mąż może wybuchnąć nagle, gruchnąć niczym grzmot – puścił ją i wymierzył Henry’emu silny cios w plecy. Młodszy mężczyzna wzdrygnął się, a potem przybrał postawę obronną, lecz Deerfield uderzył drugi raz, wykorzystując złożone ręce jako pałkę. Trafił w miejsce na grzbiecie Henry’ego, w którym ciało było chyba mocno rozdarte po biczowaniu. Mimo kaftana i peleryny ból musiał być potworny, Simmons się zachwiał. Przez chwilę Mary myślała, że upadnie na ziemię, zaraz jednak się wyprostował. Ona złapała Thomasa za ramię, zanim zdążył znów zaatakować.

Mąż spojrział na nią z dzikością w oczach, ale po chwili się opanował. Spodziewał się chyba kontrataku ze strony Henry’ego, lecz Simmons sprawiał wrażenie, jakby uważał, że sobie na to wszystko zasłużył i nie planuje odwetu. Stał lekko wstrząśnięty.

Skoro milczał, głos zabrał Deerfield:

– Radzę ci zgłosić urzędowi parafialnemu albo woźnemu sądowemu, że cię uderzyłem. Przekonasz się, jak zareagują na oskarżenia takiego kundla jak ty.

Po czym złapał żonę za ramię, tym razem boleśnie, i zaczął ją ciągnąć w kierunku domu.

\* \* \*

Mary wiedziała, że w obecności Catherine, przy obiedzie, Thomas nic jej nie zrobi. Był na to zbyt przebiegły. Cała trójka jadła w absolutnym milczeniu.

Po posiłku wrócili do kościoła na popołudniową część nabożeństwa. Mary nie widziała w świątyni Henry'ego.

\* \* \*

Nocą znów chwycił mróz, szyby w oknach sypialni pokryła warstwa szronu. Na kolację zjedli chowder z homara. Thomas prawie się nie odzywał. Zauważył tylko, że dobrze jest spożyć coś ciepłego, gdy ziemia zamarza. Kiedy poszli na piętro, rozebrał się całkiem, nie licząc pończoch, nałożył koszulę nocną, potem zgasił świece i opadł na łóżko. Od ataku na Henry'ego nie zrobił nic złego, ale Mary stale miała się na baczności. Ona również rozebrała się szybko, ponieważ w pokoju panowała zimnica, a następnie przywdziała własną koszulę nocną. Zerknęła jeszcze na lewą dłoń i rozprostowała palce. Najbardziej bolało właśnie w taką pogodę.

Położyła się i nakryła kołdrą. W tej samej chwili on znalazł się na niej. Przewrócił Mary na plecy, złapał za oba nadgarstki, docisnął ramiona do materaca. Nachyliwszy się nad żoną, przystawił usta do jej lewego ucha i szepnął:

– Jeśli jeszcze raz zobaczę cię z Henrym Simmonsem... Jeśli jeszcze raz usłyszę o tobie i o nim... Jeśli kiedykolwiek wymówisz imię tego psa... Zniszczę go tak, jak ta dziewczka pod nami wyrwała szcypce homarowi i rozszarpała mu piersi, aby się dostać do mięsa. Skóra i żebra tego chłoptasia to papier w porównaniu ze skorupą zwierząt, ale ja potraktuję go równie okrutnie i bezlitośnie. A ty? Umrzesz jako wiedźma na szubienicy! Już ja tego dopilnuję: zwiążą ci ręce za plecami, a sznur będzie powoli, acz niezawodnie wrzynał ci się w skórę szyi niczym nóż, który wymaga naostrzenia. Zważ na moje słowa, Mary Deerfield. Piekło, które czeka większość grzeszników, to wiosna i blask słoneczny w porównaniu z tym, jakie ja przygotuję dla ciebie oraz tego żalostnego pokurcza i śmiecia, który ośmielił się pocałować ciebie. Rozumiesz, co powiedziałem?

Kiwnęła głową.

– Odpowiedz, kobieto! – syknął Thomas. Oddech miał nasycony piwem, głos spokojny. – Dotarło do ciebie?

– Tak.

– Tak?

– Tak, dotarło do mnie i rozumiem.

Puścił jeden nadgarstek Mary, przyłożył dłoń do jej ust, a następnie ugryzł ją mocno w płatek ucha. Zęby przebiły ciało. Naciskał na wargi żony tak silnie, że stłumił jej krzyk całkowicie, zanim zdążył je puścić.

„Owszem, posiadanie znamienia sugeruje bycie czarownicą. Z drugiej strony jego brak nie znaczy, że się nią nie jest”.

*Uwagi sędziego Caleba Adamsa, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 24

Nazajutrz po południu Rebeka Cooper zadała Mary pytanie zupełnie zaskakujące, które zbiło ją z pantałyku. Przyjaciółka dotrzymywała towarzystwa pani Deerfield podczas robótek ręcznych przy kominku i choć Mary pozostawała czujna, godzina upłynęła jej przyjemnie. Catherine wyszła zająć się inwentarzem.

Nagle Rebeka rzuciła:

– Co aktualnie sądzisz o Peregrine?

– Akceptuję fakt, że jest córką Thomasa, nie moją, i podczas rozprawy wzięła jego stronę. Czego należało oczekiwać – odparła Mary ostrożnie. – Pozew rozwodowy sprawił, że zmieniła stosunek do mnie. Kiedyś jej rodzina często bywała u nas na niedzielnym obiedzie. Teraz już nie. Może któregoś dnia nasze drogi znów się skrzyżują. Zobaczymy. Dlaczego pytasz?

Rebeka skupiła uwagę na igle i wzorze wyszywanym na lnę – wizerunku jodły.

– Kiedy wychodziliśmy wczoraj z kościoła późnym popołudniem, ona szła przede mną. Z jakąś znajomą i jej dziećmi.

– Niebawem Peregrine powije trzecie dzieciątko. Wielkie błogosławieństwo.

– Tak. Jej znajoma też ma dziecko. Ta kobieta powiedziała Peregrine, że bałaby się wzywać ciebie do porodu, i radziła jej, aby tego nie robiła.

Mary odłożyła swoją robótkę przedstawiającą trzy liście klonu i wywróciła oczami.

– No i dobrze. Nie jestem akuszerką.

– Ale byłaś przy narodzinach pierwszej dwójki Peregrine?

– Tylko jednej dziewczynki. Druga przyszła na świat tak szybko, że dowiedziałam się o tym po wszystkim. Jednakże moja obecność przy pierwszym razie nie sprawiła, że z Peregrine wydobyło się zdeformowane monstrum. Obie moje wnuczki są i piękne, i zdrowe.

– Kiedy się spotkacie?

– Z Peregrine? Nie wiem.

– Proszę cię, Mary, bądź ostrożna.

– Kiedy przyniosła nam te jabłka z rodzynekami, które razem upiekłyście, sprawiała bardzo sympatyczne wrażenie.

– Przyniosła wam jabłka? – spytała Rebeka, wyraźnie zaskoczona.



– Owszem.

– I były jadalne?

Mary kiwnęła głową, mając nadzieję, że jej mina niczego nie zdradza.

– Cieszę się. Ale miej baczenie na inne kobiety. Pokroju Beth Howland. W dzisiejszych czasach takie jak ona są zdolne powiedzieć prawie wszystko.

– Wiem – stwierdziła Mary. – I wiem, że sprawa rozwodowa mnóstwo mnie kosztowała. Moje wysiłki przyniosły mi tylko nową udrękę.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie – zapewniła ją Mary, nadając głosowi serdeczny ton. – Nie powinnaś się o mnie martwić. Dam sobie radę.

– Skąd ta pewność?

Mary westchnęła. Pomyślała o wersecie z drugiego rozdziału Ewangelii Łukasza, o tym, że Maria Dziewica rozważała wszystkie sprawy w swoim sercu, myślała o reakcji aniołów i pasterzy na fakt narodzenia Pańskiego. Dlatego nie odpowiedziała od razu. Potem rzuciła równie enigmatycznie, co szczerze:

– Nie jestem pewna. Wiem bardzo niewiele o Bożych planach względem mojej osoby.

– Znalazłaś jakieś inne rzeczy świadczące o obecności Szatana w tym miejscu?

– Masz na myśli przedmioty zakopane pod domem?

– Tak.

– Nie znalazłam.

– Domyślasz się, kto był tym opętanym?

– Albo kto nim jest?

Przyjaciółka kiwnęła głową.

– Nie mam pojęcia – odparła Mary, przyglądając się twarzy Rebeki. Odniosła wrażenie, że jest okryta maską tak szczelnie, jak jej własna.

Obie kobiety usłyszały, jak otwierają się drzwi do ogrodu i do domu wraca Catherine. Równocześnie podniosły oczy na służącą i uśmiechnęły się, gdy wieszła pelerynę na kołku. Mary pomyślała, że jej zachowanie względem Catherine stało się dziwnie pełne respektu, wiedziała jednak dlaczego. Zdziwiło ją tylko, że i Rebeka sprawiała wrażenie lekko przerażonej tą dziewczyną.

\* \* \*

Jakiś czas później, gdy Mary i Catherine przygotowywały kolację, rozległo się pukanie do drzwi. Pani Deerfield zostawiła służącej siekanie warzyw i poszła otworzyć. W progu stała jej matka. W pierwszej chwili Mary się przestraszyła, że coś złego stało się ojcu, ale spostrzegła uśmiech na twarzy rodzicielki.

Starsza pani wręczyła córce koszyk ze słowami:

– Dziś rano w naszym porcie zacumował „Sokół”. Valentine i Eleanor prosili, żebym przyniosła ci trochę rarytasów. Pochodzą z Jamajki oraz z Antyli. Po tym, co przeżyłaś na sali sądowej, Eleanor uznała, że należy ci się trochę smakołyków dla rozweselenia.

– Cudownie. Miło, że o mnie pomyśleli! – zawołała Mary. – Co jest w środku?

– Nie wiem. Niespodzianka obmyślona przez Eleanor.

Mary zdjęła płótno i zajrzała do koszyka. Były tam pomarańcze, migdały, figi oraz herbata. Zmarszczyła nos i rozkoszowała się aromatami. Nagle dostrzegła coś jeszcze: szczelnie zalakowaną woskiem kopertę na samym dnie. Już chciała po nią sięgnąć, ale się powstrzymała. Gdyby list pochodził od przyjaciół jej rodziców, leżałby zapewne na samej górze. Ten natomiast schowano prawie całkowicie pod importowanymi skarbami.

– Cudowne. Jaki niespodziewany i życzliwy podarunek. Podziękuję Hillom. Jeśli ich spotkasz, mam, wyraż im, proszę, moją głęboką wdzięczność.

– Dobrze. Popołudnie spędziłaś miło?

– Tak. Widziałam się z zacną panią Cooper.

– Z Rebeką? Bardzo ją lubię.

– Ja też.

Matka milczała, przyglądając się Mary uważnie.

– Cieszę się, że nie zadręczasz się tym wyrokiem. Radujemy się z twoim ojcem, że znalazłaś sobie inne zajęcia.

Mary skinęła głową. Inne zajęcia?, pomyślała. Inne niż co? Uprawianie czarów? Gdzieś wewnątrz czuła strach przed własnymi planami, tym powolnym, ociężałym krzepnięciem decyzji, jakiego doświadczała od ogłoszenia sądowego werdyktu.

– Co gotujesz? – Starsza pani zwróciła się z tym pytaniem do Catherine.

Służąca podniosła wzrok znad siekanych warzyw i odpowiedziała Priscilli. Mary wyjęła liścik, schowała go w rękawie, po czym – z teatralnym zainteresowaniem – rozpakowała koszyk, tak aby dwie pozostałe kobiety zobaczyły jego – prawie – całą zawartość.

Jeszcze przed otwarciem koperty wiedziała, że notkę napisał Henry Simmons. Przeczytała ją, kiedy Catherine poszła sprzątać stajnię, a Thomas udał się do gospody. Mąż utrzymywał, że idzie się tam spotkać z pewnym farmerem i być może faktycznie tak było. Może chcieli omówić warunki dostawy zboża, choć żniwa dawno już minęły. Ale przede wszystkim zamierzali się upić.

Papier spoczywał na stole w blasku świecy. Mary stała plecami do drzwi, na wypadek gdyby Catherine ją zaskoczyła.

Wiadomość była krótka. Czytając ją, Mary czuła drzenie w piersiach, od którego kręciło jej się w głowie.

*Mary,*

*jesteś wyjątkową istotą, słońcem, które ogrzewa mą duszę. Twoja czułość jest tak płomienna, że nawet gdy biczowano mnie na zimnie, a Ty nagle pojawiłaś się znikąd – Diana w zimowych szatach – poczułem się błogo, jak w niszy kominka. Przestało mi być zimno, przestało boleć.*

*A przynajmniej bardzo boleć.*

*Lecz zachowaj ostrożność, Mary, bądź jak lis, co zna bezpieczeństwo cienia. Wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby sędziowie stanęli na wysokości zadania i dali Ci wolność. Nie lękam się Twego męża bardziej, niż lękam się gołębi albo mew na pirsie. Niestety, wyrok zapadł taki, jaki zapadł, pozostają więc nam tylko ból serca i żal, jeśli chcemy ścigać marzenia ulotne jak pajęcza sieć.*

*Tego miasta nie zbudowano na szlachetnych skałach Objawienia: tak bezgrzeszni nie jesteśmy. Blizna na Twojej zranionej dłoni to jedynie drobne świadectwo zła, do którego jesteśmy zdolni.*

*I czy będę miał szczęście ujrzeć Cię jutro lub pojutrze, czy będzie to tutaj, czy w innym, cudownym Mieście, do którego wszyscy aspirujemy, nie zaryzykuję ponownie ani Twojej reputacji, ani duszy, skoro jesteś poślubiona Thomasowi Deerfieldowi. Zbyt wiele dla mnie znaczysz – o wiele za dużo.*

*Szczerze oddany skryty wielbiciel*

*Henry Simmons*

Chciała zachować ten list, hołubić niczym talizman, nie śmiała jednak. Rozumiała, jakie niebezpieczeństwo ze sobą niesie. Dlatego wsunęła papier głęboko do paleniska w kominku i patrzyła na płomienie, dopóki ostatnie skrawki nie zamieniły się w popiół.

Później, gdy Catherine przygotowała sobie posłanie i włożyła koszulę nocną, Mary usiadła z filiżanką herbaty przy stole w głównym pomieszczeniu domu. Rzadko zakłócała prywatność służącej, lecz tym razem nie chciało jej się spać. List od Henry'ego wywołał ogromną ekscytację. Doceniała jego rycerskość, lecz przecież dbanie o jej reputację nie leżało w jego gestii. To wciąż była jej reputacja, mogła z nią zrobić to, na co miała ochotę, o ile nie wiązało się to z postawieniem Simmonsa w stan oskarżenia.

Kiedys będzie wolna. Mary była tego pewna. Sama o tym zdecydowała.

Jej wzrok padł na lekko wygięty dzióbek imbryka. Wcześniej tego nie zauważyła. Najwyraźniej Thomas wyprzedzał ją o krok: gdyby sędziowie wykazali skłonność do uwierzenia w wersję jego żony, on sam bądź jego adwokat planowali zaprezentować im ten imbryk z wykrzywionym dzióbkiem jako dowód, że właśnie na to upadła Mary. Odkrycie owych machinacji, zamiast ją rozżłościć, tylko spotęgowało jej determinację.

Ponownie zaczęła czytać Księgę Powtórzonego Prawa. Thomas nie wrócił jeszcze z gospody, ale Catherine skończyła dogaszać ogień. Nawet jej bliska obecność nie zakłócała spokoju duszy Mary. Wewnątrz uśmiechała się do siebie, świadoma niewinnej podstępności, która wypełniała ją niczym herbata dzbanek na stole. Starła się nie pokazywać dziewczynie fragmentów Pisma, które czytała – rada Constance Winston była bezcenna.

Jak dotąd Mary natrafiła na wiele biblijnych wersetów o węzach i żmijach w księgach: Rodzaju, Wyjścia oraz Liczb – zapisała je sobie w pamiętniku. Owszem, Biblia zawierała mnóstwo tekstu, ale od spaceru z Constance wyodrębniła sobie te ustępy, które mogły mieć znaczenie dla wiedzy.

Teraz skupiła się tylko na psalmach, ponieważ to one zdawały się najlepiej korespondować z fragmentami wybranymi przez pastora Nortona na niedzielne kazanie, stanowiły niejako znak od Pana. Za szczególnie pasujące Mary uznała psalmy pięćdziesiąty ósmy oraz sto czterdziesty.

Pierwszy przypominał: „Trucizna ich podobna jest do jadu węża, do jadu głuchej żmii, co zamyka uszy”.

Drugi sugerował jeszcze wyraźniejszy związek, ponieważ nawiązywał do języka: „Ostre jak u węża ich języki, a jad żmijowy pod ich wargami”.

Ciekawy wydał się teraz Mary żart Thomasa, że będzie potrzebował osobistego podczaszego, Nehemiasza, aby mieć pewność, że nie zatruto mu posiłku. Mąż był naprawdę bystry, musiała mu to oddać. Na szczęście nie wiedział, co zamierzała. Jeszcze nie. Nikt nie wiedział. Przynajmniej żaden mężczyzna. Oderwała wzrok od Biblii i spojrzała na gorące węgle w kominku. Przypominały czerwone oczy demona. Były piękne.

Od spotkania z Constance powracały do Mary pytania, unoszące się niczym ptak drapieżny na prądzie wstępującym. Czy jestem opętana? Co to znaczy, że wszędzie widzę spiski, nawet w łagodnym spojrzeniu Rebeki Cooper? Co powinnam zrobić z informacją, że Jonathan Cooke uprawia hazard z marynarzami i potrzebuje teraz wsparcia finansowego od swego teścia? Czy kobieta, którą opętał Szatan, dowiadywała się o tym, gdy było już za późno, kiedy Diabeł złapał ją w swoje szpony tak mocno, że można było ją wyzwolić tylko przez stryzyk? Mary wyobraziła sobie, że niczym dziecko w łonie matki kryje się w niej ohydny chochlik – pokurcz, gargulec, gotowy na każde skinienie Diabła – którego pazury zaraz wyrwą żywcem jej ciało. Tylko taką bestię mogłaby urodzić, nic innego.

Nie wierzyła w to jednak. Nie do końca. Wiedziała jedynie to, że jest żoną brutala, który zmierza do Pieła, że nie jest opętana i nie rzuca żadnych klątw za pomocą sztuców. Wsunęła gęsie pióro na stronę ze sto czterdziestym psalmem, zamknęła Biblię i postanowiła, że jutro znów odwiedzi Constance Winston.

\* \* \*

Śnieg prawie stopniał. Bez rakiet na nogach droga na Przesmyk okazała się znacznie przyjemniejsza. Constance była w domu razem ze służką. Zaprosiła gościa do środka.

Zanim Mary weszła, oznajmiła:

– Chciałabym porozmawiać z tobą w atmosferze poufności. Obawiam się, że nasza konwersacja mogłaby zostać źle zrozumiana przez kogoś, kto...

– Możesz mówić swobodnie przy mojej panie – przerwała Constance. – Joy i ja nie mamy przed sobą tajemnic.

– Na pewno?

Dziewczyna wycierała miseczki do owsianki i odkładała je na komódkę w rogu. Popatrzyła na Mary i swoją panią.

– Tak. Ale jeśli poczujesz się spokojniejsza, Joy skończy zmywanie na zewnątrz – powiedziała Constance, zerkając na dziewczynę.

Służka wzięła pelerynę i zniknęła za drzwiami obok kominka.

– Masz ochotę na filiżankę herbaty? – spytała gospodyni, wskazując Mary jedno z krzeseł przy stole, niedaleko ognia.

– To miłe, ale niekonieczne – odparła pani Deerfield. Zajęła miejsce i odrzuciła z głowy kaptur.

Starsza kobieta również usiadła. Złożyła dłonie na kolanach.

– Dlaczego powracasz do tak pięknego zakątka jak Przesmyk?

– Szydzisz z tej części miasta. A przecież jest tak urocza jak inne.

– Słodkie to, lecz tego rodzaju kłamstwo obraża nas obie – odrzekła Constance. – Mów, po co kolejny raz ryzykujesz swoją reputację?

– No dobrze. Chodzi o *aqua tofana*.

– Czy ja mogę coś wiedzieć o truciznach? – zdziwiła się Winston na pozór niewinnie, ale lekkie przechylenie głowy zadawało kłam jej słowom.

Było pewne, że spodziewała się takiego pytania.

– Wskazałaś mi właściwą ścieżkę.

– To znaczy?

– Ktoś podłożył te widelce, żeby zaszkodzić Thomasowi, Catherine albo mnie. To klątwa. Ta osoba zawarła pakt z Szatanem.

– A kimże ta osoba jest?

– Nie wiem.

– Ale teraz pragniesz uwarzyć własną truciznę?

– Owszem. *Aqua tofana* robi się z arszeniku, ołowiu i wilczych jagód. W ten sposób przygotowują ją Włosi – oznajmiła Mary.

– I jest nie do wykrycia. Tak przynajmniej słyszałam. Ludzie mówili.

– Ludzie gadają różne rzeczy. Przypomnij sobie, co mówili o tobie, Constance. Czy według ciebie, na podstawie całej twojej wiedzy, to substancja pozbawiona zapachu i smaku? Tak że nawet lekarz nie rozpozna jej obecności?

– Wszystko to prawda. I jest niewykrywalna. Możesz polegać na tej wiedzy. Człowiek słabnie, choruje, a potem umiera.

– Zawsze?

Constance się uśmiechnęła.

– Zawsze. *Aqua tofana* warzą żony, które mają nadzieję zostać wdowami. Kto to miałby być? Zamierzasz otruć tego ogra, za którego wyszłaś?

– Proszę...

– Twoja służąca sugerowała podczas rozprawy, że jesteś opętana, prawda? To ona będzie ofiarą?

– Catherine Stileman? Nie planuję wywoływać u niej chorób – odparła Mary wymijająco.

– No cóż, jeśli więc chcesz odebrać życie sobie, są znacznie łatwiejsze i mniej bolesne metody.

A także o wiele powolniejsze od kuli z muszkietu czy ostrza.

Mary przypomniała się tamta chwila na podłodze, z nożem, gdy pierwszy raz została w domu sama po werdykcie sądowym nakazującym jej powrót do Thomasa. Czuła się jak skazana przestępczyni i naprawdę rozważała samobójstwo. Teraz to wszystko minęło. Miała inne plany.

– Nie mam zamiaru spotykać się w najbliższym czasie ani z Bogiem, ani z Lucyferem – oświadczyła.

– To dobrze. Bo nie wyobrażam sobie, gdzie tutaj znajdę arszenik. Nigdy też, spacerując po lesie, nie natknęłam się na wilcze jagody.

Mary ogarnęło rozczarowanie, ale się nie zrażała. Tego należało się spodziewać.

– To nie musi być konkretnie *aqua tofana*.

– Po prostu potrzebujesz trucizny, która będzie skuteczna.

– Tak. I bezlitosna.

– I niewykrywalna, jak sądzę.

– Preferowane właściwości, ale dam też sobie radę z taką, która ich nie posiada. Może nawet lepiej, żeby zauważono jej obecność.

Starsza kobieta przyglądała się gościowi dość długo.

– Jesteś dla mnie zagadką, Mary. Mężczyźni nie powinni cię lekceważyć. Nigdy – rzuciła w końcu.

– Ani psuć mi krwi.

– W takim razie myślę, że warto rozważyć preparat zawierający tojad.

Czy Peregrine albo Rebeka zastosowały tojad do pieczonych jabłek z rodzynkami? Czy to on tak wpłynął na smak deseru?

– Mogłabyś podać mi recepturę? – zapytała Mary.

– Mogę ci przygotować wywar.

– Nie. Nie możesz się narażać i ryzykować w tym świecie ani skazywać się na potępienie w tamtym.

– Och, samo dostarczenie ci odpowiedniej wiedzy to potwierdzenie mojego wyroku u Diabła. O ile, rzecz jasna, chce Mu się tracić czas na kogoś takiego jak ja. Szczerze mówiąc, wątpię. Dziękuję natomiast za twoją uwagę o *tym* świecie. Życzliwa rada. Wierz mi jednak, że potrafię chronić siebie i będę umiała ochronić ciebie. Jestem więcej niż dyskretna.

– A zatem pokażesz mi, jak zrobić skuteczną truciznę?

– Pokażę. Pod warunkiem jednak, że ofiarą będzie drań, który przybił ci rękę do stołu. Nie popieram morderstw, chcę tylko przyspieszyć nadejście chwili, w której ludzie zasługujący na Piekło się tam znajdują.

– Świetnie. Tak, chodzi o Thomasa.

Constance skinęła głową.

– Gdyby nie zima, zaprowadziłabym cię do mojego ogródka na małe zbiory odpowiednich składników. Niestety, spadł już śnieg.

– Muszę czekać do wiosny? Albo, co gorsza, do lata? – Mary się przestraszyła, że wskutek zawodu głos jej zabrzmiał piskliwie.

– Spokojnie. Wiem, gdzie nadal można znaleźć to, czego potrzebujesz. Wiem, gdzie znajduje się dobrze zakonserwowany tojad.

– Gdzie?

– W lesie.

– Przecież tam też spadł śnieg, tak jak w mieście – zaprotestowała Mary.

– Dasz radę wybrać się do lasu? – spytała Constance stanowczym tonem, ignorując uwagę gościa.

– Tak. Dam.

– To znaczy, że będziesz potrzebować wymówki.

– Znajdę.

– Świetnie. Podobnie jak ja oni zaczęli od tojadu. Tojadu lisiego.

– Oni?

– Edmund i Esther Hawke'owie. Produkują mieszankę do grotów strzał.

– Ta ekskomunikowana rodzina?

Constance potwierdziła.

– Właśnie. „Zatwardziałe nieposłuszeństwo”. Ona ma to chyba we krwi: jej matka podobno wznawiała antynomizm. Wyparła się go. A jednak...

– Mają wielką farmę i trochę zwierząt.

– Zgadza się. Mieszkają nieopodal wioski nawróconych Indian. Zbuntowawszy się, niejako wzięli sprawy w swoje ręce.

– Jak ich znaleźć?

– Nieco na wschód od Natick. John Elliot odwiedza ich czasem w drodze do Indian.

– Hawke'owie produkują truciznę do strzał, tak?

– Sądzę, że Edmund potrzebuje jej do polowań na jelenie. Z pewnością nigdy nie zabił człowieka. Przynajmniej jak dotąd.

– Sprzedadzą mi tę miksturę albo samą roślinę?



– Powiesz Esther, że jestem twoją przyjaciółką. Ona mnie zna. Da ci odpowiednie rośliny, a ty mi je dostarczysz.

– Ale...

– Wtedy przygotuję napar. Albo zrobimy to razem. Albo cię nauczę. Na jedno wychodzi.

Mimo to Mary obawiała się, że Constance bierze na siebie zbyt wielkie ryzyko.

– Splamisz sobie nie tylko ręce, ale i duszę – powiedziała. – Znajdziesz się zbyt blisko zbrodni, zarówno w oczach sądu miejskiego, jak i Niebios nad nami.

– Pozwól, że sama będę się martwić o sędziów i anioły na firmamencie. Zawsze byłam dość niezależna i samowystarczalna, nieskrępowana przez męskie dziwactwa.

– Chyba cię nie przekonam do zmiany zdania.

– Nie, ponieważ sama nie dasz sobie rady. Mogę udzielić ci jeszcze jednej wskazówki?

– Proszę.

– Na pozór masz być więcej niż aktywna w kościele. Na pozór musisz być więcej niż posłuszna. Na pozór musisz być bardziej świątobliwa niż kiedykolwiek w całym dotychczasowym życiu.

– Będę świecić przykładem.

– Dokonaj czegoś graniczącego z męczeństwem, czegoś, co przysporzy ci oddanych sojuszników w Kościele.

– Którzy obronią mnie przed zarzutami o uprawianie czarów.

– Zgadza się.

– No cóż, czary zupełnie mnie nie interesują. Raczej to, co należałoby określić jako farmację, sztukę sporządzania leków.

Constance pochyliła się nad Mary i szepnęła dziwnym tonem:

– Nie. Ciebie interesuje dokonanie zabójstwa. Dla realizacji tego celu, moja droga, uczyniłabyś wszystko.

„Mam słusznosc, obawiajac sie Lucyfera”.

*Zeznanie Catherine Stileman, Archiwum Akt Sqdu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 25

Mary wpatrywała się w wieżę Pierwszego Kościoła, skąpaną w południowym słońcu, i myślała o pocieszeniu, jakie kiedyś znajdowała w tym budynku. W głowie po raz kolejny przećwiczyła swoją opowieść – swój plan – i poczuła silne ukłucie strachu. Ale już wcześniej uznała, że nie ma innego wyjścia, absolutnie żadnego, prosiła więc Boga o miłosierdzie nad jej duszą.

Po wejściu do środka ujrzała Zebulona Bartrama zamiatającego alejkę między ławkami. Starszy Kościoła również zobaczył Mary i podszedł do drzwi. Wyglądał na ponad sześćdziesiąt lat, chodził przygarbiony, palce u rąk miał powykręcane i sękate jak gałęzie jabłoni. Zanim praca stała się dlań zbyt ciężka, parał się bednarstwem. Nadal jednak potrzebował zajęcia, pragnął go, co zapewne stanowiło znak, że znajduje się wśród wybranych, a ponadto w tym wieku sprawdzał się w tej roli znakomicie.

Zebulon oparł miotłę o ścianę i lekko się skłonił.

– Potrzebujesz czegoś, Mary? – zapytał.

– Wielebny u siebie?

– Prowadzi rejestr, w zakrystii.

– Mogłabym się z nim zobaczyć?

– Oczywiście. Wszystko w porządku? Coś się stało z Thomasem?

Mary uśmiechnęła się uspokajająco.

– Mam się dobrze i Thomas także.

– W takim razie... – Zebulon się zawahał. – Czy chodzi o twoje małżeństwo i wyrok, jaki zapadł w sądzie?

– Nie. Nie przychodzę w sprawie swojego małżeństwa.

Teraz to ona urwała, ponieważ za chwilę miała skłamać. Wiedziała, że to pierwszy raz z wielu w nadchodzących dniach. Znak świadczący o jej potępieniu. Trudno. Nieodgadnione są zamysły Pana Boga, który stawia jej na drodze monstra. Nie można było zatem wykluczyć, że ona jest po prostu pielgrzymem, starającym się najlepiej, jak potrafi, omijać zło na ścieżce, która ostatecznie doprowadzi ją do raj.

Zebrała całą odwagę i oznajmiła:

– W pełni akceptuję werdykt sądu i modłę się, aby Pan był ze mną i z Thomasem, żeby pomógł nam poczuć swoją miłość w naszej miłości.

– Pastor będzie zadowolony.

– Wpadłam na pewną myśl, jak służyć Panu, o ile wielebny Norton uzna to za właściwe. Przychodzę ją omówić.

– Pójdę po niego, pozwól – rzekł Zebulon i wskazał apsydę, za którą mieścił się pokoik, gdzie pracował pastor. – Zaraz wracam.

Mary się uśmiechnęła. Omiotła wzrokiem świątynię, spojrzała ponad starszym mężczyzną w kierunku ławki, w której przez lata siadywała obok matki. Czy kłamstwo wypowiedziane w tych murach jest gorsze od tego, które pada na zewnątrz? Czy zamiar okłamania wielebnego Nortona, duchownego, zasługiwał na szczególne potępienie? Wiedziała, że zdobienia kościołów w Anglii, katedr w całej Europie, wiszące na ścianach wizerunki Chrystusa, witraże z Jego postacią to złamanie przykazań, i zastanawiała się, czy dałaby radę wypowiadać te odrażające łgarstwa pod okiem zmartwychwstałego Zbawiciela. Znacznie łatwiej było zrobić to w tych surowych ścianach.

Na dźwięk męskich butów, odbijający się echem po drewnianej podłodze pustego budynku, Mary odwróciła się w stronę ołtarza. Alejką kroczył wielebny, a za nim Zebulon.

– Dzień dobry, pastarze – przywitała się.

Bartram chwycił miotłę i oświadczył, że idzie usunąć delikatną pokrywą śnieżną z frontowych schodów. Wyraźnie zamierzał zapewnić parafiance i jej pasterzowi stosowną prywatność.

– Dochodzisz do siebie po gehennie z sądem miejskim? – zapytał pastor, uśmiechając się i pocierając czubek brody. – Na pewno nie było ci łatwo, zwłaszcza że wyrok nie okazał się dla ciebie korzystny.

– Jak przed chwilą mówiłam Zebulonowi, szanuję mądrość sędziów. Będę realizować małżeńskie przymierze, które zawarłam z mężem.

– Jesteś mądrą kobietą.

Mary się nie odezwała, a Norton najwyraźniej nie wiedział, czy owo milczenie przypisać jej uległości czy krnąbrności.

– Powiedz – rzekł – co chcesz ze mną omówić?

– Chciałabym zostać misjonarką albo kimś w tym rodzaju. Misjonarką dzieci. Wiem, że niektórzy mężczyźni pracują z Indianami. Wiele słyszałam o zasługach Johna Eliota.

– John to wyjątkowy człowiek. Czytałaś jego książki?

– Nie. Ale mówiono mi o nich.

– Nauczył się ich języka. Włada nim tak biegle, że tłumaczy Biblię na mowę Algonkinów. Też chcesz się jej nauczyć? – zapytał pastor sceptycznym tonem.

– Myślałam o państwie Hawke’ach. Nie o dzikich, przynajmniej na razie. Rodzice zostali wyklęci, ale na farmie mieszka pięcioro ich dzieci.

– Hawke’owie to trudni ludzie. Uparci. Nie bez powodu ich ekskomunikowano.

– Nie wątpię. Lecz ja zatroszczyłabym się o dusze ich potomstwa.

– I prosisz mnie o zgodę? Jeśli już, to raczej powinnaś zapytać Thomasa.

– Nie chodzi o zgodę. – Mary z szacunkiem spuściła wzrok.

– A o co?

– Chciałabym, żeby pastor przedstawił mnie wielebnemu Eliotowi. W drodze do wspólnot chrześcijańskich Indian z Natick mija on farmę Hawke’ów. Byłabym wdzięczna, gdyby mnie tam zaprowadził i odprowadził z powrotem, jeśliby znów udawał się do dzikich. Nigdy do końca nie pojmę, dlaczego Bóg nie pobłogosławił mnie własnymi dziećmi, ale akceptuję ten fakt i modłę się, by moje zamiary nie stanowiły tylko maski dla zgubnej pychy. Pragnę pomagać młodym Hawke’om. Niech jako ludzie dorośli nauczą się kochać swego Zbawiciela, tak jak ja, jak my. I niech postępują stosownie.

Norton z roztargnieniem machnął ręką w kierunku świata rozciągającego się za drzwiami kościoła.

– Może wolałabyś po prostu, żeby te dzieci nie wyrosły na heretyków?

Mary nie potrafiła zinterpretować tonu pastora. Usłyszała w jego głosie nutkę dobrodusznego sarkazmu, ale być może oznaczało to również, że wielebny traktuje ją poważnie.

– Aż tak wielkiego zadania sobie nie stawiam – odparła.

– John Eliot wykonuje pracę z dzikimi równie ważną, co niebezpieczną. Ty liczysz, że mogłabyś pójść w jego ślady, ale w odniesieniu do gromadki angielskich współplemieńców z dala od cywilizacji. Dlaczego zakładasz, że dopuszczą cię do swoich spraw?

– Być może mi się nie uda. Lecz co jest gorsze dla misjonarki: porażka czy zaniechanie?

– Doceniam twoją odwagę.

– Wielebny Eliot zna Hawke’ów, prawda?

– Owszem. A Thomas? Jakie jest jego zdanie?

– Thomas nie ma nic przeciwko – skłamała Mary.

Nie sądziła, by jej mąż zamienił z Johnem Nortonom więcej niż kilka słów.

– No cóż. Mam więc tylko jedno pytanie.

– Proszę je zadać.

– Jakie zamiary żywił Henry Simmons wobec ciebie?

Tego się nie spodziewała. Odruchowo próbowała zyskać na czasie, odpowiadając pytaniem:

– To znaczy dlaczego próbował mnie pocałować?

– Tak.

– Nie okazałam mu w żaden sposób, że interesuje mnie tego typu relacja.

– Uważam, że sędziowie powinni byli głębiej zbadać ową możliwość, Mary.

Pochyliła się nieco.

– Proszę mówić otwarcie, pastorze. Odpowiem bez wykrętów, zgodnie z prawdą.

– Wniosłaś o rozwód, twierdząc, że Thomas niepotrzebnie się nad tobą znęcał.

– Każde znęcanie się jest niepotrzebne.

Wielebny kiwnął głową.

– Zgoda. Ale sędziowie ustalili, że Thomas nie traktował cię z okrucieństwem. Skoro więc zamierzałaś zerwać przymierze z mężem, ponieważ cię... maltretował – Norton wymówił to słowo w taki sposób, jakby pozostawiało w ustach przykry smak – lecz w rzeczywistości Thomas postępował z tobą sprawiedliwie, to być może istniał inny powód dla zerwania małżeństwa.

– A moje zarzuty o maltretowanie stanowiły jedynie co? Pretekst? Wybieg?

– To uzasadnione pytanie, które należałoby zadać, tak. Caleb Adams dostrzegł taką ewentualność.

– Nie, pastorze – odparła Mary, z całych sił próbując ukryć irytację. – Nie złożyłam pozwu rozwodowego na podstawie fałszywych dowodów. Między mną a Henrym Simmonsem nie doszło do aktu cudzołóstwa.

– Z wyjątkiem próby pocałunku.

– Tak. Której się oparłam.

– I nie knuliście, żeby spotwarzyć Thomasa Deerfielda dla swoich własnych celów?

– Zdecydowanie nie.

Pastor złożył ręce za plecami.

– To dobrze. Musiałem spytać.

Chciała mu odpowiedzieć, że wcale nie miał takiego obowiązku, ale ugryzła się w język.

Ponieważ milczała, Norton podjął:

– Pomówię o tobie z Johnem Eliotem, podkreślę przed nim twoją inteligencję oraz zaradność.

To prawy człowiek.

– Jestem ogromnie wdzięczna.

– Wiem, że jesteś, Mary – rzucił wielebny. A potem dodał coś, co stanowiło upiorną kombinację groźby i żartu. – A gdy będziesz dziś kłaść na stole talerze i sztucce, może nie dawaj mężowi widelca.

\* \* \*

Fakt, że John Norton wspomniał w rozmowie o Henrym Simmonsie, sugerując, że Mary fałszywie oskarżyła Thomasa o maltretowanie, aby uzyskać rozwód, zmusił ją do zmiany planów na popołudnie. Wcześniej liczyła na spacer do portowych magazynów Valentine’a Hilla. Pytanie kupca o zdrowie jego siostrzeńca – a może nawet samego Henry’ego, o ile wrócił już do pracy – byłoby jawną bezczelnością. Uznała jednak, że przedstawi tę ciekawość jako wyraz chrześcijańskiego miłosierdzia. Próbując ją pocałować, Henry popełnił błąd, ale chciała mu teraz okazać przebaczenie. A przynajmniej w ten sposób usprawiedliwić swą wizytę przed ciekawskimi. Ona znała prawdę, Henry też. Wiedział, że nie zamierzała się opierać jego awansom.

Jednak w tej sytuacji Mary nie śmiała pójść na nabrzeże. Może zrobi to w przyszłym tygodniu.

Kiedy wyszła z kościoła, słońce zaczęło się przebijać przez chmury. Czowała, jak rośnie temperatura. Niedawno do Bostonu przybił statek z grzebieniami z szylkretu. Priscilla zdążyła już jeden kupić, a Mary zauważyła, z jaką zazdrością Catherine nań spoglądała. Być może część owych grzebieni sprzedawano obecnie w aptekach, dlatego Mary tam skierowała swe kroki – chciała zrobić służącej prezent. W jakimś sensie pragnęła bowiem zyskać przychyłność dziewczyny, którą to próbę – gdyby postrzegać ją tylko w ten sposób – należało uznać za żalostną. Lecz może i to był akt chrześcijańskiej miłości. Catherine z pewnością będzie szczęśliwa.

Bardzo dobry ruch, biorąc pod uwagę, że niebawem Mary miała rozpętać burzę.

„Diabeł jest niegodziwcem i nawet dziecięcą zabawkę może uczynić narzędziem zła, jeśli zechce”.

*Zeznania Valentine'a Hilla, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*



## Rozdział 26

Catherine spodobał się grzebień.

Podczas kolacji, w obecności dziewczyny, Mary spytała Thomasa, czy zgodziłby się, żeby pojechała nauczać dzieci ekskomunikowanego małżeństwa Hawke'ów. John Eliot będzie ją eskortować na miejsce w drodze do siedziby Indian chrześcijan i z powrotem.

Thomas odłożył nóż i zagapił się na żonę. Zmrużył oczy, spojrzenie miał podejrzliwe.

– Skąd to zainteresowanie czeredą Hawke'ów? – zapytał.

Mary odparła, że zainspirowało ją ostatnie kazanie wielebnego Nortona. I dodała, iż pastor uznał za świetny projekt sprawdzenie, czy ona nadaje się na wychowawczynię dzieci. Dlatego w najbliższym czasie zamierza się spotkać z Eliotem. Ale Deerfield chciał wiedzieć, czy to rozsądne, aby kobieta podejmowała decyzję w takim pośpiechu, bez uprzedniej konsultacji z mężem. Wtedy Mary wypowiedziała dobrze wyćwiczone zdanie, że najpierw chce się przekonać, czy taka możliwość w ogóle istnieje, a dopiero potem obciążać jego barki owym pomysłem. Poza tym pastor Norton zgodził się, że to znakomity sposób wykorzystania darów Bożych na chwałę Pańską. Może właśnie dlatego Bóg uczynił ją bezpłodną.

– Kiedy wrócę do domu, kolacja będzie gotowa? – zapytał.

– Gdyby wielebny Eliot się zgodził, żebym mu towarzyszyła?

– Tak.

– Dopilnuję tego – zapewniła Mary, a potem zerknęła na Catherine, która wbijała wzrok w talerz, jak gdyby na kościach kurczaka ponownie wyrosło mięso.

I było po wszystkim.

\* \* \*

John Eliot nie był wysoki, ale masywny: krągły niczym dynia, o twarzy jak migdał, tyle że z wąsem, który woskował w dwa zawijasy na końcach. Choć liczył pięćdziesiąt osiem lat, jego włosy – acz lekko szpakowate – pozostały gęste i bujne, bez śladu łysienia. Rozdzielał je idealnym przedziałkiem pośrodku głowy, tak że opadały w dwóch falach na policzki aż do ramion. Oczy miał kobiece i łagodne.

Wstał zza biurka, kiedy Mary weszła do gabinetu, prowadzona przez służącą co najwyżej piętnastoletnią, podobnie jak jej pan atrakcyjną i korpulentną. Odprawiwszy dziewczynę, Eliot dorzucił polano do ognia. Jego dom był równie imponujący jak dom Burdenów.

– Nie znam zbyt dobrze pani rodziców, ale James wspaniale przysłużył się kolonii – rzekł pastor.

Pod ścianą Mary zobaczyła regał z książkami, głównie o Indianach, z których dwie napisał sam Eliot. Na stole tkwiły podniszczona od czytania Biblia, kałamarz, gęsie pióro oraz solidny stos papieru. Chociaż słońce nadal stało wysoko na niebie, a biurko znajdowało się w pobliżu okna, paliły się tu dwie świece. Eliot poprosił stanowczo, aby Mary usiadła na jedynym krześle z oparciem, sam zaś stanął przy parapecie.

– Praca mojego ojca ma niewielkie znaczenie w porównaniu z dziełami, których pan dokonuje na rzecz Indian – odparła.

– Nie lekceważmy wartości, jaką jest niesienie cywilizacji. Tam, w dziczy, cały czas widzę potrzebę poprawiania wszystkiego, wzbogacania życia. Czasem to wzbogacanie polega na głoszeniu Słowa Bożego, czasem na dostarczeniu krzesła – powiedział pastor z uśmiechem, wskazując siedzisko. – Pani ojciec sprowadza nam statki pełne uroków cywilizacji.

– Przekażę mu wyrazy pańskiego uznania.

Eliot kiwnął głową.

– Rozmawiałem wczoraj z Johnem Nortonem – poinformował.

Mary wiedziała, że wielebny zamierza wspomnieć o niej Eliotowi, lecz odczuła potrzebę podkreślenia własnej skromności wobec faktu, że dwóch tak wielkich ludzi dyskutowało właśnie o niej.

– Jestem zaszczycona. To dla mnie honor, na który nie zasługuję.

– Bzdura. Mówił, że chce pani pracować z dziećmi Hawke'ów.

– Owszem.

– Czy dlatego, że Bóg nie pobłogosławił jej własnym potomstwem?

– To, że jestem jałowa...

– To słowo zbyt ostre, niepotrzebnie. Jest pani młoda. Jeszcze może urodzić dziecko.

Zaczęła pocierać wierzch lewej dłoni w rękawiczce, tam, gdzie Thomas złamał jej kość, zaraz się jednak powstrzymała. Wchodziło jej to w nawyk.

– Fakt, że na razie nie mam dziecka – skorygowała swą wypowiedź Mary – daje mi czas na wykonywanie dzieł Pańskich, których nie mogłabym realizować, gdyby Bóg pobłogosławił mnie synem bądź córką. Ale mam i inne motywy.

– Jakże? – zapytał Eliot życzliwie.

– Kiedy sędziowie rozpatrywali mój pozew rozwodowy, wiele mówiono o Lucyferze. Co mi przypomniało, że jest On obecny nawet tutaj, w świecie po tej stronie oceanu.

– Nie boi się pani wędrówki do dziczy?

– Znam o wiele większe lęki.

– Zdziwiłaby się pani, widząc, co tam rośnie.

– Raczej mam nadzieję to zobaczyć.

Pastor się zaśmiał.

– Oto duch!

– A jeśli Diabeł chce mnie zagarnąć, równie dobrze może to zrobić w mieście, jak i w puszczy – dodała Mary. Pomyślała o widelcach i tłuczku zakopanych przed domem.

– Możliwe. Lecz puszcza to istny labirynt, w którym Indianie dostrzegają ścieżki dla nas całkowicie niewidoczne. A ludzie tacy jak Hawke'owie są równie dzicy i nieułożeni jak tubylcy.

– Nie dam się zbić z tropu – obiecała. – Słyszałam, że jedna ze wspólnot chrześcijańskich Indian mieszka na wschód od Natick.

– I chciałabyś, żebym zaprowadził cię po drodze do Hawke'ów?

– Tak.

– Owszem, ci dzicy zaczynają pojmować światło Słowa Bożego. To mała społeczność, ale dobrze rokuje.

– Może któregoś dnia i ja wniosę swój wkład w ich życie.

– Powoli. Proszę nie brać na swoje barki zbyt wiele. – Eliot podszedł do regału i podał Mary jedną z książek. – Czytała pani?

Spojrzała na tytuł: *The New England Primer*, Elementarz Nowej Anglii.

– Nie. Ale moje wnuki mają taki egzemplarz. Przywieziono go z Anglii latem.

– Zapewne na statku ojca.

– Chyba tak.

– Opowieści biblijne. Katechizm. Przepiękne drzeworyty przedstawiające Johna Rogersa i jego rodzinę płonących na stosie.

– Starsza córka Peregrine i Jonathana uważa to za makabryczne, dlatego zawsze ogląda te strony jako pierwsze.

– Nie jestem zaskoczony.

– Mam własny egzemplarz katechizmu dla dzieci *Spiritual Milk for Boston Babies*, Duchowe mleko dla bostońskich dzieci. Powinam go zabrać?

Eliot podał Mary kopię podręcznika.

– Dobry pomysł, tak. Proszę przeczytać tę i także wziąć ze sobą.

Przekartkowała książkę, zatrzymała się dopiero na ulubionym drzeworycie swojej wnuczki  
*Palenie rodziny Rogersów.*

– *Spiritual Milk* nie ma obrazków – mruknęła.

– Nic nie szkodzi.

– Świetnie. Nie mogę się doczekać podróży.

– Wygląda na to, że nie boi się pani Hawke'ów – zauważył Eliot. – A szkoda.

– Dlaczego?

– Ledwo toleruję mnie. Wątpię, żeby przyjęli posługę duszpasterską od kogoś innego.

– Rozumiem.

– Spodziewam się, że kiedy wrócę, zastanę panią siedzącą samotnie na pieńku przed ich farmą.

Wygnaną z domostwa.

– Jeśli zdecydują się okazać mi brak gościnności, będę przynajmniej wiedzieć, że próbowałam.

Pastor spojrział na lewą dłoń Mary.

– Goi się?

– Jest lepiej.

Eliot odwrócił wzrok ku oknu i skupił uwagę na dwóch wronach, które na podwórku dziobały resztki martwego szopa pracza.

– No cóż, las może i jest niebezpieczny, ale przynajmniej nie nadzieje się tam pani na dzióbek imbryka.

– To prawda – zgodziła się Mary.

Widać było, że pastor nie przyjął do wiadomości wersji Thomasa. Większość mężczyzn z miasta mówiła jedno, a myślała drugie. Eliot najwyraźniej chciał dać swemu gościowi do zrozumienia, że uważa zeznania Deerfielda za kłamstwa.

– Może mi pani towarzyszyć jutro? – zapytał.

– Tak. Przed obiadem czy po nim?

– W grę wchodzi cały dzień. Wyruszam o świcie, wracam tuż przed zachodem słońca. Czy to kłopot?

– Nie.

– Dobrze. Osiedle, które zamierzam odwiedzić, nie leży ani daleko, ani zbyt głęboko w puszczy. Jednakże dotarcie do Hawke'ów zajmie nam dwie, trzy godziny. Proszę więc spodziewać się pięciu godzin jazdy w siodle. Posiedzę u Indian ze trzy godziny, bo dni są już krótkie. Niech czas spędzony z tą rodziną potraktuje pani jako przygotowanie do nauki katechizmu.

– Jestem panu wdzięczna.

– A, i proszę nie zakładać, że będzie mi pani często towarzyszyć. Realizujmy to powoli, krok po kroku. Najpierw jedna podróż, po przerwie druga.

– Jestem do usług, o ile prawdziwie zdołam uwielbić Boga.

Eliot przyglądał się Mary przez chwilę.

– Ja jestem dość tęgi, a pani drobna. Mam tylne siodło na konia, może pani jechać ze mną. Niestety, czeka nas błotnista droga, topniejący śnieg. Ma pani ochraniacze na buty?

– Mam długie, grube pończochy.

– Świetnie. Proszę się stawić o świtanii.

Mary wstała i podziękowała pastorowi. Thomas powie zapewne coś uszczypliwego na temat tempa, z jakim rozwijają się wydarzenia po tym, jak wyjawiała mu plan, ale raczej nie powstrzyma jego realizacji. Miała teraz błogosławieństwo zarówno wielebnego Nortona, jak i wielebnego Eliota. Thomas powinien docenić to, że nie musi wracać do domu na obiad i może sobie wypić dodatkowy kufel lub dwa w gospodzie koło młyna.

\* \* \*

W drodze powrotnej Mary wstąpiła do rodziców. Wpatrując się w schody, myślała, jak przyjemne było tu życie, mimo stresu związanego z procesem sądowym i niepokoju dotyczącego zeznań Abigail, która widziała pocałunek jej i Henry'ego. Pani Deerfield opowiedziała matce o planowanej nazajutrz wizycie u rodziny Hawke'ów. Wspomniała, że dwóch cieszących się najwyższym szacunkiem kolonii mężczyzn popiera ów zamiar. Wiedziała, że matka rozpowie o tym ludziom, a im więcej osób dowie się o zaufaniu, jakie pokładają w Mary John Norton i John Eliot, tym bezpieczniejsza będzie na wypadek plotek, a nawet zarzutów o uprawianie czarów.

Priscilla milczała, gdy jej córka szczegółowo przedstawiła swój plan. Widać było, że jest zarazem dumna i zaniepokojona, czego Mary właściwie się spodziewała.

– A zatem wyjeżdżasz jutro? – spytała matka. Oczy miała czujne.

– Tak. Ogromnie się cieszę na tę szansę.

– Do puszcy?

– Ale nie tak strasznie daleko. Nie musisz się obawiać. Wyruszymy z samego rana i wrócimy o zmierzchu. Nie grozi nam pobyt w lesie po ciemku. Postrzegam to wszystko jako skromną próbę, sprawdzian, czy moje predyspozycje dorównują zamiarom. Myślę, że Eliot widzi to w ten sam sposób.

– Ufam wielebnemu.

– Ja też.

– Mimo wszystko, Mary, bądź ostrożna.

– Moja dusza jest w rękach Boga. I Jemu ufam – powiedziała Mary.

Gdy słowa uleciały z jej ust, uświadomiła sobie, że choć teoretycznie nie skłamała, to jednak wprowadziła własną matkę w błąd i użyła imienia Pańskiego jako narzędzia swoich machinacji.

– Chętnie dowiem się wszystkiego na ten temat. Szlachetnie z twojej strony, że chcesz pomóc Hawke'om. Zmierzaj do Nieba, ale powściągnij nadmierne oczekiwania.

– Nie mam żadnych – zaśmiała się Mary.

W ostatniej chwili powstrzymała się od słów, że czuje powołanie Boże – to już byłoby zbyt wielkie kłamstwo. Co innego stać obok ognia, a co innego wejść prosto w płomień. Dodała więc tylko:

– Będę robić to, co zaleci mi John, bacząc na jego rady. Jutro pewnie do niczego się nie przydam, ale za to sporo się dowiem.

– O Hawke'ach.

– Tak, o Hawke'ach – zgodziła się Mary, choć oczami wyobraźni zobaczyła tojad. Miała nadzieję, że o nim też wiele się dowie.

\* \* \*

Zaraz po zachodzie słońca, kiedy Mary i Catherine przygotowywały kolację, pojawił się Jonathan Cooke. Jak powiedział, chciałby się widzieć z Thomasem. Z powodu zimna kurtkę miał zapiętą na wszystkie guziki, a czapkę naciągniętą głęboko na czoło.

– Powinien lada chwila wrócić. Poczekasz? – spytała Mary.

Starła się spoglądać na tego człowieka z miłością, lecz po tym, co mówił Thomas, Jonathan bardzo stracił w jej oczach. Mary trapiło nie to, że prosił jej męża o pieniądze, lecz fakt, że cały posag roztrwonił na gry hazardowe. Czowała się nim rozczarowana, do tego stopnia, że twarz, która kiedyś sprawiała na niej wrażenie przystojnej, teraz zdawała się należeć do zwykłego hulaki.

– Tak, poczekam – odrzekł Jonathan, uśmiechając się mile.

Catherine nałła mu trochę cydru.

– Co u waszej rodziny? Jak się czuje Peregrine? – zagaiła Mary.

Stał przy ogniu, sącząc trunek.

– Miała przykre poranki. Albo z powodu dziecka, albo zjadła coś złego. Może przez zmianę pogody.

Mary zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– W poprzednich ciążach też odczuwała takie dolegliwości?

Jonathan wzruszył ramionami.

– Trochę. Ale słyszałem, że jedna ze służących twoich rodziców, Hanna, chorowała podobnie.

– Jak Peregrine?

– Tak. Ale nie jestem lekarzem – odrzekł.

Mary chciała zapytać o coś więcej, ale Jonathan podjął:

– Pewnie ci ulżyło, że proces sądowy masz już za sobą, mimo że nie zakończył się po twojej myśli.

– Jestem tutaj – podkreśliła, zaskoczona, że zięć w ogóle podjął ów temat.

– Istotnie, jesteście. Thomas ma wielkie szczęście. Ty również, Catherine.

Dziewczyna podniosła wzrok, lekko spłoszona wspomnieniem swego imienia w tej rozmowie.

– Bądź co bądź – mówił dalej Jonathan – twoja pani wróciła do domu. Świat znów toczy się właściwym torem, prawda?

– Prawda – powtórzyła ulegle służąca, ale Mary widziała, że wcale w to nie wierzy.

– Koniec diabelskich sztuczek z widelcami? – zapytał Jonathan, upiwszy potężny łyk cydru.

Mary nie miała pojęcia, do kogo się zwrócił. Jego zachowanie wskazywało, że wcześniej wstąpił do jakiegoś szynku.

– Jonathanie, w owych widelcach nie ma nic diabolicznego, a przynajmniej nic, co Catherine i ja uważałybyśmy za godne rozmowy – powiedziała ostrożnie.

– Przecież to ty wystawiłaś je na widok publiczny w ratuszu – odparł.

– Nigdy ich tam nie zanośiłam! – przypomniała mu Mary.

– Fakt. – Jonathan sugestywnie pogroził palcem służącej. – Ona to zrobiła. Dziś muszą w tym domu panować miłość, zaufanie i pokój, który przewyższa wszelki umysł.

– Naśmiewasz się z Pisma?

– Nie. Tylko je cytuję, Mary. Tylko cytuję.

Z zewnątrz dobiegł ich odgłos końskich kopyt.

– To pewnie Thomas – oznajmiła gospodyni, zaskoczona, jak szybko ta wizyta przybrała niezręczny obrót.

Jonathan odstawił kufel.

– Dziękuję, Catherine – rzekł. – Dziękuję wam obu. Muszę chwilę porozmawiać z twoim mężem, dopiero potem się pożegnám – powiedział, po czym wyszedł przed dom na spotkanie Thomasa.

Żadna z kobiet słowem nie skomentowała zachowania Jonathana. Mary nie chciała, a Catherine nie ośmieliła się tego zrobić.

\* \* \*

Po kolacji Catherine wyszła zajrzeć do zwierząt. Mary została z Thomasem sama. Spytała, czy Jonathan znów naciskał na pożyczanie pieniędzy.

– Tak – przyznał Deerfield, wkładając płaszcz.

– Wracasz do karczmy?

– Owszem.

– Jaką podjąłeś decyzję?

– W sprawie Jonathana? Już ci mówiłem: dam mu trochę otrębów i mąki.

– Czy to wystarczy? Sprawiał wrażenie człowieka w wielkiej potrzebie.

Thomas spojrzął na żonę i się zachmurzył.

– Dlaczego ciągle o tym głędzisz?

– Sam wspomniałeś o tej kwestii wieczorem, w łóżku. Staram się być dobrą małżonką.

Powędrował wzrokiem ku drzwiom, dla pewności, że Catherine jeszcze nie wraca.

– Czasem wydaje mi się, że on chce mojej śmierci. Żeby Peregrine otrzymała spadek.

– Jonathan?

Deerfield zamknął oczy i potarł grzbiet nosa.

– To nie twoje zmartwienie.

– Przepraszam.

– Nic im nie będzie. Żadnemu z nich.

– Peregrine źle się czuje – poinformowała Mary.

– Bo jest przy nadziei.

– Mogła zjeść coś, co jej zaszkodziło.

Thomas z odrazą pokręcił głową.

– Och, ten twój umysł, Mary, ten twój umysł. Jednego dnia jesteś durna jak małe dziecko, a innego próbujesz rozwiązać zagadki wszechświata. Jestem znużony. Drażnisz mnie i drażni mnie ten bezbożny paw, który ożenił się z moją córką. Nie każ mi...



Czekała w milczeniu. Wiedziała, że nie wolno jej dokończyć za niego zdania ani zmuszać go, by sam to zrobił.

– Nieważne, co jej dolegało – rzekł wreszcie Thomas. – Już dochodzi do siebie.

Powiedziawszy to, wyszedł.

Przez dłuższą chwilę, nim Catherine wróciła do domu, Mary stała zagubiona w myślach, w poczuciu, że źle osądziła Jonathana i Peregrine, a także być może Reбекę. Wszędzie widziała spiski, które okazały się tylko fantazmatami, a nie zauważyła prawdziwych trucizn. Po raz kolejny przyszło jej do głowy, że naprawdę jest opętana.

„Uważam, że ona mogła się nauczyć różnych rzeczy – złych, mrocznych – od tej kobiety, od Constance Winston”.

*Zeznanie Catherine Stileman, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 27

Mary kołysała się na siodełku za plecami Johna Eliota. Minęli już ostatnie pola uprawne na obrzeżach miasta – ciche i spokojne, o ziemi stwardniałej przed zimą. Przyglądała się wielkiemu stadu gęsi ulatujących na południe na tle płaskiego szarego nieba. Od wielu tygodni nie widziała kluczy tych ptaków, dlatego teraz zaczęła się zastanawiać, co ów widok oznacza. Z jak dalekiej północy przybyły, skoro nad Bostonem leciały dopiero teraz? Eliot nie odzywał się od wyjazdu z Przesmyku, gdzie rzucił jedną uwagę: miasto bardzo się rozbudowało. Mary uznała ciszę między nimi za kojącą i życzliwą.

Od lat nie siedziała na końskim grzbiecie. Nie pamiętała też ostatniego razu, kiedy jechali razem z Thomasem. Gdyby jej rodzina pozostała w Anglii, pewnie nauczyłyby się tego sama. Miałyby własnego konia, bardzo podobnego do Cukierka.

Wierzchowiec Eliota był masywnym czarnym wałachem, którego pastor nazywał Jowiszem. Zwierzę poruszało się tak szybko, że Mary musiała trzymać się mocno uchwytów siodła. Koń zwolnił dopiero, gdy znaleźli się w lesie. Tam torował sobie drogę ostrożnie, stąpając po opadłych liściach, które pokrywały grunt niczym dywan. Ścieżka pozostawała na tyle szeroka, by zmieściły się tam dwa konie idące obok, a może nawet wóz. Szybko jednak się zwężała – Mary i pastor musieli pochylać głowy przed gałęziami.

– Proszę pamiętać, Hawke’owie zostali ekskomunikowani nie bez powodu – przerwał ciszę Eliot. – Nadal brodzą w ciemnościach. Może nie stali się niewolnikami Szatana, ale są bardzo nieułożeni.

– A ich dzieci?

– Bardziej wdały się w matkę niż w ojca. Spokojne. Zasadnicze. Nie mam pojęcia, co czai się za ich oczami.

Wtedy, za wielkim sosnowym lasem, zobaczyła nagle pole kukurydzy, z dawno zebranyimi plonami, po których zostało ściernisko. Usłyszała szum rzeki i zrozumiała, że dotarli do farmy.

\* \* \*

Zatrzymali się przed krytym strzechą domem, ze sporym kominem na tyłach, z którego buchały w niebo kłęby dymu. Za domem stała niewielka stodoła, a obok znajdował się wytyczony kwadrat, gdzie Esther uprawiała zioła i gotowała. Nigdzie nie było ani kamiennego murku, ani płotu, ponieważ Hawke'owie nie mieli sąsiadów.

– Tego się spodziewałaś? – zapytał Eliot.

– Nie miałam żadnych oczekiwań – odparła Mary.

Z chaty wyszła kobieta z dzieckiem na rękach, a za nią dwie płaczące się u nóg dziewczynki: jedna dwuletnia, druga – jak podejrzewała Mary – w wieku lat czterech lub pięciu. Szybko zniknęły za domem, skąd dobiegł ich chichot.

– Edmund i jego dwaj starsi synowie z pierwszego małżeństwa zapewne wybrali się na polowanie – mruknął Eliot. – A oto i Esther.

Kobieta miała na sobie postrzępioną suknię i straszliwie poplamiony fartuch. Spod kornetu wystawały wielkie macki rozczochranych rudych włosów. Była szczupła, ale nie do granic wyniszczenia.

Eliot zsiadł, a potem ujął Mary za rękę – wahał się krótko, nim dotknął jej lewej dłoni. Skinęła głową, że nic się nie stało, a wtedy pomógł jej zsunąć się z wierzchowca. Gdy stawała na ziemi, przewieszony przez ramię sakwojaż z dwiema książkami uderzył ją w biodro.

– Dziś przywożę ze sobą nową przyjaciółkę – zaczął pastor. – Nazywa się Mary Deerfield. Mary, poznaj Esther Hawke.

– Ty też ryzykujesz własną duszę, odwiedzając takich jak my w drodze do nawróconych Indian? – zapytała Esther, taksując Mary wzrokiem.

– Moja dusza jest niezagrożona – odparła Mary.

– Poza tym nie jedź dalej – dodał Eliot. – Nie jedź do miasteczka.

– Miałam nadzieję zostać z tobą i z waszymi dziećmi, gdy pastor ruszy do Indian – oznajmiła Mary.

– Świetnie. To chyba mamy szczęście, co? – mruknęła Esther.

Dwie dziewczynki pojawiły się znowu i zaczęły grać w berka. Matka służyła im za drzewo albo tarczę. Eliot wpatrywał się w Esther, a Mary nie potrafiła ocenić, czy jest sfrustrowany brakiem dyscypliny u dzieci, czy raczej boi się, że zachowają się bezczelnie. Pani Deerfield uklękła więc i uśmiechnęła się do maluchów.

– Czyż nie po to tu przyjechałam? – rzuciła do Eliota przez ramię.

Z roztargnieniem kiwnął głową. Starsze dziecko z nabożnym niemal podziwem musnęło palcami kaptur i flanelowe rękawiczki Mary, wciąż śnieżnobiałe.

– Ach, więc jesteś guwernantką! – zawołała Esther. – Pierwszy Kościół uznał, że potrzebuję pomocy, i wspaniałomyślnie przysłał mi służącą! Jesteś u mnie na posadzie, Mary Deerfield?

– Mary jest żoną jednego z najprężniejszych młynarzy w Bostonie i córką jednego z naszych najważniejszych kupców, Jamesa Burdena – wyjaśnił Eliot.

Nie mógł nie usłyszeć szyderstwa w głosie gospodyni, lecz najwyraźniej dla dobra sprawy postanowił je zignorować.

– Rzeczywiście przyjechałam pomóc, jeśli tego zechcesz – poinformowała Mary.

– W praniu i gotowaniu?

Mary wyjęła z sakwy *Spiritual Milk for Boston Babies* i pokazała książkę Esther.

– Znam twoją historię, wiem, że jesteś sama.

– Sama? Doprawdy, chwilami niczego nie pragnę bardziej niż samotności!

– Twoja rodzina jest samotna. Wybacz, ale tylko potwierdzasz tymi słowy, że słusznie się pojawiłam. Naprawdę mogę wam pomóc.

Esther zerknęła na Eliota.

– Odkąd to Kościół chce mieć z nami cokolwiek wspólnego?

Pastor zaśmiał się cicho.

– Kościół nie. To Mary czuje powołanie podobne do mojego.

– Czyli jesteśmy twoimi poganami do ewangelizowania, Mary Deerfield?

– Och, odnoszę wrażenie, Esther, że ty nauczysz mnie o wiele więcej, niż ja zdołam przekazać tobie.

\* \* \*

Po odjeździe Eliota Esther zaprowadziła Mary do chaty, gdzie stały długi, solidny stół, kołowrotek oraz jedno rozchwiane krzesło. Za podłogę służyło klepisko, lecz ogień palił się mocno, nadając wnętrzu przytulność. Mary zobaczyła drugie pomieszczenie, gdzie zapewne sypiali wszyscy domownicy, jednak Esther nie zaproponowała oprowadzania. Gość usiadł więc na kocu, razem z dziewczynkami, podczas gdy gospodyni karmiła piersią marudzące niemowlę.

Starsza dziewczynka spojrzała Mary w oczy i powiedziała coś po algonkińsku.

– Ona zna język Indian? – spytała pani Deerfield zbity z pantaląku, z niedowierzaniem.

– Honour chce wiedzieć, czy tak delikatne rękawiczki zapewniają palcom ciepło – przetłumaczyła matka dziecka. – Wszyscy jesteśmy dwujęzyczni. Przecież wiesz, gdzie mieszkamy.

– Tak – odpowiedziała Mary dziewczynce. – Moje rękawiczki dobrze spełniają swoją funkcję. A zatem ty jesteś Honour. A jak ma na imię twoja siostra?

– To Dorcas i Serenity – odparła mała. – Serenity jest niemowlęciem.

– Masz dzieci? – rzuciła Esther.

– Nie. Pan Bóg nie pobłogosławił mnie tym darem.

– A czym cię pobłogosławił?

Mary nie umknęła ostrej dociekliwości zawarta w tym pytaniu. Ta kobieta świetnie by sobie radziła jako sędzia sądu miejskiego.

– Dał mi życie oraz skarby tego świata – odrzekła.

Gospodyni przewróciła oczami.

– Powiedz, proszę, po co tak naprawdę tu przyjechałaś?

Dorcas wpatrywała się w twarz Mary.

– Sądzisz, że potrzebujemy twojej pomocy?

Honour klęczała teraz, z rękoma na udach, pochylona nad książką, którą trzymała Mary. Ta zerknęła na pierwszą stronę *Spiritual Milk*:

P. Co BÓG dla ciebie uczynił?

O. BÓG mnie stworzył, utrzymuje mnie przy życiu i może mnie zbawić.

Książki były tylko przykrywką, nie powodem podróży w to miejsce, Mary potrzebowała ich, by tu dotrzeć. Ów pierwszy traktat stanowił pomoc przy nauczaniu wiary chrześcijańskiej, przypomniały jej się jednak drzeworyty z *The New England Primer*. Powinna była zacząć od nich. Znalazła strony z wyobrazeniami Johna Rogersa płonącego żywcem na stosie, a także jego dzieci o anielskich spojrzeniach pędzonych na śmierć. Te właśnie obrazki stanowiły największą atrakcję w oczach jej starszej wnuczki. Mary pomyślała też o księdze baśni, którą miała jeszcze w Anglii. Tamte historie, rzecz jasna, były strawą nieodpowiednią dla chrześcijanina – teraz to rozumiała. Wówczas jednak uwielbiała baśnie. Przypomniawszy sobie przyjemność, jaką z nich czerpała, poczuła lekkie wyrzuty sumienia.

– Może przyjechałam tylko poczytać – odparła i zaczęła głośno recytować: – „Pan John Rogers, londyński głosiciel i sługa Ewangelii, był pierwszym męczennikiem w okresie rządów królowej Marii Stuart. Został spalony w Smithfield w czternastym dniu lutego 1554 roku. Wraz z nim na stos poszła jego żona oraz dziewięcioro małych dzieci, włącznie z niemowlęciem przy piersi. Ów straszliwy widok żadną miarą nie odstraszył męczennika, który z cudowną cierpliwością i odwagą umierał dla Ewangelii Jezusa Chrystusa”.

Honour wskazała na obrazek.

– Dlaczego usmażyli tego człowieka i jego dzieci?

– Przecież już znasz odpowiedź na to pytanie – skarciła ją Mary łagodnie. A ponieważ Esther i dziewczynki milczały, dodała: – Ten człowiek kochał naszego Boga tak bardzo, że chciał dla Niego zginąć.

Honour zdjęła książkę z kolan Mary i zaczęła ją kartkować. Tymczasem Esther skończyła karmić córeczkę i wstała.

– Mam swoją robotę. Jeśli życzysz sobie opiekować się moimi dziećmi, Mary Deerfield, są twoje. Ale nie zakładaj, że skoro mieszkamy w pobliżu Indian, jesteśmy tak żałośnie niewyrobieni, by potrzebować kształcenia. W tym względzie Honour mogłaby cię zadziwić.

Mary również wstała. Skoro tamta przemawiała tak bezpośrednio, trudno, niech będzie.

– Esther... – zawahała się. – To ja potrzebuję kształcenia.

Kobieta czekała.

– Potrzebuję twojej pomocy – podjęła Mary.

– Wątpię, żeby ekskomunikowana dusza, taka jak moja, miała ci coś do zaoferowania.

– Mylisz się. – Mary ujęła Esther pod łokieć i łagodnie odprowadziła na bok, z dala od starszych dziewczynek. – Mamy wspólną przyjaciółkę: Constance Winston.

– Jesteś taka jak Constance? – spytała Esther.

Mary nie wiedziała, co to właściwie oznacza.

– Jestem niezależna, a do kwestii waszej ekskomuniki podchodzę z odwagą. Ciebie i twojego męża uważam za mądrych ludzi – odrzekła wymijająco.

– Mądrych? Ponieważ wybraliśmy życie tutaj, a nie pod butem takich osobników jak John Norton?

– John Eliot nie zerwał wszystkich więzów z waszą rodziną.

– Postrzega nas w taki sam sposób, jak swoich modlących się Indian. Jako zagubionych i bez pojęcia.

– Dobrze. Ale jest pewna rzecz, co do której z całą pewnością się zgodzimy. Diabeł istnieje naprawdę, jest tutaj, w Massachusetts.

– Tak. I?

– Wykorzystuje kogoś w Bostonie, żeby mnie atakować.

Esther milczała. Patrzyła na swoje dziewczynki pochylone nad książką.

– Rozumiesz? – nacisnęła Mary, nawet nie starając się tłumić napięcia.

– Jak?

– Próbuje mnie otruć, rzucić klątwę. Z pomocą wiedźmy, która zagraża mnie oraz – tu przesadziła, byleby zyskać wsparcie tamtej – mojemu mężowi i naszej służącej.

– A ty wiesz, kim jest ta osoba?

– Tak – skłamała Mary w żywe oczy.

Esther umieściła niemowlę na kocu i podeszła do sakwojażu z jeleniej skóry, który leżał na ziemi w kącie. Wyjęła z niego zakorkowaną buteleczkę, którą podała gościowi.

– To wyleczy niektóre zatrucia – powiedziała.

Roztwór był wodnisty i brunatny, kojarzył się Mary z deszczówką, która gromadziła się wiosną w jej pełnym błota ogródku. Widywała już takie butelki podczas odwiedzin u Constance.

– Esther, czego najbardziej pragniesz dla swoich dzieci? Jakich... rzeczy?

– Przywiozłaś nam książki z drzeworytami ukazującymi palących się ludzi – odrzekła kobieta. – Czegóż więcej moglibyśmy żądać?

– Może zacznijmy od lepszych butów dla twoich dziewczynek. Nie chciałabyś, żeby było im ciepło w nogi? Nie chciałabyś lepszych peleryn? – Mary zerknęła ku drzwiom pokoju, gdzie sypiała cała rodzina. – Powłoczek na poduszki? Nowych kołder?

– Nie musisz ze mną handlować, żeby otrzymać lek – powiedziała Esther. – Nie wygnano mnie dlatego, że byłam okrutna. Zostaliśmy napiętnowani, bo wskazaliśmy łajdaków wśród starszych Kościoła, skrytykowaliśmy fanatyków, którzy powiesili Ann Hibbens.

– Doceniam to – oznajmiła Mary, świadoma, że musi ujawnić więcej. – Czy potrafisz dochować tajemnicy, jako matka? Nie powiesz nikomu o naszej rozmowie?

Esther machnęła ręką dookoła.

– Cała chmara słuchaczy tylko czeka na to, co powiem.

Mary kiwnęła głową.

– Dziękuję. Zależy mi na czymś, za co jestem w stanie wiele dać, o ile pozostanie to sekretem.

– Buty i peleryny – rzekła kobieta zdecydowanym tonem.

– Tak! Wrócę tu z butami i pelerynami, wieloma. Obiecuję.

– Jeżeli nikomu nie powiem.

Mary zdała sobie sprawę, że nie potrafiłaby odmówić tym dziewczynkom niczego, bez względu na decyzję Esther. Naprawdę przyjedzie tu powtórnie z lepszą odzieżą, chroniącą od zimna – bez względu na wszystko. Był to uczynek miłosierdzia i jako taki nie wchodził w zakres negocjacji. Wyczuwała jednak, że Esther połknęła haczyk, że złapała ją na wędkę. Dlatego odpowiedź przyszła jej łatwo:



– Mój ojciec cieszy się wielkim powodzeniem, sprowadza do Bostonu towary z Anglii i z Jamajki.

Przywiozę waszej rodzinie podarunki, bo ich potrzebujecie. A także dlatego, że mnie na to stać.

– Ja natomiast posiadam coś, czego ty pragniesz, a czego nie ma w tej buteleczce?

– Tak.

Esther sprawdziła powijaki niemowlęcia, które już usnęło.

– Pragniesz czegoś złego. Na tym polega ów sekret?

– Nie ma niczego złego w sprawiedliwości i zadośćuczynieniu – odparła Mary.

– Łakniesz czegoś, czego nie sporządzą ci w żadnej bostońskiej aptece. Już pojmuje. Będę musiała pomówić z mężem. Edmund i ja podejmiemy decyzję razem.

– Szanuję to. Wrócę więc. – Spojrzała na dziewczynki. – *Chcę tu wrócić.*

– A gdyby to Edmund *pragnął* się dowiedzieć, o kogo chodzi, kto byłby celem, powiesz nam?

– Nie. Nie zamierzam was w nic wplątywać.

Esther uśmiechnęła się porozumiewawczo, prawie konspiracyjnie, a Mary natychmiast ogarnęło radosne podniecenie, ponieważ wyobraziła sobie, jakie siły wkrótce uwolni.

„Już odpowiedziałam: piłyśmy sobie herbatę”.

*Zeżnanie Constance Winston, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 28

– Esther Hawke była bardzo zajęta, więc miałam przywilej spędzić czas z jej dwiema córeczkami – opowiadała Mary Thomasowi i Catherine wieczorem, przy kolacji. – Co za słodkie dzieci!

– Tyle że prawdopodobnie potępione – mruknął Thomas.

Jego kufel z piwem był prawie pełny. Oczywiście wyobraźni Mary ujrzała, jak wlewa do niego całą zawartość buteleczki z tojadem. Zastanawiała się, czy prawie pełny kufel wystarczyłby do zamaskowania smaku trucizny.

Pokręciła głową, starając się odpędzić tę wizję. Wprawdzie opracowanie konkretów miało kluczowe znaczenie, jednak samo w sobie wywoływało w niej stres. Do dalszych działań napędzała ją wciąż dość abstrakcyjna myśl.

– A chłopcy poszli polować z ojcem? – zapytała Catherine.

– Tak.

Mary opowiedziała im o planie powrotu z nowymi butami i pelerynami. Thomas sprawiał wrażenie mało zainteresowanego. Mówiąc, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona: niemal pięć godzin spędziła w siodle na końskim grzbiecie i ponad dwie z Hawke'ami, w nieustannym chłódzie. Poza tym były jeszcze niepokój związany z negocjowaniem z Esther i świadomość, że teraz owa kobieta oraz Constance Winston wiedzą, że pani Deerfield pragnie poznać recepturę trucizny. Zaraz po powrocie do domu Mary wylewnie podziękowała Catherine za to, że sama przygotowała obiad dla Thomasa, a także kolację dla wszystkich, jednocześnie radząc sobie z codziennymi obowiązkami i oporządzeniem zwierząt bez niczyjej pomocy. Ale to właśnie Mary prawie zabrakło energii, by opowiedzieć tym dwojgu o mijającym dniu. Była im to jednak winna.

Legenda, jak to zamierza pomóc Hawke'om i przywrócić ich na łono Kościoła, miała jej służyć do ochrony samej siebie. Nigdy nie wiadomo, czy pewnego dnia nie będzie potrzebować tej niesympatycznej młodej kobiety, z którą teraz spożywa posiłek, aby zeznawała na korzyść swej pani.

\* \* \*

Rankiem, przed śniadaniem, Thomas czytał Psalterz, a kiedy skończył, urwał sobie kawałek chleba i odkroił plaster sera.

- Dziś znowu Hawke'owie? – zapytał Mary, żując.
- Nie. John Eliot wybiera się do Indian dopiero w przyszłym tygodniu.
- To chyba dobrze. Bo twoje podróże stanowią obciążenie dla Catherine.

Mary zwróciła się do dziewczyny:

- Dziękuję ci w imieniu dziewczynek Hawke'ów.
- Wykonuje pani godziwą pracę – powiedziała Catherine.

Chciała coś dodać, ale nagle w kominku zapadło się polano. Szybko wstała i wyszła z domu po więcej drewna.

Thomas uniósł leżący na desce ser i się w niego zapatrzył. Potem odezwał się zaskakująco melancholijnym tonem:

– Nabiał. Twój mózg, Mary. To nie to samo, co spożywanie ciała i krwi naszego Zbawiciela. A jednak symptomatyczne. Gdy moje zęby wbijają się w ten nabiał, myślę o tobie i twoim mózgu.

Westchnęła.

- Skąd ten gniew, Thomasie? Powiedz, co uczyniłam, by sobie zasłużyć na to stwierdzenie?

Deerfield przełknął.

– Nie wiem, co planujesz – oznajmił. – I nie wiem, co masz w głowie. Ale na pewno coś złego, złowieszczonego. Nie domyślam się jednak...

– Albo mam w głowie nabiał, albo knuję ze złym! – zachnęła się Mary. – Ser nie słynie jako szczególnie groźny i zgubny. Kimże więc jestem? Idiotką czy wiedźmą?

– Zważ, w jaki sposób do mnie mówisz! – odparł atak. – Nie chciałbym, żebyś doznała kolejnego wypadku.

Oboje się odwrócili, kiedy tylne drzwi się otworzyły i weszła Catherine z naręczem drewna.

– Myślę, że wyświadczasz Hawke'om szczerą przysługę, Mary – rzucił Thomas. – O ile Catherine nie odczuwa nadmiernego ciężaru ze względu na twoje wysiłki...

– Moje powołanie – poprawiła męża, i choć stanowiło to kolejne wyzwanie, dopilnowała, by wyrzec to z uśmiechem.

– O ile Catherine nie odczuwa nieprzyjemnego zwiększenia ilości pracy pod twoją nieobecność, możesz realizować swoje... powołanie.

- Dziękuję – mruknęła Mary.

Patrzyła, jak Catherine kładzie dwa polana na gorące węgle, a kora zajmuje się ogniem. To było piękne, przywodziło na myśl drzeworyty z Johnem Rogersem i jego rodziną, postaciami, z których

plomień zdzierały skórę, zmieniały ich kości w popiół.

\* \* \*

Musiała zobaczyć Henry'ego Simmonsa. Nie była to fizyczna potrzeba, taka jak dostarczenie ciała pokarmu i ciepła, a raczej – wmawiała sobie – kwestia praktyczna. Owszem, Mary wiedziała, że go *pożąda* – gdy wyraz ów wyświecił się w jej umyśle, ogarnęła ją niespodziewana fala szczęścia. Tym razem jednak nie o to chodziło. Henry musiał po prostu zostać poinformowany o pewnych sprawach, nim nastąpią, i to z szybkością, nad którą Mary może nie zapanować. Lecz ona podjęła już decyzję, że kiedyś, w końcu, będą razem. (On nie powinien znać jej planu, a gdyby coś podejrzewał, zamierzała zaprzeczać. Jeśli sama będzie potępiona, nie pozwoli, by to spotkało także jego). Rozważała napisanie do Simmonsa listu i opowiedzenie mu o niektórych swoich intencjach, nie mogła jednak ryzykować pozostawienia śladu. Zbyt wielka szansa, że ktoś go znajdzie. Po przegranej sprawie rozwodowej Mary zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej ufać nawet własnym rodzicom. Owszem, kochali ją, lecz sędziów bali się chyba bardziej niż Pana Boga. Aby ochronić córkę przed strykiem, wtrącili ją do więzienia zwanego małżeństwem. Gdyby znali jej plany, byłiby przerażeni. Zawstydzeni. Nie mogła powiedzieć im ani słowa.

Postanowiła, że mimo wszystko wybierze się na spacer na nabrzeże, tam, gdzie ojciec i Valentine Hill mają swoje magazyny. Chcąc zminimalizować ryzyko, że zostanie zauważona przez plotkarki, obrała dłuższą trasę: obeszła rynek i ratusz. Boston rozrastał się tak szybko, że nawet boczne uliczki tętniły życiem, handel rozkwitał. Minęła zakład szewski, aptekę, kolejną piekarnię – nienależącą do Obadiaha, nową, w której nie kupowała – mosiężnika, krawca, bednarza i stolarza. Nie wątpiła, że jej współmieszkańcy wykonują tu swą pracę solidnie, realizują dzieło Boże, cywilizując ten zakątek ziemi. A jednak coraz bardziej czuła się tutaj jak... w Londynie. A przynajmniej w tym Londynie, który pamiętała. Boston był mniejszy i czystszy, a zarazem brakowało mu elegancji tudzież zbytków wielkich majątków. To dopiero nadejdzie. Nadchodziło codziennie, statkami. Coraz częściej, gdy wędrowała po mieście, czuła jego rozgardiasz i tętno, widziała ludzkie tłumy, doświadczała daremności. Czy oddzielili się od Kościoła w kraju oraz od tego wszystkiego, co znali, tylko po to, by utworzyć mniejszą, mniej wyrafinowaną wersję pozostawionej za oceanem metropolii? Pomyślała o uniwersytecie po drugiej stronie rzeki. W tym roku ukończono budowę Wielkiego Mostu, łączącego miasto z Cambridge.

Zobaczyła krążącego na niebie jastrzębia, polującego na nieznaną ofiarę. Szybko skierowała wzrok z powrotem na ulicę, szukając pilnie kogoś, kogo mogła znać, gotowa wybrać inny dzień na

wyprawę do portu, gdyby została rozpoznana.

Zbliżając się do magazynów, Mary nie potrafiła ustalić, czy odczuwa dystans wobec Boga z powodu własnych planów, czy może to Diabeł toruje sobie drogę do jej duszy. Albo też szybki rozwój Bostonu uniemożliwiał wszystkim jego mieszkańcom dostrzeżenie zamiarów Pana. Wątpliwości co do budowy nowego świata, jakie żywiła Mary, jej samej wydały się żałosne i przejawskrawione, lecz co właściwie udało się osiągnąć, choćby w perspektywie jej własnego domu? Miała męża nikczemnika, służącą, która była albo zła, albo znajdowała się pod wpływem urojeń, a także rodziców, którzy zesłali ją do lochów Thomasa Deerfielda. Tak, John Rogers poszedł chętnie na stos dla Boga, i owszem, równie chętnie oddał płomieniom swoją żonę i dzieci. Jej Bóg o to nie prosił. Mary nie bardzo wiedziała, czy Bóg w ogóle czegoś od niej chce. Dobre uczynki na rzecz dzieci Hawke'ów to oczywiście tylko niezamierzony skutek spisku, knucia, któremu się oddała. Lecz Bóg wiedział wszystko: czyż to nie On uruchomił lawinę zdarzeń, aby ostatecznie Mary zawiozła dziewczynkom najpotrzebniejsze im rzeczy? Buty i peleryny.

Stała przed magazynami. Oto one: imponujące monolity należące do jej ojca i Valentine'a Hilla. Marynarze i inni ludzie z obsługi pracowali odziani w skórzane okrycia dla osłony przed zimnem oraz wodną mgiełką, dźwigali skrzynie, toczyli beczki z dwóch statków, które cumowały na samym końcu pirsu. Mary naciągnęła na głowę kaptur i przyspieszyła kroku. Serce waliło jej jak młotem, czerpała jednak pociechę z faktu, że nikogo po drodze nie spotkała i z nikim nie rozmawiała.

\* \* \*

Stał w drzwiach biura w przedniej części magazynu i patrzył na jego wnętrze. Henry Simmons, z księgą rejestrową w rękach, dokonywał inspekcji towarów, jakby wszystkie należały do niego. Skinął na dwóch krzepkich młodych mężczyzn, aby umieścili wysoką, ozdobną komodę na kółkach pod ścianą, wraz z innymi równie wyrafinowanymi komódkami, kredensami i biurkami. Wszystkie te meble były najwyższej jakości, znacznie lepsze od tych, które produkowano w Nowej Anglii. Ale Mary wiedziała, że pozostaje tylko kwestią czasu, nim i tutaj urodzą się rzemieślnicy zdolni wytwarzać dzieła tej miary.

Zobaczywszy ją, Henry odwrócił się gwałtownie, a na jego twarzy odmalowała się trwoga. Wsadził rejestr pod pachę, zerknął jeszcze za siebie, dla pewności, że komoda wylądowała tam, gdzie chciał, i podszedł do gościa.

– Dlaczego przyszedł, Mary? – zapytał w miejsce powitania. W jego głosie nie było złości, lecz ewidentna obawa. – Prosiłem ciotkę, żeby dostarczyła ci list.

– Twoja ciotka jest miła, ale o liście nic nie wspomniała. Ona...

– Dobry Boże, czyżby wpadł w niepowołane ręce? Z tego powodu wybrałaś się aż tutaj?

– Nie, nie martw się. Czytałam go. Był piękny – powiedziała Mary.

Henry odetchnął z wielką ulgą. Dwaj mężczyźni minęli ich w drodze powrotnej na koniec pirsu, gdzie ich towarzysze rozładowywali statek, umieszczając towary na nabrzeżu. Simmons machnął ręką w kierunku jednostki.

– Oto bryg „Wiatr Jamajki”. Ślicznotka. Ładowność osiem ton. Przywozi meble i wyposażenie jakości rzadko tutaj spotykanej.

– Rzadko spotykanej kiedyś. Teraz widywanej coraz częściej.

Uśmiechnął się, unosząc jedną brew.

– Wydajesz osądy, Mary?

– Absolutnie nie.

– Powiedz mi zatem, po co przyszedł? Wiesz, czym to grozi.

– Powiedziałabym, że rozumiem niestosowność tego czynu. Ale, Henry, pomiędzy niestosownością a zagrożeniem rozciąga się cały ocean.

– Nie tutaj.

– Być może – zgodziła się. – Postrzegam to jako dobry uczynek. Daję plotkarzom nowy materiał do dyskusji. Musi im strasznie przeszkadzać, że nie jestem już postacią bywającą na sali sądowej.

– Naprawdę tego chcesz? Stać się obiektem paskudnych pogłosek?

– Nie – odparła Mary szczerze. – Bądź spokojny, obrałam dłuższą drogę. Unikałam rynku i okolic ratusza, starannie.

– Cieszę się.

– Przyszłam, bo mam pewien pomysł.

– Tak?

– Twój list dał mi nadzieję. Stanowił wielki dar.

– To pocieszające, o ile nie zachęcił cię do lekkomyślności.

– Och, ależ owszem – oświadczyła Mary i teraz to ona się uśmiechnęła.

Zbliżyło się do nich dwóch innych marynarzy, dźwigających skrzynię wielkości kojca dla kur. Henry odwrócił się ku nim i wskazał miejsce, gdzie mają ją złożyć.

– A zatem – zapytał, znów kierując uwagę na rozmówczynię – jakąż to lekkomyślność planujesz?

Powiedziała mu tylko, że znalazła wyjście z sytuacji, sposób na ucieczkę od swego małżeństwa. Ale nim przystąpi do dzieła, chce mieć pewność co do jego zaangażowania. Widziała, jak wyraz jego twarzy zmienia się falami: od zaciekawienia przez zaskoczenie po trwogę. Nie dlatego, by mu nie zależało, lecz ponieważ, jak stwierdził, nie powinna niepotrzebnie ryzykować. Czuła jednak, że w tym wszystkim Henry traktuje ją poważnie, stara się wspierać.

– Powiedz, co konkretnie planujesz, żebym mógł ci pomóc.

– Nie. Muszę być niczym jastrząb szybujący nad ofiarą.

– Ale...

– Tylko w ten sposób zdołamy zapewnić sobie wspólną przyszłość – przerwała mu Mary. – Ufasz mi?

– Psalmy każą nam ufać tylko Bogu.

Poczuła ukłucie lęku, że go straciła, że w nią zwątpił. Lecz on nagle wygiął jedną brew w łuk i się uśmiechnął.

– Jednakże w tym wypadku chętnie okażę zaufanie pewnej bogini.

\* \* \*

W drodze powrotnej do domu Mary wstąpiła do szewca na rynku, u którego zaopatrywali się wszyscy z jej kręgu, i kupiła dla córek Hawke'ów najcieplejsze buty, jakie jegomość ten miał na składzie. Zobaczyła czeladnika przybijającego drewniane obcasy do eleganckich damskich pantofli i pomyślała, jak bardzo są one niepraktyczne tu i teraz.

– Dla kogóż te buciki? – spytał szewc. – Pewnie jedna para dla pani wnuczki. Starszej córki Peregrine. Mam rację?

Mary pokręciła głową.

– Pasowałyby na nią, ale przeznaczone są dla innego dziecka. A mniejsza para dla jego młodszej siostry.

– Tak?

– Niedawno wybrałam się w okolice Natick z wielebny Eliotem. W drodze do nawróconych Indian zabrał mnie do pewnej biednej rodziny. Buty są właśnie dla ich dziewczynek.

Szewc miał już włożyć otrzymanego funta do skrzynki na pieniądze, usłyszawszy jednak o tym goście miłosierdzia, zawahał się. Chciał zwrócić Mary zapłatę, lecz ona uniosła rękę.

– Nie – powiedziała. – To bardzo chrześcijańska postawa. Jednakże wydał pan już środki na zakup skóry i futer, a potem ciężko pracował, aby powstały te buty. To ja sprawiam tym ludziom



podarunek.

– Dobra z pani kobieta, Mary – odrzekł mężczyzna.

Uśmiechnęła się i głosem, z którego sączyła się czysta skromność, powiedziała coś, czego wcale nie czuła:

– Wszyscy wiemy, że nauka o dobrych uczynkach to droga do Piekła. Jestem grzesznicą, jak każdy z nas.

Ale w głębi ducha podziwiała gest tego człowieka i nagle nabrała lepszego zdania o Bostonie, niż miała jeszcze w drodze do portu. Przyjemność sprawiało jej również to, że szewc z pewnością opowie innym ludziom, iż Mary Deerfield przyjaźni się z wielebnym Johnem Eliotem i okazuje biednym ogromne miłosierdzie.

\* \* \*

Kiedy dotarła do domu, zaczął padać śnieg. Popatrzyła na płaszczyznę ogródka, w którym znalazła zakopane widelce i tłuczek. Ziemia stwardniała, głęboko. O ile Mary się orientowała, ten, kto zawarł pakt z Diabłem, aby jej zaszkodzić, powinien rzucić klątwę raz jeszcze, nim grunt zamarźnie na dobre i nic już nie da się w nim zagrzebać, dlatego coś musiało spoczywać w tej ziemi.

Rebeka Cooper przypuszczała, że ową wiedźmą, która zagięła parol na Mary, jest Catherine, lecz sama zainteresowana miała wątpliwości. Nie była już pewna, czy może ufać nawet jedynej przyjaciółce. Poza tym czy Catherine jest na tyle bystra, żeby udawać niewinną ofiarę z tak absolutną i niezachwianą szczerością? Może. Ale byłby to najbardziej przekonujący spektakl w historii, więc mało prawdopodobny. Co więcej, widelce podłożono w czasie, gdy umierał brat Catherine. Mary doszła do wniosku, że dziewczyna była wtedy zbyt zajęta doglądaniem chorego i zbyt przygnębiona, by paktować z Diabłem. Nie wykazywała też oznak opętania. Jeśli to Catherine ponosiła odpowiedzialność za sytuację, musiała mieć jakiegoś pomocnika. Mentora. Nie działała sama.

Mary zdawała sobie sprawę, że w oczach niektórych ludzi nie znajduje uznania, ale cóż takiego mogła uczynić, aby zmusić kogokolwiek do przedłożenia Lucyfera ponad Boga? Zachowanie żadnej ze znanych jej osób nie wskazywało, iż zawiązała ona przymierze z Szatanem.

Istna zagadka.

Niemożliwość odnalezienia motywu tylko umocniła Mary w podjętej decyzji. Schowała buty dla dziewczynek pod płaszczem i pomyślała o magicznych właściwościach tojadu, potencjale własnej

intrygi. Czuła niespodziewane, lecz głębokie zadowolenie. Dopóki Mary żyje, przyszłość niesie w sobie obietnicę.

„Nie mam życzenia się z Nim [z Diabłem] spotykać. Przenigdy. Zbyt wielu widziałam jego stronników tutaj, w Bostonie, nawet wśród gorliwych chrześcijan”.

*Zeznanie Constance Winston, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 29

Dwa dni później, kiedy Mary zjadła z Thomasem kolację w domu rodziców, a służące zmywały talerze – żadnych desek do potraw, skoro zjawili się goście – Mary spytała ojca, jakich statków spodziewa się w najbliższych tygodniach.

– Liczysz na coś? – zaciekał się James Burden dobrodusznie. – Co byś chciała, żeby nasi chłopcy wyładowali na pirs?

Zanim Mary zdołała odpowiedzieć, Thomas położył lewą rękę na jej prawej dłoni i spróbował być czarujący.

– Jesienią wasza córka mogła się cieszyć pobyt w tym domu, który jest bardzo wygodny. Wygląda na to, że i ja będę musiał poświęcić czas na powitanie najbliższego okrętu i zapoznanie się z asortymentem, który przywiezie z Anglii.

– Albo z Jamajki – wtrąciła Priscilla. – Ponieważ zbliża się zima, więcej statków przyływa teraz z południa niż ze wschodu. O tej porze roku rejsy z Europy nie są ani zbyt przyjemne, ani łatwe.

Thomas się uśmiechnął.

– Zatem z Jamajki. Smakołyki, które podarowała nam w koszyku Eleanor Hill, były cudowne. Absolutnie cudowne.

– Pytałam z czystej ciekawości – rzekła Mary. – Na niczym konkretnym mi nie zależy.

– Kiedy znów odwiedzisz Hawke'ów? – Matka zmieniła temat rozmowy.

– W poniedziałek. Po szabacie. John powiedział, że mnie ze sobą zabierze.

– Mary nabyła buty dla tych biedaków – oznajmił Thomas, ciągle szczerząc zęby. Najwyraźniej bawiło go powtarzanie litery „b”.

– Mówisz o pastorze per *John*? – zdziwił się James Burden. – Wielebny Eliot to znakomitość. Imponujące, że jesteś z nim w tak zażyłych stosunkach, Mary.

– Jechaliśmy razem na końskim grzbiecie przez pięć godzin. I czekają nas kolejne podróże. To długa, trudna droga, nie ma innej możliwości, jak się ze sobą... żyć.

Mówiąc to, wiedziała, że drażni kijem bestię, która była jej mężem, lecz zarazem miała pewność, że w obecności rodziców bestia ta nie powie ani nie zrobi nic. Dopiero po powrocie do domu konsekwencje mogą się okazać przykre, a nawet bolesne. Nie potrafiła się jednak oprzeć pokusie,

by dopieć Thomasowi tu i teraz, przed ojcem i matką. Rozkoszowała się radością, którą jej to przyniosło.

\* \* \*

Istotnie, owej nocy wziął ją od razu z gniewem w oczach i w biodrach. W pewnej chwili chwycił Mary za szyję i dusił tak długo, że pomyślała: *Stało się, to koniec, za chwilę spotkam się albo z Diabłem, albo z Jezusem Chrystusem.*

Kiedy skończył, szepnął żonie do ucha:

– Ach, ta twoja zażyłość, Mary Deerfield! Spróbuj wejść w nią z innym mężczyzną, z tym żalonym szczeniakiem Henrym Simmonsem albo z opasłym naiwniakiem Johnem Eliotem, a cię wykończę! Ewentualnie dopilnuję, żeby zrobili to ci faceci z ratusza, cholerni sędziowie, zawiązując ci sznur wokół karku. Boli cię uścisk moich palców? To nic w porównaniu z męką zdychania na stryczku!

Gdy Thomas oddalił się do nocnika w kącie, Mary odwróciła się do niego plecami. Po jej stronie łóżka jedna z desek podłogi delikatnie odstawała, czuło się to pod stopami. Skrzypiała, wypaczona. Tego wieczoru, mając chwilę tylko dla siebie, w samotności, zbadała ją bliżej. Jeden z żelaznych gwoździ wystawał może na ćwierć cala i Mary zdołała go wyciągnąć palcami. Zdjęła deskę i stwierdziła, że jest pod nią dość miejsca, by ukryć buteleczkę z miksturą. Teraz, w blasku świecy na stole, wpatrywała się w koniuszek gwoźdź. Wkrótce, kiedy już dostanie swój tojad, schowa go właśnie tutaj. Gwóźdź dawał Mary pewną pociechę. Zastanawiała się, czy tak właśnie czują się katolicy i anglikanie wieszający krzyże na ścianach swoich domów.

\* \* \*

– Za rzadko korzystamy z Księgi Malachiasza przy nauczaniu – dumiał wielebny Eliot w poniedziałek po szabacie, siedząc na Jowiszu, który siedł zwawo obok pola, gdzie Indianie uprawiali wcześniej kukurydzę.

– Chodzi o jakieś konkretne wersety? – zapytała Mary.

Było jej zimno w palce, mimo rękawiczek, zwłaszcza w palce lewej dłoni. Spróbowała przypomnieć sobie ten biblijny tekst, żeby nie myśleć o niewygodach. Poza tym na siodełku miała teraz mniej miejsca niż ostatnim razem, ponieważ wiozła worek z ubraniami i butami dla dzieci Hawke'ów oraz pelerynę – jako niespodziankę – dla Esther.

– Rozdział pierwszy, wers jedenasty. Wykorzystałem go w tytule jednego z moich pierwszych traktatów misyjnych.

Widać było, że pastor ma nadzieję, iż Mary zacytuje ów fragment, bo to by znaczyło, że czytała jego książkę. Niestety, nie czytała, i choć resztę Biblii znała dobrze, Księgę Malachiasza – słabo.

Skoro milczała, Eliot podjął:

– „Moje imię *będzie* wielkie wśród narodów, mówi Pan zastępów”. Składamy czystą ofiarę, której Bóg od nas wymaga.

– Czystą ofiarę – powtórzyła Mary.

– Z naszych intencji. Realizujemy Jego dzieła ze względu na naszą miłość do Niego oraz pragnienie doprowadzenia dusz pogańskich do niebieskiej ojczyzny.

– Tak – zgodziła się. – Właśnie dlatego to robimy. Nie ma innych powodów.

\* \* \*

Dzieci wyglądały w nowych pelerynach uroczo. Mary była bardzo zadowolona. Odzież wykonano z grubej, kudłatej, zabarwionej na czerwono wełny, kaptury miały sznurki pozwalające na ich zaciśnięcie. Peleryna Esther odznaczała się kolorem bordowym. Dziewczynki włożyły ubrania od razu, jak tylko je dostały, i wyglądały w nich prawie wytwornie. Zresztą peleryny były też funkcjonalne, już Mary się o to zatroszczyła.

Gdy wręczała odzież i buty, John Eliot rozpoczął dość teatralne kazanie. Indianom zawoził rzeczy używane, łachmany, których nie włożyłby na siebie nawet największy nędzarz wśród Brytyjczyków. Tymczasem tu wszystko było nowe: peleryny, buty, rajstopy i zimowe rękawiczki dla dziewczynek, jak również narzutka dla ich matki. Mary zżymała się nieco, kiedy Eliot nazbyt często powtarzał słowo *dar*, ponieważ tu realizował się handel wymienny. Z pewnością Esther postrzegła sprawę w ten sposób. Na szczęście gospodyni nie poprawiła pastora ani razu i niepokój Mary zniknął.

Teraz Esther trzymała w rękach but przeznaczony dla Honour i klęczała przed dzieckiem, które wsunęło doń prawą stopę. But zdawał się trochę za duży, lecz Mary na to właśnie liczyła.

Podąła małej pończochy i zwróciła się do Esther:

– Nie będzie jej ciasno nawet w tym, może nawet wygodniej. Kto wie, czy buty nie wytrzymają do kolejnej zimy.

– Albo zostaną dla Dorcas.

– Właśnie.

– Esther, klęcząc w ten sposób przed inną osobą, przypominasz naszego Pana Jezusa Chrystusa obmywającego nogi swoim uczniom – perorował Eliot.

Esther obrzuciła wielebny wzrokiem, w którym Mary dostrzegła proste przekonanie: to, co właśnie powiedział, stanowiło czysty idiotyzm. Esther była po prostu matką. I nawet Mary Deerfield, bezdzietna i bezpłodna, świetnie to rozumiała.

\* \* \*

Po odjeździe Eliota, pozostawszy sam na sam z Hawke'ami, Mary otworzyła *The New England Primer* i zaczęła kartkować książkę w poszukiwaniu materiału do kolejnej lekcji. Przerwała jej Esther.

– Sprawiasz wrażenie bardziej zainteresowanej tym katechizmem niż naszą wymianą. – Kobieta najwyraźniej spodziewała się, że Mary z miejsca podniesie kwestię tojadu. – Mężczyźni, zarówno Indianie, jak i Anglicy, nie zwlekali by z realizacją umowy, skoro dobili już targu.

– Ufam ci – oznajmiła Mary.

– Nie zmieniłaś zdania?

– Nie.

Kobieta odsunęła kosmyk włosów z czoła młodszej córki.

– Nie jestem pewna, czy twoje plany są zgodne z nauką ludzi w rodzaju Johna Eliota – powiedziała.

Mary chciała zacytować Księgę Wyjścia, rozdział dwudziesty pierwszy, werset dwudziesty czwarty – „oko za oko, ząb za ząb” – uznała jednak, że nic dobrego nie przyjdzie z nadmiernego dzielenia się motywami.

– Nie znasz moich planów – odrzekła po prostu.

– Nie znam. Ale znam tojad. Edmund również. Mój mąż miał wiele pytań, kiedy wspomniałam mu o twoim zapotrzebowaniu.

– Na przykład?

– Nie wie, czy powinien ci ufać. Czy w takich sprawach należy ufać komukolwiek z Bostonu.

– Możesz być spokojna, Esther. Moje zamiary nie pociągną za sobą konsekwencji dla waszej dwójki.

– Tojad Edmunda ma ogromną moc.

– Na to liczę.

– Zabił nim wiele jeleni i wilków.

– Żałujesz decyzji o naszej transakcji, Esther? Nie poniesiesz odpowiedzialności. Zrozumiem, jeśli wolisz się wycofać.

– Nie możesz zrzucać na mnie odpowiedzialności za to, że żywisz podejrzone zamiary – odparła Esther.

Mary ogarnęła niepewność. Ta kobieta uważała, że jej gość się kompromituje. Nagle Mary poczuła się tutaj obco, zalękniona.

Esther podjęła:

– Chcę się tylko upewnić, że wiesz, że tojad to rzeka, po której przekroczeniu nie ma już odwrotu.

– Twój mąż często przechodzi z jednego brzegu na drugi, jak sędzę.

– Nigdy nie zastosował tojadu przeciwko człowiekowi.

Ponieważ Mary nie odpowiedziała, Esther mówiła dalej:

– No dobrze. Edmund zostawi dla ciebie buteleczkę u twojej przyjaciółki, a swojej partnerki handlowej. Czasem czymś się wymieniają. U Constance.

– Buteleczkę? Z gotową miksturą?

– Tak.

– Ale dlaczego? Dlaczego miałby wyświadczyć mi aż taką przysługę?

– Przywiozłaś naszej rodzinie wiele prezentów. Poza tym jesteś znajomą Constance.

– Przepelnia mnie wdzięczność. Nie wiem, co powiedzieć.

Esther wskazała na książkę w ręku Mary.

– Wy wszyscy dużo mówicie o baranku i miłowaniu, ale wasze czyny... – Umilkła i pokręciła głową z czytelną odrazą.

– Kontynuuj, proszę.

Kobieta westchnęła.

– Wasze czyny? Jesteście wilkami, Mary. Wy, którzy nas wygnaliście, jesteście wilkami.

Mary się nie broniła. Nie stanęła w obronie swoich krajan. Jeśli bowiem Esther się myliła, to tylko w tym, że porównywała ich do wilków, a nie do węży.

\* \* \*

Nazajutrz, mijając ogródek przed domem Rebeki Cooper, Mary zobaczyła w ramionach przyjaciółki płaczącą Peregrine. Pani Deerfield przyszło do głowy, że sytuacja ta może mieć związek



z Jonathanem, z jego grami hazardowymi bądź karcianymi, przez które w końcu zakuto go w dyby, albo też jakiś marynarz obił go z powodu długów i zostawił zakrwawionego.

Dwie kobiety oderwały się od siebie. Peregrine otarła oczy chusteczką wyszywaną w jednym rogu w delikatne niebieskie kwiaty.

– Chodzi o dziecko – powiedziała Rebeka Cooper. – Według akuszerki niemowlę w jej łonie zmarło.

– Och, nie, Peregrine, tak mi przykro...! – odezwała się Mary, zapominając o swoich podejrzeniach, że sprawa ma jakiś związek z mężem pasierbicy, oraz o wyrażonym kiedyś przez Peregrine strachu, iż Mary próbuje uwieść Jonathana. Zrezygnowała nawet z myśli, że ta biedaczka mogła wsypać truciznę do jabłek, aby jej zaszkodzić. Czuła jedynie żal. Przytuliła Peregrine, odruchowo, a tamta, nie przestając łkać, wsunęła się głęboko w objęcia Mary.

– Wola Boża... – wymamrotała stoicko, lecz przygnębionym głosem.

– Wiem. Ta świadomość niesie pociechę. Mimo wszystko cierpienie jest realne. – Wtedy Peregrine zaczęła opowiadać o fizycznym bólu, o krwawieniu, którego doznała dnia poprzedniego i że dopiero dziś po południu mogła wyjść z domu. Nadal czuła się słaba.

– Będą kolejne dzieci – zapewniła ją Rebeka.

– Będą – zgodziła się Peregrine. Mary widziała, że prawdziwie w to wierzy. – Powinny być.

Nagle pasierbica oznajmiła, że ma jeszcze pracę do wykonania przed kolacją i musi wracać do domu. Dziewczynkami opiekuje się jejmość Weybridge, której cierpliwość zaraz się skończy, jak knot w ogarku świecy.

Gdy Peregrine odeszła ulicą, Rebeka pokręciła głową i rzekła:

– Dobrze, że twój rozwód nie doszedł do skutku.

Uwaga ta zbiła Mary z tropu, ponieważ wydawała się całkowicie niezwiązana z okolicznościami. Poprosiła przyjaciółkę o wyjaśnienie.

– Przecież to chyba oczywiste? Gdybyś żyła sama, jako kobieta niezamężna, rozwiedziona z ojcem Peregrine, mieliby jeszcze jeden powód do przypuszczeń, że jesteś opętana.

– Bo dziecko Peregrine umarło?

– Tak! Najpierw William Stileman, a teraz to maleństwo! Mary, to jasne jak słońce, dla niektórych z całą pewnością byłabyś wiedźmą.

\* \* \*

Constance Winston rozparła się na krześle i z fartucha wyjęła buteleczkę z miksturą. Jej służka wyszła wcześniej z domu, przebywały więc same.

– Co to? – zapytała Mary z gwałtownie bijącym sercem.

Starsza kobieta trzymała naczynie tak, jak trzyma się cenny klejnot.

– Udało ci się odnieść znaczący sukces – mruknęła.

– Niczego nie dokonałam. Po prostu postępowałam według twoich wskazówek i wybrałam się do domu Hawke'ów.

– Myślałam, że w najlepszym razie Edmund dostarczy mi roślin, z których będę mogła uwarzyć miksturę. Ale że przekonałaś do sprawy Esther...

– Handlowałam z Esther – skorygowała Mary. – To był handel wymienny. Pamiętaj, że wróciłam tam z butami i pelerynami dla dzieci.

Piły herbatę. Kubek był gorący, ogrzewał palce. Poprzedniego wieczoru spadł śnieg i Mary się zastanawiała, czy w drodze przez Przesmyk znów się rozpada.

– Lubię jasne sytuacje zarówno w negocjacjach, jak i w relacjach. Jesteś pewna, że Edmund nie chce ode mnie czegoś więcej?

– Hawke'owie mają bardzo złe mniemanie o większości mężczyzn z Bostonu. Jeśli jednego z nich zabraknie, raczej nie będą płakać.

– Odnoszę wrażenie, że ty również nie uronisz łzy. – Constance się uśmiechnęła. – Czy ludzie, ci odpowiedni ludzie, mają już świadomość twojej przyjaźni z Johnem Eliotem?

– Owszem. Często o tym opowiadam.

– Znakomicie. W Hartfordzie powieszono kolejną wiedźmę.

– Słyszałam – przyznała Mary. – Rebeka Cooper uważa, że dobrze się stało, iż nie otrzymałam rozwodu. Sugeruje, że teraz spadłby na mnie jeszcze mroczniejszy cień, jako na kobietę bez przywiązań.

– Taką jak ja.

– Nie! Miałam na myśli tylko...

– Rebeka Cooper ma rację. Nie uraziłaś mnie – przerwała jej Constance. – Postrzegaj samą siebie jako sokoła, który wkrótce uwolni się z pęt. – Odkorkowała buteleczkę i powąchała jej zawartość. – Tojad. Z jakimś dodatkiem.

– Dodatkiem?

– Edmund mówił mi kiedyś, że jeśli zagrożenie puka do drzwi, nie wolno nic pozostawiać przypadkowi. To jest tojad plus inna bardzo skuteczna trucizna. Podobno działa szybko.

– Co to właściwie znaczy? Co zobaczę? – spytała Mary.

– Pianę z ust. Wymioty. Dezorientację.

– A potem śmierć?

– Tak. A potem śmierć – potwierdziła Constance, zamykając butelkę. – Naprawdę jesteś na to gotowa?

– Jestem – powiedziała Mary.

– Kiedy?

– Jeszcze nie wiem. Chcę, aby Boston dowiedział się więcej o moich podróżach do lasu z wielbnym Eliotem i myślał, że w tym zachowaniu manifestuje się sam Bóg. Mojej osobie nikt nie może niczego zarzucić. Stało się to dla mnie szczególnie jasne po śmierci dziecka w łonie pasierbicy.

– Dobrze przemyślałaś swój plan.

– Powiesz mi coś? – zapytała Mary.

– Tak?

– Co skutecznie zamaskuje smak specyfiku? Piwo?

Constance się zastanawiała, sącząc herbatę.

– Tak. Chyba tak.

– Mam wykorzystać całą buteleczkę?

– Och, lepiej nie ryzykować. Oczywiście, że całą. Do ostatniej kropli.

„Widziałam melancholię. Widziałam smutek”.

*Zeżnanie Catherine Stileman, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 30

Natychmiast po powrocie do domu Mary weszła na piętro, do sypialni, i zbliżyła się do lekko wystającej deski podłogowej. Wyjęła gwóźdź, usunęła deskę, po czym do niewielkiej tajemnej komory wsunęła buteleczkę z trucizną. Umieściła drewno na miejscu i wbiła gwóźdź do otworu. Nikt się nie zorientuje, co zrobiła. Nikt. O lokalizacji specyfiku będzie wiedzieć tylko ona.

\* \* \*

Następnego dnia, gdy Thomas pojechał na Cukierku do młyna, a Catherine wyszła posprzątać stajnię, Mary stanęła przy frontowych drzwiach, żeby zdjąć z kołka pelerynę. Planowała złożyć wizytę tej paskudnej Beth Howland, opowiedzieć jej o wyjazdach do rodziny Hawke'ów, a także o współpracy z Johnem Eliotem. Kobieta pewnie nie życzy sobie takich spotkań z panią Deerfield, ale to było bez znaczenia: chodziło wyłącznie o rozpowszechnianie legendy. A Beth Howland znano w mieście jako zawodową plotkarę.

Mary niechcący upuściła pelerynę, a kiedy się schyliła, aby ją podnieść z podłogi, zauważyła wryty w drewnie jakiś znak. Mały, wielkości najwyżej szylinga. Uklękła, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Nie mogła uwierzyć w jego realność, a jednak tam był: na samym dole framugi drzwi prowadzących do domu, tuż nad drewnianą deską podłogową, ktoś wyrzeźbił okrąg z pięcioramienną gwiazdą. Symbol Szatana. Swoiste powitanie dla Diabła: znak konwersji i poddaństwa, sygnał, że dom jest bezpieczny.

Pomyślała o widelcach i tłuczku zakopanych w ogródku. Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy pod twardą jak skała ziemią nie ma ich teraz więcej. Czy to możliwe, że jej mąż zawarł pakt z Diabłem i chciał zaszkodzić żonie, rzucając na nią klątwę? Nie wydawało się to prawdopodobne. Thomas był zły, ale jego przebiegłość ograniczała się do nieatakowania Mary przy świadkach. Czy to oznaczało, że znak wryła jednak Catherine? A może ktoś inny, życzący źle pani Deerfield?

Lub, co gorsza, stanowiło to element dążenia do celu, aby Mary Deerfield naraziła samą siebie na śmierć i zawisła na stryczku jako wiedźma.

Mary wstała szybko i wycofała się w głąb pomieszczenia. Catherine nie mogła wiedzieć, że jej pani znalazła symbol; lada moment dziewczyna wróci przecież ze stajni.

Mary postanowiła, że zamiast do Beth Howland pójdzie do portu i spotka się z Henrym Simmonsem. Sytuacja być może nie rozwijała się na tyle szybko, na ile by tego oczekiwała, jednak on *musiał* się dowiedzieć o nowym problemie. Przyjazne stosunki z Johnem Eliotem pozwalały Mary kupić czas, ale nie wiadomo było ile.

\* \* \*

Henry odsunął na bok stertę ksiąg rejestrowych i przysiadł na skraju szerokiego biurka w gabinecie swego wuja. Ruchem ręki wskazał Mary stojący przy nim fotel. Gdy opowiedziała mu o odkryciu na framudze drzwi frontowych własnego domu, długo przetrawiał tę informację.

W końcu odezwał się spokojnym tonem:

– Nie sądzę, żebyś z powodu tego symbolu Diabła znajdowała się w niebezpieczeństwie większym niż po odnalezieniu Jego zębisk.

– Widelców – poprawiła go Mary. – I wcale nie *Jego*. Widelce pochodziły od mojego ojca.

– Chodzi mi o to, czy czujesz się zagrożona. Zatruta. Było ci niedobrze?

– Nie licząc bólu dłoni, którą Thomas przybił do stołu? Nieszczególnie.

– No właśnie.

– Ale chciałabym wiedzieć, kim jest ta opętana osoba. I zobaczyć, jak tę zdeprawowaną i nieprzyzwoitą istotę słusznie wieszają.

Henry pokręcił głową.

– Nie, to nie w twoim stylu, Mary. Tak naprawdę wcale tego nie chcesz.

– Być może nie. Ale pragnęłabym wiedzieć. A jeśli nie chodziło o zaszkodzenie mi, to tym bardziej chcę poznać tę wiedźmę, bo w takim przypadku jej plan musi być jeszcze ohydniejszy. Polegałby na oskarżeniu mnie o uprawianie czarów i doprowadzeniu na szubienicę.

Henry wbił wzrok w swoje buty.

– Nie wiemy, czy istnieje związek między widelcami a tym symbolem wrytym w drewnie. To mogą być dwa osobne talizmany.

– Na pewno sam w to nie wierzysz! – zawołała Mary, poirytowana jego próbą chłodnej racjonalizacji. – Rozumiesz równie dobrze jak ja, że te machinacje są ze sobą połączone!

– Tak. Rozumiem to. Ale czy mogę mieć pewność? Nie. Trzeba dysponować dowodem.

– Ktoś knuje przeciwko mnie, a skoro wyrył w domu znak Diabła, jasne jest jedno: moje starania związane z rodziną Hawke'ów nie wystarczą dla skutecznej ochrony.

– Powiedz mi, proszę, co planujesz? Wiem, że coś więcej.

- Tak. Ale ty nie musisz znać szczegółów. Tak będzie lepiej.
- Chcesz się zmierzyć z tą wiedźmą sama? Ona...
- Posłuchaj sam siebie. *Ona!* Równie dobrze to może być mężczyzna!
- Przepraszam.

Mary zamknęła oczy i zapanowała nad sobą.

- Nie, to ja przepraszam. Za mój gniew. Oboje znamy prawdę. Oboje podejrzewamy moją służącą. To ją właśnie miałeś na myśli, nie mylę się?

- Nie mylisz.

- Czasem, kiedy się we mnie wpatrujesz, zastanawiam się, czy widzisz we mnie coś więcej niż tylko bezpłodną, jadovitą nędznicę.

Henry zeskoczył z biurka i stanął przed Mary. Ujął ją za rękę, przytrzymał je w swoich i delikatnie potarł miejsce na prawej dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym.

- Przyklaskuję twojemu gniewowi. Nie dbam o to, że możesz być bezpłodna. A jeśli jesteś nędznicą, to dość urodziwą w mych oczach. - Przez chwilę żadne się nie odzywało, słyszała jedynie mewy nad magazynem. - Mary?

Czekała.

- Widzę w tobie anioła, mocno nękanego przez ten świat.

Kiedy się pochylił, żeby ją pocałować, rozwarła wargi. Tym razem nie było nikogo, kto by ich zobaczył lub powstrzymał.

\* \* \*

Dwa kolejne dni padało chłodnymi, przelotnymi ulewami, ale mróz nie nastał i nawet nocą ziemia w ogródku nie pokrywała się lodem, drzewa nie ugiwały się pod ciężarem śniegu. O ile deszcz nie utrudniał funkcjonowania miasta, to jednak wyglądało ono brzydko i przygnębiająco, co wpływało na humory Thomasa. Catherine chodziła coraz bardziej ponura. Mary czerpała pociechę z faktu, że już niedługo, bez względu na okoliczności, przystąpi do dzieła.

W niedzielę modliła się w kościele. Choć z całych sił starała się sięgnąć w głąb siebie, nie czuła Bożego ducha. Jedynie obecność śmiertelników, których nie cierpiała, których nienawidziła nienawiścią zarezerwowaną wyłącznie dla Lucyfera.

Myślała zarazem o Henrym Simmonsie, wiedząc, że on intensywnie myśli o niej. Stanowił jej przyszłość, jak ona przyszłość jego. O ile ciągle będzie żyła. Przynajmniej do chwili, gdy zostanie wtrącona w otchłań płonącego jeziora, do Piekła.

\* \* \*

Spała, kiedy w poniedziałkową noc Thomas wrócił z gospody. Obudził ją, wchodząc do łóżka i zaczynając zdierać z niej koszulę. Chmury się rozstąpiły – nareszcie – i pokój zalewał blask księżyca. Deerfield był pijany i brutalny. Przez chwilę gotowa była ulec, mimo że wyrwał ją ze snu, ale potem przypomniała sobie, że wkrótce ma dostać okres. Między nogi włożyła wcześniej podpaszkę, która powinna napełnić go odrazą.

– Thomasie – jęknęła Mary sennym głosem. – Mam menstruację. Przyszedł mój czas.

On jednak nie słuchał, już do niej sięgał. Poczawszy podpaszkę, wyciągnął ją ze wstrętem. Jego złość rosła szybko, potęgowana piwem i złą pogodą.

– Moja jałowa żona, moja śmierdząca, brudna, durna żona, ma znowu ciało tylko po to, żeby budzić we mnie obrzydzenie – wyszeptał złowieszczo. – Gnojówka. Chodząca, krwawiąca gnojówka. Miesiączkę masz ciągle i zawsze, przekleństwo dla mnie i dla ciebie. – Klęknął i położył dłoń na jej ustach, a potem wziął jej lewą rękę, tę, którą dźgnął jesienią, i mocno uderzył nią o krawędź nocnego stolika. Mary zaczęła krzyczeć z bólu, który rozlał się piekącymi falami po całym ramieniu, lecz Thomas zdusił dźwięk. Catherine zapewne nic nie usłyszała. – Jesteś odrażająca, nie wzruszają mnie twoje łzy. Utop się w nich, gówno mnie to obchodzi – wysyczał jej do ucha. – Mała strata. Nikt nie będzie cię żałować, jak zdechniesz.

Potem puścił Mary i przerzucił nogi przez rant łóżka. Od jej strony. Stopy miał bosc, stał chwiejnie, z trudem utrzymując równowagę. Poczwała ukłucie strachu, jakby wiedziała, co się stanie, ale nic już nie mogła zrobić, aby to zatrzymać. Aby powstrzymać jego. Wszystko działo się zbyt szybko, poza tym ręka bolała ją tak bardzo, że dzwoniło jej w uszach. Była lekko oszołomiona: niby ptak, który przypadkiem uderzył w szybę. Thomas zatoczył się pod ścianę, w róg, gdzie znajdowała się wypaczona deska podłogowa z wystającym gwoździem – nastąpił nań bosą stopą i jął przeklinać. Jedną, długą wiązanką, on, ranny lew, z kurczowo podciągniętymi ramionami zderzył się ze ścianą. Catherine z pewnością to usłyszała. Zgiął się, żeby wyjąć gwóźdź z drewna. Mary musiała temu zapobiec. Zdawała sobie z tego sprawę, zdawała świetnie, bardziej niż z czegokolwiek innego w życiu. Zwalczyła więc straszny ból dłoni i przewróciwszy się na bok, wstała i także zesła z łóżka.

– Thomasie – szepnęła. – Kochany, to może poczekać do rana. Cokolwiek to jest...

– To cholerny gwóźdź! – wrzasnął, ponieważ zdążył już wyrwać go z deski. – Tym właśnie jest!

Widać było, że z wściekłości za chwilę usunie deskę podłogi i mimo nocy – w silnym blasku księżyca – zobaczy, że coś jest tam ukryte. Zobaczy buteleczkę z trucizną.



Mary ujęła męża za barki, mimo pulsowania w lewej dłoni, i rzekła:

– Wróć do łóżka, proszę. Cokolwiek cię rozdrażniło, wciąż tam będzie, gdy słońce wstanie. A ty się przynajmniej wyśpisz.

Patrzył na nią, zdawał się uspokajać. Potem usiał obok żony na łóżku i przyglądał się gwoździowi trzymanemu między palcem wskazującym a kciukiem. Rano naprawi tę deskę. Pomyślała, że nie może tej nocy zasnąć, dopóki Thomas nie zacznie chrapać. Wtedy zabierze tojad.

– Tak, to, co mnie rozgniewało – mruknął Deerfield – nadal tam będzie o wschodzie słońca. Niestety, ty nigdzie nie pójdziesz. A jeśli masz zamiar krwawić, żeby trzymać mnie z dala od siebie, to, no cóż, niech poleje się krew.

Zanim zdążyła się zorientować w jego zamiarach, wziął gwóźdź i wbił go tak mocno w jej lewą rękę – szarpiąc nim jak sztyletem – że Mary wrzasnęła.

– Catherine! – wykrzyknął Thomas. – Twoja pani nastąpiła na gwóźdź z wypaczonej deski! Tak samo jak ja chwilę temu. Nie musisz się o nas martwić.

Wpełzł do łóżka i oznajmił:

– A ty powinnaś bardziej uważać. Któregoś dnia możesz się zranić naprawdę poważnie. Któregoś dnia mogę cię znaleźć martwą.

Mary patrzyła, jak w dłoni zbiera jej się kałuża krwi. Od czasu do czasu przenosiła wzrok na leżącego obok brutala. Oddychał wolniej, a z niej ulatywało wszelkie wahanie, umacniała się w podjętej decyzji. Gdy wreszcie zasnął i kiedy wyjęła truciznę, oczami wyobraźni ujrzała cały przebieg akcji. Każdy czyn i każdy moment, agonię w jego oczach i wydalaną płwocinę.

\* \* \*

Buteleczkę schowała na dnie komody z ubraniami. Thomas nie poruszał się, nie rzucał w łóżku. Rytm jego oddechu się nie zmieniał.

\* \* \*

Rankiem mąż przybił deskę na miejsce i wyjechał do młyna. Mary wręczyła Catherine torbę i kilka monet, prosząc, aby złożyła wizytę konwisarzowi i kupiła trzy nowe łyżki.

– Nie wolałaby pani wybrać ich sama? – spytała dziewczyna.

– Zdecydowanie nie – uspokoiła ją Mary. – Ufam ci jak siostrze.

– Ręka pani spuchła – zauważyła Catherine.

Mary nie potrafiła stwierdzić po tonie wypowiedzi, co służąca myśli. Jeśli ta dziewczyna naprawdę widziała w Thomasie dobroć i mądrość, to może teraz nadszedł właściwy moment, aby wyprowadzić ją z błędu i pokazać, że jest on tylko bezwzględny gargulcem o twarzy człowieka. Może należało się podzielić paroma szczegółami z ostatniej nocy? Mary przypomniały się jednak szachy, które jej rodzina posiadała jeszcze w Anglii – pozostawione tam jak wiele innych rzeczy – a także to, że wymagały one koncypowania kilku ruchów naprzód. Teraz musiała myśleć tylko w ten sposób.

– Uderzyłam się o cegły kominka, kiedy przygotowywałyśmy dziś śniadanie – powiedziała.

Catherine kiwnęła głową i wyszła.

Wtedy Mary rozpoczęła rewizję. Nie bardzo wiedziała, czego szuka, przede wszystkim należało jednak ustalić miejsca, gdzie służąca mogła coś schować. Czyli takie, w których miała największą swobodę, gdzie jej pan i pani raczej nigdy nie zaglądali. Kurnik, stajnia i skład na drewno odpadały, ponieważ Mary często chodziła po jajka, a Thomas sam siodłał Cukierka, wszyscy zaś nosili polana. Mary chwilę stała z rękami na biodrach, a potem przesunęła łóżko dziewczyny i pomacała ścianę, ciekawa, czy przy podłodze znajdzie jakiś schowek. Nie znalazła. Zbadała palcami krawędzie ramy i przetrząsnęła kołdrę. Bez skutku.

Posłała łóżko z powrotem i zagapiła się na należący do Catherine kufer. Ukrywanie tam czegokolwiek wydawało się zbyt niedorzeczne – kufer miał zatrzask, ale nie kłódkę – a jednak Mary musiała go sprawdzić. Tak, stanowiło to naruszenie prywatności, mimo to musiała się dowiedzieć. Niczym pospolita przestępczyni zaczęła grzebać w sukniach, fartuchach, pończochach i innych ubraniach, a potem otworzyła umieszczoną w kufrze Biblię i kartkowała strony. Nie znalazła niczego podejrzanego. Ogarnęła ją drżączka wyrzutów sumienia także wobec faktu, jak niewiele ta dziewczyna posiada.

Mary zamknęła kufer, po czym podeszła do kominka ogrzać spuchniętą rękę. Lustrowała teraz kuchnię, sunąc spojrzeniem nad patelnią, rożnem oraz garnkami i łyżkami wiszącymi na hakach. Zakrawało to na szaleństwo, lecz pomyślawszy o kłamstwie, które sprzedawała Catherine, jęła naciskać wszystkie cegły kominka po kolei, rząd za rzędem, spodziewając się poniekąd, że jedna z nich ustąpi i ukaże skrytkę. Twardo tkwiły jednak na miejscu.

Mary usiadła przy stole. Dom, choć nie wielkości pałacu, nie był mały. Miał pełno kątów, w których dało się schować narzędzia spisku bądź dowody opętania. Przecież sama ukryła pod deską podłogową buteleczkę z trucizną.

A może jednak nie znajdowało się tutaj nic podejrzanego? Może Catherine, zawarwszy przymierze z Siłami Ciemności, nie trzymała w domu żadnych dowodów tego faktu,

potwierdzających jej czyny, talizmanów świadczących o jej niegodziwości.

Pani Deerfield przyszedł do głowy pewien pomysł. Wsunęła między nogi świeżą podpasękę, włożyła buty i pelerynę, po czym wyszła na zewnątrz. Teraz Catherine musi być co najmniej w połowie drogi do konwisarza, który ma warsztat nieopodal targu. Za późno, aby sprawdzić, czy zboczyła gdzieś z trasy. Ale jeśli Mary się pospieszy, może się przekonać – ukradkiem, jak szpieg – czy jej służąca wstąpi gdzieś w drodze powrotnej do domu.

\* \* \*

Kiedy dotarła na róg ulicy w odległości około czterdziestu jardów od zakładu konwisarza, Catherine właśnie stamtąd wychodziła. Za plecami Mary znajdowała się otwarta przestrzeń otaczającego ratusz placu, ale przed nią ulica była dość wąska. Schowała się w jakichś drzwiach, tak aby służka jej nie zauważyła. Spodziewała się, że Catherine zaraz ją minie, lecz ona wcale się nie pojawiła. Wychyliwszy się nieco, Mary zobaczyła, jak tamta skręca za róg i idzie w przeciwną stronę. Nie do domu.

Ruszyła za Catherine, nie odrywając wzroku od kaptura dziewczyny, gotowa w każdej chwili kucnąć i udawać, że wiąże sznurówki – byleby zasłonić twarz – gdyby służąca się obejrzała. Tak się jednak nie stało. Szły i szły, a kiedy targ pozostał w tyle, Mary zaczęła rozumieć, dokąd zmierzają. Oczywiście. Nagle wszystko nabrało sensu. Kierowały się w konkretne miejsce. Mary zobaczyła, jak służąca puka do drzwi domu Beth Howland, jak tamta je otwiera, rozgląda się konspiracyjnie i zaprasza dziewczynę do środka.

\* \* \*

Gdy Catherine wróciła, Mary oddawała się szyciu. Możliwe, że służka po prostu złożyła Howlandom wizytę – przecież wcześniej, gdy rozpatrywano pozew rozwodowy, mieszkała u nich, tam też pełnił służbę jej nieżyjący już brat. Kto wie, czy tylko nie plotkowały o tym, jak okropną i bezpłodną kobietą jest pani Deerfield i jakież to smutne, że Catherine musi żyć z kimś takim pod jednym dachem. Niewykluczone również, że rozmawiały o różnych innych sprawach, a nazwisko Mary ani razu nie padło.

Lecz ona w to nie wierzyła.

Oznajmiwszy, że boli ją lewa ręka, poprosiła dziewczynę, by zajęła się kurami, a następnie przyniosła trochę drew. Służąca wykonała polecenie. Mary zerwała się z krzesła i zaczęła

sprawdzać zawartość jej torby. Zobaczyła trzy nowe łyżki, resztę pieniędzy, które dała Catherine na ich zakup, a także chusteczkę do nosa i rękawiczki. To było wszystko.

Czy spodziewała się znaleźć widelce? Trójzębne widelce? Tłuczek? Talizman ze znakiem pięcioramiennej gwiazdy mieszczący się w dłoni? Może. Nie odkryła jednak nic podejrzanego. Konwisarz nie sprzedawał trójzębnych widelców, ale oczami wyobraźni Mary widziała wcześniej Beth Howland potajemnie wręczającą Catherine dwa takie sztucce.

Najwyraźniej jednak się pomyliła – choć nie w kwestii samej dziewczyny. Mary miała pewność co do swoich wniosków.

Schowała wszystkie przedmioty z powrotem do torby i podjęła szycie. No dobrze, pomyślała. No dobrze. To byłoby zbyt łatwe, ot tak po prostu znaleźć w sakwie dowód obłudy służącej – jej współpracy z Beth Howland i Szatanem. Nie znaczy to jednak, że Mary nie otaczało całe kłębowisko zmij. Nadal sądziła, że Catherine zakopała widelce w ogródku i wyryła znak Diabła w tym domu. Wciąż uważała za prawdopodobne, że dziewczyna życzy jej źle: albo dlatego, że widzi w swej pani winowajczynię śmierci brata, albo z tego powodu, że dostrzega w Thomasie coś, co dla Mary nie ma znaczenia, choćby możliwość awansowania w hierarchii społecznej.

Trudno. Niech to morowe dziecko próbuje zniszczyć ją diabelskimi klątwami i udawaną trucizną. Ona dysponuje prawdziwą. I zamierza jej niebawem użyć.

„Powiedz nam, proszę, co wiesz o Mary Deerfield i jej skłonności do zła”.

*Pytania sędziego Caleba Adamsa, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts,  
rok 1663, tom I*

## Rozdział 31

Spacer w trakcie menstruacji nie należał do przyjemnych, poza tym Mary tego dnia już sporo się nachodziła, śledząc Catherine od konwisarza do domu Beth Howland. Mimo to postanowiła wybrać się po południu do rodziców. Ojciec był w magazynie, ale wizyta u matki przebiegła w miłej atmosferze.

Gdy stamtąd wyszła, niosła ze sobą dwa trójzębne widelce, które James Burden sprowadził z Anglii, a których rodzice nie chcieli więcej używać. Mary zabrała je z wysokiej komody w momencie, kiedy Abigail i matka przygotowywały herbatę, a Hanna wyszła na zewnątrz opróżnić nocniki. Nikt nie zauważył, jak wsuwa sztucce do sakwy.

Po powrocie do domu po prostu czekała. Czekala w spokoju i zadowoleniu, jakie zapewne czuli zwykle ci, którzy się znajdowali wśród wybranych.

\* \* \*

Czas nabrał znaczenia. Mary lękała się, że Henry może się o nią martwić, jeśli nie otrzyma wiadomości, dlatego poprosiła Catherine, aby zaniosiła Eleanor Hill lniany fartuch, który uszyła w ramach podziękowań za koszyk pełen rarytasów – pomarańczy, fig i herbaty. Zachęciła też służącą do napomknięcia, iż jej pani stanie na nogi dopiero pod koniec tygodnia, co wystarczyło do przekazania każdej innej kobiecie, że jest się niedysponowaną. Eleanor powie zapewne o fartuchu swojemu siostrzeńcowi, a ten dowie się w ten sposób, iż z Mary wszystko w porządku.

Teraz stała przed lustrem i choć było to bardzo dziwne, próbowała stroić miny świadczące o chorobie. Przypomniała sobie opis objawów działania tojadu przedstawiony przez Constance, po czym otworzyła szeroko usta, by zastygnąć w grymasie bólu. Wypadło fałszywie. Nie bez powodu aktorstwo stanowiło w oczach Boga rzecz karygodną. Było infantylne. Lecz przecież Mary dobrze pamiętała uczucie, jakie wywołał w niej widelec wbijany w kości ręki, a potem uderzenie tą samą dłonią o kant szafki nocnej. Pamiętała, jak to jest być oblanym sałatką z gorącym sosem. Skrzywiła się. Ćwiczyła krztuszenie się. Przywołała plwocinę na wargi. Zacisnęła ręce na szyi.

Da radę.

Co za ironia, że wdowa otrzymuje taką samą część majątku męża, jak żona, która się z nim rozwiodła: jedną trzecią. Mary starła ślinę z ust, a potem także z kamizelki, na którą – co zaskakujące – spadło kilka kropel. Pokręciła głową, zastanawiając się nad czasem i energią straconymi na użeranie się z sędziami w ratuszu. Jedna trzecia majątku Thomasa. Ostateczny efekt taki sam.

Przynajmniej na tym świecie.

A na następnym? Zdawało jej się, że już jest potępiona, skazana na Piekło, dlatego jedna zbrodnia więcej niewiele znaczyła. Właściwie w tym momencie nie znaczyła nic.

\* \* \*

Po południu Mary odwiedził wielebny John Norton. Był w sąsiedztwie, postanowił wstąpić. Pani Deerfield zawstydziała się swoich brudnych dłoni, ponieważ chwilę wcześniej wróciła od inwentarza. On jednak, jakby czytając jej w myślach, zapewnił, że Pan nigdy nie skarciłby pasterza za brud pod paznokciami. Przeprosił też, że zakłóca pracę.

– Jakież jest powód pańskiej wizyty? – spytała Mary.

Poczuła dreszcz niepokoju. Czasami odnosiła wrażenie, że cały Boston na nią spogląda, że wszyscy wiedzą, co knuje.

– Rozmawiałem rano z Johnem Eliotem – oznajmił wielebny.

– I?

– Ma o tobie wysokie mniemanie, Mary. Jest wdzięczny, że znalazła się kobieta chętna do pracy z dziećmi Hawke'ów. Następne powinny być Indianki i ich młode.

– Chciałabym, chętnie.

– To, czym on się zajmuje, łatwe nie jest. Mijając wasz dom, pomyślałem, że warto ci przekazać jego entuzjazm. Nie możemy liczyć na pełne poznanie dzieł i zamiarów Bożych, ale sądzę, że odnalazłaś swoje powołanie.

Mary pochyliła głowę.

– Napije się pan herbaty? – zapytała.

– Nie. Nie mogę zostać. Chciałem tylko wyrazić wdzięczność. Widać, że pokonałaś rozczarowanie w związku z orzeczeniem sądu.

– Przyjmuję do wiadomości mądry wyrok tych mężczyzn – skłamała, nie spuszczać oczu, z szerokim uśmiechem na wargach.

– Ty też jesteś mądra – odrzekł pastor.

Kiedy wyszedł, Mary się odwróciła i zobaczyła Catherine zagapioną w dolną część framugi drzwi frontowych, tam, gdzie wyryto w drewnie znak Diabła. Dziewczyna szybko odwróciła wzrok.

\* \* \*

W szabat Mary jadła obiad z Thomasem, Catherine i swoimi rodzicami. Choć Priscilla wciąż niepokoiła się tym, że jej córka spędza czas w głuszy, z dziećmi Hawke'ów, było jasne, że jest też dumna z dobrych postępów Mary. Rozmowy, jakie toczono na ten temat w kręgach towarzyskich, przynosiły jej zadowolenie. Duma stanowiła grzech, lecz matka z pewnością szczyciła się Mary. Nawet miejskie plotkarki nie szczędziły jej pochwał.

I gdy wszyscy wrócili do kościoła na drugą część nabożeństwa, Mary pomyślała o łatwości, z którą odzyskała dobre imię. Po wszystkim będzie musiała wybrać się raz jeszcze na Przesmyk i podziękować Constance Winston.

\* \* \*

Nazajutrz, siedząc w domu samotnie, przelała truciznę do niebieskiej szklanej menzurki aptekarskiej długości środkowego palca. Potem starannie zakorkowała pustą butelkę, którą Edmund dał Constance, a Constance – Mary. Zamierzała ją schować w pościeli w łóżku Catherine, razem z widelcami zabranymi z komody rodziców.

Lecz nagle się zawahała.

Był to pierwszy z kluczowych etapów planu i teraz, kiedy miał wejść w życie, Mary ogarnęły wątpliwości.

Nie lubiła Catherine i wiedziała, że dziewczyna też darzy ją niechęcią, zimną i ostrą niczym sopel lodu. Gdyby tylko Mary znalazła w torbie służącej dowody jej zaangażowania w spisek lub podpisania paktu ze Złym! Niestety, żadnych nie było. Po czasie rozumiało się samo przez się, dlaczego na widok swojej pani z widelcami w ręku Catherine uciekła z domu, a potem – z konsekwentną logiką – złożyła takie, a nie inne zeznania przed sądem.

Mary zerknęła przez okno na ponure zimowe niebo, na narastającą smutę. Siniec na ręku zaczynał żółknąć. Dłoń nigdy nie będzie sprawna, zawsze będzie ćmić. Mary poczuła spazm bólu, kiedy spróbowała wyprostować palce wskazujący i środkowy. Najwygodniej trzymać je zgięte. Patrzyła na nie, niepewna, czy przypominają szpony drapieżnika, czy jego ofiarę, jastrzębia czy upolowaną zwierzynę.



W końcu umieściła pustą buteleczkę w łóżku Catherine. Być może, uznała, rzeczywiście jestem opętana. Lecz w tym punkcie łatwiej już było iść naprzód, niż się cofnąć.

\* \* \*

Tego wieczoru spożywali kolację we czwórkę, zgodnie z misternym planem Mary: Thomas, Catherine, ona sama, rzecz jasna, lecz także ich sąsiad, hrabia Willard. Stary wdowiec nie lubił pani Deerfield – jego słowa na rozprawie w sądzie brzmiały przykro, wręcz podle – lecz był samotny, w podeszłym wieku i Mary wiedziała, że jej nie odmówi. Zaproszenie postrzegał zapewne jako przysługujący mu przywilej, który należało zaproponować już dawno. W tym względzie chyba się nie mylił, nigdy jednak nie miał poznać prawdziwego motywu swojej gospodyni. Był idealnym świadkiem, mającym zobaczyć to, co zaraz nastąpi: zabójstwo Thomasa Deerfielda. Usiłowanie zabójstwa Mary Deerfield. Po rozpoczęciu procesu miał zeznać (w sposób imponujący), że ktoś próbował otruć zarówno Thomasa, jak i jego żonę, i że tym kimś jest bez wątpienia Catherine. Bądź co bądź to w jej pościeli znajdą pustą buteleczkę po truciznie. Tudzież widelce. I tłuczek, który przed miesiącami Mary odkryła zakopany przed domem.

Pomogła Catherine podać warzywa, których nadal mieli sporo, oraz gołębie ustrzelone dziś przez Thomasa. O tej porze roku Thomas więcej czasu spędzał w lesie i na okolicznych łąkach niż w młynie. Służąca rozlała piwo do czterech cynowych kufli z pokrywką. Gdy podeszła do rożna, a Isaac Willard raczył Thomasa opowieściami o własnych przygodach myśliwskich z muszkietem, Mary ukradkiem wlała zawartość menzurki do kufła męża i postawiła go przed nim na stole.

\* \* \*

– Cieszę się, że śnieg w większości stopniał – powiedziała Mary, skupiając uwagę na płomykach cienkich świec woskowych pośrodku blatu. Miała nadzieję, że nikt nie usłyszał drżenia w jej głosie. – Ale wiemy, niestety, że to dopiero początek zimy.

– Owszem – mruknął hrabia Willard. – Mnie jednak nigdy zimno nie przeszkadzało. Dość lubię śnieg. Dzięki niemu mam więcej czasu na czytanie Biblii i na polowanie. Wolę polować w śniegu, bo tropy są wyraźniejsze.

– Zima tutaj jest zbyt długa – zaproponował Thomas gderliwie. – Raj na ziemi? Wątpię. – Upił pierwszy łyk, Mary zrobiła to samo. Serce łomotało jej w piersi. Najwyraźniej nie wyczuł tojadu.

– Zastanawia mnie, że dzicy tak dobrze sobie radzą w tym chłódzie. Widzę ich futra i skórki, mimo to jestem zaskoczona – ciągnęła.

Oderwała kawałek ptasiego mięsa, palce jej drżały.

– Kiedy wracasz do Hawke’ów? – zapytał starzec.

– Jeszcze nie wiem. Może pod koniec tygodnia. Zależy to wyłącznie od... – prawie powiedziała „Johna”, lecz ugryzła się w język – ...od wielebnego Eliota i jego rozkładu zajęć.

Thomas nabrał łyżką trochę gotowanej marchewki i rzepy z talerza. Potem splukał je piwem, a Mary postąpiła podobnie.

– Ta rodzina nie okaże skruchy tylko dlatego, że zawiozłaś im buty – rzucił mąż.

– Być może. Ale dwie dziewczynki...

– Dwie małe bestie – przerwał Thomas.

– Dwojgu dzieciom będzie tej zimy cieplej niż poprzedniej. Ale nie tylko to mnie interesuje: chcę ich wszystkich nawrócić.

Kiedy Willard spojrział na Mary, zobaczyła w jego oczach aprobatę.

Przez chwilę Thomas gapił się na swój kufel. Zaczęła się zastanawiać, czy trucizna zadziała. Może ten tojad to tylko mit? Albo też mikstura, którą Edmund dostarczył Constance, była nic niewarta. Kilka następnych minut cała czwórka jadła i piła w uprzejmym milczeniu. Catherine i gość dopili piwo, Thomas natomiast ledwie je tknął. Dwa łyki. Dlatego Mary musiała uważać. Nie mogła przesadzić, wyprzedzić męża, jeśli plan polegający na zrzuconiu winy na Catherine miał zostać zrealizowany. Gdy tylko Thomasowi zacznie być niedobrze od trucizny, Mary uda podobne objawy. Zakrztusi się, wypluje pianę. Jedyna różnica będzie polegać na tym, że kiedy on upadnie lub się zatoczy, ona przewróci kufel z piwem na podłogę. Isaac Willard zobaczy wszystko – jest niezwykle spostrzegawczy – także to, że w odróżnieniu od Thomasa Mary nie dokończyła swojego piwa. Że wlała w siebie zaledwie jedną trzecią kufła, dlatego jest tylko chora. Dlatego przeżyła.

Najwyraźniej jednak dwa łyki to za mało, aby zabić człowieka. Thomas nie wykazywał żadnych oznak zatrucia tojadem.

– Przynajmniej – mówił – grudzień taki jak ten nie spowalnia handlu w porcie, a statki ciągle przyplływają i odpływają. Mary, w magazynach twojego ojca panuje chyba większy ruch niż w latach poprzednich o tej porze.

– Twoi rodzice to dobrzy chrześcijanie – rzucił Isaac Willard.

Mary skinęła głową. Czy to, że ten jeden raz w całym swoim życiu Thomas nie wyłopał piwa od razu, stanowiło znak? Czy Pan dawał jej ostatnią szansę, żeby zrezygnowała z morderstwa? I nie

tylko morderstwa męża. Nie, absolutnie nie tylko. Przecież wiedziała, że jeśli wszystko skończy się zgodnie z planem, Catherine zawiśnie.

– To prawda – zgodził się Thomas i zachichotał. – Tolerują w rodzinie kogoś takiego jak ja. – Uśmiechnął się do żony.

Pomyślała o swoich rodzicach w Niebie, bez niej. Bo z pewnością nigdy się tam nie spotkają, jeśli zabije Thomasa i wrobi Catherine w tę zbrodnię. Myślała, że przyzwyczai się do tej konstatacji, ale to nie okazało się prawdą. Och, zamordowanie męża może i byłoby aktem sprawiedliwości na tym świecie, jednak w wieczności przyniosłoby wyłącznie cierpienie. Podobnie zabójstwo Catherine. Mary nic już nie wiedziała na pewno: czy pozbawia życia służebnicę Diabła, czy raczej zwykłą, prostą, przerażoną dziewczynę, która żywiła niestosowne uczucia do Thomasa.

Tak, uznała, że nietypowa wstrzeźliwość jej męża to znak, że Bóg oferuje jej ostatnią możliwość zejścia z obranej drogi.

Z której Mary skorzystała.

Nawet w głębi serca nie umiała rozpoznać, czy jej motywem jest tchórzostwo, czy poczucie prawości, ale wszystko nastąpiło gwałtownie, w sposób niepowstrzymany. Błyskawicznie, zanim zdążyła zmienić zamiar, wyciągnęła rękę przez stół, aby chwycić mężowską dłoń, i dopilnowała, by strącić na podłogę jego kufel. Piwo z trucizną zalało drewno i wsiąkło w szczeliny. Catherine zerwała się na nogi, żeby to posprzątać, a Mary stała, przepaszając, po czym szybko przyniosła mężowi drugi kufel i świeżą porcję trunku. Thomas nie sprawiał wrażenia rozgniewanego jej niezdarnością. Jakby spodziewał się po żonie tego rodzaju wybryków. Poza tym ani odrobina piwa nie wylała się na niego.

Fala ulgi, którą poczuła, zaskoczyła Mary. Spodziewała się tylko żalu, nie bardzo wiedząc, czy dlatego, że jej Pan i Zbawca odciągnął ją od otchłani piekielnej, czy może dlatego, że podsunął jej znacznie lepszy pomysł.

Bo podsunął. Pomysł ten dopiero zaczynał się formować, ale w nowym planie Mary podobało się wszystko, znacznie bardziej niż w pierwszym.

To też był dar.

\* \* \*

Wieczorem, kiedy Catherine poszła zająć się inwentarzem, Mary zabrała z jej łóżka pustą buteleczkę i dwa widelce i umieściła je z powrotem w kufrze. W najbliższych dniach butelka jej się przyda.

Potem, kiedy służąca już spała, a Thomas nie wrócił jeszcze z gospody, wzięła gęsie pióro i kałamarz, aby napisać liścik. Robiła to, siedząc na skraju materaca, z papierem na pamiętniku, nisko pochylona w blasku świecy na nocnym stoliku.

*Thomasie,*

*gdy to znajdziesz, mnie już nie będzie.*

*Nie wiem, czy wyląduję w Niebie, czy w Piekło.*

*Wypiłam truciznę i wszystko skończone.*

*Nie troskaj się o moje ciało. Nigdy go nie znajdziesz, bo nie życzę sobie, aby nad moimi szczątkami grzmieli ludzie, którzy dzierżą tak straszłą władzę w Kościele i w ratuszu. Być może któregoś dnia zostaną one znalezione w głębi lasu, lecz do tej pory – jeśli Bóg zechce okazać mi miłosierdzie – zmienią się już w kości nie do rozpoznania, niepożarte jeszcze przez wilki.*

*Gdybyś ożenił się ponownie, nawołuję: bądź dobry i miły.*

*Nasz czas na ziemi jest krótki, żeglujemy przez świat, prawie nie wiedząc, kędy zawieje wiatr od Stwórcy.*

*Szczerze oddana*

*Mary*

Nie oskarżała Thomasa o żadne przestępstwo, aby mógł pokazać to pismo wszem wobec. Nie mogła się jednak powstrzymać od przytyku wobec człowieka, który zupełnie nie miał na nią względu. Zdawała też sobie sprawę, że uwaga o przywódcach społeczności nie powstrzyma męża od zanieśnięcia listu najpierw do pastora, a potem – już wspólnie z Johnem Nortonem – do woźnego sądowego. Mary wyobraziła sobie, jak jej szukają. Oczyma duszy widziała mężczyzn na koniach, brodzących w śniegu, pochylających głowy przed niskimi gałęziami leśnych drzew. Nigdy jej nie znajdą.

Nim zdmuchnęła świecę, ukryła notkę na dnie komody wraz z dwoma widelcami oraz buteleczką, w której wcześniej znajdował się tojad. Datuje list, gdy wszystko będzie gotowe. Kiedy nadejdzie pora.

„Jestem więc nierządnicą czy wiedźmą?”

*Zeznania Mary Deerfield, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663,  
tom I*

## Rozdział 32

Idąc do portu, znów obrała dłuższą drogę, aby ominąć ratusz. Rozmyślała o mapie Nowego Świata wiszącej w domu jej rodziców. Zawsze są jakieś możliwości i teraz będą musieli je z Henrym omówić. Wyobraźmy sobie, że wrzucamy kamyk do stawu, a wokół rozchodzą się coraz szersze kręgi. Na przykład Rhode Island. Albo Nowy Amsterdam. Świat jest wielki, a Mary zdawała sobie sprawę, że powinna oddalić się od Bostonu, jeśli chce zacząć wszystko od nowa. Pragnęła oddzielenia się od tego miasta, które niemalże cisnęło ją w objęcia Diabła, prawie zmusiło do zabicia dwojga ludzi, z których tylko jedno z całą pewnością było potworem. Ale chciała zaczynać na nowo także z dala od małostkowych, pustawych sędziów oraz od ogra, za którego wyszła za mąż.

Pragnęła nowego życia z Henrym Simmonsem.

Nic mu nie powiedziała o planie zamordowania Thomasa i zrzucenia odpowiedzialności za tę zbrodnię na Catherine. Mary zależało tylko na jego niezachwianym wsparciu i ostrzeżeniu go przed plotkarkami pokroju Beth Howland, gdy już rozpuszczą języki.

Przypomniały jej się słowa ojca o statku, który miał przyplłynąć przed Bożym Narodzeniem. Tutaj, w Bostonie, nie obchodzono tego święta, ale figurowało ono jako data w kalendarzu, z którego James Burden korzystał, ustalając harmonogramy dostaw. Jednostka przybywała z Indii Zachodnich, by zaraz tam wrócić. Ojciec znał jej kapitana.

Mary nie wiedziała, czy Henry dysponuje jakimiś środkami finansowymi, ale coś z pewnością miał, mimo że nie odziedziczył większego majątku. Trudno było oszacować wielkość jego oszczędności.

Dadzą sobie radę, dzięki jego zaradności i inteligencji.

Nowy plan Mary zakładał, że oboje znikną na Jamajce, a dostaną się tam statkiem, o którym wspominał ojciec. Wyspa od siedmiu lat znajdowała się pod zarządem brytyjskim. Gdy pogoda poprawi się na tyle, by można było podjąć bezpieczną podróż do Anglii, zapewne w marcu, wybiorą się tam z Henrym różnymi okrętami.

Rodzice będą wiedzieć, że Mary żyje, lecz tylko oni. Na pewno nie pochwalą jej decyzji o wyjeździe z Bostonu, ogromnie zmartwieni o jej duszę. Jednakże odczują przy tym wielką ulgę, iż nie musi się już bać Thomasa Deerfielda. Ani insynuacji, jakie ciągnęły się za kobietami zdolnymi

przeciwstawić się mężczyznom z władz kolonii, insynuacji, które zawsze skutkowały albo wygnaniem, albo szubienicą.

\* \* \*

Valentine Hill siedział za swoim biurkiem. Mary nigdzie nie dostrzegła Henry'ego. Na jej widok starzec wstał.

– Dzień dobry, Mary. Czemu zawdzięczam tę przyjemność? Byłaś już u ojca?

– Dopiero tam idę – odparła. Wcześniej nie zamierzała ojca odwiedzać, lecz teraz mogłoby jej to pomóc w zachowaniu pozorów. – Przyszłam do Henry'ego.

Przez dłuższą chwilę oboje się nie odzywali. Potem Hill położył dłonie na płask na blacie i spojrzał na leżący tam rejestr. Nie podnosząc oczu, spytał:

– Czy to rozsądne?

– Boi się pan o plotki?

Hill spojrzał na nią.

– Nie. Martwię się o ciebie. Po co chcesz się z nim widzieć? Wolno spytać?

– Tak, ma pan wszelkie prawo. Ostatnio dużo się modliłam i chcę powiedzieć, że Thomas i ja postanowiliśmy mu wybaczyć.

– Sam mu to przekażę, Mary. Zresztą chętnie. To łaskawe z waszej strony.

– A czy mogłabym mu powiedzieć to osobiście?

Valentine się uśmiechnął, z dobroduszością w oczach.

– Oczywiście. Mądra z ciebie dziewczyna. Muszę jednak wyznać, że lękam się kusić Diabła, lub co gorsza, swojego siostrzeńca.

Skinęła głową w uznaniu dla żarciku, po czym odparła:

– Jeśli Diabeł na mnie nastaje, to raczej nie w przebraniu pańskiego krewniaka.

– Chciałbym żywić podobne przekonanie.

– Jest pan przyjacielem mego ojca – ciągnęła Mary. Zdjęła rękawiczkę i wskazała na dłoń. – Widzi pan siniec i bliznę? Żaden to znak wiążemy. Pozostałość po widelcu, a siniec powstał onegdaj, gdy Thomas walnął moją ręką o kant nocnego stolika.

Hill patrzył, pocierając skronie.

– Nie wiem, czy dostąpię szansy oglądania Niebios...

– Ani ja.

– Lecz wczoraj późną nocą przycumował „Pelikan”. Henry jest na drugim pirsie. Z chłopakami.

– Dziękuję panu – powiedziała.

– Chyba nie ma za co. Wcale nie pragniesz przekazać wieści o wybaczeniu. Mylę się?

– Tak. – Chciała mieć pewność, że pozostawi duszę tego człowieka w takim samym spokoju, w jakim ją zastała. – Planuję jedynie zapewnić, że ani mój mąż, ani ja nie żyjemy względem Henry’ego złych uczuć. Niech spogląda śmiało w firmament, pewien swego całkowitego i pełnego usprawiedliwienia, przynajmniej w naszych oczach.

Miała nadzieję, że starzec w to uwierzy. Gdy po wyjściu obejrzała się z krawędzi nabrzeża, stał w drzwiach z miną pełną zadumy i obaw.

\* \* \*

Po dotarciu na koniec doków zobaczyła cumujące statki oraz unoszące się na falach mniejsze szalupy. Wciągnęła w płuca aromat zimnego, słonego oceanu. Deski nabrzeża były tu pokryte wodną mgiełką. Mary pozazdrościła mężczyznom w skórzanych kaftanach ciepła i braku wilgoci – a przynajmniej tego, że było im cieplej i bardziej sucho niż jej.

– Kogo pani szuka? – zapytał jakiś marynarz, mający najwyżej szesnaście, siedemnaście lat.

Stał u podstawy zakrzywionego trapu, który łączył „Pelikana” z nabrzeżem. Twarz szpeciły mu ślady po ospie i pryszczu, nad górną wargą sterczała szczecina, ale oczy miał duże i dobre, koloru kawy.

– Dziękuję za zainteresowanie – odpowiedziała. – Henry’ego Simmonsa.

Chłopak rzucił się po trapie niczym wiewiórka, przy pomocy rąk i nóg.

Czekała, obserwując mewy, zwłaszcza jedną, o potężnej piersi, która stała jak strażnik na końcu balustrady. Niebawem, odwróciwszy się w stronę „Pelikana”, Mary ujrzała Henry’ego, który w skórzanym kaftanie szedł ostrożnie po trapie.

– Och, a oto moja – gdybym był kawalerzystą, znalazłbym znacznie odpowiedniejsze słowo – przyjaciółka – rzekł z uśmiechem.

– Kochanka?

– Nie po jednym tylko pocałunku.

– Muza?

– To by znaczyło, że jestem poetą, a nie... – machnął lekceważąco ręką w kierunku statku za plecami – ...dokerem.

– Masz o wiele wyższe stanowisko.



– Może kiedyś będę miał. – Zerknął ku miastu. – Co cię sprowadza? Czemu przychodzisz kusić motłoch?

– Oraz twojego wuja. Nie zapominaj o nim. Moja obecność była mu bardzo niewygodna.

– Widziałaś się z nim?

– Owszem. Spytałam, gdzie znajdę jego siostrzeńca. Był tak uprzejmy, że mi odpowiedział.

– Jestem pewien, że czuł się boleśnie zmieszany na samą myśl, że szukasz właśnie mnie. Gdybyś spytała o termin dostawy rumu, soku cytrynowego albo soli, pokiwałby z uznaniem głową. W oczach wuja import towarów luksusowych to żaden skandal. Ale rzecz jasna ty nie po to tu przyszłaś.

– Ojciec mówi, że lada dzień zawinie do nas pewien okręt z Indii Zachodnich. A załatwiwszy sprawy w Bostonie, natychmiast tam wróci.

– „Przyjaźń”, tak.

– To duży statek?

Henry wzruszył ramionami.

– Nie jest mały, ogromny też nie. Jakieś sto trzydzieści ton. Załoga złożona z czternastu, piętnastu ludzi.

– Czy Indie Zachodnie to także Jamajka?

Kiwnął głową.

– Ciekawa jesteś, czy bierze pasażerów?

– Choćby dwoje – odparła.

– Bierze, aczkolwiek zakwaterowanie nie jest tak wygodne jak łóżko w Bostonie.

– Nie szkodzi. Zważywszy na port wypłynięcia i destynację, wątpię, żeby w manifeście pokładowym znajdowały się widelce.

– Żadnych. Marynarze i tak by nie wiedzieli, co z nimi zrobić.

– No cóż, na pewno nie wbijaliby ich w dłonie damy.

– Na pewno nie – zgodził się Simmons.

– Myślę, że nie zaszkodzi, jeśli zabiorę jedną trzecią pieniędzy, które Thomas trzyma w domu.

– A ja myślę, że zaszkodzi. To nie będzie konieczne.

– Nie?

– Nie. Nie chcę od ciebie żadnego wiana.

Dłuższą chwilę stali w milczeniu, wpatrując się w ocean. Potem, niemal jak w tańcu, zwrócili się ku sobie jednocześnie i sformalizowali zawarty pakt.

„Mary Deerfield bywała obecna przy narodzinach razem ze mną i zawsze okazywała się pomocną. Wszystkie dzieci do dzisiaj żyją”.

*Zeznanie akuszerki Susanny Downing, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 33

Nadeszło Boże Narodzenie, nieobchodzone w Bostonie, i minęło. Statki dobijały do portu, wyładowywano je, po czym wnoszono na nie drewno sosnowe, futra i solone ryby. Nie było wśród nich „Przyjaźni”. Mary spakowała do sakwy niewiele ubrań – bardzo niewiele, ponieważ nie chciała podsycać pogłosek, że tak naprawdę żyje, tylko uciekła – a także szczotkę, której braku Thomas pewnie nie zauważy. Była gotowa do wyjazdu w każdej chwili.

\* \* \*

W następny szabat, kiedy wracali z kościoła na obiad do rodziców, spytała ojca, czy skoro ruch w porcie się zmniejszył, kapitanowie donoszą o sztormowej pogodzie.

– Nic takiego – odparł niejasno.

– A zatem nie słyszałeś, żeby jakiś statek zaginął?

– Nie słyszałem. – James Burden zakaszłał z powodu chłodnego powietrza.

Thomas, który szedł obok żony, zerknął na nią, mrużąc z ciekawości oczy. Milczał.

I nikt oprócz Mary nie zauważył, jak podczas obiadu Catherine, która pomagała Hannie i Abigail go podawać, dłużej pochylała się nad Thomasem i jego talerzem, przynosiła mu dokładki sarniny. Jakby był on różą, której zapach pragnęła chłonąć.

\* \* \*

Tej nocy, kiedy oboje wspięli się do sypialni, Thomas zwrócił się do Mary z pytaniem:

– Odkąd to interesujesz się wieściami z portu?

– Zawsze chciałam wiedzieć, jak ojcu idą interesy.

– Przyznaję, że to ciekawsze od moich spraw. Spróbuję nie mieć ci tego za złe. – Zdmuchnął samotną świecę.

Mary pomyślała, że to koniec tematu.

Jednak w ciemnościach pokoju Thomas mruknął złowieszczo:

– Za oczami masz głównie nabiął, ale jak wspominałem wcześniej, jest coś jeszcze. Coś mrocznego i węzowego. Pycha. Staralem się ciebie ułożyć, jak układa się dzikiego konia. Ale wiesz co, Mary?

Wpatrywała się w czarny, pusty sufit.

– Jest w tobie coś, co zaprowadzi cię na szubienicę – dokończył.

Przyjęła te słowa w milczeniu.

– Wiem, że nie śpisz – warknął.

– Nie śpię.

– I?

– Oskarżasz własną żonę o opętanie? Czym sobie zasłużyłam na taką zniewagę?

– Czuję, że coś knujesz. Dowiem się szczegółów, kiedy poznam niegodziwość twojego serca.

Wtedy dzióbek od czajnika będzie najmniejszym z twoich zmartwień.

Zastanawiała się, czy nie spytać go, dlaczego jej po prostu od razu nie zabije, tak aby Catherine mogła go sobie wziąć, ale się powstrzymała. Po pierwsze, nie miała pojęcia, czy Thomas choć w najmniejszym stopniu odwzajemnia uczucia dziewczyny na dole, czy w ogóle go obchodzi. Po drugie, miała nadzieję, że tak.

Tych dwoje było siebie wartych.

\* \* \*

Wreszcie, tuż przed nowym rokiem „Przyjaźń” zacumowała w porcie. Okręt pojawił się w czwartek późnym popołudniem, gdy słońce zachodziło już za Beacon Hill. Nikt nie dostarczył Mary informacji na ten temat – dowiedziała się, ponieważ codziennie po obiedzie chodziła na nabrzeże, z wyjątkiem dni, gdy wraz z Thomasem jadała kolację u rodziców. Wtedy mogła zapytać ojca bezpośrednio, które okręty przybywają, a które odpływają. Miała nadzieję, że pytania te nie zdradzają jej ukrytych zamiarów, że świadczą tylko o chciwości.

Owego czwartku ujrzała sporą brygantynę cumującą u końca pirsu, ze zwiniętymi żaglami na dwóch wielkich masztach. Zatrzymała jakiegoś marynarza, aby się dowiedzieć o nazwę jednostki. Usłyszawszy odpowiedź, nie bacząc, iż Valentine Hill może ją zobaczyć, ruszyła do magazynu w poszukiwaniu Henry’ego. Starzec poszedł już do domu, lecz Simmons nadal siedział w składzie. Poinformował Mary, że już za późno na rozładowywanie okrętu, więc prace rozpoczną się nazajutrz, zakładając oczywiście, że załoga nie upije się w nocy tak, że o wschodzie słońca nie

będzie zdolna do niczego. Po południu załaduje się na statek towary z Nowej Anglii. „Przyjaźń” wyruszy w sobotę.

– Masz wątpliwości? – spytał, kładąc jej dłonie na ramionach.

– Żadnych.

– Ja też – zapewnił, uśmiechając się szeroko, z zaraźliwą pewnością siebie. – Nim ktoś się zorientuje, że żyjesz, będziemy sobie mieszkać w Anglii, a Thomas rozwiedzie się z tobą, bo go opuściłaś. Nieważne, kto tu zawarł pakt z Lucyferem. Między nami a twoją służącą i ludźmi pokroju Beth Howland będzie cały ocean.

– Kiedy otrzymam rozwód, pobierzemy się.

– Tak – zgodził się Henry. – Pobierzemy się.

\* \* \*

W piątek rano Mary ubrała się solidnie dla ochrony przed zimnem i poszła składać wizyty. Ruszyła zaraz po śniadaniu, nie przejmując się tym, że zostawia Catherine z nadwyżką codziennych obowiązków. Idąc, rozkoszowała się widokiem błękitnego nieba. Chmur nie było, jedynie dobywające się z kominów smużki dymu stały pionowo w nieruchomym powietrzu. Mary spotkała się z matką, a ta – choć zaskoczona – nie domyśliła się prawdziwego powodu odwiedzin córki: pragnienia, aby spojrzeć jej w oczy może nie po raz ostatni w ogóle, lecz z pewnością po raz ostatni na długi czas. Następnie pani Deerfield udała się do Rebeki Cooper, wciąż rozmyślając o jej udziale w przygotowaniu jabłek z rodzynkami oraz jej przyjaźni z Peregrine. Mimo wszystko kobieta ta pozostawała jej jedyną namiastką prawdziwej przyjaciółki. I znów Mary zrobiła wszystko, by nie ujawnić swych zamiarów. Dopiero gdy wyszła z tamtego domu, oczy wezbrały jej łzami.

W końcu ruszyła na Przesmyk, aby się pożegnać z Constance Winston. Nie wstąpiła do środka, jak zrobiła to u matki czy u Rebeki Cooper, bo musiała wrócić do domu w południe, na obiad. Stała tylko przed drzwiami, a kiedy Constance pojęła, że gość nie przekroczy jej progu, naciągnęła na siebie pelerynę z kapturem i wyszła na zewnątrz.

– Wyjeżdżasz z Bostonu – powiedziała.

– Dlaczego tak sądzisz? – zdziwiła się Mary, lekko zszokowana intuicją Constance.

– Jeśli się pomyliłam, wybacz.

– Och, nie zrobiłaś niczego, za co powinnaś przeproszać.

Constance wyszczerzyła zęby, ale jej twarz pozostawała nieodgadniona.

– Nic nie słyszałam o żadnej nagłej chorobie w twoim domu albo wśród znajomych. Musisz czuć się szczęściarą.

– Przecież znasz prawdę.

– Nie znam. Masz inne plany wobec mikstury Edmunda Hawke'a?

– Zdecydowałam się jej nie używać.

– Ach, duch do ciebie przemówił – rzuciła starsza kobieta sarkastycznie.

– Zaszła zmiana w moim sercu.

– Ta, co do której się modłę, aby cię nie doprowadziła do śmierci.

– Dziękuję.

– Powiedz mi...

– Tak?

– Boisz się zostać kobietą samotną? – spytała Constance.

– Nie z tego powodu postanowiłam obrać inny kurs.

– A więc z jakiego?

– Stosowanie tojadu nie leży w mojej naturze. Zrozumiałam to, kiedy dostałam szansę.

– On jest podły, Mary. I niebezpieczny. Mówiłam poważnie, że będę się modlić, abyś nie uczyniła nic, co doprowadzi cię do przedwczesnego grobu.

– Nie zrobię. Zapewniam.

– Co zatem? – domagała się wyjaśnień Constance.

Mary wzruszyło to naleganie.

– Nie lękaj się o mnie, fortuna mi sprzyja. I niech tyle ci wystarczy.

Constance zrozumiała, że wywieranie dalszych nacisków nic nie da.

– Świetnie. Po co więc przyszłaś? I czemu nie wejdiesz do środka?

– Chciałam ci podziękować i życzyć wszystkiego dobrego. Jesteś niezwykłą osobą i cieszę się, że cię poznałam.

Kobieta złożyła ramiona na piersi.

– Wyjeżdżasz. Teraz wiem to na pewno: widzę czerwień w twych oczach. To pożegnanie.

Mary westchnęła. Zapewne Constance chciała ją wesprzeć, ona jednak czuła w środku drżenie, na które składały się ból serca i ulga. Zaoferowała więc coś w rodzaju wyjaśnienia, ponieważ tamta na to zasługiwała.

– Powiedzmy tak: jeśli nasze drogi już się nie przetną, wiedz, że pragnę dla ciebie zdrowia i radości, i wdzięczna jestem za wszystko, co dla mnie uczyniłaś.

Constance objęła ją, co zaskoczyło Mary. Nie postrzegając tej kobiety jako kogoś, kto się przytula. Uległa jednak, pozwoliła na to. Wtuliła twarz w wełnę peleryny, aby tkanina pochłonęła łzy.

\* \* \*

Wracała do domu, czując skrajne wahania nastroju. Myśl, że jutro wyjeżdża, budziła zarazem melancholię i radosne podniecenie. Mary starała się skupiać na wyobrażeniu sobie cudownego życia, jakie będzie wiodła z Henrym Simmonsem. To był mężczyzna, za którego powinna była wyjść za mąż. Po ślubie odda się służbie i uwielbieniu Boga. Owszem, mogła być potępiona, ale na razie będzie działać na chwałę Pana i Zbawiciela, kochać swojego drugiego męża.

Dwie przecznice od domu Mary ogarnął dziwny, rosnący niepokój. Tłumaczyła sobie, że już pora obiadu i Thomas będzie zły, iż żony nie ma w domu. Czuła jednak, że chodzi o coś więcej. Zaczynała podejrzewać, iż jest śledzona. Próbowała przekonać samą siebie, że to bzdura.

Lecz intuicja to rzecz niezwykła, czego dowód dała dziś rano Constance.

Pełna obaw Mary otworzyła drzwi domu i zobaczywszy tam obecnych, poczuła zalew lęku i zdumienia, że przecież się tego spodziewała. Jakby dysponowała przedwiedzą. Jakby przepowiadała sobie samej w głowie, że tak się właśnie to wszystko skończy.

Wokół stołu w największym pomieszczeniu siedzieli Thomas, Catherine, woźny sądowy, ten sam kapitan, który biczował Henry'ego Simmonsa, oraz sędzia Caleb Adams. Na blacie leżały fartuch Mary i dwa trójzębne widelce, które sprowadził do Bostonu jej ojciec. Adams bez słowa podniósł jakiś przedmiot. Gdy przyjrzała mu się bliżej, stwierdziła, że to drewniana moneta niewiele większa od szylinga, z wrytą pięcioramienną gwiazdą Szatana. To był dokładnie taki sam znak, jaki znajdował się na framudze drzwi i który jak się domyśliła, tamci też już znaleźli.

Mogłaby mieć nadzieję, że przyszli aresztować służącą, wiedziała jednak, jaka jest prawda. Zamierzali aresztować *ją*. Sędzia dzierżył w ramionach niewielką sakwę, do której Mary spakowała kilka swoich rzeczy, oraz liścik schowany wcześniej w komodzie.

„Widziałś znak Diabła na framudze drzwi wejściowych domu?”

*Pytania sędziego Caleba Adamsa, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts,  
rok 1663, tom I*



## Rozdział 34

Cela była rozmiarów połowy sypialni jej domu, o ścianach z kamienia grubych gdzieś na trzy stopy. Brakowało tu pieca, więc przez większą część dnia Mary siedziała skulona, nocą zaś kryła się pod kocami, które pozwolono dostarczyć jej rodzicom. Matka cały czas popłakiwała żałośnie.

Strażnik więzienny, wysoki i szczupły jegomość, nazywał się Spencer Pitts. Liczył nieco więcej lat niż Thomas, na łysiejącej głowie pozostała mu mieszanka rudawych oraz śnieżnobiałych włosów. Przy gościach był uprzejmy, choć stanowczy, a kiedy Mary zostawała sama – nieprzenikniony. Jako wuj Rebeki Cooper ani nie pocieszał osadzonej, ani jej nie dręczył. Mary stwierdziła, że za dnia Pitts czyta Biblię, pilnuje, by chłopak więzienny przynosił jej kolację i opróżniał wiadro z odchodami, po czym wieczorem wychodzi. Którejś nocy, gdy przez kraty wpatrywała się w ciemność korytarza, gdzie zwykle przesiadywał strażnik, zdała sobie sprawę, że jest tu jedynym więźniem. Wobec szcurków była samotna i całkowicie bezbronna.

\* \* \*

Drugiego dnia pobytu w areszcie, mimo piekielnego zimna, zmuszono Mary do zdjęcia odzieży w obecności trzech kobiet, w tym akuszerki Susanny Downing. Zamierzały zbadać jej ciało w poszukiwaniu znaków diabelskich. Susanna była tutejszą parafianką, osobą po czterdziestce, w dobrej formie fizycznej, o srebrnych włosach i orlim nosie. Kiedyś Mary pomogła jej odebrać dwoje dzieci Peregrine. Downing była sprawna, pracowita, bardzo szanowana, i właśnie dlatego sąd wybrał ją do zlustrowania ciała oskarżonej. Kobiety zbadały jej lewą nogę, potem prawą, plecy i pośladki, piersi – unosząc je bezceremonialnie – i wreszcie ramiona tudzież dłonie.

Na widok blizny na lewym ręku Mary jedna z obecnych wstrzymała oddech.

– To chyba znak! – wykrzyknęła.

Mary nie знаła jej nazwiska, Susanna nikogo nie przedstawiła.

Akuszerka zerknęła na najnowszy siniec oraz starsze zrośle.

– Nie. To robota dzióbka od czajnika – stwierdziła.

Mary chciała ją poprawić, ale zrezygnowała. Drżała z zimna, naga, nie zamierzała przedłużyć tego upokorzenia. Pozostałe kobiety przyjęły słowa Susanny do wiadomości.

Po skończonych oględzinach akuszerka wydała delikatnie pocieszającą opinię.

– Nic tu nie ma – rzuciła zarówno w kierunku Mary, jak i swoich pomocnic. – Nie widzę żadnego znaku.

Mary podziękowała jej, po czym włożyła odzież, która śmierdziała już pleśnią i piwnicą.

\* \* \*

Po czterech dniach – włączając szabat – spędzonych w areszcie przy Prison Lane Mary straszliwie pragnęła popatrzeć na świat nie tylko przez zakratowane, pozbawione szyby okienko swojej celi. Oprócz akuszerki, które poszukiwały na jej ciele znaku Szatana, wśród odwiedzających znajdowali się rodzice, którzy przychodzili codziennie, oraz rejent Benjamin Hull, który przychodził codziennie oprócz szabatu.

Thomas najwyraźniej uznał, że nie musi. Sąd zezwolił na wizyty także jemu, lecz Deerfield się nie zdecydował. Fakt ten w najmniejszym stopniu Mary nie zasmucił ani nie zdziwił.

Modliła się każdego dnia. Czasem o wybaczenie, czasem o prowadzenie. Niekiedy po prostu o pomoc.

Matka przynosiła wieści i pokarm, próbowała opowiadać o życiu w mieście z takim spokojem, jakby wyszywały coś razem w domu, ostatecznie jednak się załamywała, i Mary musiała ją zapewniać, że wszystko będzie dobrze. Wiadomości nigdy nie dotyczyły Henry'ego Simmonsa. Priscilla wspominała o przybywających do portu statkach, nowych placach budowy, ludziach, których obie znały. O Rebecce Cooper. O Hillach. O Peregrine i jej dzieciach, których spotkała na rynku, a także o tym, że widziano Jonathana nocą z marynarzami. Któregoś dnia z pewnością skończy on w dybach.

– To okropne małżeństwo – mówiła Priscilla. – Wiem, że umniejszam samą siebie, wypowiadając się o nich, ale wiedz, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Peregrine jest równie podła jak jej ojciec i wyszła za człowieka, którego twarz, choć przystojna, skrywa niezwykle nędzną duszę.

– Ależ, mamó! – odparła Mary, niezdolna odepchnąć pokusy podroczenia się. – Ty uważasz Jonathana Cooke'a za atrakcyjnego? Nie miałam pojęcia.

Priscilla się zachnęła.

– Wężę zrzucają skórę. Najwyraźniej niektóre z nich zakładają potem powabne maski. Jonathan. Peregrine. Thomas. Żałuję, że nie dostrzegłam w nich kłębowiska żmij, zanim pozwoliłam ci wejść do tej rodziny.

– Dzieci Peregrine i Jonathana są urocze.

– A Pan Bóg dopilnował, żeby ich rodzaj więcej się nie rozmnażał.

– Mamo!

Priscilla pokręciła głową.

– Nie mam wyrzutów sumienia. Świat będzie lepszy bez kolejnego demona z brzucha tej kobiety.

Jak zwykle podczas odwiedzin rodzicielki Mary musiała zmienić temat.

– Co sądzisz o moim strażniku? – spytała.

– O Spencerze? To spokojny człowiek. Znany ze sprawiedliwego traktowania więźniów, którzy tu siedzą.

Mary kiwnęła głową. Chciała naciskać dalej, ale mężczyzna ten był tak absolutną zagadką, że postanowiła o nic więcej nie pytać.

\* \* \*

Gdy do aresztu przychodził Benjamin Hull, omawiali plan obrony i dyskutowali o tym, jak uratować życie Mary, skoro po raz kolejny ma stanąć przed sądem miejskim. Odnosiła wrażenie, że została genialnie ograna przez własną służącą. To pewnie Catherine podrzuciła widelce i monetę do kieszeni fartucha. Catherine nie wiedziała, że rankiem, w dniu aresztowania, jej pani była u Constance Winston, ale najwyraźniej śledziła ją tam któregoś innego razu, i o tym także poinformowała woźnego sądowego, kiedy po domniemanym znalezieniu widelców i monety popędziła do ratusza. A potem pokazała wszystkim taki sam znak Diabła na framudze drzwi. Rzecz oczywista i nieunikniona, iż woźny przeszukał cały dom, w następstwie czego odkrył liścik i sakwojaż.

Dowodów obciążających jest bardzo dużo, nie krył Hull.

Poza tym, niestety, Mary wiedziała o sprawach, o których nie mogła nikomu powiedzieć, o sekretach, które znały wyłącznie Constance i Esther Hawke, nikt ponadto. Planowała zamordowanie własnego męża. Planowała doprowadzenie Catherine do sądu za tę zbrodnię. Fakt, że otrzeźwiała na czas i zmieniła zdanie, w żaden sposób nie negował możliwości, iż Szatan

zaczynała już szpony w jej wnętrzu, że jest opętana i że zasługuje na szubienicę. Z niewiadomych powodów liczyła, iż Bóg oszczędzi jej płomieni piekielnych, jakie ją najprawdopodobniej czekają.

Z drugiej strony rzeczywistość była jaka była, pewna jak przypływy i odpływy. To nie Mary zakopała widelce i tłuczek pod domem jesienią. Nie ona wyryła znak Diabła na framudze drzwi. Zrobił to ktoś inny.

I podobnie: Mary nie rzuciła żadnej klątwy na Williama Stilemana ani na dziecko, które zmarło w łonie Peregrine Cooke. Nie miała pojęcia, czy dusze te zabrano z ziemi ze względu na ich związki z Szatanem, czy z powodu chorób, wiedziała jednak, że nie miała z tym nic wspólnego.

– Dobrze byłoby wykryć, kto podrzucił te diabelskie zębiska – powiedział Hull. – W pierwszym procesie ustalenie takie nie miało znaczenia, teraz będzie mieć ogromne.

– Catherine miałyby najbardziej prawdopodobny motyw. Poza tym żywi ku mnie największą antypatię.

– Większą niż Beth Howland?

– Chyba nie – przyznała Mary.

– Podejrzewa pani, że Rebeka Cooper może nie być taką przyjaciółką, za jaką się podaje.

– To prawda.

– Oraz, oczywiście, Isaac Willard.

– Tak.

– A zatem są jeszcze inne osoby, które mogłyby pielęgnować do pani urazę.

Mary spuściła wzrok na mysie odchody na podłodze. Było ich mnóstwo. Tę niewielką ciemną przestrzeń dzieliła z bardzo licznymi stworzeniami. Myślała o słowach rejenta. Jak stałam się tak odrażającą istotą, że mam tylu wrogów? Powtórzyła w myślach cztery ostatnie wyrazy wypowiedziane przez Benjamin Hull, potem to samo zrobiła na głos.

– Pielęgnować do mnie urazę. Urazę do mnie.

– Co pani mówi?

– Cały czas podejrzewaliśmy, że celem klątwy jestem ja, że ktoś próbuje mnie osłabić albo zamordować.

– Proszę dalej.

– Może to podkreślanie własnej ważności jest całkiem bezzasadne, Benjaminie. A jeśli prawdziwą ofiarą miał być Thomas?

– No cóż, interesująca opcja. Niestety, w tym wypadku to pani byłaby główną podejrzaną. Nie jestem pewien, czy...

– Albo Catherine – przerwała Mary.

- Po co ktoś miałby rzucać urok na zwykłą służącą?
- Po co ktoś miałby rzucać urok na mnie? – zachnęła się.

– Rozumiem pani punkt widzenia.

– A Thomas? To człowiek zasługujący na wszelkie nieszczęście, jakie może się komuś przydarzyć.

– Tym niemniej, Mary, któż inny poza panią zadawałby sobie trud, aby zniweczyć przyszłość Thomasa, a także ryzykować własną przez spiskowanie z Siłami Ciemności?

Nie odpowiedziała, ponieważ nie знаła odpowiedzi. Spojrzała na ściany, na okienko i wiedziała, że dziś po południu poświęci sprawie całą uwagę. Refleksja ta obudziła w jej wnętrzu kolejną myśl, kolejny związek, ale Mary nie była jeszcze gotowa mówić o tym głośno.

\* \* \*

Nazajutrz w planowaniu obrony Mary oprócz jej samej oraz rejenta wzięli też udział rodzice. Hull wyłożył wszystkie opcje, z których żadna nie sprawiała wrażenia gwarantującej uniewinnienie. Mary mogłaby utrzymywać, że znajdowała się pod urokiem diabelskim, lecz teraz Pan wyrzucił Szatana i opętanie minęło. Oznaczałoby to w gruncie rzeczy zdanie się na łaskę sędziów. Tymczasem jeden z owych mężczyzn, dowiedziawszy się o jej aresztowaniu, nazwał ją paskudną, złośliwą babą. Ani sama zainteresowana, ani Hull nie sądzili, żeby ta grupka wykazała się litością wobec mężatki, która wcześniej złożyła pozew rozwodowy i która podczas pierwszego procesu przemawiała z taką bezczelnością.

Mary mogłaby też podważyć zarzuty o uprawianie czarów, podkreślając, że to ktoś inny wybrał Szatana zamiast Zbawiciela. Na przykład Catherine, lecz nie tylko ona. Mary nie zna tej osoby – wie tylko, że sama jest niewinna. Dlaczego zatem od razu nie zgłosiła swoich podejrzeń władzom? W tym tkwi problem, oznajmił rejent. Jego zdaniem Mary brakowało racjonalnego uzasadnienia swoich czynów, które stawiałoby ją w pozytywnym świetle.

Poza tym w grę wchodziło cudzołóstwo. Sędziowie z pewnością dowiedzą się o jej wyprawach do portu i magazynu Valentine'a Hilla, połączą to z jej listem i uczuciem do Henry'ego Simmonsa – zresztą odwzajemnionym. On również stanie przed sądem miejskim, lecz wówczas ciało Mary będzie już zwisać z szubienicy koło ratusza. Czerpała pociechę z faktu, że nie wsadzili Henry'ego za kraty. Według Hulla Simmons chciał się przyznać do udziału w spisku mającym na celu ucieczkę żony od Thomasa Deerfielda, stać przy boku Mary, lecz musiał zarzucić owe zamiary, ponieważ rejent postanowił walczyć z zarzutem cudzołóstwa. Nie było na nie żadnego dowodu. Owszem,

niektórzy sędziowie postrzegali list jako wyraz złamania przysięgi małżeńskiej – wybieg mający na celu przykryć zniknięcie pani Deerfield razem z Henrym Simmonsem – lecz ona mogła przecież obwieścić, iż napisała go w stanie skrajnego załamania, ale na szczęście Pan Bóg przyszedł i przywrócił jej zdrowy rozsądek.

– Powiedzmy – mruknął Hull, myśląc na głos – że nie mogła już pani znieść maltretowania przez Thomasa ani jego okrucieństw. Logika podpowiada, iż napisała pani list pod wpływem strachu przed mężem, że wybrała pani śmierć, miejmy też nadzieję, że Niebo, ponad dalsze życie na ziemi, z Deerfieldem.

– Tak – zgodziła się Mary. – Coś takiego mogłoby chyba zadziałać.

Zadzwoiła lekko zębami z powodu zimna w celi. Matka natychmiast owinęła ją kocem.

– Niestety – wtrącił ojciec – skłonność do samobójstwa zawsze wskazuje na poważne niedomaganie umysłu oraz bezpośrednie podważanie mądrości Bożej. Dowiedziono, że tego rodzaju obłąd sam w sobie stanowi oznakę opętania.

Mary wodziła wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego. Nie mogła znieść widoku zrozpaczonej twarzy matki.

– Więc może tak – zasugerowała. – Może napisałam ten list tylko dlatego, że zostałam przez kogoś zaszarowana. Ten ktoś podłożył jesienią widelce w ramach spisku zmierzającego do otrucia właśnie mnie. Może powinniśmy wykazać, że osoba ta odniosła sukces: faktycznie zatrąła mój umysł i zdolność osądu.

– A jest nią to nikczemne dziecko, Catherine Stileman? – spytała matka.

– Najprawdopodobniej – odrzekł rejent. – Ale, Mary, przygotowałem listę innych nazwisk, listę ludzi, którzy mogliby żywić urazę lub żal.

– Całkowicie bezpodstawnie – skwitowała Mary, jakby to miało jakieś znaczenie.

Chciała jednak, aby jej rodzice wiedzieli, że ludzie pokroju Beth Howland czy Isaaca Willarda nie mają realnych podstaw do jakichkolwiek pretensji.

– Wątpisz, żeby Catherine zasłużyła na to oskarżenie? – zdziwiła się Priscilla.

– Owszem.

– Dlaczego? Przecież to podła istota!

Mary wciągnęła powietrze w płuca.

– Możliwe. Ale to jeszcze nie czyni z niej służebnicy Szatana. Wczoraj przyszło mi do głowy kilka pomysłów. Bo raczej mam tu niewiele do roboty, oprócz modlitwy i rozmyślenia – odparła.

– Mów – polecił ojciec.

– Przede wszystkim nie wiemy, czy ta klątwa z użyciem widelców i tłuczka była przeznaczona dla mnie.

– Oczywiście, że wiemy! – przerwała matka.

– Nie, wcale nie. Celem mogła być dziewczyna. Albo Thomas. Albo Thomas i ja, jako mąż i żona. Proszę mi coś powiedzieć, Benjaminie.

– Proszę pytać.

– Skoro Thomas mógł być zwierzyną, to czy równie dobrze nie mógł być myśliwym? Dlaczego nikomu z nas nie przyszło do głowy, że to właśnie on spiskuje z Diabłem? Że jest jego najbardziej ochoczym akolitą?

Wszyscy popatrzyli na Mary, w celi zapadła cisza.

– Mówię poważnie. Nie mógł zakopać tych widelców? Nie mógł wydrążyć we framudze znaku Szatana? To przecież jego dom.

– Owszem... – zająknął się Hull. – Ale... to... mężczyzna.

– Czyżby Diabeł dyskryminował ludzi? Nie miałam pojęcia.

– Nie, naturalnie, że nie – odparł rejent. – Chodziło mi o to...

– Wiem, o co panu chodziło. Ale cała nasza czwórka wie także to, że ten człowiek to łotr. Sieje grozę. Jeśli ktoś okazuje oznaki opętania, to raczej osoba gotowa wbić widelec w rękę bliźniego. Wie pan tylko o skromnej części jego okrucieństw.

– Chcesz go oskarżyć? Zamiast Catherine? – zapytał James Burden.

– Nie chcę oskarżać nikogo!

– Ale musisz – zaprotestowała Priscilla.

– Zobaczmy. Mamo, wiele o tym myślałam. Wiedz, proszę, że jestem przygotowana do walki. Naprawdę. Nie dlatego, że mam pewność, iż dożyję wiosny, ale dlatego, że taką stworzył mnie Pan i trudno.

– Kontynuuj – polecił James Burden.

– Jeśli mi się nie uda, z czym należy się liczyć, pociechę przyniesie mi świadomość, że nasz Pan zna mój żal i smutek. Czuł przecież każdy cień, który przebijał głowę Jego Syna. Czuł każde uderzenie rzymskiego bicia. Czuł przeraźliwy ból, jaki sprawiał każdy rzymski gwóźdź. W tym spotykają się miłość i boleść, tutaj odnajdujemy Boga.

Priscilla upadła z płaczem na podłogę, a James i Mary uklękli obok niej.

Mary ucałowała mokre policzki matki i szepnęła jej do ucha:

– Kusił mnie Diabeł. Ostatecznie mu się oparłam. Wierzę, że Bóg zna moje serce i jeśli przyjdzie co do czego, On też poczuje stryczek, On też się zasmuci.

„Straciła dziecko, niemowlę, moim zdaniem z powodu niechęci i złości, które wydzielają się  
niczym pot przez skórę Mary Deerfield”.

*Zeznanie Beth Howland, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663,  
tom I*



## Rozdział 35

Mary szła wraz Benjaminem Hullem ciemnym korytarzem, który wiódł do drzwi frontowych z imponującymi żelaznymi iglicami. Po raz pierwszy od kilku dni pozwolono jej wyjść z celi. Miała na sobie czyste ubranie, wyprane przez służące matki, które nie śmierdziało ani wydzielinami ciała, ani więzienną pleśnią.

Hull zapewnił Mary, że zdołał zgromadzić świadków – w tym wielbego Johna Eliota – którzy będą przemawiać w jej obronie, zaświadczać o wierze i dobroci podsądnej. Pastor wspomni o dobrych uczynkach pani Deerfield względem rodziny Hawke'ów. Sprawa sprowadzała się właściwie do słowa przeciwko słowu, do zeznania Mary przeciwko zeznaniom Catherine Stileman, co jednak oznaczało, że ostatecznie Mary będzie musiała oskarżyć tamtą i wziąć pod uwagę skazanie dziewczyny na śmierć. A wcale nie była pewna, czy potrafi to uczynić i oświadczyć bez dowodu, że Catherine jest opętana i jako taka zasługuje na stracenie. Gardziła służącą, jednak po przewróceniu kufła Thomasa z trucizną zrozumiała, że nie jest zdolna do zabójstwa.

Przynajmniej Catherine nic nie wie o tojadzie. Nie ma o nim pojęcia nikt spośród wrogów Mary, a także jej rejent, bo nie znajdowała powodu, by mu o tym powiedzieć. Jedynie ekskomunikowana rodzina z Natick oraz Constance Winston znają o nim prawdę. Lecz żadne z nich, choć z odmiennych powodów, nie podzieli się tą tajemnicą z bostońskim sądem.

\* \* \*

Mary zdała sobie sprawę, jak marnie wygląda – mimo świeżych ubrań – gdy napotkała wzrok swojej matki czekającej u podstawy ratuszowych schodów. Zobaczyła to w oczach Priscilli.

Spróbowała uspokoić rodzicielkę żartem:

– Jak już mnie uniewinnią, Thomas wcale mnie nie zechce. Rozwiedzie się ze mną i w ten sposób spełni moje życzenie. Wszystko po prostu potrwa troszkę dłużej, niż się spodziewaliśmy.

Ale matka nie zareagowała uśmiechem, a kapitan straży nie pozwolił Mary zatrzymać się przy rodzicach. Popchnął ją na stopnie. Burdenowie ruszyli za córką.

Była pierwsza na wokandzie, lecz sala już pękała w szwach. Bądź co bądź rozpoczynał się proces o czary, proces przeciwko wiedźmie, a trwał bezśnieżny zimowy dzień. Mimo pracy do wykonania

nikt nie chciał przegapić tego spektaklu.

Brakowało tylko Thomasa. Rejent powiedział wcześniej Mary, że sąd może wezwać go do składania zeznań, ale to mało prawdopodobne: Deerfield nie miał nic do dodania do przygotowanych już zarzutów, żadnego szczegółu, który potwierdzałby zeznania Catherine.

– A gdybym to ja chciała go oskarżyć? – spytała Hulla, kiedy czekali. – Na przykład tak: „W noc przed moim aresztowaniem widziałam, jak Thomas ryje znak Diabła na framudze. Zagroził mi śmiercią, jeśli szepnę choć słówko”. Czy ci, którzy rzekomo pragną, aby sprawiedliwości stało się zadość, wezwaliby go wtedy? Czy może nawet to nie wystarczyłoby do przekonania sędziów, że powinni otworzyć oczy na zło, które kwitnie w moim byłym domu?

– A planuje pani wnieść takie oskarżenie? – zapytał rejent.

Mary nie potrafiła stwierdzić, czy perspektywa ta wzbudziła w nim niepokój, czy ekscytację. Musiał być zaskoczony. Wprawdzie wcześniej omawiali taką ewentualność, ale nie na poważnie.

– Nie – odparła. – Nikt by mi nie uwierzył. Nikt nie zadałby sobie trudu, żeby go wezwać: o to mi chodzi.

James Burden spojrzał na córkę.

– Ale uważasz za możliwe, że twój mąż jest pod wpływem uroku? Wiem, że tak naprawdę wcale nie widziałas, jak ryje ten znak. Czyżby jednak był opętany?

– Nie sądzę. Wiem tylko, że to potwór i całkowicie zasługuje na ogień piekielny, które przygotował mu nasz Pan.

Po drugiej stronie sali Mary dostrzegła Catherine. Służąca stała pod ścianą, starannie unikając patrzenia w stronę, gdzie znajdowała się jej była pani. Sprawiała wrażenie skrępowanej i może tak faktycznie było. Albo tylko udawała. Stanowiła zwodniczo groźną przeciwniczkę, Mary już zdawała sobie z tego sprawę.

Sędziowie weszli niespiesznie, woźny znów uderzył laską o drewnianą podłogę. Jednakże ten proces był inny: tym razem nie stawała tu jako obywatelka wnioskująca o rozwód, lecz jako oskarżona o obrzydliwą zbrodnię. Mary spróbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Richardem Wilderem w ławie sędziowskiej, przyjacielem jej ojca, lecz ten unikał jej spojrzenia. To było niepokojące – owa niechęć bardziej Mary rozgniewała, niż przestraszyła. Więcej, czuła się wręcz wściekła, bo pięć dni spędzone w areszcie wcale nie nadwątlily jej ducha, a jeszcze bardziej rozpały gniew.

W ściśle zawiązanym kornecie stanęła przed gubernatorem Johnem Endicottem.

– Mary Deerfield, zostałam oskarżona o uprawianie czarów. Na poparcie tego zarzutu istnieją liczne dowody. Powiedz nam wprost, abyśmy wiedzieli, na czym stoimy: czy chcesz wyznać, że

padłaś ofiarą diabelskiego zwiedzenia i podpisałaś przymierze z Siłami Ciemności?

Innymi słowy, pomyślała Mary, czy zdaje się na łaskę sądu, która prawdopodobnie nie zostanie udzielona? Oczywiście, że nie.

– Nie – odparła stanowczym głosem. – Nie chcę tego powiedzieć, ponieważ byłoby to kłamstwo. Nie zawarłam paktu z Diabłem. Raczej stałam się ofiarą niezwykle przebiegłej i oddanej Szatanowi wiedźmy.

– Dobrze. W przypadku wyroku skazującego nie oczekuj od tego sądu pobłażliwości.

Mary kiwnęła głową i się cofnęła.

Endicott spojrział na Caleba Adamsa. Najwyraźniej to Adams zamierzał przedstawić zarzuty i kierować procedowaniem. Człowiek ten dostał więc to, czego chciał: proces oskarżycielski więdźmy.

– Catherine Stileman, przemówisz jako pierwsza – oznajmił, wznosząc głos tak, by zabrzmiał niczym donośne, prawdziwie sędziowskie wezwanie. Służąca wyszła na środek sali, gdzie złożyła przysięgę. – Powiedz nam, proszę, co wiesz o swojej pani oraz o tym, co wiąże się z zarzutami przeciwko niej.

– Muszę wrócić do jesieni, proszę pana. Do okresu sprzed rozprawy rozwodowej. Jak panowie pamiętają, Mary Deerfield twierdziła, że znalazła diabelskie zębiska zakopane w ogródku przed domem, a potem oskarżyła o czary mnie. Ale to ja widziałam na własne oczy, jak ona zakopuje te rzeczy.

– Tak, pamiętamy – potwierdził Adams.

– W zeszły piątek rano, kiedy już miałam przygotowywać obiad, poszłam po fartuch. Mój pan był w młynie. Przez pomyłkę sięgnęłam po fartuch pani. Poczułam coś w kieszeni, a gdy wsadziłam tam palce, odkryłam diabelskie zębiska. Dwa. Natychmiast rzuciłam fartuch na podłogę. Wtedy zdałam sobie sprawę, że to jej fartuch, nie mój.

– A gdzie była Mary? – zapytał Adams.

– Nie wiem.

– Przygotowanie obiadu należało tylko do ciebie jednej?

– A także wypełnienie wszystkich porannych obowiązków – odrzekła dziewczyna z nutką irytacji.

– Mów dalej.

– Zdejmując fartuch, wyczułam w kieszeni jakiś inny przedmiot. Sięgnęłam tam...

– Chociaż już wiedziałas, że to nie twój fartuch? – przerwał Wilder.

Pytanie to dało Mary promyk nadziei, że sędzia się od niej nie odwrócił, a przynajmniej nie całkowicie.

– Przepraszam – zmytygowała się Catherine. – Ale ręki do kieszeni nie wsadziłam. Coś z niej wypadło, kiedy wieszałam fartuch na kołku. Sięgnęłam po to na podłogę. Było wielkości monety. Szylinga. Tylko że to nie był szyling. Wykonano to z drewna, na którym ktoś wyrył pięcioramienną gwiazdę, znak Szatana.

W sali rozszedł się szmer. Rozwój wypadków ekscytował plotkarki i próżniaków. Mary poczuła, jak jej serce przyspiesza. Owszem, była zła, lecz także przestraszona. Rozprawa ledwo się rozpoczęła, a publiczność wyczuła, że zimowy marazm wkrótce zostanie przerwany najbardziej satysfakcjonującą rozrywką: obserwowaniem, jak sznur szubieniczny wysysa życie z kobiety.

– Cóż więc zrobiłaś? – spytał Adams.

– Narzuciłam pelerynę i chciałam wyjść, poszukać woźnego sądowego. Lecz potknęłam się pod drzwiami. Upadłam i zobaczyłam diabelski znak, który Mary wyrzeźbiła na framudze.

Gubernator pochylił się i rzekł:

– Doceniam twoją szczerość, ale jeszcze nie ustaliliśmy, że to Mary Deerfield jest za to odpowiedzialna.

– Przepraszam – mruknęła Catherine.

Mary zaczęła się zastanawiać: czyżby ten właśnie człowiek, John Endicott, który skazał Ann Hibbens na śmierć, odczuwał teraz wyrzuty sumienia wystarczające, by oszczędzić kolejną podsadną? Czy chodzi o to, że nie chce mieć na swoich rękach krwi dwóch straconych kobiet?

– Nie potrzebujesz mojego wybaczenia – oznajmił gubernator. – Kontynuuj.

– Mam jedno pytanie – przerwał Wilder. – Dlaczego od razu pobiegłaś do woźnego sądowego? Czemu nie zaczekałaś na powrót swojego pana albo pani?

– To byłoby wiarołomstwo, wysoki sędzie. Daję słowo. Pamiętam, jak jesienią Mary zakopywała te diabelskie zębiska i tłuczek w ogródku. Bardzo się bałam.

– No dobrze.

– Dlatego udałam się do woźnego, a on zasugerował wezwanie pana Deerfielda. Biorąc pod uwagę potworność tego, co odkryłam, postanowiliśmy sprowadzić też kapitana straży.

– Ponieważ – rzucił Richard Wilder sarkastycznie, wskazując na Mary – twoja pani budzi aż tak ogromne obawy i lęk?

– Ponieważ mam słuszne prawo obawiać się Lucyfera – odparła dziewczyna.

– Powiedz nam, Catherine – poprosił gubernator – czy widziałaś u Mary Deerfield jakieś objawy opętania?

– Nie mam pewności.

– Nie masz pewności? Opętanie manifestuje się zwykle dość wyraźnie. Czy słyszałaś, by twoja pani kiedykolwiek krzyczała rozpaczliwie albo ciągnęła się za włosy?

– Nie, proszę pana.

– A byłaś świadkiem jakiegoś jej ataku, napaści, jak u chorego?

Catherine pokręciła głową, a Mary pomyślała, że dziewczynie byłoby tu bardzo łatwo skłamać. Może twierdzić, że widziała wszystko. Wraz z rejentem przewidywali taką możliwość i postanowili zareagować na to pytaniem, dlaczego służąca zgłasza fakt opętania dopiero teraz. A tymczasem ona nie kłamała, co z jednej strony wprawiało Mary w zakłopotanie, z drugiej – przynosiło jej ulgę. Tak czy owak, należało chyba dojść do wniosku, że o ile Catherine była główną siłą sprawczą posyłającą panią Deerfield na szafot, o tyle naprawdę wierzyła, iż jej pracodawczyni zawarła pakt z Diabłem. Nie była to próba oskarżenia Mary o przestępstwa, które Catherine sama popełniła, lecz wyraz pewności, że Mary sprzymierzyła się z Szatanem.

– A zatem nigdy nie widziałaś żadnego ataku bądź napadu jakby choroby? – naciskał Adams, również wyraźnie zaskoczony.

– Widziałam...

– Mów.

– Widziałam melancholię. Widziałam smutek. A mając na względzie pozycję społeczną, którą obdarzył ją Pan Bóg, oraz błogosławieństwa, jakich jej udzielił, wydawały mi się one dziwne.

Adams pokiwał głową.

– A ów smutek, Catherine, czy nie można go przypisać temu, że Mary Deerfield nie ma dziecka? – wtrącił Wilder.

– Nie jestem tak uczona, żeby odpowiedzieć na to pytanie – rzuciła Catherine i prawie dygnęła.

– Poza tym, Richardzie – powiedział Adams – nie zapominajmy, że już jesienią, podczas procesu cywilnego, sugerowano, iż Mary zawarła przymierze z Szatanem i zakopała diabelskie zębiska właśnie przez wzgląd na swoją bezpłodność. Chciała, żeby Zły poprawił jej sytuację.

– Nie zapominam – odrzekł Wilder z lekkim rozdrażnieniem.

– Ale ja wcale nie zakopałam tych widelców! – wyrwało się Mary.

Przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedziała te słowa na głos. Tak skupiła uwagę na absurdalnej wymianie zdań między sędziami, iż zareagowała odruchowo. Lecz jej słowa usłyszało sporo osób i po pomieszczeniu przebiegł cichy pomruk. Gubernator postukał kłykciami w ławkę, każąc Mary ucichnąć.

Poczuła rękę rejenta i postanowiła się nieco wycofać, mniej się rzucać w oczy. Przypomniała sobie jego radę: bądź posłuszna i spokojna. Tłumek potrzebował jeszcze chwili, by zastosować się do napomnienia gubernatora, niektórzy wciąż pomrukiwali pod nosem z irytacją na panią Deerfield, że śmiała zakwestionować zarzuty o uprawianie czarów.

– Czy choć raz zapytałaś Mary o tę melancholię? – naciskał Wilder.

– Nigdy nie wiedziałam, co zrobić, widząc moją panią w takim stanie – odpowiedziała dziewczyna. – Znam swoje miejsce. Czasem się za nią modliłam.

– A mówiłaś o tym panu?

– Nie i strasznie żałuję. Miałam nadzieję, że się mylę i że moja pani nie toczy bitwy z Szatanem.

– Co jeszcze możesz dodać? – odezwał się Adams.

– Ona, moja pani, przyjaźni się z pewną kobietą, która mieszka na Przesmyku. Kobieta najgorszej...

– Proszę! – zareagował Wilder. – Po prostu podaj nazwisko.

– Constance Winston.

I znów w sali wybuchła wrzawa, albo dlatego, że ludzie znali Winston, albo dlatego, że o niej słyszeli. Mary poczuła się źle z powodu wciągnięcia znajomej w całą sprawę, lecz tego się przecież spodziewała. Przekonała się bowiem boleśnie na własnej skórze, że to świat, w którym kobieta taka jak Constance nie ma szansy cieszyć się nieskazitelną reputacją: zawsze zniszczą ją kalumnie i ludzka podłość.

– Co twoim zdaniem Mary planowała? – zapytał Adams, podnosząc głos, żeby uspokoić publiczność. – Dlaczego spotykała się potajemnie z Constance Winston?

Mary szepnęła do rejenta:

– Potajemnie? Dlaczego on zakłada, że moje wizyty odbywały się w sekrecie?

– A nie? – rzucił retorycznie Hull.

Westchnęła. Owszem, tylko czemu Adams tak bezpardonowo to osądził? Oczywiście dlatego, że był mężczyzną, natomiast Constance – kobietą niezależną.

– I znów, proszę pana, ktoś taki jak ja nie powinien snuć domysłów w tych sprawach – powiedziała Catherine.

– Sędzia zapytał – wtrącił Daniel Winslow. – Proszę zatem czuć się w prawie... snuć domysły.

– No cóż – mruknęła dziewczyna. – Moja pani nie lubi swojego męża. Wydaje mi się to oczywiste, odkąd podjęła próbę zerwania małżeńskiego przymierza.

– A co to ma wspólnego z Constance Winston? – zdziwił się gubernator. – Ta kobieta nie prowadzi mediacji między mężami i żonami, którym grozi rozstanie.

– To prawda, proszę pana – zgodziła się Catherine posłusznie.

Wszystko mogłoby się na tym skończyć, gdyby nie Adams, który zamierzał wykazać związek między podsadną a kobietą z Przesmyku.

– Czy Mary Deerfield jest nienaturalnie chłodna dla własnego męża? – spytał.

– Chłodniejsza niż to normalne, jak sędzę – odparła służąca.

– Od odrzucenia jej pozwu rozwodowego jest jeszcze bardziej lodowata?

– Znacznie. To wiem na pewno.

– Ponieważ podróżowałam z wielobnym Eliotem. Ponieważ próbowałam przywrócić rodzinę Hawke'ów Panu Bogu – przerwała Mary.

Adams przewrócił oczami, natomiast gubernator pokiwał głową.

– Tak, Mary. Dałaś tym ludziom dużo dobrego. Ale nie masz teraz głosu.

Ukloniła się z szacunkiem.

– Catherine – podjął Adams. – Twierdzisz więc, że Mary Deerfield stała się jeszcze gorsza. Co o tym myślałaś?

– Że ona mogła się nauczyć różnych rzeczy, złych, mrocznych, od Constance Winston. Beth Howland mówiła mi, jaką osobą jest Constance.

Adams uniósł rękę, żeby powstrzymać Catherine, po czym szepnął coś do Daniela Winslowa. Następnie obaj ściszym głosem rozmawiali z gubernatorem Endicottem. Ten kiwnął głową i wezwał do siebie kapitana straży. Choć Mary nie słyszała wszystkiego, zrozumiała jednak, że sąd każe stawić się na rozprawie zarówno Constance Winston, jak i Beth Howland.

Gdy kapitan wyszedł, Endicott podjął procedowanie.

– Catherine, możesz kontynuować. Mówiłaś nam o wizytach Mary Deerfield na Przesmyku.

Dziewczyna zrobiła głęboki wdech.

– W czasie procesu rozwodowego nie rozumiałam, o co chodzi z tymi diabelskimi zębiskami. Bałam się tylko. Ale przyglądając się jej nienaturalnej oziębłości względem męża, codziennie, każdej nocy, doszłam do takiego wniosku: jesienią zawarła przymierze z Lucyferem, żeby zamordować Thomasa Deerfielda. Chciała rzucić na niego klątwę za pomocą diabelskich zębisk i tłuczka. Nie stanowiły one ofiary, która miała usunąć bezpłodność, ale coś znacznie gorszego.

Mary przeżyła głęboki szok. Ta dziewczyna złamała szyfr, pojęła sens zaklęcia! Może sama była wiedźmą, bardziej podstępna niż jakakolwiek znana Mary osoba, kimś, kto świetnie i wiarygodnie potrafi udawać służalczość? Ale tkwiło w tym wszystkim coś jeszcze. Mary patrzyła na sytuację z przerażeniem, z jakim obserwuje się płonący dom, ponieważ żywiła straszliwą pewnością, w którym kierunku to zeznanie zmierza.

– A cóż to była za klątwa? Mająca doprowadzić do otrucia Thomasa Deerfielda? – zapytał Adams.

– Tak, proszę pana.

– Po co diabelskie zębiska? Czy to jakiś symbol?

– Nie jestem uczona, nie znam się na Piśmie Świętym, nie chcę wykraczać poza własną pozycję – odpowiedziała Catherine, schylając głowę.

– Po prostu cię pytam – uciał Adams. – Wszystkich nas ciekawi twoje zdanie.

– Dziękuję panu. Tak, to symbol. Symbol języka najwredniejszego ze stworzeń: węża. Taką postać przybrał Diabeł, kiedy pierwszy raz kusił Ewę. A tłuczek to symbol miażdżenia trucizny przed użyciem.

– Jesteś mądrzejsza ponad swój stan, Catherine – pochwalił Adams. – Kontynuuj, proszę.

– Gdy tamtego wieczoru, jesienią, przyłapałam moją panią, musiała się przestraszyć, że nie zrealizuje planu, bo ja już wiem. A przynajmniej myślała, że ja wiem. Czyli wtedy się nie udało, więc postanowiła rozwieść się z Thomasem Deerfieldem, wymyślając okropne historie o jego okrucieństwie i maltretowaniu. A kiedy panowie przejrzelicie jej nieczne kłamstwa i odrzuciliście pozew rozwodowy, po raz kolejny udała się do Szatana, prosząc go o pomoc w zamordowaniu męża.

Mary zerknęła na rejenta, przerażona, lecz on tylko pokręcił głową. Musi zachować spokój, uległość, panować nad sobą, nawet jeśli Catherine zwija właśnie pętlę sznura, która zaciśnie się na jej szyi.

– W jaki sposób pojęłaś znaczenie tych diabelskich zębisk i zamiary swojej pani? – dopytywał Adams.

– Dzięki lekturze Słowa Bożego. I tego, co znalazłam w Biblii mojej pani.

Otóż to: nowy, nieznanany dotychczas element. Ta dziewczyna dawała sądowi dowód równie obciążający, jak gdyby pokazała buteleczkę z tojadem. Mary wiedziała, co Catherine teraz powie. Zakręciło jej się w głowie, poczuła mdłości. Nie domyślała się, że to nadejście, to była niespodzianka. Odruchowo zgięła się wpół i położyła ręce na kolanach. Świat pociemniał. A jednak słyszała. Nadal wszystko słyszała.

– Początkowo to nie miało dla mnie sensu – mówiła Catherine. – Nabrało go później, kiedy znalazłam w jej fartuchu diabelskie zębiska i monetę. Pozostawiła też gęsie pióro w Biblii na stronie z psalmem sto czterdziestym: „Ostre jak u węża ich języki, a jad żmijowy pod ich wargami”. Pamiętam, że czytała ten psalm. Musiał mieć dla niej wielkie znaczenie, skoro zaznaczyła ten wers piórem.



Znów w sali sądowej rozległ się tumult. Był on ostatnią rzeczą, jaką Mary słyszała, zanim szczęśliwie straciła przytomność i zemdlna padła na podłogę.

„Oskarżyłaś go fałszywie o wbicie diabelskich zębisk w twoją rękę...”

*Z wypowiedzi sędziego Caleba Adamsa, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 36

W rozprawie nastąpiła przerwa, acz niezbyt długa. Rodzice Mary pospieszyli do córki. Po chwili już siedziała między Benjaminem Hullem a swoim ojcem, oparłszy głowę na jego ramieniu. Matka zaglądała Mary w twarz. Ta straciła przytomność zaledwie na chwilę.

– Kochanie – mamrotała Priscilla. – Moje kochanie...

Mary kiwnęła w stronę rejenta, że nic jej nie jest – a właściwie, że czuje się tak jak każda kobieta, którą mają wkrótce powiesić – ale Hull i tak wstał i poprosił sąd o wznowienie postępowania dopiero po obiedzie.

Adams wychylił się z ławki, obrzucił Mary spojrzeniem. Minę miał lekceważącą.

– Dopiero zaczęliśmy, Benjaminie. Do obiadu jeszcze wiele godzin. Mary ma otwarte i bystre oczy.

Wymieniona zrobiła głęboki wdech.

– Tak, mogę uczestniczyć w procesie. Przepraszam. Nagle zakręciło mi się w głowie.

Powstrzymała się od dodania, że w areszcie karmiono ją fatalnie, tylko kukurydzianą papką i spleśniałym serem, a przetrwała głównie dzięki temu, że rodzice dostarczali mięso i pieczywo. Wstała z pomocą ojca.

– Bardzo dobrze – powiedział Adams i zerknął na innych mężczyzn w ławie. – Nie mam więcej pytań do dziewczyny. A panowie?

– Ja mam – rzekł Richard Wilder. – Catherine, wyjaw nam, proszę, w jakich konkretnie sytuacjach twoja pani traktowała cię okrutnie.

Służąca sprawiała wrażenie zaskoczonej. Potrząsnęła głową.

– Nigdy mnie tak nie traktowała. Zwykle była dla mnie miła – odparła.

– Świetnie – mruknął Wilder.

– A wobec swojego męża? – wtrącił się Adams. – Chcemy mieć w tym względzie całkowitą jasność.

– Złe zamiary mojej pani były wymierzone w jej męża, nie we mnie.

– Czy widziałas jej okrucieństwo skierowane przeciwko Thomasowi Deerfieldowi? – zapytał Daniel Winslow.

– Tak: czary. Diabelskie zębiska.

– A jakieś inne? – naciskał Wilder, chyba jedyny stronnik podsądnej.

Catherine głośno wypuściła powietrze. Mary się zastanawiała, czy próbuje teraz sfabrykować jakąś bajeczkę, czy może długo, głęboko i szczerze rozmyśla o swoim życiu z Deerfieldami. Lecz jeśli planowała skłamać, wyglądało na to, że nie potrafi wypichcić na miejscu czegoś wiarygodnego, co odpowiadałoby wymogom rzeczywistości. Bo przecież Thomas był mężczyzną potężnym fizycznie, a przy tym bezwzględny i nieznoszącym sprzeciwu.

– Jej okrucieństwo polegało, jak sądzę, na paktowaniu z Diabłem – odpowiedziała Catherine.

– I na niczym więcej?

– Obstawiam przy swoim słowie.

– A jest ono znaczące – zapewnił Adams. – Możesz wracać do domu, o ile ktoś inny nie ma dodatkowych pytań.

Pytań nie było. Sąd zakończył przesłuchanie. Mary patrzyła, jak służąca ukradkiem przemyka ku schodom. Nagle podniosła oczy i spotkały się wzrokiem. Mary nie zobaczyła tam żadnego wstydu. Może smutek i żal, ale nie miała co do tego pewności.

\* \* \*

Kiedy czekali na Beth Howland i Constance Winston, przed ławą stanął woźny sądowy. Był to mężczyzna korpulentny, przypominający sylwetką Johna Eliota, lecz młodszy i o bardziej bulwiastym nosie. Włosy miał barwy ciemnego brązu, choć na brodzie ukazały się już pierwsze smugi siwizny. Nazywał się Stalwart Thames. Mary wiedziała, że człowiek ten świadom jest nadużywania alkoholu przez jej męża i tego nie pochwała. Nigdy jednak nie sprowadził Thomasa do domu w stanie nietrzeźwości ani nie słyszał, aby ukarano go za pijaństwo.

– Widział pan znak Diabła na framudze drzwi tego domu? – zapytał Adams.

– Tak. Pasował do symbolu na monecie – odparł woźny.

– Skąd pewność, że wyryła go Mary Deerfield? – wtrącił się Wilder. – Brak na to świadków oraz zeznań.

– Zgadza się. Lecz oto co ustaliliśmy. Wiemy, że Catherine Stileman widziała zeszłej jesieni, jak Mary Deerfield zakopuje nocą diabelskie zębiska. Mary temu nie przeczy. Dalej: wiemy, że Catherine owe zębiska oraz diabelską monetę znalazła w fartuchu pani Deerfield. Mamy werset z Biblii, którego sens Mary zniekształciła na potrzeby swej złowrogiej klątwy. I wreszcie jesteśmy w posiadaniu jej listu, który wskazuje, że rozważała samobójstwo, co z kolei sugeruje obłąd, a więc i opętanie.

– Dobra robota, Stalwart – zauważył Wilder. – Lecz czy jest pan ekspertem od diabolicznych opętań?

– Nie. Na szczęście nie miałem z nimi wiele do czynienia.

– Muszę przyznać, że i ja nie miałem. Istnieje jednak pewna nieściskość, która mnie trapi. Dlaczego Mary Deerfield miałyby wzywać Diabła do pomocy w zabójstwie męża, a potem chcieć odebrać sobie życie?

– Mówię tylko to, co wiem, wysoki sędzie.

Wilder skinął głową, akceptując ów punkt widzenia. Następnie spytał woźnego sądowego, czy kiedykolwiek wcześniej miał powody dyscyplinować Mary Deerfield. Okazało się, że kobieta nigdy nie złamała prawa, dlatego ta linia oskarżenia szybko upadła. Nawet Adams nie miał tu nic do dodania. Woźnego zwolniono, a do pulpitu dla świadków podszedł Valentine Hill. Rejent uprzedził Mary, że nie potrafi przewidzieć treści zeznań starszego pana – z pewnością nie pochwałał on swego siostrzeńca i słusznie postrzegał jego relację z panią Deerfield jako świętokradczą. A jednocześnie Hill był wielkim przyjacielem rodziny Burdenów. Hull zapewnił swoją klientkę, że jej ojciec odbył wczoraj długą rozmowę z Valentine'em. James bronił córki oraz Henry'ego.

Starzec złożył przysięgę prawdomówności.

– Dziękuję, że zgodził się pan zeznawać – zaczął Adams. – Wiemy, jak bardzo jest pan zajęty.

– O tej porze roku mniej niż w innych.

– Istotnie – zgodził się sędzia. – Proszę nam powiedzieć, czy importował pan diabelskie zębiska?

– Nie. Ale jeśli mam być drobiazgowo uczciwy, to powiem, że nie widzę w nich żadnego instrumentu Sił Ciemności. To po prostu widelce. Jak wysoki sąd wie, mam dobrego przyjaciela, który je do nas sprowadza. – Hill uprzejmie skinął głową w kierunku Jamesa Burdena. Ten wbijał wzrok w podłogę.

– Jak zwał, tak zwał. Czy przyznałby pan jednak, że ludzie zwiedzeni przez Szatana mogą przydawać im większe, bardziej podstępne znaczenie?

– Owszem, ale zasadniczo dlatego, że Diabeł jest niegodziwcem i nawet dziecięcą zabawkę może uczynić narzędziem zła, jeśli zechce.

– Dobrze. Zna pan Mary Deerfield, prawda?

– Odkąd przybyła do Bostonu, tak.

– Co ją łączy z pańskim siostrzeńcem, Henrym Simmonsem?

– Jak wysoki sąd ustalił podczas procesu rozwodowego Mary, mój siostrzeniec usiłował ją raz pocałować.

– Wygląda na to, że pan takich zachowań nie aprobuje.

– Nie ma zgody na cudzołóstwo.

– Oczywiście – przyznał Adams. – Czy ta dwójka widywała się od tamtej pory, to znaczy od rozprawy rozwodowej na tej sali?

– Nie wiem.

– Ale Mary była w pańskim magazynie, gdzie pracuje Henry Simmons, i pytała pana, gdzie go znajdzie. Czy to prawda?

– Tak. Wyjaśniła mi jednak, że chce wybaczyć mojemu siostrzeńcowi jego postępkę. Nigdy nie pytałem ani Mary Deerfield, ani Henry’ego, czy go znalazła.

– Często bywała na nabrzeżu. Nieprawdaż?

– Tak.

– Znajduje się tam też skład należący do ojca Mary – zwrócił uwagę Wilder. – Nie zapominajmy o tym fakcie. Wiem, że podsądna odwiedzała pirs przez całe swoje dorosłe życie.

– Racja, Richardzie – mruknął Adams. Wychylił się nieco bardziej w stronę Valentine’a Hilla i spytał: – Czy pańskim zdaniem Mary to pomysłowa osoba? Nieustępliwa?

– Jest kobietą świadomą własnej inteligencji.

– Kiedy odmówiliśmy jej rozwodu, czy naprawdę pogodziła się z naszym „nie”?

– Co pan sugeruje?

– Słyszał pan dzisiejsze zeznania Catherine Stileman: Mary Deerfield zawarła pakt z Diabłem, aby rzucić na Thomasa Deerfielda śmiertelną klątwę i w ten sposób uwolnić się od małżeństwa z owym człowiekiem. Nie musi pan tego potwierdzać, ale...

– Nawet bym nie mógł – wtrącił Hill. – Mary to zawzięta osoba, lecz nie jest morderczynią.

– Ale... – ciągnął Adams, jakby mu wcale nie przerwano – ...chcielibyśmy wiedzieć, czy uważa pan, w obliczu nas wszystkich oraz naszego Boga i Zbawcy, że pański siostrzeniec podjął próbę wyrwania Mary z więzów małżeńskich.

Hill odpowiedział niechętnie, kręcąc głową:

– Być może. On też jest raczej nieustępliwy.

– I właśnie ów fakt dał Mary nadzieję, że będzie mogła wieść życie z tym mężczyzną, gdy już zerwie dotychczasowe małżeństwo.

Hill milczał. Naprawdę nie miał nic więcej do dodania.

\* \* \*

– Przybyły? – zapytał Caleb Adams kapitana straży. – Ta kobieta z Przesmyku i Beth Howland?

– Są na parterze – odrzekł mężczyzna. – Mogę je przyprowadzić.

– Proszę. Zaczniemy od tej z Przesmyku – zarządził Adams.

– Biedna Constance – szepnęła Mary do ucha Benjamina Hulla. – Tak mi przykro, że została w to wszystko wplątana.

Rejent pokiwał głową. Chwilę potem usłyszeli odgłos dwóch par butów na schodach. Mary ujrzała swoją wysoką przyjaciółkę, przedmiot wszelkich plotek oraz insynuacji. Constance uśmiechnęła się do pani Deerfield, a ta odczuła niespodziewaną falę pewności siebie. Sąd nie wezwałby tu jej, gdyby nie sądził, że może ona potwierdzić zarzut o uprawianie czarów – ta ława bardzo daleka była od neutralności – lecz Mary wiedziała, że starsza kobieta dysponuje rozumem nie mniejszym niż każdy z niechętnych jej mężczyzn.

Adams szybko poinformował przybyłą, dlaczego wezwano ją do sądu, podkreślając powagę oskarżenia.

– Po co Mary Deerfield panią odwiedzała? – spytał wreszcie.

– Miała ochotę na herbatę – odrzekła Constance.

Adams powtórzył pytanie, tym razem dołączając ostrzeżenie:

– Została pani zaprzysiężona i zna pani powód swojego stawiennictwa, proszę o tym nie zapominać. Dlaczego Mary Deerfield spotykała się z panią?

– Już odpowiedziałam: piłyśmy sobie herbatę.

– Mogłaby się jej napić w śródmieściu. Pani towarzystwo może się zdawać interesujące, jednak wątpię, biorąc pod uwagę pani niechęć do obcowania z resztą Bostonu oraz szczupłość znajomych, że tylko ono warte było podjęcia wysiłku dotarcia do pani.

Winston uśmiechnęła się nieznacznie, po czym z fałszywą skromnością splotła dłonie w rękawiczkach.

– Zatem? – nacisnął Adams.

– Tak?

– Zadałem pytanie.

– Odpowiedziałam. Czy w pańskiej wypowiedzi o niedostatku moich znajomych tkwiło jakieś inne, które przeoczyłam?

Adams zaczął coś mówić, ale powstrzymał go gubernator.

– Jesteśmy wszyscy pewni, że ma pani przyjaciół – zapewnił Endicott. – Gdy Mary przyszła na herbatę, czy prosiła panią o rady?

– Po raz pierwszy odwiedziła mnie dwa lata temu, w poszukiwaniu ziół lub specyfików, które mogłyby pomóc nasieniu jej męża, aby posadowiło się w jej łonie. Mary Deerfield jest osobą pobożną, chciała uhonorować naszego Pana spełnieniem roli matki, którą jej przypisał.

– Podpowiedziała jej pani jakieś leki? – spytał gubernator.

– Tak. Nie podzielały. Podczas naszych spotkań jesienią i zimą nie zaleciłam jej nic więcej.

– Twierdzi pani – wtrącił się Adams – że podczas ostatniej wizyty Mary nie prosiła jej o radę? – W jego głosie słychać było niedowierzanie.

– Zgadza się.

– W takim razie o czym rozmawiałyście?

– O pogodzie. O zmianie pór roku. O pragnieniu Mary, aby pomagać wielebnemu Eliotowi. Tyle pamiętam.

– I nie prosiła pani o pomoc?

– Nie. Nie wiem, jakimi środkami stara, pozbawiona przyjaciół kobieta miałaby wspomóc kogokolwiek, poza sugestiami dotyczącymi naparów i mikstur, które nieco bardziej uszczęśliwiłyby spermę.

– Nie prosiła pani o informacje na temat diabelskich zębisk?

– Nie prosiła – odrzekła Constance.

Tylko Mary wiedziała, że to kłamstwo.

– Nie interesowała się różnymi klątwami, urokami, które można rzucić za pomocą zębisk i tłuczka?

– Nie. A gdyby to zrobiła, nie miałabym pojęcia, co odpowiedzieć. Czułabym się zagubiona. Może nie spędzam zbyt dużo czasu tutaj, w centrum tego wspaniałego miasta, ale też nie baraszkuje z Szatanem po lesie.

– Jednakże rozpoznałaby pani diabelski znak, gdyby go ujrzała.

Constance skinęła głową.

– I bardzo bym się bała. Nie mam ochoty się z Nim spotykać. Przenigdy. Zbyt wielu widziałam Jego stronników tutaj, w Bostonie, nawet wśród gorliwych chrześcijan.

Mary zobaczyła, jak Wilder tłumi uśmiech. Adams również to zauważył.

– Ustaliliśmy więc, że Mary Deerfield widywała się z panią – powiedział. Zerknął na pozostałych sędziów. – Myślę, że to wystarczy.

– Wystarczy do czego? – zapytał Wilder.

– Księga Przysłów, dwanaście, dwadzieścia sześć: „Sprawiedliwy jest zacniejszy od swego bliźniego, a droga niegodziwych prowadzi ich na manowce”.



– Nie wiemy, czy Constance Winston wywierała zły wpływ na Mary Deerfield ani na kogokolwiek innego, Calebie – rzekł Wilder. – To nie jest proces Constance.

– Nie jest – zgodził się Adams. – Jeszcze nie. – Potem wskazał na starszą kobietę i dodał: – Znamy takie jak pani.

– To znaczy osoby siwowłose i pomarszczone na twarzy – odparła. – Innymi słowy, osoby, których się nie zauważa, chyba że potrzeba znaleźć kogoś, kogo łatwo zdemonizować i prześladować.

– Taką bezczelnością nie pomaga pani swojej przyjaciółce! – syknął Adams. – Uważać na język!

– Dziękuję za radę. Będę.

Dzięki tym słowom Adams musiał zapewne poczuć, że wystarczająco zbił linię obrony Mary. Pozwolono Constance odejść. Przez ułamek sekundy Mary wydawało się, że starsza przyjaciółka ją obejmie, lecz ta była na to za mądra. Minęła ją bez najmniejszego choćby pozdrowienia.

– Czy pani Beth Howland jest obecna? – zwrócił się Adams z pytaniem do woźnego.

Zanim ten zdążył odpowiedzieć, Mary usłyszała kobiece wołanie z drugiej strony sali:

– Tak, wysoki sędzie! Jestem!

– Do pani również mamy pytania.

– To dla mnie zaszczyt na nie odpowiedzieć – zapewniła Beth, występując naprzód do zaprzysiężenia. Wyglądała ładniej niż zwykle. Gorset i spódnica lśniły odcieniami szmaragdu i błękitu.

– Proszę nam powiedzieć – zaczął Adams – co pani wie o Mary Deerfield i jej skłonnościach do złego.

Mary spojrzała na rejenta, oburzona wypowiedzią Adamsa – jakby to, że została zwiedziona przez Lucyfera, stanowiło dawno ugruntowany wniosek. Zanim jednak Hull miał szansę zasugerować nieco mniej przykry początek badania świadka, Wilder nachylił się do Adamsa i rzekł:

– Calebie, chyba nie mówisz poważnie.

– Całkiem poważnie. Nie będę tolerować pośród nas Diabła.

– Proszę cię, zwracaj większą uwagę na sformułowania, których używasz. Zadaj pani pytanie tak, by nie wymagało od niej wygłoszenia rozprawy naukowej.

Adams parsknął, ale podjął z innej beczki.

– Gdy jesienią okazała pani najwyższej próby miłosierdzie i przyjęła pod swój dach Catherine Stileman po tym, jak dziewczyna widziała swoją panią z diabelskimi zębiskami, wiele ze sobą rozmawialiście. To prawda?

– Tak.

– Jaki był główny temat owych rozmów?

– Obie podejrzewałyśmy, że Mary Deerfield wcale nie leczyła brata Catherine, który ostatecznie zmarł, lecz podejmowała działania zmierzające do szybszego przeniesienia go z tego świata na tamten.

– Uważa pani, że sprzedała tę duszę Szatanowi, by obdarzył ją własnym dzieckiem. Zgadza się?

– Owszem. Przez tę kobietę straciliśmy służącego.

– Czy po powrocie Catherine do domu Thomasa Deerfielda nadal się spotykałyście? – zapytał Adams, jakby nie słyszał bezdusznej uwagi świadka.

*Przez tę kobietę straciliśmy służącego.* Co za nikczemne podsumowanie śmierci Williama Stilemana, myślała Mary. Dostrzegła, że zarówno Wilder, jak i Endicott kursują spojrzeniem między Adamsem a zeznającą kobietą, jakby nagle stali się obserwatorami rozmowy dwojga ludzi niespełna rozumu.

– Nie wywoływałam jej specjalnie, ale czasem nasze drogi się krzyżowały.

– Zna pani Peregrine Cooke – odezwał się Daniel Winslow.

– Tak. Straciła dziecko, niemowlę, moim zdaniem z powodu niechęci i złości, które wydzielają się niczym pot przez skórę Mary Deerfield. Proszę zobaczyć, że wszystko, czego ona się tyka, niszczy i umiera! Jest bezpłodna, więc chce, żeby cały świat wokół niej zamienił się w pustynię wysuszonych kości, które nigdy nie powstaną do życia. Mój służący i dziecko Peregrine to tylko dwie ofiary na tym pustkowiu.

– Istotnie – zgodził się Adams. – Widzę tu coś więcej niż tylko przypadek.

– I wiem, że Peregrine bardzo martwiła się tym, że choć jej mąż nie interesuje się powabami Mary Deerfield, ona sama w sposób oczywisty pozwala własnym oczom zbyt długo spoczywać na Jonathanie Cooke’u. Z poządlivością – kontynuowała Beth z własnej woli.

– Jaki dokładnie jest sens opowiadania tych rewelacji? – spytał Wilder.

– Tak, Beth! – Mary już nie mogła się powstrzymać. – Jestem więc nierządnicą czy wiedźmą? Kiedy byłam tu poprzednio, oskarżano mnie o poządlivość względem Henry’ego Simmonsa. A dziś? Przecież mówisz o moim zięciu!

Poczuła, jak rejent chwyta ją za łokieć, tym razem jednak wybuch podsądnej nie wzbudził większych kontrowersji. Wilder i Endicott kiwali głowami.

– Jonathan Cooke wydaje się niezdolny do zapanowania nad sobą, jeśli chodzi o wiele złych nawyków, ale dziś nie zajmujemy się jego sprawą – rzekł ten pierwszy.

– Ja tylko odpowiedziałam na pytanie sędziego Winsłowa, co wiem o Peregrine – mruknęła Beth.

– Kto pani zdaniem dał Mary monetę z diabelskim znakiem? – podjął Adams.

– Podejrzewam, że kobieta, która zeznawała przede mną.

– Constance Winston?

– Tak.

– Nie osądzamy teraz Constance – wtrącił gubernator. – Ma pani jakiś dowód na potwierdzenie tego zarzutu?

Beth pokręciła głową.

– Czy w takim razie widziała pani kiedykolwiek coś, co świadczyłoby o opętaniu podsądnej? – naciskał Endicott.

– Nie, ale jej opętanie ma bardziej podstępny charakter: powoli zatruwa ten świat. I ona świetnie się z tym kryje.

Adams kiwnął głową wobec tej uwagi, jakby świadczyła o mądrości i wnikliwości, a nie była zwykłą kalumnią bez podstaw. Sędziowie spoglądali po sobie, chcąc się przekonać, czy któryś ma więcej pytań. Ponieważ nikt nie miał, Adams podziękował jejmości, a gubernator pozwolił jej odejść.

Gdy Beth Howland zniknęła, Adams zwrócił się bezpośrednio do Mary:

– Mary Deerfield, rozumiem, że są ludzie, którzy chcieliby zeznawać w twojej obronie. Zaczynamy?

– Tak – odrzekła i spojrzała na rejenta.

Na pierwszy ogień miała pójść akuszerka.

„Badała mnie komisja złożona z kobiet, z udziałem bardzo szanowanej przez Kościół akuszerki, która nie znalazła na moim ciele żadnego diabelskiego znamienia”.

*Zeznanie Mary Deerfield, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*

## Rozdział 37

Mary przypomniała sądowi o bolesnej zniewadze, która spotkała ją w areszcie.

– Jak zapewne panowie pamiętają, skierowano do mnie grupkę trzech kobiet, by rozebrały mnie do naga w poszukiwaniu znaku Szatana – mówiła. – Była wśród nich Susanna Downing, akuszerka. Oto ona.

Srebrzystowłosa matrona ukloniła się sędziom.

– Szanowna pani Downing, czy zbadałyście całą powierzchnię mojej skóry, od głowy po pięty? – spytała Mary.

– Owszem, zbadałyśmy.

– A czy znalazłyście jakieś szatańskie znamię albo wiedźmi sutek?

– Nie. Nic takiego.

– Mary, przecież o tym wiemy. Niepotrzebnie sprowadzałaś tu panią Downing – powiedział Adams.

– Chciałam mieć pewność, że wysoki sąd usłyszy te słowa od samej akuszerki. Moje ciało jest czyste.

– Zgadza się. Pani Downing, nie musi pani tracić tu reszty dnia – ciągnął Adams. Mary widziała, że jest zirytowany, ale osiągnęła to, co zamierzała. A przynajmniej tak sądziła, dopóki Adams nie dodał: – Lecz sam fakt, Mary, że nie nosisz żadnego znaku, nie świadczy, iż nie jesteś wiedźmą ani że nie zawarłaś paktu z Diabłem. Owszem, posiadanie znamienia sugeruje bycie czarownicą. Z drugiej strony jego brak nie znaczy, że się nią nie jest.

– Ale to istotny czynnik do rozważenia, Calebie – wtrącił Wilder.

– Tak – zgodził się sędzia, było jednak oczywiste, że dla niego zupełnie nieważny.

– Czy mogłabym coś powiedzieć? – spytała akuszerka.

– Oczywiście. – Gubernator się uśmiechnął.

– Mary Deerfield bywała obecna przy narodzinach razem ze mną i zawsze okazywała się pomocna. Wszystkie dzieci do dzisiaj żyją. Uważam, że nie została znęcona przez Szatana.

– W tym mieście są z pewnością kobiety w ciąży, które nie podzielają tego poglądu – mruknął Adams. – Proszę zobaczyć, co się stało z jej własną pasierbicą. Ustaliliśmy, że obecność Mary zgasiła płomień życia w łonie Peregrine Cooke.

– Przepraszam! – zareagował Hull. – Z całym szacunkiem, ale w jaki sposób to ustaliliśmy?

– Rejent ma słuszość, Calebie – oznajmił Wilder.

Mary myślała, że Adams zacznie się spierać, lecz on tylko przewrócił oczami.

– Czy chciałaby pani coś dodać, pani Downing?

– Nie, wysoki sędzie.

– Świadek może odejść – zarządził gubernator.

Głos miał zmęczony i znużenie to przestraszyło Mary. Był chyba jej sojusznikiem, ale zbyt steranym, żeby o nią walczyć. W głębi serca wiedziała, że batalia jest przegrana, mimo wszystko nie potrafiła stłumić nadziei na cud.

– Kto następny?

– Wielebny John Norton – odparła Mary.

Duchowny wystąpił naprzód. Kiedy złożył przysięgę, obserwowała, jak mężczyźni w ławie sędziowskiej witają się z przybyłym znacznie serdeczniej niż choćby z akuszerką, z kobietami: Beth Howland i Constance Winston, a nawet z tak cennym świadkiem jak Catherine Stileman. Pastor opowiedział, że Mary nie opuściła żadnego niedzielnego nabożeństwa, że zawsze chodziła do kościoła. Na tyle mogła z jego ust liczyć.

– Powiedz mi coś, proszę – rzekł Caleb Adams. – Skoro Mary Deerfield jest taka pobożna, to jak wyjaśnisz obecność diabelskich zębisk w jej fartuchu oraz fakt, że widziano ją w nocy z kolejnymi ostatniej jesieni?

Wielebny zapatrzył się w swoje ręce, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Postrzegasz te sztuce ze złą wolą, większą, niż ja mógłbym żywić, Calebie. Nie korzystam z nich i nie pochwalam ich używania, ale nie jestem też skłonny widzieć w nich narzędzia zła.

– A Mary?

– Za nią nie będę mówił. Raczej wątpię, bo to jej ojciec je zaimportował.

– A co z diabelską monetą? Oraz ze znakiem na framudze drzwi? Uważam to za rzecz wysoce niepokojącą.

– Myślę, że masz prawo czuć się zaniepokojony. Jednym i drugim – odparł pastor. – Szatan jest podstępny i nieugięty. Nasze wysiłki tutaj, w Bostonie, szczególnie go rozdrażniają. Uczyni wszystko, co w Jego mocy, by zniszczyć nasze dzieło.

– Sądzisz, że to obciąża Mary Deerfield?

– Jeśli wyryła ten znak na framudze...

– W jej fartuchu znajdowała się moneta ze znakiem! – Adams trzasnął dłońmi o ławkę. – Johnie, z całym szacunkiem, ale to przecież obciążająca okoliczność! Moneta w fartuchu Mary

Deerfield!

– Tak twierdzi dziewczyna.

– Twoim zdaniem Catherine Stileman kłamie?

– Nie. Mówię tylko, że mamy dwie wersje wydarzeń. Ja znam Mary Deerfield, którą widuję w niedzielę, Mary Deerfield, która postanowiła postrzegać swoją bezpłodność jako błogosławieństwo i pomagać w nawracaniu Hawke'ów. Oto ta młoda kobieta, którą znam! – wskazał pastor.

Daniel Winslow wyprostował się i spytał:

– Czy sądzisz, że każdy parafianin w Kościele jest zbawiony?

– Oczywiście, że nie. Nie możemy wiedzieć, kto znajduje się wśród wybranych, a kto wśród potępionych.

– Ale wiemy, że zbawienie nie pochodzi z uczynków.

– To nie ulega wątpliwości.

– A mnie się wydaje – mówił Winslow – że samo chodzenie przez Mary do kościoła oraz pomaganie przy dzieciach Hawke'ów to tylko wybieg mający na celu ukrycie jej nikczemnej relacji z Diabłem.

– Wszystko jest możliwe. Ale, Danielu... Sądzę też, że niektóre ewentualności są bardziej prawdopodobne od innych.

\* \* \*

Przesłuchanie wielebnego Johna Eliota przebiegło mniej więcej w ten sam sposób. Pastor wyrażał się z uznaniem o działalności Mary w rodzinie Hawke'ów, a potem dodał, że powinna mieć szansę ją kontynuować. Wyzaczył swej podopiecznej poważniejsze zadania: chciał, by niebawem dołączyła do niego jako nauczycielka dzieci modlących się Indian, by nawracała ich na drogi Pana.

– Pana Boga czy Pana Szatana? – zapytał Adams lekceważącym tonem.

– Wyłącznie Boga – odrzekł Eliot, nie zniżając się do poziomu sędziego i nie odpowiadając tym samym.

– Chyba że jej świątobliwe zachowanie to jedynie fortel mający zamaskować sojusz z Diabłem – mruknął Adams.

Mary przewróciło się w żołądku. Sugestia tego człowieka celowała niebezpiecznie blisko prawdy.

– Z tego, co wiemy – ciągnął sędzia – oskarżona uczyła dzieci Hawke’ów z powodów, które nie mają nic wspólnego z nawróceniem tej rodziny do Pana. Jej motywy były nieczne.

– Słuszna uwaga – zgodził się Daniel Winslow.

Być może to, że Adams znalazł się tak blisko prawdy, kazał Mary zaskoczyć rodziców i rejenta, ponieważ po odejściu Eliota wymieniła nazwisko osoby, którą chciała wezwać teraz przed sąd.

– Aby proces przebiegł sprawiedliwie i we właściwy sposób, nim wygłoszę swoją ostatnią mowę, proszę kapitana straży o sprowadzenie tutaj mojego męża Thomasa Deerfielda.

Usłyszała, jak z tyłu Benjamin Hull odruchowo mamrocze:

– Nie! – Lecz zrobił to tak cicho, że słowo dotarło wyłącznie do Mary i jej rodziców.

– Po co? – zapytał Adams.

– Wszyscy najwyraźniej zakładają, że to ja wyryłam diabelski znak na framudze i że paradowałam ze sztucami w fartuchu. Nikt nie bierze pod uwagę możliwości, iż Lucyfer zawładnął Thomasem. Może to on wziął nóż i wyrzeźbił gwiazdę w drewnie, aby powitać Siły Ciemności, a winę zrzucił na mnie, wkładając widelce do kieszeni mojego ubrania?

– Chyba nie mówisz poważnie! – zawołał Adams.

– Owszem. Mówię.

– Po pierwsze, już wcześniej fałszywie oskarżyłaś męża o wbicie ci w rękę diabelskich zębisk, a teraz masz czelność... Chociaż narzędzia te znaleziono przy tobie...

– Nie! – przerwała Mary. – Nie przy mnie. W moim fartuchu, pod moją nieobecność w domu.

– Zgoda – mruknął Adams. – Dobrze. Mimo to brak podstaw do takiego oskarżenia. Całkowicie! Próbowałaś splamić imię męża pozwem rozwodowym, który odrzucono. A teraz najwyraźniej chcesz, żeby zawisnął za twoje własne zbrodnie. Nie dopuszczę do tego!

Mary spojrzała na Wildera, lecz ten odwrócił wzrok. Podobnie gubernator. Znacznie łatwiej było tyranizować ją niż jej męża. W głębi serca wiedziała, że Thomas nie sprzymierzył się z Diabłem. Być może jej chęć oskarżenia Deerfielda stanowiła kolejny dowód, że to ona sama ów pakt zawarła. Lecz przecież nie Mary wyryła znak ani nie schowała widelców w kieszeni fartucha. Mogli to zrobić tylko Thomas lub Catherine. Beth Howland jej nienawidziła, ale czy to wystarczy, by chcieć kogoś powiesić? Chyba nie.

– A zatem Thomas nie stanie przed sądem, aby odnieść się do moich zarzutów? – spytała.

Adams zerknął na gubernatora. Przewodniczący składu pokręcił głową.

– Nie stanie – powiedział John Endicott.

I było po wszystkim.



„Widzicie we mnie wszystko, co najgorsze, nie rozważając innych możliwości”.

*Zeznanie Mary Deerfield, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663,  
tom I*

## Rozdział 38

Nadszedł więc czas mowy końcowej Mary. Była zmęczona i głodna, było jej zimno. Po dniach spędzonych w wilgotnym areszcie czuła się słaba. I przerażona. Większość mężczyzn w ławie sędziowskiej zareagowała obojętnie na zeznania akuszerki oraz dwóch nobliwych duchownych. Mimo wszystko Mary nie zamierzała przyznać się do zbrodni, której nie popełniła. Owszem, Diabłu prawie udało się ją pozyskać, niemal doprowadził ją do popełnienia morderstwa. Ostatecznie jednak mu się oparła, a poza tym nie ulegało wątpliwości, że sędziowie nie będą skłonni okazać miłosierdzia kobiecie tak trudnej jak ona.

Wyszła na środek wielkiej sali i stanęła przed gubernatorem Endicottem.

– Panie przewodniczący, szybko streszczę całą sprawę, bo wiem, jak bardzo jest pan zajęty – zaczęła. Wraz z rejentem zarysowali wcześniej najważniejsze elementy. Mary trzymała teraz w ręku kartkę z notatkami. Palce jej drżały. – Badała mnie komisja złożona z trzech kobiet, z udziałem bardzo szanowanej przez Kościół akuszerki, i nie znalazła ona na moim ciele żadnego diabelskiego znamienia. Żadnego. Podobnie nawet te kobiety, które z wielką pasją świadczyły przeciwko mnie, nie widziały we mnie żadnych oznak opętania. Powtarzam: żadnych.

Ktoś z tyłu wymamrotał: „Słusznie, słusznie!”. Mary ucieszyła się, że przynajmniej jeden obcy na tej sali trzyma jej stronę.

– Pastor Norton – ciągnęła – podkreślał moją stałą obecność na niedzielnych nabożeństwach. Wielebny Eliot mówił sądowi o moich staraniach nawrócenia dzieci Hawke’ów ku naszemu Panu i Zbawcy. Przesiadywałam w zimnym wnętrzu ich chaty, czytając im *The New England Primer* oraz opowiadając o męczeństwie Johna Rogersa i jego rodziny. Pokazywałam Hawke’om *Milk for Babies*. A tutaj, w Bostonie, doglądałam chorych, w tym brata Catherine Stileman, Williama. Moi oskarżyciele sugerowali, że kierowałam się chęcią zabicia męża i zamienienia go na Henry’ego Simmonsa. Proszę, przypomnijcie sobie, panowie, zeznania złożone przez Henry’ego podczas mojej rozprawy rozwodowej. Twierdził, że usiłował mnie pocałować, a ja się oparłam. Czy są jakieś inne dowody na popełnienie przeze mnie cudzołóstwa? Nie słyszałam o takich. Chodziłam do portu...

– Mary, tam właśnie pytałaś Valentine’a Hilla o jego siostrzeńca! – przerwał Adams.

– Tak. Ale jak zeznał pan Valentine, chciałam zapewnić Henry’ego, że mu przebaczone.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne.
- Może pan wierzyć, w co sobie życzy – odparła Mary i umilkła.

Uzgodnili z rejentem, że wyprze się Henry’ego, ponieważ on właśnie tego chciał. Przesłał jej wiadomość tejże treści do aresztu za pośrednictwem Benjamina Hulla, prosząc, aby pod żadnym pozorem nie przyznawała się do ich związku, gdyż dramatycznie zwiększyłoby to prawdopodobieństwo wyroku skazującego. Mary musi chronić siebie, argumentował Simmons. On sobie świetnie poradzi, niechże Hull zapewni o tym Mary. Teraz jednak, gdy słowo „wyprzeć się” przemknęło jej przez myśl, przypomniała sobie słowa z Ewangelii Mateusza, rozdział dwudziesty szósty, werset trzydziesty czwarty: Jezus informował Piotra, że ten się Go „zaprze”. Mary miała świadomość, że to proroctwo wiązało się ogólnie z naturą ludzką, skłoną do upadku. Do słabości. Ale świadczyło również – bez wątpienia – że apostoł wykazał się tchórzostwem. Człowiek powinien być gotów umrzeć dla swojego Boga. Mary znów pomyślała o Johnie Rogersie i jego rodzinie, o straszliwych płomieniach. Henry Simmons nie był wprawdzie bogiem, za to dobrym człowiekiem.

Zrobiła głęboki wdech: nie umrze jako tchórz. Nie. Nie doda tego grzechu do rejestru pozostałych. Niech ją powieszą, przynajmniej stanie pod stryczkiem z czystym sumieniem.

– Oto prawda – powiedziała wreszcie Mary, prostując się dumnie. – Jesienią bardzo pragnęłam uzyskać rozwód, tak samo jak marzyłam, aby wyjść za mąż za Henry’ego Simmonsa, o ile by mnie zechciał, bo w swojej zuchwałości sędzę, że tak. Ale nigdy nie weszłam w porozumienie z Lucyferem. Nigdy.

Tłum potrzebował chwili, by przetrwać te słowa, to przyznanie się do zakazanych chuci. Zaraz jednak powszechna dezaprobatą spadła na Mary niczym wichura. Kobiety i mężczyźni nazywali ją cudzołożnicą i grzesznicą, krzyczeli do sędziów, że trzeba ją powiesić. Woźny musiał trzykrotnie uderzyć żelazną laską o podłogę, nim nastał względny spokój. Dopiero wtedy Mary kontynuowała:

– Nie wiem, dlaczego wszyscy zakładają, że to ja zrobiłam ten znak na framudze. Chyba ze względu na słowa Catherine Stileman o tym, co znalazła w moim fartuchu: monetę i widelce.

– Diabelskie zębiska – poprawił Adams.

– Nie. Widelce – rzekła Mary stanowczo. – To nie ja je tam włożyłam. I nie ja zakopałam parę innych widelców oraz tłuczek pod domem.

– Dowody świadczą o czymś zgoła przeciwnym, Mary – wtrącił Winslow.

– To nie ja. Ani wtedy, ani teraz. Panowie ignorujecie moje stwierdzenia, lecz Catherine Stileman i Thomas Deerfield są równie prawdopodobnymi jak ja sprawcami przestępstw, o które jestem niesłusznie oskarżona.

– A zatem do rejestru swoich grzechów chcesz dopisać fałszywe zarzuty o uprawianie czarów przez innych ludzi? – zapytał Adams, kręcąc z niesmakiem głową.

– Nie – odparła Mary. – Ale czyż nie jest obowiązkiem sądu rozważyć wszystkie ewentualności? Czy na przykład nie stało się tak, ponieważ Catherine żywi do mojego męża jakieś uczucia? Jeśli tak, Boże jej dopomóż. Czy raczej dlatego, że obwinia mnie o śmierć brata? Wiem równie dobrze, jak dobrze znam Psalterz, że to ona mogła zakopać widelce. Schować je w moim fartuchu. Słowo przeciwko słowu i...

– Oskarżasz swoją służącą o czarnoksiężstwo? – zapytał Daniel Winslow.

– Zauważam jedynie, że sprawa jest bardzo niejasna. Mój mąż jest znany ze stosowania przemocy, co może wskazywać na serce szczególnie podatne na szatańskie pokusy.

– Według ciebie. My nie widzieliśmy żadnych dowodów – rzucił Adams.

Mary uniosła lewą dłoń. Sędziowie, jak jeden mąż, popatrzyli na nią pustym wzrokiem.

– Chodzi mi o to – mówiła dalej – że widzicie we mnie wszystko, co najgorsze, nie rozważając innych możliwości. Być może Catherine i Thomas są niewinni jak baranki. Może istnieje *trzeci* poplecznik Sił Ciemności, nad którym się nie zastanawialiśmy z odpowiednią atencją. Lecz czy naprawdę chcecie, by w waszym bilansie życia znalazł się fakt powieszenia niewinnej kobiety?

– To twoja jedyna linia obrony? – zainteresował się Adams. – Groźba?

– Pan nie słuchał? Oczywiście, że nie. To tylko drobny jej element.

– Oskarżenie kogoś o czarnoksiężstwo nie jest bagatelą, Mary – przypomniał gubernator.

– Też nie traktuję takich zarzutów lekko. Nikogo nie oskarżam, niech to będzie jasne. Proszę jedynie, bo rozważono taką ewentualność. Czy da się wykluczyć, że byłam po prostu ofiarą? Widzicie we mnie drapieżnika, podczas gdy w rzeczywistości jestem polną myszą w jego szponach.

– Nie jesteś żadną polną myszą – skarcił ją Adams. – To nie Catherine Stileman jest oskarżona w tym procesie. Ani Thomas Deerfield. Ty jesteś. Broń się. Nie sądź, że odwrócisz uwagę od swoich przestępstw.

Ta chwila nadciągała zbyt szybko. Mary nie była nawykła do tego rodzaju wystąpień, ale gdzieś w głębi świadomości zamigotała jej pewna myśl i musiała się jej pochwycić. Długo stała w milczeniu, usiłując się skoncentrować.

– Mary? – odezwał się gubernator.

– Mogę prosić jeszcze o minutkę?

Rejent i James Burden stanęli obok oskarżonej, by zabrać głos, lecz Mary odsunęła ich machnięciem ręki.

– Mary Deerfield, czy masz coś jeszcze do dodania? – zapytał Endicott, ignorując prośbę.

Kiwnęła głową.

– Mam.

Dochodzili do sedna sprawy, było już bardzo blisko.

Podjęła dalszą obronę.

– Krótko. Jak mówiłam, nie jestem myśliwym, lecz zapewne zwierzyną. Jak mówiłam, należałoby spytać Thomasa i Catherine, czy nie zostali usidleni przez Diabła. Ale jest jeszcze jedna możliwość, której nikt z was nie wziął pod uwagę. Właśnie teraz chciałabym ją rozważyć.

– Mów – poprosił Wilder.

– Sugerowaliście, panowie, że Thomas bądź Catherine mieli być moimi ofiarami. Ja zaś, że jest odwrotnie...

Urwała na chwilę, ponieważ w tej układance wciąż brakowało kilku elementów. Mimo to musiała przeć naprzód.

– A jeżeli Thomas albo Catherine stanowili cel kogoś innego, nie mój? Ja tu byłam mało istotna, stałam się jedynie przypadkowym obiektem, podobnie jak jedno z tych dwojga. Co wtedy?

– Twierdzisz zatem, że ktoś żywi do Catherine Stileman lub do Thomasa Deerfielda urazę tak głęboką, że zwrócił się o pomoc do Diabła?

– Tak. To tylko spekulacje...

– Bezzasadne spekulacje! – zagrzemiał Adams. – Możesz podać nam choć jeden powód, po co miałby to zrobić? Co w imię naszego Pana Jezusa Chrystusa trzeba zrobić, by stać się celem takiej jadowitości twojego języka?

Mary nie potrafiła podać owych powodów w przypadku Catherine. Z pewnością jednak skoro Thomas zachowywał się tak fatalnie względem własnej żony, to równie fatalnie mógł się odnosić do wielu ludzi ze swego otoczenia. W ostatecznym rozrachunku Mary nie umiała go zabić, lecz czy ktoś inny nie byłby do tego zdolny? Jakiś farmer, którego Deerfield oszukał? Kompan z szynku? Ktoś, kogo pobił?

I nagle zrozumiała.

Wszystko jasne.

Dzięki słowu „pobił”.

Tak, Mary miała już pewność. Pieczone jabłka z rodzynkami. Prawdopodobnie Thomas bił kiedyś własną córkę. A może Peregrine widziała, jak okłada jej matkę? Obie te wersje zasmuciły Mary. Wskazywały, że ona sama należała tylko do kolejnych ofiar przemocy stosowanej przez Thomasa Deerfielda. Dalszy etap.

Zastanawiała się, czy podać imię Peregrine i w ten sposób się ratować, ale nie mogła. Nie uczyniłaby tego. Nie. Nie po tym, co ta kobieta zapewne przeszła.

– Nie popełniłam żadnego przestępstwa – otrząsnęła się Mary. Mówiła głosem mocnym, nie starając się skrywać dłużej irytacji. Koniec. Trudno. Umrze, a jej strach i furia zaczną się przekształcać w rezygnację. – Siedźcie na swojej grzędzie, panowie. Patrzcie spode łba na mnie i na ten świat. Zależy mi na życiu, które dał mi Bóg, ale Chrystus również zginął z rąk nic nierozumiejących.

– A teraz jeszcze do swoich zbrodni dodajesz herezję? – zapytał Adams.

Wilder delikatnie dotknął jego rękawa i rzekł:

– Calebie, nie powiedziała nic takiego.

– Nie – podjęła Mary. – Gdy Chrystus przyszedł na nasz świat, nie było dla Niego miejsca. Nie było dla Niego miejsca na tym świecie, kiedy umierał. Pogardzony przez ludzi i władze, został ukrzyżowany, ponieważ żądał dla biednych, grzeszników, kobiet i dzieci... – zrobiła głęboki wdech, szukając odpowiedniego wyrazu – ...szacunku. Szacunku. Dla maluczkich, takich jak On, którzy nie zasługiwali ani na względy, ani na nadzieję. Oddzieliliśmy się od naszego narodu, przybyliśmy tutaj, w dzicz, a jak dotąd pokazujemy tylko, że jesteśmy tak samo pełni wad i nędzni jak ci po drugiej stronie oceanu. Nie ma czynu tak strasznego ani przemocy tak okropnej, do której człowiek nie byłby zdolny. Mój mąż wbił mi w rękę widelec, a wy zażądaliście, abym z nim dalej mieszkała. Widzieliście, na czym naprawdę polega głoszenie miłości poganom? Badaliście księgi ilustrujące, jak i czym z nimi handlujemy? Jesteśmy draniami. Jesteśmy...

Adams walnął pięścią w ławę i kazał Mary zamilknąć.

Nie zamilkła. Wpatrując się niezłomnie w oczy Endicotta, zapytała:

– Panie gubernatorze, mogę jeszcze chwilę?

Był zmęczony, twarz miał więcej niż smutną wobec tego, co miało się stać. Kolejny wyrok śmierci przez powieszenie. Kolejna martwa kobieta na jego koncie. Złożył palce w piramidkę, oparł na niej czoło i kiwnął głową.

– Panie gubernatorze, skazał pan na stryczek szwagierkę swojego poprzednika. A teraz to samo zrobi pan ze mną. Dobrze. Nie potrafię przemówić do tych mężczyzn, których mózgi są zamknięte na cztery spusty. Proszę jednak mieć świadomość, że skazuje pan na śmierć niewinną osobę. Mój mąż dokucza mi, głosząc, że zamiast umysłu mam nabiął. Być może. Ale nawet ów nabiął widzi prawdę pańskiej zgnilizny, prawdę o pańskim strachu i...

– Dość! – ryknął Adams. – Wystarczy!

Tłum także krzyczał. Sędzia kazał woźnemu zabrać oskarżoną, co ten uczynił, łapiąc Mary za ramiona i odciągając od ławy. Nie stawiała oporu.

Adams zwrócił się zarówno do niej, jak i do otaczających go mężczyzn:

– Czy trzeba nam dodatkowych dowodów opętania? Trzeba? Przed chwilą słyszeliśmy, jak sam Diabeł przemawia z kobiecych ust!

Wilder zbladł. Mary zobaczyła, jak jej matka, łkając, opada w ramiona ojca. Rejent sprawiał wrażenie smutnego i zagubionego. Podobnie jak gubernator – on także był zbyt stary i zbyt kruchy, by powstrzymać bieg wypadków, nawet jeśli w grę wchodziła druga powieszona za jego kadencji kobieta.

– Czy aby wydać wyrok, musimy wychodzić? – zwrócił się Adams do Endicotta. – Czy nie jest on oczywisty?

Tamten zamknął oczy. Potem pokręcił głową, nie podejmując polemiki z pozostałymi sędziami, lecz będąc w wyraźnej rozpacz. Nie chciał więcej krwi na swoich rękach, choć więcej krwi miało na nie spaść.

– Johnie? – powtórzył Adams. – Co powiesz?

Gubernator podniósł wzrok i powiódł oczami po sędziach. Większość wypowiedziała swoją opinię ze stosowną ich zdaniem powagą.

– Winna.

Endicott mruknął słabym głosem, że sprawa jest zbyt skomplikowana, by spieszyć się z werdyktem, a Wilder zasugerował, aby raz jeszcze wezwać Catherine Stileman w celu złożenia dodatkowych zeznań. Według niego powinien się też pojawić Thomas Deerfield. Lecz były to tylko dwie osoby przemawiające na korzyść Mary, zresztą natychmiast przegłosowane. Większość składu nie chciała już więcej słyszeć o podsądnej. Kobieta nie obroniła swoich racji, spiskowała z Diabłem. Jasne to, doprawdy, jeśli spojrzeć na materiał dowodowy. Świadczył on o podstępności Szatana, który zdolny jest zdeprawować każdego – nawet tę niegdyś bogobojną młodą mężatkę, córkę szanowanego w mieście parafianina.

Kiedy więc Caleb Adams obwieścił, że jutro rano Mary Deerfield zostanie powieszona, nie rozplakała się, nie upadła na podłogę ani nie błagała o litość. Czuła się chora, zmęczona, zła... Wykończona. I gotowa. Jutro, gdy owiną jej sznur wokół szyi na tej ich Golgocie, ona również odda Ojcu swego ducha.

Nie powiedziała już nic więcej, nawet do rodziców. Woźny oraz kapitan straży przeprowadzili Mary przez agresywną, wrzeszczącą tłuszcę na schody ratusza. Daniel Winslow mówił coś o nadziei, że Pan zmiłuje się nad jej duszą.

„Nie możemy wiedzieć, kto znajduje się wśród wybranych, a kto wśród potępionych”.

*Zeznanie wielbnego Johna Nortona, Archiwum Akt Sądu Cechowego, Boston, stan Massachusetts, rok 1663, tom I*



## Rozdział 39

Jako pierwszy udał się do domu rejent, a po nim rodzice Mary, pozostawiając ją samą w celi. Wprawdzie Priscilla chciała zostać na noc i Mary poniekąd też tego pragnęła – niestety, sąd ustalił, że ostatnie godziny na tej ziemi oskarżona ma spędzić samotnie. Postanowiła się modlić i napisać dwa listy.

Nie spodziewała się zmrużyć oka.

Cieszyła się, że sąd aktem łaskawości zgodził się zapewnić jej świecę, dzięki czemu będzie widziała, co pisze gęsim piórem na papierze. Pierwsze pismo miało być skierowane do Henry’ego, drugie do Peregrine. Rano Mary wręczy je ojcu, pewna, że ów dostarczy listy, nie otwierając ich.

Modliła się właśnie przed rozpoczęciem pisania, prosząc Boga o wybaczenie i dziękując Mu za dwadzieścia cztery lata życia oraz miłość rodziców, a także błagając, ażeby umarła szybko, z krótką agonią, gdy nagle Spencer Pitts oznajmił, że ma towarzystwo. Mary podniosła się z kolan. W otwartych, ciężkich drzwiach stał Thomas.

Zdjął kapelusz i trzymał go przed sobą niczym młody chłopak, jakby smalił cholewki do dziewczyny wyższego od siebie stanu – albo naprawdę chciał okazać jej estymę, albo w jakiś brudny, nonszalancki sposób pragnął z niej zakpić.

– Przykro mi, że do tego doszło – zaczął, nienaturalnie zmieszany.

– Mnie też.

Sytuacja malowała się niezręcznie i dziwnie, przede wszystkim dlatego, pomyślała Mary, że mieli sobie tak mało do powiedzenia. Przez pięć lat żyli jako mąż i żona, a teraz jedyne uczucie, jakie ją ogarnęło, wyrażało się w zdaniu: *Szkoda mi na ciebie czasu.*

– Bardzo żałuję.

– I właśnie dlatego zjawiłeś się dzisiaj w sądzie, żeby wystąpić w mojej obronie? – zapytała sarkastycznie. – Dlatego tak często mnie odwiedzałeś w tym tygodniu?

Pokręcił głową. Zamiast odpowiedzieć, rzucił:

– Słyszałem, że oskarżyłaś mnie dzisiaj o uprawianie czarów.

– Niekoniecznie. Po prostu zauważyłam, że Catherine i ty jesteście równie prawdopodobnymi autorami znaku diabelskiego na framudze jak ja.

– Nikt by nie uwierzył w te bzdury.

– I tu masz rację. Nikt nie uwierzył. A zatem przyszedłeś oznajmić, że ci przykro. Dlaczego? Z powodu bicia i okropnych słów?

– Zawsze kierowałem tobą z miłością i nadzieją, że posłuszeństwo osłabi tkwiącą w tobie pychę.

– Świetnie – mruknęła Mary. Nie zamierzała się spierać.

– Ta klątwa, Mary. Dlaczego próbowałaś rzucić na mnie zły urok? Zobacz, jak to się skończyło.

Nie mogło inaczej...

– Nie rzuciłam go, Thomasie – przerwała mu.

– Będziesz się upierać nawet teraz, kilka godzin przed zawiśnięciem na stryczku, że Catherine...

– Nie.

– W takim razie co? Że to ja? Nieprawda, Mary.

– To ty byłeś celem. Jestem pewna. Zrozumiałam to dopiero dzisiaj, ale nie mam już najmniejszych wątpliwości, jakbym widziała wszystko w lustrze.

– Skąd to wiesz? – zapytał, opierając się o wilgotną kamienną ścianę.

Czekał. Ona również czekała, niepewna, czy powinna podzielić się z nim wnioskami ze swojej dedukcji, czy raczej pozwolić Peregrine na kolejną próbę, tym razem – być może – udaną. Thomas Deerfield zasługiwał na śmierć. Tylko co stałoby się z Peregrine na tamtym świecie, gdyby zamordowała własnego ojca? Z drugiej strony co stałoby się z nią na tym, jeśli Mary powiedziała teraz Thomasowi, co wie?

Potarła dłońmi ramiona. Było zimno. Tak bardzo zimno.

Nauczano, że doktryna o zbawieniu przez uczynki jest błędna, a jednak wszyscy w głębi serca wierzyli, iż droga zła na tym świecie wskazuje na potępienie danej osoby. Czy sędziowie zakładali, że powieszona wiedźma spocznie u boku Jezusa Chrystusa na niebieskim firmamencie? Oczywiście, że nie. W głowie usłyszała, jak przez zaciśnięte usta wymawia do Thomasa zdanie: *Twoja własna córka nienawidzi cię z całej duszy, z żarem kowalskiego pieca*. Nic jednak nie powiedziała. Napisze do Peregrine, tak jak planowała, wyjawii jej, co uważa za prawdziwy przebieg zdarzeń, a potem z podniesioną wysoko głową pójdzie na szubienicę. Któregoś dnia, gdy już odejdzie na tamten świat, może się dowie, co działo się potem w Bostonie. Miała taką nadzieję.

– Nagle ucichł – odezwał się Thomas.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Twoje skandaliczne zachowanie pozostawiło blizny także na mnie. Na zawsze.

– Nie – poprawiła go. – Jesteśmy tylko śmiertelnikami. Nic, co dotyka nas tutaj, ani nic, czego my tutaj dotykamy, nie trwa wiecznie. Nawet skały kurczą się pod wpływem płynącej rzeki.

Roześmiał się pogardliwie.

- W ostatnich godzinach życia stałaś się poetką.
- Jeden nabiał dojrzewa piękniej od innych – odparła.

Przypuszczała, że to ostatnia rzecz, jaką do niego mówi. Deerfield odwrócił się, nałożył kapelusz i wyszedł. Byli mężem i żoną, ale nawet się nie dotknęli.

\* \* \*

A potem wyszedł także Spencer. Powiedział, że idzie do domu, i wyraził nadzieję, iż Mary zaśnie. Skończywszy pisać oba listy, zaczęła się modlić. Kiedy wstała, bolały ją plecy. Dni spędzone w celi zebrały swe żniwo.

Wpatrując się w ciemność za kratami, zobaczyła migoczące światło. Pomyślała, że jednak Spencer nie poszedł do domu. Ale po chwili dobiegł ją odgłos co najmniej dwóch par poruszających się cicho butów. Nagle w drzwiach celi wyrosły Rebeka Cooper i Peregrine Cooke. Ledwie je było widać w mroku aresztu.

– Pochlebia mi, że nasze pożegnanie odbędzie się tutaj, a nie jutro, pod szubienicą – rzuciła Mary przez kraty. – Ale jak tu weszłyście? I dlaczego?

Rebeka zerknęła na Peregrine, a potem – ku zdumieniu osadzonej – wyjęła pęk kluczy. Otworzyła drzwi i obie kobiety weszły do celi. Mary wycofała się odruchowo, wstrząśnięta. Już chciała spytać, skąd wzięły te klucze i co zamierzają zrobić, lecz tamta położyła jej na ustach palec, nakazując milczenie. Jedna po drugiej przyjaciółki wzięły Mary w ramiona.

– Cała drzysz – powiedziała Rebeka.

– Sama nie wiem, czy z zimna, czy ze strachu. Pewnie to mieszanina jednego i drugiego. Wujek ci na to pozwolił? Spencer dał ci klucze?

– Tak.

– Nie bój się – powiedziała Peregrine.

Mary zaoferowała nikły uśmiech.

– Wiesz, jaki będzie mój los, gdy stryżek wykona swe zadanie?

– Mój ojciec to Diabeł.

Te słowa zawisły w powietrzu. Mary zdała sobie sprawę, że Peregrine wyartykułowała je już kiedyś, dawniej. Spojrzawszy na Reбекę Cooper, pojęła, że pasierbica musiała podzielić się tą rewelacją z ich wspólną przyjaciółką.

– Wiedziałaś? – spytała Mary.

– Peregrine mi mówiła.

Mary wbiła wzrok w wymienioną.

– Jak bardzo cię skrzywdził, Peregrine? Jak bardzo skrzywdził twoją matkę?

– To nie koń złamał jej kark.

– Ona...

– Ojciec wiedział, że coś planuje. Nie byłaś pierwszą kobietą z naszego otoczenia, która odwiedzała osoby pokroju Constance Winston.

– A ty?

– Nigdy mnie nie uderzył. Bił tylko mamę. Mnie robił gorsze rzeczy. Znacznie gorsze. Niezgodne z naturą, o których nigdy nikomu nie powiedziałam. Aż do tej niedzieli, gdy zwierzyłam się Rebecce.

Tamta wbijała wzrok w podłogę, niezdolna spojrzeć Peregrine w oczy.

Mary podała pasierbicy list.

– Chciałam, żeby mój tata dostarczył ci to jutro. Światło świecy jest na tyle mocne, że zdołasz go od razu przeczytać. Padło tyle ważnych słów, że powinnaś.

Peregrine kiwnęła głową i rozłożyła kartkę papieru.

Kiedy czytała, odezwała się Rebeka:

– Dobrze walczyłaś przed sądem.

– Nie widziałam cię tam.

– Byłam. Liczyłam, że każą mi zeznawać.

– Wyrok skazujący był z góry przesądzony.

– U tych ludzi? Tak, Mary, obawiam się, że to prawda. Ale mimo wszystko miałam nadzieję, modliłam się – powiedziała zacna mężatka, a potem ujęła Mary za rękę i zaczęła je gwałtownie pocierać, dla ogrzania.

– Byłby z ciebie dobry woźny sądowy – odezwała się Peregrine, skończywszy lekturę listu.

Przytknęła róg kartki do płomienia świecy i trzymała papier tak, by ogień powędrował w górę, szybko zmieniając ją w popiół. Resztki zrzuciła na podłogę, a gdy się dopaliły, obcasem buta starła je na miazgę.

– Moje podejrzenia były słuszne? – spytała Mary. – To ty zakopałaś widelce i tłuczek w ziemi?

– Tak. Mierzyłam w ojca, nie w ciebie.

– A smażone jabłka? Też chodziło o niego?

– Zgadza się. Pomyliłam naczynia. Ojciec dostał te nieszkodliwe, które przygotowałam dla was, a wy zatrute – dla niego. Powinien był umrzeć. Szkoda, że Hanna zachorowała. Na szczęście zjadła tylko trochę.

– A znak na framudze? Nie ty go wryłaś.

– Nie. Z całą pewnością twoja służąca. To jej dzieło. By móc stwierdzić, że znalazła w fartuchu swej pani diabelskie zębiska.

– Ponieważ...

– Ponieważ się ciebie boi, Mary. Chce, żebyś zniknęła z tego świata. Bo z powodów, których żadna z nas nie pojmie, naprawdę podkochuje się w moim ojcu. Osiągnęłyby wszystko, gdyby powieszono cię jako wiedźmę.

– Powinnyśmy iść – oznajmiła Rebeka.

Mary pomyślała, że nadszedł czas, żeby przyjaciółki ją zostawiły. Lecz Peregrine wzięła ją za rękę i wyprowadziła z celi.

– Co ty robisz? – spytała Mary.

– To, czego nie zrobili sędziowie – odparła Peregrine. – Oddaję ci sprawiedliwość.

– Ale Spencer...

– Mój wujek to dobry człowiek – powiedziała Rebeka. – Rano powiadomi woźnego sądowego, że w drodze z aresztu do domu ktoś pozbawił go przytomności, a kiedy się ocknął, stwierdził, że brakuje kluczy. Nie martw się Spencerem.

Po tych słowach ruszyły razem korytarzem, ku wolności.

\* \* \*

Nocne powietrze było rześkie, chłodniejsze nawet niż w więzieniu, za to czyste i świeże. Mary miała ochotę podążyć ślepo za Peregrine. Niesamowite, że tak błędnie oceniła tę kobietę i zrozumiała ją dopiero poniewczasie. Ale jeszcze bardziej pragnęła poznać szczegóły planu.

– Powiedz, proszę, dokąd mnie zabieracie? – spytała.

Peregrine szepnęła coś do ucha Rebeki, a tamta odeszła różnym krokiem otwierającą się przed nimi ulicą, po czym skręciła ku eleganckim domom w pobliżu ratusza. Po drodze musiała minąć szubienicę.

Peregrine odpowiedziała dopiero po chwili:

– Na „Bedmunster”, statek, który wypływa jutro na Jamajkę.

– A dokąd poszła Rebeka?

– Po Henry’ego Simmonsa.

– On wie, co planujecie?

– Tylko tyle, że twoje uwolnienie zostało zaaranżowane. Nic więcej.

Mary złapała Peregrine za ramię.

– Ale co się stanie z tobą? Wyruszasz ze mną, opuścisz własną rodzinę?

– Dlaczego ktoś miałby mnie podejrzewać? Zostanę tutaj. Z twojego listu jasno wynika, że ty sama dopiero niedawno zaczęłaś dostrzegać prawdę o tym, kim jestem i do czego zostałam zmuszona, bo znasz mojego ojca.

– A Catherine?

Oczy Peregrine rozbłysły niczym dwa klejnoty w ciemnościach nocy.

– A co byś chciała, Mary?

– Ona próbowała zaprowadzić mnie na szubienicę. Jak się zdaje, zawarła pakt z Diabłem.

– W takim razie moim zdaniem odpowiednią karą będzie dla niej spędzenie reszty życia z moim ojcem na tym świecie, a potem dołączenie do swego prawdziwego pana, na tamtym – powiedziała Peregrine.

Mary uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu dni.

– Sądzisz, że Thomas się z nią ożeni?

– Tak. Jakąkolwiek niedolę sprowadzą na siebie nawzajem, zasłużyli na to. A teraz się pospieszmy.

– Nie zobaczą się z rodzicami, prawda?

– Nie. Nie dzisiaj. Musisz wejść na ten statek na długo przed świtem. Sama też chcę być w domu na długo przed wschodem słońca.

– Jonathan...

– Jonathan nie ośmieli się o nic pytać. Nie po tym, co nawyczyniał. Ma swoje własne grzechy do odpokutowania. – Szły szybko, ale Peregrine nie brakowało tchu w piersiach: – Nie martw się, proszę. Wierzę, że jeszcze spotkasz się z ojcem i matką. Kiedyś.

– Kiedyś – powtórzyła Mary, a słowo to zakołysało ją tak, jakby znajdowała się na morskim okręcie, który dawno temu sprowadził ją tutaj. Uśmiech na jej twarzy zgasł, ale idąc ku nabrzeżu, nie widziała przed sobą innej możliwości. – Szkoda, że nie będę umiała ci się odwdzięczyć – dodała.

– Chciałabym tylko, abyś mi wybaczyła. Powinnam wziąć cię za rękę i wyrwać z tej biedy już lata temu – odrzekła Peregrine, a potem stanęła, Mary również.

Usłyszały odgłos kopyt. Konie. Dwa.

Peregrine zaciągnęła Mary za wielki, zaokrąglony pień dębu, o tej porze roku zimny jak marmurowa kolumna, która stała na skraju ogrodu przed wejściem do jakiegoś domu. W oknach

nie paliły się świece, co jednak nie znaczyło, że w środku nikogo nie ma ani nikt nie obserwuje ich znieruchomiałych za drzewem w nadziei, że szeroki pień zasłoni je przed ludźmi na ulicy.

Ukazali się dwaj jeźdźcy: Thomas i człowiek, którego Mary nie rozpoznała. Czy to możliwe, że po wyjściu z celi jej mąż udał się do gospody i siedział tam do jej zamknięcia? Najwyraźniej tak. Drugi jeździec zauważył je za dębem.

– Kto tam? Kto się kryje? – zawołał. Podobnie jak Thomas, był potężnym mężczyzną. – Widzę twój oddech!

Mary pomyślała, że teraz, gdy zaszła tak daleko, jej przeznaczeniem będzie tu umrzeć. Nadeszła zima jej życia. Trudno.

– Pójdę do nich – szepnęła.

– Wyłazić! – wrzasnął Thomas. – Pokazać się!

Peregrine oderwała palce Mary ze swego ramienia, po czym – ku jej zaskoczeniu – wyjęła spod peleryny nóż. Bez strachu wyszła zza drzewa i minąwszy jednego jeźdźca, stanęła przed Cukierkiem, koniem swego ojca. Nóż trzymała zasłonięty przy boku.

– Peregrine?

– Tak, to ja.

– Co ty tutaj robisz? – spytał Thomas tonem tak protekcyjnym, jakby przemawiał do dziecka, które wyrwało się z szelek do nauki chodzenia. Mimo odległości Mary rozpoznała jego pijacką artykulację.

– Oboje powinniśmy już leżeć w łózkach, ojcze – odrzekła Peregrine.

Thomas zwrócił się do kompana od butelki:

– Samie, to moja córka. Nie mam pojęcia, dlaczego wyszła z domu. Co do mnie, to rzecz jasna łożę mam puste. Ale ona? Ma swojego hazardzistę do ogrzania.

– Twoje łożę długo nie pozostanie zimnym, Thomasie – zachichotał kompan. – Weźmiesz sobie służącą za żonę.

– I moje życie znacznie się poprawi. – Deerfield zsiadł z wierzchowca. – Zaprowadzę cię do domu, Peregrine. Nie mam drugiego siodelka, ale możemy się przejść. Opowiesz mi, jakież to diabelstwo planujesz o tej bezbożnej godzinie.

– Nic cię nie obchodzi, że jutro powieszą twoją żonę? – spytała Peregrine.

– Nic – odrzekł Thomas lodowato. – To męt na samym dnie nocnika obłożnie chorego. Cieszę się, że była bezpłodna i nie sprowadziła na świat kolejnych demonów. Niech idzie do Diabła.

– Twój ojciec – odezwał się Sam – już zbyt wiele wycierpiał z rąk tej wiedźmy.

– Chodź, Peregrine – rozkazał Thomas. – Samie, do zobaczenia niebawem.

– Nie planujesz oglądać, jak jutro zawiśnie? – zdziwił się Sam.

– Nie. Twarz ma dla mnie brzydką nawet wtedy, gdy jeszcze oddycha. A po śmierci stanie się maską zbyt paskudną, żeby na nią patrzeć.

– Ojczy, ona jest...

Thomas gwałtownie złapał córkę za gardło.

– Dość! – wrzasnął, po czym nieco się opanował. – Dość. Wiem, że łazisz po nocy, bo knujesz coś, co powiedzie cię w tę samą otchłań co Mary. Zaprowadzę cię do domu i uratuję twoją duszę.

Sam także zsiadł z konia, po czym się potknął, tak był pijany.

– Thomasie – rzucił bełkotliwie – wygląda na to, że nie potrafisz zdyscyplinować własnego dziecka.

Deerfield miotał wzrokiem między kompanem od kielicha a Peregrine, wyraźnie urażony stwierdzeniem, że nie panuje nad swoją córką. Zrobił więc to, co Mary wiedziała, że zrobi: ręką, którą trzymał ofiarę za gardło, ruchem szybkim i paskudnym uderzył ją wierzchem dłoni w twarz, przewracając na ziemię. Nóż wypadł Peregrine z ręki i odbił się od zamarzniętej na kamień ziemi. Thomas schylił się, podniósł go i przyglądał mu się przez chwilę, jakby to był opadły liść albo nieznanym mu kwiat.

– Założę się, że nosisz to w obawie przed spotkaniem w nocy pospolitego łajdaka, a nie dlatego, że do spisu swych grzechów chcesz dodać ojcobójstwo – rzekł wreszcie.

– Ojcobójstwo? Przypomnij sobie, co przed chwilą powiedziałeś o własnej żonie – odparowała Peregrine, pocierając policzek w miejscu, w którym ją uderzono. Mary wiedziała z doświadczenia, że ciało jest tam gorące. – Te słowa odnoszą się także do ciebie: twarz masz dla mnie brzydką nawet wtedy, gdy jeszcze oddychasz. A po śmierci stanie się maską zbyt paskudną, żeby na nią patrzeć.

Thomas, otępiony piwem, musiał się zastanowić nad tym, co powiedziała. Ale gdy do niego dotarło, kopnął córkę w bok, a Sam wbił obcas swojego buta w żebra Peregrine. Mimo osłony, jaką dawała peleryna, Mary wyraźnie słyszała odgłos każdego ciosu, głuche dudnienie przypominające ciężką pracę przy rozbijaniu surowego mięsa. Przez ułamek sekundy nie rozumiała, dlaczego Sam bierze w tym udział, z jakiego powodu tak łatwo i ochoczo przyłączył się do bicia. Ale był przecież pijany, był przyjacielem Thomasa, a to chyba tłumaczyło wszystko. Poza tym był mężczyzną, więc i dręczycielem.

– Ty kurwo! Zobacz, za kogo wyszłaś za męża! – wrzasnął Thomas.

– Kopnięcie w szczękę i złamanie karku! Czy nie w ten sposób zabiłaś mamę? – syknęła Peregrine, gdy ojciec przestał ją bić.



– Sama w to nie wierzysz.

– Taka jest prawda. A potem, jako tchórz, zrzuciłeś winę na konia.

– Jesteś potworem, dziecko, monstrum. Zamiast mózgu masz...

– Nabiał? – dokończyła Mary, wyłoniwszy się zza drzewa.

– Mary? – Thomas osłupiał, jakby zobaczył prawdziwego demona powracającego z Piekieł, monstrum ze szponami ostrymi jak kosa.

Dlatego się nim stała. Stała się uskrzydloną Furią. Mary rzuciła się na Deerfielda, który był tak zszokowany jej obecnością oraz impetem ataku, że zdołała wyszarpnąć mu sztylet z pochwy. Potem obiema rękoma przebiła ciało – ruchem płynnym i gwałtownym jak fale napływające na brzeg morza. Pchnęła nóż głęboko i mocno przez tkaninę płaszcza, między żebra, w serce. Thomas spojrzał w dół, na rękojeść wystającą mu z piersi, a potem obrzucił Mary takim spojrzeniem, jakby widział ją pierwszy raz.

– Tak, Thomasie, to ja. – Wyciągnęła przed siebie kciuk oraz dwa sąsiednie palce. – Przedstawiam ci diabelskie zębiska – powiedziała i przekreśliła nimi rękojeść sztyletu, jak przekreśla się gałkę klamki.

Pod Deerfieldem ugięły się kolana, złożył się wpół i opadł na ziemię obok córki.

Peregrine przetoczyła się w bok, po czym usiadła.

– Przepraszam – powiedziała Mary. – On jako pierwszej wyrządził krzywdę tobie, dopiero potem mnie.

Peregrine pokręciła głową.

– Nie potrzebujesz mojego wybaczenia.

Sam ruszył w kierunku konia, lecz Mary złapała go za płaszcz.

– Powiedz słowo o tym, co tu widziałeś, a dopilnuję, żebyś nie dożył jutra. Pamiętaj, mówią, że jestem wiedźmą.

– Wiedzmy się wiesz, Mary Deerfield – odrzekł mężczyzna, ale bez przekonania.

– My, złowrogie i zgorzkniałe, zdążymy przedtem pozostawić po sobie szlak ogołoconych pól i martwych zwierząt. Dzieci gnijące w łonach matek i mężczyzn takich jak ty, którzy niczym kamienie spadają z siodeł, z sercem zimnym i znieruchomiłym.

– Rano zdechniesz – mruknął, ale znów głosem pełnym strachu i niepewności.

– W takim razie zabiorę cię ze sobą – oznajmiła Mary.

Pewnie powiedziałyby coś więcej. Pewnie spróbowałyby dosiąść konia. Lecz tylko jęknął i się wyprostował, obracając głowę za siebie, ku Peregrine. Skrzywił się, kiedy wyjęła nóż z jego pleców. Następnie podcięła mu gardło od ucha do ucha. Krew trysnęła niczym gejzer. Opadł na grunt,

dławiąc się, po czym – z nagłością, która zaskoczyła Mary – skonał. Peregrine wytarła ostrze o rękaw płaszcz mężczyzny.

– Szkoda marnować porządne narzędzie – powiedziała.

– A sztylet Thomasa? – spytała Mary, wskazując na przedmiot leżący przy obcasie jej buta.

– Chcesz go?

– Nie.

– Ja też nie.

Peregrine ujęła Mary za rękę.

– Chodźmy stąd, zanim przyłapie nas jakiś strażnik. Niech myślą, że to ci sami bandyci, którzy zaatakowali wujka Spencera i cię uwolnili.

– Będą podejrzewać mnie.

Peregrine kiwnęła głową.

– Możliwe. Ale gdy uznają za prawdopodobny wniosek, że wyjechałaś z Bostonu, uprzednio zabiwszy dwóch mężczyzn, będą się ciebie jeszcze bardziej bali, jako najpotężniejszej z wiedźm. Uwierzą, że za swego życia spotkali naprawdę straszliwą czarownicę.

– Czarownicę? Nie, nie tylko czarownicę. Diablicę.

– Ach, Diablicę we własnej osobie – zgodziła się Peregrine. – Tak naprawdę wcale nie wiemy, czy Diabeł nosi spodnie czy spódnice, prawda?

Kiedy ruszyły w kierunku portu, Mary zastanawiała się nad koncepcją Diabła w przebraniu kobiety. W pewnej chwili spojrzała w niebo i ogarnął ją nabożny podziw dla mrowia gwiazd. Było ich tak wiele. Pomyślała, że za osiemnaście albo dwadzieścia godzin zobaczy je znowu, ze statku, na morzu, z tym samym Bogiem w tle. Na świecie żyli ludzie dobrzy i ludzie źli, ale u większości zło i dobro mieszały się ze sobą; robią to, co robią, po prostu dlatego, że są śmiertelnikami. A Bóg Mary? Bóg Peregrine? Wiedział o tym wszystkim, wiedział od zawsze, zawsze też będzie wszystko wiedział. Deliberowanie o Jego dziełach? Bezsensowne. Absolutnie bezsensowne. Mimo to Mary była pewna jednego.

– Och, myślę, że wiemy – stwierdziła stanowczo. – Tak, może to była najstraszliwsza czarownica. Ale czy Diablica? Nie, on niechybnie nosi spodnie. Diabeł może być tylko mężczyzną.

# EPILOG

Mary siedziała na trawie i podrzucała dziecko na kolanach. Zaglądała dziewczynce w oczy, które w tym świetle miały barwę błękitną jak niebo w dniu, w którym skazano ją na śmierć, choć we wnętrzu domu bywały szaroniebieskie. Okrągłe, mniej więcej tak samo, jak cała niezwykle piękna twarz tego dziecka cheruba. Gdy włosy dziewczynki urosną, Mary wplecie w nie jedwabne wstążki, takie jak te, które Beth Howland wiązała na głowie swojej małej Sary. Mary dała córce na imię Desiree, ale wołała na nią Desire, Pragnienie, na pamiątkę postaci, która ukazała jej się we śnie – w wizji – jeszcze w Bostonie. Dziewczynka miała teraz rok. Wspomnienia jej matki dotyczące Nowej Anglii stawały się coraz bardziej odległe. Podobnie jak pamięć o krótkiej zimie na Jamajce, po której pobrali się z Henrym. Wyszła za mąż jako wdowa – choć nikt na wyspie nie wiedział, że poprzedniego małżonka zabiła, ponieważ nie znano prawdziwej tożsamości niesławnej Mary Deerfield z Bostonu.

Teraz Mary, Henry i Desiree cieszyli się bezpieczeństwem w majątku Gilesa, brata Mary. Henry zbudował bardzo skromny dom na kawałku ziemi, który wydzielili mu zgodnie ojciec i brat małżonki.

Tego popołudnia wiało i Mary czuła zapach pasących się owiec, choć stanowiły tylko powolnie sunącą masę bieli na dalekim zboczu wzgórza. Widziała jednego z psów biegających bez sensu dookoła stada, od czasu do czasu słyszała jego poszczekiwanie na ptaki albo coś innego, co zauważył w zaroślach. Na zachodnim niebie snuły się fale płaskich, włóknistych chmur, otaczając aureolą słońce.

Henry rozłożył im wcześniej koc na trawie. Gdy Mary podniosła teraz na niego oczy, stwierdziła, że podaje jej kawałek chleba. Podziękowała i zaczęła go łamać na jeszcze drobniejsze cząstki – maleńkie doprawdy – a potem kładła je na języku dziecka. Komunia, pomyślała. Komunia. Wcale nie byłam bezpłodna. Po prostu nie przeznaczono mi urodzić potomka Thomasowi.

Ostatnio coraz rzadziej zastanawiała się nad plotkami krążącymi po Massachusetts. W liście do matki spytała, czy odnaleziono bandytów, którzy zamordowali Thomasa oraz jego kompana od kufla. Matka, rzecz jasna, słyszała pogłoski, iż to Mary odebrała tym dwóm życie, a potem zniknęła. Pani Simmons podejrzewała, że jej zaprzeczenia, jakoby miała z tym coś wspólnego, stanowiły dla Priscilli wielką pociechę. Matka odpisała, że jak dotąd nikt się do zabójstw nie przyznał, choć zaczynano powszechnie sądzić, że odpowiadają za nie dzicy. Być może to również Indianie pomogli Mary w ucieczce. Zapewne ci nawróceni, których poznała podczas służby dla Hawke'ów. Bo któż inny zdołałby przemycić noże i postąpić z tak okrutnym brakiem szacunku dla ludzkiego życia? John Eliot uważał tę koncepcję za nieprawdopodobną, ale coraz więcej osób

wątpiło, by jedna kobieta mogła pozostawić po sobie tak krwawe żniwo, zwłaszcza kobieta bezpłodna, która miała jeszcze czelność oskarżać własnego męża o niepojętą przemoc.

Jeśli chodzi o Henry'ego, to krążyły plotki, że żyje razem z Mary albo w Rhode Island, albo w New Haven, lecz wuj i ciotka bronili go stanowczo, twierdząc, że wyjechał na Jamajkę. Valentine tłumaczył to tym, iż klimat Nowej Anglii – jak sam to określił, bawiąc się w grę słów – nie miał dla jego siostrzeńca *uroku*.

Wszystko to zdawało się już bardzo odległe, nawet gdy w złą pogodę Mary rwała lewa dłoń. Ale przecież była tutaj, w starym kraju. Szczęśliwa. Żywa. Raz jeszcze ucałowała Desiree i patrzyła, jak dziecko ściska swoją malutką dłonią jej palec. Dziś wieczorem zjedzą kolację przy wielkim stole w domu brata, bez wstydu będą używać noża, łyżki oraz widelca o trzech wspaniałych zębach.

# Podziękowania

Nie mam dziś większości książek, które kupowałem na zajęcia podczas studiów w college’u. Ale jeden zbiorek przetrwał aż cztery przeprowadzki w moim dorosłym życiu: czytałem te pozycje na przedmioty, którymi się rozkoszowałem, dotyczące historii Ameryki w siedemnastym wieku. W niektórych przypadkach zachowałem je, ponieważ zdarzało mi się czerpać pociechę z poezji Anne Bradstreet. W innych, dlatego że jako człowiek o duszy ciągle niespokojnej podejmowałem często desperackie próby autointrospekcji, badania samego siebie, jak u purytan.

Pragnę więc zacząć podziękowania od Barry’ego O’Connella i Davida Willsa z Amherst College. Ten pierwszy to emerytowany profesor literatury angielskiej, drugi zaś – emerytowany profesor religioznawstwa. Dziękuję im za to, że wpoili mi fascynację purytanizmem.

Jestem głęboko zobowiązany L. Kinvinowi Wrothowi, emerytowanemu profesorowi prawa z Vermont Law School. Pierwszy wspólny lunch zjedliśmy latem 2001 roku – dwadzieścia lat temu – kiedy skontaktowałem się z nim, aby przedyskutować zarys mojej planowanej powieści. Powieści o purytance, która chce się rozwieść z mężem z powodu – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – „przemocy domowej”, co w siedemnastym wieku określano mianem okrucieństwa. Profesor polecił mi artykuły, których lekturę uważał za konieczną przy pisaniu o obowiązujących w tamtym stuleciu przepisach prawa oraz o pierwszych sądach w Nowej Anglii. Przeczytał roboczą wersję tej książki i cierpliwie korygował moje kompromitujące błędy. Zawsze będę wspominał z sympatią nasze lunche w South Royalton.

Wśród książek, które przeczytałem albo czytałem wielokrotnie, należy wymienić:

Sydney E. Ahlstrom, *A Religious History of the American People*, tom 1.

Josiah Henry Benton, *The Story of the Old Boston Town House 1658–1711*.

Carol Berkin, *First Generations: Women in Colonial America*.

Kristina Bross, *Dry Bones and Indian Sermons: Praying Indians in Colonial America*.

James Deetz, *In Small Things Forgotten: The Archaeology of Early American Life*.

James Deetz, Patricia Scott Deetz *The Times of Their Lives*.

George Francis Dow, *Every Day Life in the Massachusetts Bay Colony*.  
Jonathan Edwards, *The Nature of True Virtue*.  
Nathaniel Hawthorne, *Szkarłatna litera*. Świat Książki 2022.  
Carol F. Karlsen, *The Devil in the Shape of a Woman*.  
Perry Miller, *The American Puritans. Their Prose and Poetry*.  
Perry Miller, *Errand into the Wilderness*.  
Perry Miller, Thomas H. Johnson, *The Puritans: A Sourcebook of Their Writings* (tomy I i II).  
Edmund S. Morgan, *The Puritan Family*.  
*The Norton Anthology of American Literature*, tom 1.  
Glenda Rile, *Divorce: An American Tradition*.  
Walter Muir Whitehall, *Boston: A Topographical History*.

W konstruowaniu powieści pomogły mi następujące artykuły i eseje:

Judith Areen, *Uncovering the Reformation Roots of American Marriage and Divorce Law*. „Yale Journal of Law and Feminism” (tom 26).  
Thomas G. Barnes, *Thomas Lechford and the Earliest Lawyering in Massachusetts, 1638–1641*, „The Colonial Society of Massachusetts” (tom 62).  
David C. Brown, *The Keys of the Kingdom: Excommunication in Colonial Massachusetts*, „The New England Quarterly” (tom 67, nr 4).  
Zachariah Chafee Junior, *The Suffolk Court and Its Jurisdiction*, „The Colonial Society of Massachusetts” (tom 29).  
Laura Clark, *The Second Divorce in Colonial America Happened Today in 1643*. Smithsonian.com.  
Lauren J. Cook, *Katharine Nanny, Alsia Naylor: A Life In Puritan Boston*, „Historical Archaeology” 1998 (tom 32, nr 1).  
George L. Haskins, *Lay Judges: Magistrates and Justices in Early Massachusetts*, „The Colonial Society of Massachusetts” (tom 62).  
Michael S. Hindus, *A Guide to the Court Records of Early Massachusetts*, „The Colonial Society of Massachusetts” (tom 62).  
Catherine S. Menand, *A „Magistracy Fit and Necessary”: A Guide to the Massachusetts Court System*, „The Colonial Society of Massachusetts” (tom 62).  
Elizabeth Wisner, *The Puritan Background of the New England Poor Laws*. University of Chicago Press Journals (tom 19).

A oto skład niesamowitego zespołu w Doubleday, Vintage i Penguin Random House Audio: Kristen Bearse, Laura Chamberlain, Todd Doughty, Maris Dyer, John Fontana, Kelly Gildea, Elena Hershey, Suzanne Herz, Judy Jacoby, Anna Kaufman, Ann Kingman, Beth Lamb, James Meader, Nora Reichard, John Pitts, Paige Smith, William Thomas, David Underwood, LuAnn Walther oraz Lori Zook.

Jestem bardzo wdzięczny moim agentom: Deborah Schneider, Jane Gelfman, Cathy Gleason i Penelope Burns z Gelfman/Schneider ICM, Brianowi Lipsonowi z IPG oraz Miriam Feuerle oraz jej współpracownikom z Lyceum Agency. Dziękuję, że zawsze stoicie za mną murem, za wspierały dar Waszej przyjaźni, a także – w przypadku Deborah i Briana – za to, że służycie mi jako terapeuci i powiernicy. Nic bym nie osiągnął bez Was dwojga.

Jest też, oczywiście, Jenny Jackson, moja wydawczyni od ponad dekady, uosobienie mądrości i spokoju. Mogę sobie wyobrazić, że bez jej przenikliwości całe moje pisarstwo byłoby jedną wielką katastrofą. Czyni te książki lepszymi już wówczas, gdy omawiamy w zarysach sam pomysł, czyni je lepszymi, gdy czyta je potem linijka po linijce. Jest absolutną mistrzynią nie tylko dla mnie, lecz dla wszystkich autorów, których wydaje.

I wreszcie jak zawsze pozostaję głęboko wdzięczny za rady mojej ukochanej Victorii Blewer oraz naszej córce, niezwyklej Grace Experience. Mój Boże, jak te dwie kobiety są cierpliwe i inteligentne! Victoria czyta moje prace, odkąd w wieku osiemnastu lat zetknąłem się z pierwszymi masowymi odmowami (było ich dwieście pięćdziesiąt, zanim przestałem liczyć) publikowania moich nowel, i udziela mi wskazówek zarówno miłych, jak i bezlitosnych. Grace w mądry sposób krytykuje moje powieści od czasów swojego liceum – wielu postaciom przydaje kolorów i życia jako jedna z najlepszych narratorek audiobooków w tym biznesie.

Dziękuję Wam wszystkim. Prawdziwie i z pokorą.



- 
- <sup>1</sup> Wyliczanka typu „Jeden, dwa, trzy...”, charakterystyczna dla angielskiego Yarmouth.  
(Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- <sup>2</sup> Wszystkie cytaty z Biblii: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia*, wydanie IV, Pallottinum, Poznań 2014.